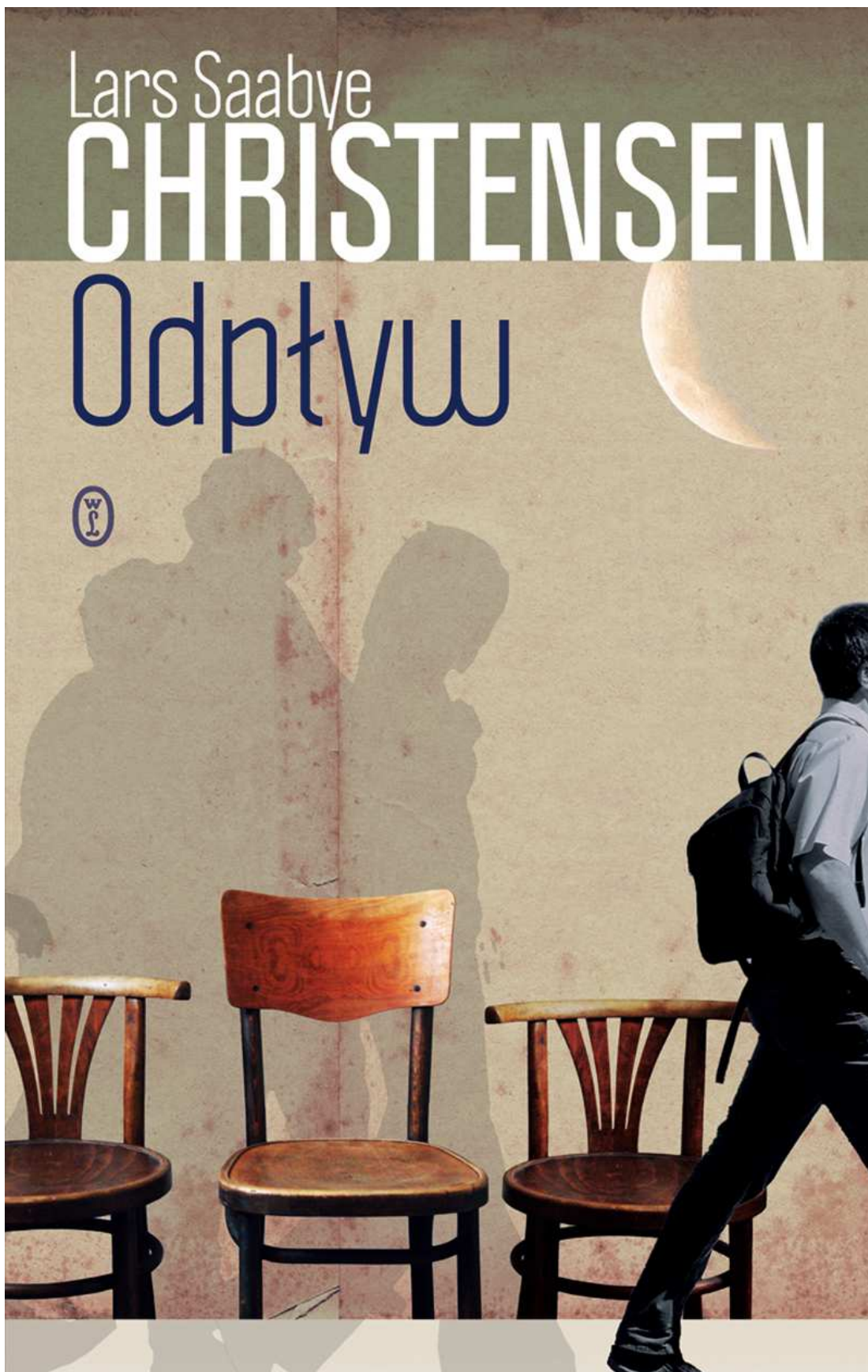


Lars Saabye

CHRISTENSEN

Odptyw



Lars Saabye

CHRISTENSEN

Odptyw

Z norweskiego przetoczyła
Iwona Zimnicka

Wydawnictwo Literackie

*Blue skies
Smiling at me
Nothing but blue skies
Do I see*

*Bluebirds
Singing a song
Nothing but bluebirds
All day long*

*Never saw the sun shining so bright
Never saw things going so right
Noticing the days hurrying by
When you're in love, my how they fly*

*Blue days
All of them gone
Nothing but blue skies
From now on*

IRVING BERLIN

*Lustro widzi tylko moją ostatnią z rzędu twarz,
ja czuję wszystkie wcześniejsze^[1].*

TOMAS TRANSTRÖMER

PROLOG

Ojciec często powtarzał: „Musisz umieć zbudować dom, zanim będziesz mógł go zaprojektować”. Sam jako młody chłopak w Kopenhadze uczył się murarki, dopiero potem zaczął studiować architekturę. W końcu wyjechał do Norwegii, żeby się ożenić i projektować norweskie domy. Staliśmy teraz w dzielnicy Majorstua razem z co najmniej dwoma tysiącami innych widzów zaopatrzonych w słuchawki ochronne i wielkie okulary przeciwsłoneczne, jakbyśmy mieli być świadkami hałaśliwego zaćmienia słońca. Ale nie o to chodziło. Mieliśmy patrzeć, jak burzą budynek Philipsa. Mój ojciec swego czasu, w 1958 roku, był jednym z projektantów tego pierwszego budynku z fasadą kurtynową, dzięki której tych piętnaście pięter wydawało się lekkie, wręcz nieważkie. Budynek Philipsa stał się znakiem rozpoznawczym Oslo, ale wkrótce nastroje się odmieniły. Już w latach sześćdziesiątych uważano go za ohydny i zniechęcający pomnik wszystkich okropieństw tego świata: zmonopolizowanego kapitału, wojny w Wietnamie, materializmu, wyzysku, EWG, tej poprzedniczki Unii Europejskiej, imperializmu – bo czyż nie było przejawem amerykańskiego imperializmu budowanie w środku Oslo drapacza chmur, a w dodatku wyburzenie zasługującego na ochronę kina, żeby wieżowiec się zmieścił? Norweskie domy powinny być niskie, a przynajmniej tej samej wysokości. Najgorsze, że sam też przyłączyłem się do tego wyjącego chóru. Chodziłem do liceum i dałem się ponieść emocjom. Nie miałem odwagi się przyznać, że ojciec uczestniczył w projektowaniu budynku Philipsa. Czy to nie ja krzychałem najgłośniej, gdy wyszydzano ten wieżowiec? Wstydzilem się pracy ojca. Ciągle się wstydzę tego wstydu. A teraz budynek miał zostać zburzony w wyniku tak zwanej *controlled demolition*. Specjalistów w dziedzinie rozbiórki kontrolowanej ściągnięto z USA, no bo skądinąd, przecież tej metody nigdy wcześniej nie stosowano w Norwegii. Budynek Philipsa był zatem pierwszy w swoim rodzaju, zarówno gdy go budowano, jak i gdy miał zostać zburzony. Działo się to w ostatnią niedzielę kwietnia 2000 roku, o godzinie trzynastej zero zero. Matka nie chciała iść z nami. Czekala na nas w domu. Nie lubila masowych demonstracji i duzych zgromadzeń. Działy na nią przytłaczająco. Tego słowa używała często. Przytłaczający wpływ miały na nią góry, płaskowyże, usypiska kamieni. Zawsze mnie to dziwiło. Zupełnie mi się nie zgadzało. Skoro przytłaczały ją pustkowia i rozległe płaszczyzny w górach, to powinna dobrze czuć się wśród ludzi, albo odwrotnie, ale nie jedno i drugie. Tak mało rozumiałem. Matka znajdowała się pomiędzy. To było jej miejsce. W każdym razie nie poszła z nami. Wybraliśmy się tylko we dwóch, ojciec i ja. Dochodziła trzynasta. Uświadomiłem sobie, że ojciec, gdy projektował budynek Philipsa, był młodszy ode mnie. To jego historia. Niewiele się odzywał. Ktoś przekazał jakąś informację przez głośnik. Najbardziej podnieconą część publiczności musieli powstrzymywać ochroniarze. Chciałem powiedzieć ojcu, że jestem z niego dumny, dumny z tego, że uczestniczył w projektowaniu tej budowli. Chciałem go przeprosić za to, że obmawiałem ten budynek, drwiłem z niego i go ośmieszałem. Nie udało mi się tego powiedzieć. Usłyszałem jedynie ostry odgłos wybuchu i sekundę później gmach Philipsa legł w pyłe, we własnym pyłe. Odbyło się to tak szybko, że wielu osobom zwyczajnie umknęło. Ktoś mruknął nawet, że powinni to powtórzyć, żeby ludzie mogli porządnie się przyjrzeć. Ja pomyślałem, że to dopiero próba. Ta myśl sprawiła mi ulgę – to była dopiero próba, teraz budynek Philipsa podniesie się z pyłu i dymu, piętro po piętrze, a ja w końcu będę mógł powiedzieć ojcu, że jestem z niego dumny. Ojciec zachował kamienną twarz. Wyobrażam sobie, że mógł myśleć, a w każdym razie ja tak pomyślałem: aby móc zaprojektować dom, musisz również umieć go zburzyć. W powrotnej drodze do domu chciałem mu pokazać magnolię tuż przy uniwersytecie. Była w pełni rozkwitu. Biała, niemal przezroczysta korona w kwietniu gromadziła w sobie wszystkie pory roku, bo w jednym miesiącu i zakwitowała, i więdła. Dlatego

Isniła teraz nasyceniem mimo delikatnych barw. Ojciec położył mi rękę na ramieniu i powiedział:
„Wracamy do domu. Żeby mama się o nas nie martwiła”.

BŁYSTKA

To było tego lata, kiedy ludzie wylądowali na Księżycu, a przynajmniej dwóch z nich. Trzeci musiał grzecznie zostać w rakiecie czy jak się to nazywa, pewnie rozgoryczony, bo przecież gdy się pomyśli o tym, że lecisz tak daleko, a mimo to nagle nie pozwala ci się pokonać ostatniego kawałka, tego, który się najbardziej liczy, to mniej więcej tak, jakbyś został zaproszony na bardzo uroczystą imprezę, na jakiej nikt nigdy wcześniej nie był, a okazało się, że musisz stać na schodach i czekać, aż się skończy. Ale żeby było jasne: dobrze wiem, że nie pierwszy raz ktoś zaczyna powieść w ten sposób. Gdyby wszystkie te beznadziejne książki, które zaczynają się od dużego kroku dla nas, a małego kroczku dla ciebie i dla mnie czy coś w tym stylu, ułożyć jedna na drugiej, stos prawdopodobnie sięgnąłby właśnie do Księżycy i dałoby się przejść po tych powieściach suchą nogą tam i z powrotem. Nie wiem też, czy to jest, albo czy raczej będzie w ogóle jakaś powieść. Zobaczę. Zobaczymy. Poza tym Księżyc to właściwie jej zakończenie, a przynajmniej koniec tego lata, o którym postanowiłem coś napisać. Dlatego słuszniej będzie zacząć na pokładzie „Prinsen”, promu pływającego do Nesodden, najfajniejszego na całym Oslofjorden, z czarnym kadłubem, białym mostkiem, kioskiem, męską i damską toaletą, a także poręczami z mahoniu. Stoję na pokładzie, na samym przodzie, i patrzę, jak dziób tnie wodę, a po obu jego stronach rosną fale, jedna za drugą, w niemalże niepojętej, przepięknej symetrii. Od tych, które przetaczają się w kierunku półwyspu Bygdøy, kołyszają się wikińskie statki, z kolei fale z drugiej strony docierają do żłobkowanych skał, gdzie letnicy zbierają drewno na świętojańskie ogniska. Jest więc Dzień Świętego Jana, ale do wieczora jeszcze daleko. Płyniemy do letniego domu. My – to znaczy matka i ja. Ona siedzi w saloniku. Boi się przeziębć. Zawsze się tego obawia, ale teraz właściwie nie musi, bo jest tak bezwietrznie, że nawet żaglówkom wysiadły silniki i stoją, o nic się nie opierając. Ojciec został w mieście. Często powtarza: „Architekci nie mają urlopów. Trzeba budować kraj, mieszkania w Hammerfest, elektrownie w Valdres, ratusz w Drammen, pływalnie, budki telefoniczne i szkoły. A jeśli budowanie kraju ma się powieść, to najpierw należy wszystko zaprojektować: każdą ścianę, każde schody, każde drzwi i każdy najmniejszy schowek na szczołki. Inaczej nic z tego nie będzie”. Ojciec jest zatem architektem. Projektuje miasto, na którego opisywanie poświęcę resztę życia. Ale najpierw muszę zająć się Księżycem. Nareszcie skończyłem gimnazjum, dwa bolesne lata, a jesienią pójdę do liceum. Przez tę chwilę, kiedy płynę na spotkanie lata, czuję się całkowicie wolny. Jestem wstrząśnięty od nadmiaru szczęścia, bliski płaczu. Ani wcześniej, ani później nie czułem niczego podobnego, chociaż próbowałem na wiele różnych sposobów. Wkrótce skończę sześćdziesiąt lat.

Matka wychodzi jednak z saloniku, tak jak zwykle, i staje obok mnie. Jak zawsze kupiła dwa lody w łódeczce z wafła, bo tak przecież wypada na pokładzie „Prinsen”, prawda? Jakie inne lody mielibyśmy jeść, rożki orzechowe? Nie, one lepiej pasują do ładu. Zwykle trochę się z tego śmiejemy, chociaż wcale nie musimy o tym mówić. Musiało minąć już co najmniej siedem lat, odkąd ostatnio wspomnieliśmy, że na pokładzie „Prinsen” jemy wyłącznie lody w waflowych łożkach. W każdym razie to taka nasza mała gra, jemy teraz swoje lody, nic nie mówiąc. Matka ma na głowie niebieską chustkę, którą mocno związała pod brodą, mniej więcej tak jak zydwestkę, i jak zwykle wydaje się inna niż przez resztę roku. Nie bardzo wiem, z czego to wynika, może z pewnej niestaranności, niedbałości z jej strony, przecież zawsze myje wszystkie okna co drugi dzień, a odkurza codziennie i nigdy nie zdejmuje maski, bez względu na cenę. Wszystko, czego nie widać, również się nie zdarzyło. Wszystko, o czym się nie mówi, nie istnieje. Idealnym światem matki jest ten, którego nie widać. Czy ona też czuje wolność, otwierając kolejne pokoje, w których wszystko jest możliwe, tę wolność, która oznacza,

przynajmniej dla mnie, że jednocześnie z taką samą prędkością trzeba zamykać za sobą kolejne drzwi, bo jeśli się tego nie robi, człowiek stanie bezradny i śmiertelnie przerażony, nie posuwając się dalej? Czy ona może przeżywać moją wolność? Symbolem matki jest chustka. To jej mundur, kiedy zaciąga się do armii lata. Takie to proste. W mieście nigdy nie nosi chustki, może czasami w domu, kiedy sytuacja jest poważna, ale na zewnątrz, wśród ludzi, na szerokich ulicach? Nigdy. Na wsi, jak nazywamy to miejsce, chociaż z werandy widać ratusz, pozwala sobie na swobodę. Wyobrażam sobie, że wolność matki polega na pozwalaniu sobie. Wolność matki jest rozkawałkowana i częściowa. Pojawia się na chwilę. Matka chwyta ją, gdy nadarza się taka możliwość. Wolność to tylko szansa. Tak myślę o tym teraz. Wtedy nie mógłbym tak pomyśleć. Ale wafel jak zwykle zrobił się miękki i ciągliwy. Lubię to. Lubię, że jest tak jak zwykle. Niespodzianki nie są w moim stylu. Niech się nimi zajmują inni. Dlatego owo niesłychane szczęście, wolność, z którą nie wiem, co począć, budzi we mnie również przerażenie. Mam nadzieję, że matka niczego nie zauważa, nie widzi, że przed chwilą byłem bliski płaczu. Na wszelki wypadek odwracam głowę. Patrzę na Bunnefjorden, który zawsze znajduje się w cieniu, bez względu na to, jak bardzo jest słonecznie. Matka podaje mi chusteczkę. Nie do otarcia łez, które jeszcze nie popłynęły, tylko lodów spływających między palcami jak biały, gęsty klej i zlepiających je ze sobą. Rzucam reszkę wafla mewom, które z żółtym ochryplym skrzekiem nurkują w moją stronę na szerokich skrzydłach. Zbliżamy się do przystani Tangen. Jak zwykle stoi tam Iver Malt i zarzuca puszkę. Nie ma wędki, nawinął tylko żyłkę na puszkę, w środku przymocował rączkę i to jest jego kołowrotek. Często się zastanawiałem, czy to Iver Malt wymyślił określenie „zarzucać puszkę”. Możliwe. Ma na sobie wielkie, dość brudne krótkie spodnie, podkoszulek bez rękawów i czapkę z daszkiem ze stacji benzynowej Esso koło centrum handlowego, na której pracuje jego ojciec, kiedy jest trzeźwy. Ma bose stopy. Iver Malt zawsze chodzi boso, przynajmniej w lecie. Co robi przez pozostałą część roku, nie mam pojęcia, ale nie dziwiłoby mnie, gdyby i wtedy chodził bez butów. On bowiem mieszka tu na stałe. Nie należy do letników. Nigdzie nie jeździ. On tu jest. Mieszka w jednym z baraków, które zostały po Niemcach na Signalen, tuż koło przystani. Podobno jesteśmy rówieśnikami. To wszystko, co o nim wiem. Ale o rodzinie Maltów krąży wiele plotek: że ojciec nigdy nie trzeźwieje, że mają złego psa, który nie umie szczekać, że jego matka to niemiecka dziwka i ma jeszcze jednego syna, przyrodniego brata Ivera – odebrano go jej zaraz po urodzeniu i umieszczono w jakimś zakładzie, bo był jeszcze trochę bardziej niedorozwinięty i opóźniony w rozwoju niż ona, która puszczała się z Niemcami i urodziła niechcianego bękarta. Niektórzy nazywają ją wręcz kurwą, i to kurwą, która zdradziła ojczyznę. Mniej więcej takie właśnie plotki krążą o rodzinie Maltów z Signalen, a większość ludzi w nie wierzy.

– Przywitaj się z Iverem Maltem – mówi matka.

Nigdy wcześniej mnie o to nie prosiła. Nie podoba mi się to. Wolałbym nie witać się z Iverem Maltem, zresztą nie mam do tego żadnego powodu.

– Dlaczego?

– Bo nikt inny się z nim nie wita, Chris.

Czy matka powiedziała tak dlatego, że ze mną też mało kto się witał? Chciała, żebyśmy stworzyli jakąś grupę tych, co są na samym dnie? Prawdę mówiąc, miałem niewielu przyjaciół, jeżeli w ogóle jakichkolwiek. W niczym mi to nie przeszkadzało. Nie chcę powiedzieć, że we własnym towarzystwie czułem się wyjątkowo dobrze i zależało mi na spędzaniu czasu w samotności, ale nic lepszego nie miałem i dlatego własne towarzystwo najbardziej mi odpowiadało. Równie dobrze mogę powiedzieć prawdę. Mam w czaszce dołki, których wolałem nie pokazywać innym. Nie bardzo wiedziałem, skąd się wzięły ani dlaczego powstały. Wiedziałem tylko, że są i że przez nie jestem inny. Ale na czym ta inność dokładnie polegała,

tego również nie umiałem stwierdzić. Wiedziałem jedynie, że dotyczy tylko mnie. Gdzieś w jakimś miejscu w drodze do życia musiałem uczestniczyć w kolizji. W tych dołkach, które wciąż mam, ponieważ nie pozwalają się tak szybko naprawić, nie dają się wyklepać na równo jak wgniecenia w masce samochodu ani też same nie znikają, tkwiła zmagazynowana moja samotność, której wcale nie byłem przeciwny, a zatem się na nią nie skarżyłem.

„Prinsen” skręca i przybija do brzegu. Lubię ten miękki huk, który jak rażenie prądem przenika również mnie, kiedy prom uderza o odbijacze. To ja przybijam do brzegu. Przybijam do przyszłości. Na pokładzie pełno już kobiet, które ciągną i dźwigają plecaki, walizki, kosze, nadmuchiwane materace, parasole, pasy do pływania, wózki dziecięce, rowery i swoje rozwrzeszczane dzieciaki. To matki w chustkach, które dokonają inwazji na Nesodden i staną do walki na froncie wakacji. Mężczyzna z licznikiem ręcznym, nazywany po prostu Kapitanem, chociaż nigdy nie steruje promem, wysuwa trap, stromy i niewygodny, prowadzący do lata i do przyszłości, jest przypyływ, a to oznacza silny prąd powrotny i meduzy. Kapitan ma na sobie odprasowany mundur: dwurzędową marynarkę ze złotymi paskami na obu rękawach i czapkę z błyszczącym daszkiem. Wyobrażałem sobie i wciąż to sobie wyobrażam, że sterował promami nocą, stał przy sterze w blasku księżyca, wywoząc wszystkich, których dręczyły wyrzuty sumienia, do domu albo gdzieś daleko, na zawsze. Chętnie zresztą miałbym taką pracę, to znaczy liczyłbym pasażerów. A po zastanowieniu stwierdzałem, że wystarczyłby taki aparacik do liczenia, niepotrzebny mi cały prom. Świat stałby się dzięki temu lepszym miejscem, bo wtedy mógłbym liczyć ptaki, wiewiórki, dni, krople deszczu, sekundy i litery, a liczba by nie znikącała, jak to się prędzej czy później stawało, kiedy próbowałem liczyć w duchu. Prawdopodobnie potrzebowałbym dwóch liczników albo i trzech, bo przecież liczba rzeczy do policzenia, gdy się już raz zacznie, jest nieograniczona. Liczyć można nawet liczniki. Ostatnią osobą, która schodzi na ląd, jest zresztą lensman, tęgi Gordon Paulsen, który nigdy nie nosi munduru; może nie ma dla niego rozmiaru. Najprawdopodobniej wybrał się do miasta szukać przestępstw, bo w Nesodden nic się nie dzieje.

Niesiemy bagaże do domku. Niewiele ze sobą wzięłem, jedynie setkę czystych kartek, niedużą walizkę i lornetkę, którą dostałem od ojca. Ojciec mówi, że architekci nie potrzebują lornetek. Nie mamy daleko, trzeba tylko za zakrętem minąć skrzynki pocztowe, iść dalej wzdłuż białych płotów, a potem w dół do tego miejsca, o którym mówi się Niecka, tam zwirowa droga się dzieli, jedna skręca w stronę Hornstranda, druga prowadzi stromo pod górę do Kleiva – tak się nazywa nasz dom, który jest wielkim zabejcowanym na brąz drewnianym budynkiem, ma dwie i pół kondygnacji, werandę w rozmiarach balkonu na Zamku Królewskim, pustą sadzawkę dla karpi, maszt na flagę, wychodek, studnię i sad jabłoniowy, w którym można zabłądzić. Odwracam się w ostatniej chwili i widzę Ivera Malta, który wciąż stoi tyłem i nawija żyłkę. Nie chce mu się ruszyć głową, jest zbyt zajęty. Łowi ryby. Prawdopodobnie w ogóle nie zwrócił na mnie uwagi, no bo dlaczego? Przecież nigdy się z nim nie witam. On zresztą też tego nie robi, to znaczy nie wita się ze mną. Jest dokładnie tak, jak powiedziała matka. Nikt nie wita się z Iverem Maltem i ja też nie. Iver znów zarzuca puszkę, chociaż „Prinsen” odbija od brzegu. Kapitan jak zwykle coś do niego woła, wciągając mokrą cumę na pokład, w świetle lśni wachlarz wody. „Chcesz, żebyśmy ci przecięli żyłkę, durniu?” Kapitan woła tak za każdym razem, a Iver jak zwykle się tym nie przejmuje. I co z tego? Wyobrażam sobie, że właśnie tak myśli: „I co z tego? Mam mnóstwo żyłki, dużo puszek i jeszcze więcej błystek”. Odnoszę wrażenie, że widzę ten świat, w którym on jest zamknięty. Nie żebym widział, co się na ten świat składa, nie jestem jasnowidzem, mam po prostu bardzo dobry wzrok, widzę dużo, z wyjątkiem tego, co dotyczy mnie, ale widzę, że Iver jest gdzie indziej. Jestem dość wyczulony na takie sprawy. Przychodzi mi do głowy pewna myśl, a mianowicie to, że pod tym względem jesteśmy do siebie podobni. Bo

ja też jestem gdzie indziej, w swoim własnym świecie. Myśl o tym, że jestem podobny do Ivera Malta z baraków na Signalen, nie należy do przyjemnych. Mimo to kiwam mu głową ze względu na matkę, na siebie samego albo dla pozoru. Zresztą, do cholery, wszystko jedno, bo przecież Iver Malt i tak stoi tyłem, prawda?

Otworzyłem walizkę, dostatecznie dużą, by pomieściła maszynę do pisania, wyjąłem ją ostrożnie i ustawiłem na stole pod oknem. Mój pokój, czyli pokoik na poddaszu, jak go nazywaliśmy, znajdował się na drugiej kondygnacji, a raczej w połowie trzeciej, po drodze na strych. Ściany były białe, dach skośny. Łóżko miało cztery słupki zwieńczone mosiężnymi gałkami, przez co odnosiłem wrażenie, że śpię, jeśli w ogóle udało mi się zasnąć, między czterema masztami flagowymi. Przez chwilę siedziałem wpatrzony w ten cud, maszynę Remington Portable, z którą ojciec dość nieoczekiwanie zjawił się tuż przed początkiem lata. To nawet nie były moje urodziny, tylko zwyczajna środa. „Jest na zbyciu” – powiedział. „Architekci nie używają maszyn do pisania. Piszą ręcznie”. Pamiętam pismo ojca. Litery, które stawiał, przypominały szeregi domów – niektóre wysokie, większość niska. Linijki były ulicami. Długo starałem się naśladować pismo ojca. Kiedy zrozumiałem, że nigdy mi się to nie uda, a moje pismo nigdy nie będzie lepsze, musiałem wymyślić coś innego. Do tych domów z liter wprowadziłem ludzi i chodziłem po ulicach ze zdań. Przekradałem się między linijkami i odnajdywałem znaki, tajemnicze, przerażające i dodające otuchy znaki, które należały tylko do mnie i których nikt inny oprócz mnie nie potrafił odczytać. Tak więc ojciec podarował mi maszynę do pisania. Może uznał, że mój charakter pisma jest beznadziejny, że to jedynie płatanina skreśleń i powtórzeń. Dostałem dwóję ze schludności, ja, w głębi ducha porządnicki, niemający pod tym względem sobie równych. A teraz siedziałem tutaj, w swoim pokoju na wysokości połowy trzeciej kondygnacji, przed maszyną do pisania. Oczywiście na tę okazję wymieniłem w niej taśmę barwiącą i wyczyściłem klawisze. Potem wkręciłem w wałek pierwszą kartkę, ustawiłem podwójny odstęp między wierszami i napisałem tytuł, który miałem gotowy już od dawna. *Zachód Księżycy*. Byłem z niego bardzo zadowolony. W zasadzie nie musiałem pisać już nic więcej, taki zadowolony byłem z tego tytułu. Ale nie chciałem aż tak wszystkiego sobie ułatwiać. Miałem dwadzieścia sześć dni na skończenie samego wiersza, zanim ludzie podbiją Księżyc. Powinno wystarczyć. Właściwie uważałem, że powinniśmy zostawić Księżyc w spokoju. Chodziło mi o to, że kiedy już raz postawimy na nim stopę, to on nigdy nie będzie taki sam jak dawniej. Dlatego w głębi duszy miałem nadzieję, że coś pójdzie nie tak, nie że astronauta zginą czy że w ogóle coś im się stanie, ale że na przykład w Apollu poluzuje się jakaś śrubka, że pogoda się popsuje, że Nixon się zaziębi albo Neil Armstrong złamie nogę. No właśnie, to by było coś, gdyby Neil Armstrong złamał nogę, wychodząc po pocztę, bo miałem duże wątpliwości, czy ktokolwiek poleciałby na Księżyc o kulach.

Rozsunąłem cienkie białe zasłonki, które w rękę niemal rozsypały się w pył, i zobaczyłem fiord, maszt do flagi, sadzawkę dla karpia i rododendron. Fiord, gładki i nieruchomy, miał taki kolor, jaki może mieć tylko ten jeden wieczór w roku, wieczór świętojański. Niebieskie cienie przechodziły jeden w drugi, a cały ten błękit znikał w niebieskim uchu igielnym tuż nad szczytem wzgórza Kolsås. O maszcie do flagi nie chce mi się chwilowo nic pisać, na razie wystarczą słupki przy łóżku, wspomnę jedynie, że farba się łuszczyła, a kula na szczycie zardzewiała, przez co przypominał zmalretowany maszt statku, który wpłynął na mieliznę. Jeśli chodzi o wyschniętą sadzawkę dla karpia, to musiało minąć dużo czasu, odkąd pływały w niej karpie. Wątpiłem, że kiedykolwiek w niej pływały, sadzawka była bowiem tak malutka, że nawet kijanki musiały grzecznie ustawiać się w kolejce i czekać, aż będą mogły przeobrazić się w ropuchy albo żaby. Poza tym woda już dawno zgniła, a przy brzegach zamieniła się w mech. Zresztą to też bez znaczenia. Rododendron stał się jednak prawdziwym hotelem dla trzmieli, nie było ani jednego wolnego pokoju. Bucząc, owady wpadały i wypadały przez czerwone, otwarte na oścież drzwi na okrągło przez cały dzień i zamykały je elegancko za sobą po zapadnięciu

ciemności. Trzmielę są dobrze wychowane, gdy przychodzi co do czego. Kiedy uchylałem okno albo po prostu nieco uważniej się wsłuchiwałem, a słuch mam całkiem niezły, to szum docierał aż do mnie na górę, gdzie siedziałem przy maszynie z zamiarem napisania swojego wielkiego wiersza o Księżycu. W zniechęconym gimnazjum chodził ze mną do klasy chłopak, który się jąkał, a nauczyciel norweskiego na każdej lekcji zmuszał go, żeby powiedział „rododendron”, co mu się oczywiście nie udawało, zresztą w zasadzie nie trzeba się nawet jąkać, żeby mieć kłopoty z tym krzewem, ale jemu wychodziło tylko „ro-ro-ro”. Przyłączała się do niego cała klasa, ja także, nawet przez moment nie myśląc, że było inaczej, „ro-ro-ro”, powtarzaliśmy chórem. Za każdym razem równie nas to śmieszyło. Ale kiedy śpiewał, wtedy trzeba go było posłuchać! Słowa płynęły jak z płyty bez najdrobniejszych rysek, spółgłoski się ślizgały, jakby melodia je oliwiła. Śpiew był jego warsztatem, podczas śpiewu się naprawiał. Trochę go przypominałem, chociaż moje dołki dawało się ukryć, przynajmniej na razie. Ale kiedy pisałem, trafiałem na swoje miejsce. Moim warsztatem był język. Naprawiałem się w języku.

Kiedy dostrzegłem pierwsze ognisko gdzieś między Slemmestad i Sandvika, a uchem igielnym nad szczytem Kolsås okazała się zblakana gwiazda, zszedłem na dół do matki, która siedziała na werandzie owinięta zielonym pledem i popijała herbatę. Przed nią leżał malutki żółty notatnik, który zawsze miała przy sobie; zapisywała w nim, co ma kupić, i prowadziła rachunki. Na stole była też filiżanka dla mnie. Nalałem sobie herbaty, wrzuciłem do niej plasterki cytryny i wysypałem pół kilograma cukru, który opadł na dno i wzniósł się w postaci słodczy ledwie tłumiącej kwasotę.

– Co robisz? – spytała matka.

– Piszę.

– O czym?

– O Księżycu.

– Dużo napisałeś?

Z trudem powstrzymałem uśmiech. Matka mówiła tak, jakbym miał oddać wypracowanie w przyszły poniedziałek. Ale właściwie to spodobały mi się jej pytania, bo oznaczały, że nie ma pojęcia o pisaniu, to znaczy o pisaniu na poważnie, kiedy nie chodzi o widokówki, listy zakupów i głupie wypracowania. Nie miała pojęcia, czym się zajmowałem. To mi dawało przewagę. Być może zyskałem ją po raz pierwszy. Przyszła kolej na mnie, żeby wyjaśniać to, czego ona, ani reszta świata, jeśli chodzi o ścisłość, nie rozumiała. Westchnąłem ciężko, z politowaniem.

– To się, niestety, tak nie odbywa, mamo.

– Aha. A jak się odbywa?

– Trzeba czekać na natchnienie.

– To dlatego niczego nie słyszę, tak?

– Nie słyszysz? Myślisz, że pisanie słycać?

Roześmiała się i zapaliła papierosa.

– Maszyny do pisania, ty wariacie! Nie słyszę maszyny.

– Przecież ci tłumaczę. Może nie rozumiałaś? Czekam na natchnienie, prawda?

– Oczywiście. Wiesz, jaka jestem głupia.

Dym z papierosa owijał się wokół niej, wyciągał kolor z jej twarzy. Spuściłem wzrok. Nienawidziłem, kiedy tak mówiła. Wydawało mi się to żałosne, a nie chciałem, żeby matka była żałosna. Pożałowałem swoich słów i tonu, jakim je wypowiedziałem.

– Nie o to mi chodziło.

– Wiem.

– Tytuł w każdym razie mam gotowy. *Zachód Księżyca*.

– A dlaczego nie wschód?

Rozdrażniło mnie, że grzebie w tym tytule. Był mój. Nic jej do tego. Nikt nie miał prawa w nim grzebać. Postanowiłem od tej pory trzymać głowę na kłódce.

– To ja piszę, nie ty – zauważyłem.

– Po prostu wydał mi się taki pesymistyczny. Czy to nie świetnie, że lecimy na Księżyc?

– My? Ty też się tam wybierasz?

Ostrożnie zgmiotła papierosa w popielniczce, drobinki żaru się rozpełzły, dym powoli się rozwiewał, a jej twarz przysunęła się bliżej. Nie wiem, czy widzę matkę i próbuję odczytać jej rysy teraz, kiedy to piszę, czy też próbowałem to robić już wtedy, w wieczór świętojański 1969 roku. Powinienem to wiedzieć, ja, uważany za mistrza w dziedzinie pamięci. Ale ludzie, którzy są nam najbliżsi, odsuwają się, kiedy rozdzieli nas czas, a wspomnienie, to kruche, niepewne lustro wody, jest wszystkim, na czym możemy się oprzeć i czemu możemy zaufać. Musimy ufać niegodnemu zaufaniu wspomnieniu. Gdzie było nazwisko matki? Znakowała nazwiskiem moje ubrania, ale swoich nie podpisywała. Nazwisko, z którym się urodziła, zamieniła na nazwisko ojca. Swojego nie miała nawet na drzwiach mieszkania w mieście. Wbiłem sobie do głowy, że za czymś tęskni. Wrażenie było przytłaczające. Za czym mogła tęsknić? Nie miała wszystkiego? Wydaje mi się, że tęskniła za czymś większym od niej samej, co mogłaby wypełnić, spełnić. Tęskniła za własnym życiem, za innym życiem. Kto jej to odebrał? Ojciec? Albo, co gorsza, ja?

Sam miałem wiele imion. Kiedy ktoś mnie wołał, nie przychodziłem.

– Jest zresztą tam – powiedziała matka, pokazując palcem.

– Co?

– Księżyc.

Obudził mnie deszcz, chociaż równie dobrze mogły to być sroki przechadzające się po dachu w czasie, gdy trzmielce otwierały swoje czerwone pokoje i zaczynały brzęczeć. Lubiłem tak leżeć, jedynie słuchać i śnić. Nie pamiętam tych snów. Pamiętam tylko, że czas się rozplątywał i znikał, tak samo jak cienkie smużki niebieskiego dymu z ascotów matki, jak zasłonki i tory moich własnych myśli. Osiągnąłem stan nieważkości. To było jak pisanie, jak śpiew. Uwalniałem się od wszystkiego, co wiązało mnie z zasadami, zarówno własnymi, jak i wszystkich innych. Ponieważ jednak nie mogłem się powstrzymać od liczenia kropli, a może sroczych kroków, to zresztą bez znaczenia, bo wszystko, co człowiek liczy, w końcu się ze sobą zlewa, nie pozostawało mi nic innego, niż wstać, a wtedy oczywiście nie mogłem ignorować swojej prawej stopy, sterczącej niemal pod kątem prostym; w złe dni tak zbaczałem, że albo się potykałem, albo kręciłem w kółko, co mniej więcej wychodzi na jedno. Zdołałem jednak podejść do maszyny do pisania, w której kartka pochyliła się do przodu, jakby i ona w ciągu nocy zasnęła, albo przynajmniej popadła w zamyślenie. To by było coś. Gdyby kartce przyśnił się wiersz. Przesunąłem dźwignię w bok i obudziłem kartkę mocnym przejściem do następnej linijki. Tytuł w każdym razie nie był snem. Przeczytałem go w duchu: *Zachód Księżycy*. Teraz brakowało już tylko wiersza.

Policzyłem schodki. Wiersz będzie miał czternaście wersów. Gdybym schodził po dwa stopnie, miałby ich siedem. Ale gdyby odliczyć pierwszy i ostatni stopień, będące właściwie już podłogą, wiersz musiałby mieć dwanaście linijek, ewentualnie sześć, gdybym rzeczywiście schodził po dwa stopnie. Takie rzeczy były ważne, należało zwrócić na nie uwagę, bo inaczej mogło się źle skończyć. Matki nie było w kuchni. Wziąłem sobie kromkę chleba i zjadłem ją po drodze do kibla, matka zresztą nie lubiła, kiedy tak mówiłem. Żądała nazywania tego miejsca ustępem, chętnie przez duże U, a najchętniej po prostu wygodką, tak samo jak w mieście prosiła mnie, żebym mówił „podwórze”, a nie „podwórko”, kiedy schodziłem ze śmieciami albo zebrać pranie ze sznura. Podwórka mieli we wschodnich, biednych dzielnicach. Na podwórku były cień, szczury, smród, grzyb, chuligani, motorowery, wódka, niekończące się bijatyki. Na podwórze natomiast wpadało słońce, unosił się świeży zapach białych prześcieradeł, kawy i kwiatów. Matka była wrażliwa na wiele rzeczy – na głośną muzykę, krzykliwe kolory, bałagan i nieuprzejmość – ale w szczególności na język. Niewłaściwe słowo stanowiło zagrożenie. Słowa były ważniejsze niż, jak to powiedzieć, nie rzeczywistość, nie rzeczy czy przedmioty, to za proste, ale niż tworzony przez nas obraz, niż wrażenie, jakie sprawialiśmy. Słowa były nadrzędne. Potrafiły nas wznosić albo ściągać w dół. Dlatego chodziło o to, żeby używać właściwych słów, nie mówić „kibel”, „podwórko” i nie pytać „co?”, kiedy się czegoś nie dosłyszało albo nie zrozumiało. Również język był maską, której nie należało ściągać. Przecież bez względu na to, jak się mówiło, „ustęp” czy „kibel”, i tak była to owalna dziura w wąskiej ławie, do której wpadało nasze gównno. Ale wolałbym przynajmniej inny papier niż ta zawieszona na haczyku w drzwiach od środka twarda, gładka rolka, która wisiała za daleko, kiedy zielone, lśniące muchy robaczyce, wielkie jak helikoptery, z warkotem krążyły wokół mnie; przypominało to raczej podcieranie się bibułą do pakowania prezentów gwiazdkowych albo papierem śniadaniowym do przekładania kanapek, który po kilku dniach do złudzenia przypominał żółty ser, nie miało znaczenia, czy nazywało się go papierem do ustępu, czy do kibla, czy jakkolwiek inaczej. Równie dobrze do podcierania się można było zawiesić talię kart albo liść rabarbaru. W razie rewolucji żołądka być może musiałbym używać własnych kartek. Wyszedłby niezły wiersz. A gdyby tak ojciec zaprojektował wychodek? Mógłby powstać taki piękny projekt, że nie dałoby się tego przybytku nazywać kibelem. Zamierzałem mu to

zapropnować.

Matka mnie zawołała.

Nie znośiłem, kiedy mnie wołano. Trzeba mieć ważne powody, żeby kogoś wołać, znaleźć się w wielkim niebezpieczeństwie albo mieć do przekazania wspaniałe wieści, a ja, jak już wspomniałem, nie lubię niespodzianek. Poświęciłem więc tyle czasu, ile potrzebowałem, i jeszcze trochę, ale nie miałem też siły siedzieć w kiblu przez całą wieczność i dotrzymywać towarzystwa muchom. Niech sobie radzą beze mnie. Podciągnąłem spodnie i wolnym krokiem ruszyłem do domu. Przestało padać. Dookoła panowała cisza. Ostatnie krople wisiły w powietrzu niczym matowe perły. Matka jak zwykle siedziała na werandzie owinięta tym samym zielonym pledem. Przyniesiono gazetę. Leżała przed nią na stole między filiżankami do herbaty a dzbankiem.

– Gdzie byłeś? – spytała.

– W ustępoklozecie. A gdzie miałem być?

Matka się roześmiała.

– Żartujesz sobie ze mnie? W ustępoklozecie?

– Dlaczego wołałaś?

– Nie chcesz śniadania?

– Nie musisz chyba z tego powodu krzyżeć.

– Był tu Iver Malt.

Usłyszałem, co powiedziała, ale nie zrozumiałem. Już miałem na końcu języka „Co?” przez duże C.

– Iver Malt? Był tutaj? Czego chciał?

– Przyniósł „Aftenposten”. To on w tym roku roznosi gazety.

– Nie mógł jej walnąć do skrzynki na listy?

– Masz na myśli wrzucić?

– Tak, wrzucić.

Coraz mniej mi się to podobało. Wręcz zaczęło mi dokuczać. Chciałem mieć spokój. Nie życzyłem sobie, żeby ktokolwiek mi przeszkadzał. Dość już przeszkadzano mi w ciągu roku szkolnego, żeby jeszcze rozciągnęło się to na całe lato. Co sobie wyobrażał ten chłopak, który nazywał się tak głupio, Iver Malt, i z którym nikt się nie witał? Czyżby mimo wszystko zauważył, że skinąłem mu głową, i uznał, że niby jesteśmy kumplami, najlepszymi przyjaciółmi? Zamierzał przychodzić tu osobiście z gazetą codziennie rano z wyjątkiem niedziel, bo wtedy zamiast niego zjawiały się wszystkie ciotki, a to już i tak było więcej niż dość? Niech szlag trafi Ivera Malta!

– Też mu to powiedziałam. Że może zostawiać gazetę w skrzynce, a ty ją stamtąd przyniesiesz.

– Chętnie.

Chciałem sięgnąć po kawałek chrupkiego chleba, ale matka powstrzymała mnie, zanim w ogóle się do niego zbliżyłem.

– Umyłeś ręce?

– W zasadzie nie.

– O Boże! No to możesz od razu przynieść wody.

Poszedłem do studni znajdującej się między brzozaami i odciągnąłem na bok pokrywę. Kiedy się nachyliłem nad cembrowaniem, w głębokiej chłodnej ciemności ledwie mogłem dostrzec własną twarz, stale mi umykała i zaraz znów się ukazywała w innych kształtach, o innym wyglądzie niż mój, jakby na dnie stał ktoś obcy i stroił sobie ze mnie żarty. Opuściłem wiadro, mocno nim szarpnąłem i wyciągnąłem do góry. Obca twarz uniosła się razem z nim. Nie

pozbyłem się jej. Szczyrzyła do mnie zęby z powierzchni przezroczystej wody. Zaniósłem wiadro do kuchni, żeby tej przeklętej gębie dostało się za swoje, kiedy matka będzie gotować kartofle.

Gdy wróciłem na werandę, zdążyła już przygotować dwie kanapki na chrupkim chlebie, jedną z brązowym kozim serem, drugą z pastą rybną. Przestałem być głodny. Podniosła wzrok znad gazety i popatrzyła najpierw na moje ręce, a potem na mnie.

– Trzeba pomalować maszt przed przyjazdem ciotek.

– Tak.

– Musiał się zrobić taki zima.

– Na pewno.

– Ty i ojciec możecie go pomalować.

– Kiedy przyjeżdżają ciotki?

Matka westchnęła.

– Za szybko. – Zasłoniła usta ręką w tej samej chwili, gdy wyszły z nich te słowa. – Brzydko powiedziałam. Fuj!

Dalej przeglądała gazetę. Na pierwszej stronie było zdjęcie trzech astronautów. Czy ktoś naprawdę wierzy, że pamiętam, co o nich pisano? Że miałbym sobie przypomnieć, co było w gazecie ponad czterdzieści lat temu? Kto by pamiętał takie rzeczy? Ja pamiętam. Napisano, że Neil Armstrong ożenił się z Janet Shearon 28 stycznia 1956 roku, a 28 stycznia w roku 1962, w rocznicę ślubu, stracili córkę Karen. Czy to dlatego Neil Armstrong chciał lecieć na Księżyc? Tej myśli nie mogłem się pozbyć. Wszystko się przylepia do mózgu. W świecie jest za dużo treści. Nieważne, czy to śmieci, czy złoto, i tak przylepia się na stałe. Weźmy choćby taką gazetę. Daty, tabele, rekordy, temperatury, nekrologi, rozkłady jazdy, liczba za liczbą, litera za literą. Dawniej chwaliłem się, że piszę, aby nie zapomnieć. Teraz mówię, że jest odwrotnie. Nie piszę już po to, by pamiętać, lecz by zapomnieć. Gdy tylko coś zostaje zapisane, mogę to puścić w niepamięć. Dlatego teraz zapominam tamto lato, słowo po słowie. Rankiem tamtego dnia, 25 czerwca 1969 roku, powietrze było jeszcze chłodne. Pamiętam to. Ale teraz mogę już o tym zapomnieć. Zapominam o zmarłej córce astronauty. Trzmielie urządziły sprzątanie w hotelu Grand Rhododendron. Trawa lśniła. Po mojej ręce pełzła mrówka. Frachtowiec ciął fiord dokładnie przez środek – widziałem, że fale uderzają w łąd w równym rytmie. Teraz o tym wszystkim też mogę zapomnieć. Matka odłożyła gazetę i zaczęła przeglądać swój żółty notes.

– Wolalabym, żebyś nie utrzymywał z nim kontaktów – oświadczyła.

– Z kim? Z ojcem?

Sądziłem, że to dobry dowcip, i nawet się roześmiałem.

– Dobrze wiesz, kogo mam na myśli. On nie jest dobrym towarzyszem.

– Nie jest? Wierzysz w te wszystkie plotki?

– One mnie w ogóle nie obchodzą. Wiem tylko, że on nie jest dobrym towarzyszem.

– Sama mnie prosiłaś, żebym się przywitał z tym głupkiem.

– To zupełnie coś innego.

– A co?

– Dobry obyczaj. Poza tym nie nazywaj go głupkiem, to nie jego wina.

Resztę dnia spędziłem przy maszynie do pisania, ale ogarnął mnie zbyt duży niepokój i nie mogłem się zabrać do wiersza o Księżycu. Siedziałem tylko z rękami na kolanach, czekając na natchnienie. Nie zjawilo się. Trwało to i trwało. Ale i tak się nie zjawilo. Na spróchniałym maszynie do flagi usiadła wrona. Czyżby natchnienie zesłano mi w postaci głupiego hałaśliwego ptaka? I kto go przysłał? Nie miałem pojęcia. Ale ani wrona, ani czekanie w niczym nie pomagały. Z jakiegoś powodu czułem się jednak ważny. Siedziałem, nie robiłem nic i byłem ważny. To mi się podobało. Byłem jednym z wybranych. Musiałem cierpieć. To musiało

kosztować. Musiało. Musiało kosztować tyle, ile miało. Matka często tak powtarzała: „Niech to kosztuje, ile ma kosztować”. Cierpiałem na swój sposób. Napawałem się tym. Ale po pewnym czasie cisza stała się dokuczliwa. Zacząłem zwracać uwagę na siebie. Na krew płynącą pod skórą, na skórę opinającą ciało. Na bijące serce i na palce drżące lekko przy każdym jego uderzeniu. Serce to maszyna do pisania! Zacząłem zwracać uwagę na blade kolana i na dołki w głowie, które ta cisza, przerywana jedynie uderzeniami serca w klawisze, pogłębiała, zmieniając je w rozpadliny. Nie chciałem zwracać uwagi na siebie. Chciałem iść w drugą stronę, daleko, możliwie jak najdalej od siebie. Jedna wrona to nie całe stado. Dwanaście stopni to schody. Jeszcze cztery to półtora wiersza. Do Księżyca zostało dwadzieścia pięć dni.

Następnego dnia rano Iver Malt znów stanął przy furtce z „Aftenposten” w ręku. Matka w kuchni szykowała śniadanie. Siedziałem na werandzie, dlatego go zobaczyłem. Tylko stał. Oczywiście też mnie widział. To było nieprzyjemne. Miałem ochotę wejść do domu i starannie zamknąć za sobą drzwi, ale tego nie zrobiłem. Zamierzałem tak siedzieć, dopóki grzecznie nie odłoży gazety i nie zniknie w sieni. Z tego, co widziałem, zapowiadał się ładny dzień, nie chciałem, żeby natrętny bosy głupek mi go popsuł. Niebo przeświecało ukośnie przez leniwe, wełniste chmury, które wyglądały jak łuski makreli. Wielka markiza była na swoim miejscu, przypominała przedzieloną na pół kopułę, połówkę namiotu cyrkowego. Ale Iver Malt ani drgnął. Uparty drań. Wciąż tam stał, kiedy matka przyniosła grzanki i jajka ugotowane na twardo.

– Idź po gazetę – powiedziała.

– A ty nie możesz?

– No wiesz co! I powiedz mu jasno i wyraźnie jeszcze raz, że nie musi przynosić jej aż tutaj. Biedny chłopiec!

– Mówiłaś, zdaje się, że nie powinienem utrzymywać z nim kontaktów.

– Przyniesienie gazety nie jest utrzymywaniem kontaktów. Pospiesz się.

Wczoraj był złym towarzystwem, a dzisiaj jest biednym chłopcem. Niechętnie ruszyłem wąską, wysypaną żwirem ścieżką, na której roilo się od mrówek. Wcale się nie spieszyłem, miałem dużo czasu. Wsunąłem ręce w kieszenie, przyjrzałem się wiewiórcy, która przechadzała się po sośnie, strącając igły jak zwiędły deszcz. Kiedy w końcu dotarłem do furtki, po prostu wyciągnąłem rękę. Oczywiście chodziło mi wyłącznie o to, by Iver Malt podał mi gazetę, ale on zamiast tego ją uściśnił, to znaczy moją rękę, i tak staliśmy razem po obu stronach płotu i podawaliśmy sobie dłonie jak dwa niedorozwoje. Nie chciałem dotykać Ivera Malta, więc wyrwałem rękę, o mało się przy tym nie przewracając. Roześmiał się i rzucił mi gazetę.

– Chcecie, żebym wam pomalował maszt? – spytał.

– Dlaczego?

– Bo trzeba go pomalować.

– Ojciec się tym zajmie.

– Twojego ojca tu nie ma.

– Przyjedzie.

Iver tylko wzruszył ramionami. Twarz miał kościstą, opaloną i bez wyrazu, z wyjątkiem tych chwil, kiedy się śmiał. Kiedy zdjął czerwoną czapkę, żeby podrapać się w przypłaszczone włosy, czoło zajaśniało mu, jakby było z porcelany. Rzadko ją zdejmował.

– Pójdziemy na ryby? – spytał nagle.

Dlaczego słowo „nie” jest takie trudne, chociaż ma tyle samo liter co „tak”?

– Nie mam wędki.

To była w oczywisty sposób niewłaściwa odpowiedź. Usłyszałem to nawet ja. Oczywiście powinienem po prostu odmówić. Nie pójdziemy na ryby, wspólne łowienie ryb to ostatnia rzecz, jaką razem zrobimy. On jednak już dostrzegł nadzieję.

– Mogę ci pożyczyć puszkę!

– Nie umiem zarzucać puszek.

– Nauczę cię! To wcale nie jest trudne. Łatwe, jak już zrozumiesz, o co chodzi!

– Nie mam błystki.

– A ja mam dużo! Ojciec je robi.

I w taki oto sposób zaplątałem się w coś w rodzaju umowy z Iverem Maltem, że pojawię się na przystani koło szóstej, tylko dlatego, że nie umiałem powiedzieć „nie”. Taki już byłem.

Pozwalałem, żeby inni za mnie decydowali, i robiłem to, co mi kazano. Robiłem różne rzeczy, których robić nie chciałem, i uprzejmie kiwałem głową, chociaż w duchu przeklinałem, a dołki swędziały mnie jak opętane. Tym razem to Iver Malt nakłonił mnie do zrobienia czegoś, czego nie chciałem. Biegiem pognał w stronę Niecki. Nie mogliśmy po prostu zostać każdy w swoim świecie?

– Nie musisz przynosić gazety do domu! – zawołałem za nim. – Wystarczy, że wrzucisz ją do skrzynki!

Iver odwrócił się i pomachał czapką.

– Mnie tam wszystko jedno! Wszystko jedno!

Wróciłem na werandę, wściekły i niespokojny, dwa kroki do przodu, jeden w bok, oddałem matce przeklętą gazetę i dokonałem egzekucji jajka poprzez ścięcie z takim zamachem, że aż żółtko rozprysnęło się na większość stron.

– Trochę to trwało.

– No tak.

Matka podniosła głowę.

– O co chodzi?

– O nic.

– O nic?

– A o co miałyby chodzić? Musisz cały czas pytać?

– Przepraszam. Tak tylko zapytałam.

Przez resztę dnia się denerwowałem. O pisaniu wiersza mogłem zapomnieć. Głowę miałem rozstrojoną. Moją uwagę przykuła natomiast ważka, a później zajął mnie motyl. A gdybym tak nie dotrzymał tej umowy? Gdybym po prostu ją zlekceważył? Czy to nie jest możliwe? Było. Na chwilę ogarnął mnie wielki spokój, równowaga przypominająca radość w czystej postaci. Równie szybko jednak znów przyszło zwątpienie. Niedotrzymanie umowy oznaczałoby jedynie odroczenie, a następny raz byłby gorszy, bo nie można nie dotrzymać umowy dwa razy. Równie dobrze mogłem powiesić się na sznurze do ewakuacji podczas pożaru albo iść do szopy przylegającej do kibla, o, przepraszam, mamu, do wygódki, i wyprowadzić rower stojący tam od zeszłego lata. Jazda na rowerze po mieście nie była dla mnie, wołałem chodzić, mimo że chodzenie zajmowało więcej czasu, ale właśnie o to chodziło. Mogłem wtedy uporać się z myślami, uporządkować je. Szedłem w takt z nimi albo to one snuły się w takt z moimi krótkimi, stawianymi niemal w bok krokami. Często się spóźniałem. Zatrzymywałem się, gdy jakieś marzenie tego wymagało. Na rowerze było to niemożliwe. W dodatku stanowiłem zagrożenie dla siebie samego i dla otoczenia. Potrafiłem na przykład zjeżdżać ze wzgórza Bondebakken i nagle znajdowałem się na Olav Kyrres plass, a zanim się zorientowałem, już byłem na Skillebekk. Gdzie przebywałem w międzyczasie? Nie pamiętałem. Nie wiedziałem. Gdzieś daleko. Żyłem we własnym świecie, tam gdzie mogłem pisać, śpiewać i marzyć, ale nie jeździć na rowerze. Jazda na rowerze po mieście była wbrew mojej naturze, wbrew głębi mojej istoty, ale tu, na wsi, ryzykowałem.

Najwspanialszym wyrażeniem, jakie znałem, było „w najlepszym porządku”. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Czy kiedykolwiek może być lepiej? Nie. A teraz nic nie było w najlepszym porządku.

Rower stał w kącie szopy za całym arsenałem motyk, grabi i sekatorów do róż, w które krwiożercze ciotki zbroiły się, wyruszając na wojnę z chwastami, pokrzywami, zgniłymi jabłkami i grzybami. Wkrótce opowiem o ciotkach, możecie być pewni. Poza nimi letnicy w zasadzie byli dość pokojowo nastawionymi oddziałami; kiedy w sierpniu dni wakacji były już policzone, wycofywali się dobrowolnie, chociaż z nutką żalu, z powrotem oddawali półwysep

Nesoddlandet tubylcom. A tak w ogóle to rower był marki Diamant, z trzema przerzutkami, światełkiem i zamkiem szyfrowym. Dostałem go od ojca, kiedy zacząłem chodzić do tego beznadziejnego gimnazjum. „Architekci nie jeżdżą na rowerze”, powiedział ze śmiechem. W świetle przesączającym się przez szpary między deskami w ścianach szprychy przypominały pajęczynę. Wszystko tego lata przypominało pajęczynę. Wyciągnąłem rower na zewnątrz, ale kiedy chciałem otworzyć zamek szyfrowy, nie zadziałał. Spróbowałem jeszcze raz, z takim samym rezultatem. Wciąż pamiętam ucisk na dłoni, gdy sprawne ruchy nagradzał lekki trzask i zarówno rower, jak i ja byliśmy wolni. Ale nie tym razem. Tym razem wszystko się zacięło. Nie mogłem pomylić szyfru, bo sam go wymyśliłem, był to mianowicie mój wzrost. Może nie ma się czym chwalić, ale na szyfr wystarczył, przynajmniej do tej pory. W końcu dłużej nie chciało mi się próbować. Z głębokim niezadowoleniem rzuciłem grata za drzewo, ukryłem się w sadzie i byłem tak wściekły, że przez kwadrans tylko stałem i ciężko dyszałem na zawiązek jabłka. A później pochłonałem osiem niedorozwiniętych owoców agrestu, które smakowały gorzej niż kłęby kurzu z drutem kolczastym. Taki byłem wściekły. Wściekła była nawet moja stopa, ta prawa. Nie miałem pojęcia, skąd bierze się ta wściekłość, bo chociaż sprawa z zamkiem szyfrowym miała prawo zirytować, to niezdrowo było tak się wkurzać na niewinny owoc, w dodatku jeszcze niedojrzały, tyle przynajmniej rozumiałem.

Matka gwizdnęła.

Było po wszystkim. A kiedy wreszcie było po wszystkim i mogłem się uspokoić, wycieńczony i osłabły, nagle poczułem się, jakbym zobaczył i usłyszał wszystko wyraźniej. Świat przysunął się bliżej, otoczył mnie i stał się moim światem, a ten z kolei zamknął mnie w sobie, obdarzając jasnością widzenia, którą nie mogłem się z nikim podzielić ani nikomu jej wyjaśnić. Na mgnienie oka mój świat i reszta świata stały się jednością. Nagle do czegoś przynależałem. I równie nagle się to skończyło. Matka gwizdnęła gdzieś daleko, gdzieś w świecie innych ludzi, zwykły sygnał, dwa krótkie opadające tony. Nie lubiłem też, kiedy na mnie gwizdano, ale tym razem uznałem, że odpuszczę. Miałem swoją wściekłość i byłem zadowolony.

Obszedłem dom aż do werandy, skąpanej w cieniu pod markizą, naszą połówką namiotu cyrkowego. Zjedliśmy młode ziemniaki polane roztopionym masłem i młodą kapustę. „Dzisiaj potraktujemy to ulgowo”, mawiała matka, mając na myśli obiad. To była jej wolność, zmniejszanie wymagań, wobec nas, wobec siebie samej, nie zdarzało się to często, jedynie od czasu do czasu. Robiła sobie wolne, pozwalała sobie, kupowała czas, miała go więcej, kiedy „traktowała to ulgowo”. Nie wiem, na co poświęcała ten dodatkowy czas, ten, którego miała więcej, czy marzyła, żałowała, była szczęśliwa, martwiła się, miała wyrzuty sumienia, ponieważ pozwalała sobie na coś takiego, na ulgowe traktowanie, nie wiem. Wiem tylko, że w mojej opinii była to nędzna wolność. Czy one nie zasługiwały na coś lepszego, coś większego, wspanialszego i trwalszego niż ta wolność, jaką oznacza potraktowany ulgowo posiłek, wszystkie te matki, które rezygnowały z własnych możliwości i wyborów, oddając się służbie innym, wszystkie te nazywane paniami domu, będące nie tylko matkami swoich dzieci, lecz również władczyniami kuchni, salonu, spiżarni, pralki, zmywaków, strychu do suszenia bielizny, odkurzacza, pościeli, igieł i szczotek, czy one również nie zasługiwały na coś innego? Owszem, zasługiwały na coś większego. Zasługują także na inną pamięć, one, na które później patrzono z góry, które pomijano i obśmiewano, spisywano na straty jako mało pożyteczne i bezwartościowe. A przecież było przeciwnie. To one przyszywały wieszaki do naszych ubrań. To one nas znajdowały. „Dzisiaj potraktujemy to ulgowo”, powiedziała matka. Myślę o tym teraz, pisząc to: zasłużyła na pośmiertną chwałę.

– Ja tak lubię – powiedziałem.

- Jak?
- Ulgowo.

Kiedy zbliżała się szósta, poszedłem na przystań, żeby mieć to już za sobą. Dojście zajęło mi sporo czasu, bo moja stopa sprawowała się gorzej niż kiedykolwiek. Była oporna i kłótniwa. Koniecznie chciała mnie ściągnąć z kursu, poprowadzić przez płoty, do rowów, na drzewa. W końcu udało mi się dojść. Iver Malt stał tam jak zwykle i łowił ryby. Niezwykle było to, że byliśmy umówieni. Nie chciałem żadnych umów. Nie odwrócił się, dopóki nie stanąłem tuż za nim, i właściwie nawet wtedy tylko zerknął przez ramię, wolno ściągając żyłkę.

– Przyszedłem jedynie sprawdzić, czy mój ojciec nie przyplynie tym promem – powiedziałem.

– Jasne.

– Możliwe, że przyplynie.

– No i dobrze. Pomalujecie maszt.

– Właśnie. Trzeba go pomalować.

Iver Malt podał mi puszkę.

– Jesteś leworęczny?

Mogłem odpowiedzieć, że jestem lewostopny, chociaż takie słowo nie istnieje, ale teraz już istniało, lewostopny, bo najlepiej chodziło mi się na lewej stopie.

– Nie – odpowiedziałem. – A ty?

– To dlaczego ją trzymasz w prawej ręce?

Zmieniłem rękę i przełożyłem żyłkę do drugiej.

– Tak?

– Możesz zakręcić błyską nad głową, mniej więcej tak jak lassem, albo z boku, rozumiesz?

Najpierw spróbowałem lassa. Błyska, złoto-czerwona, wydawała się za ciężka i mało brakowało, a straciłbym równowagę.

– Coś mi się wydaje, że zaczniemy od rzucania z boku – stwierdził Iver.

Teraz z kolei to on stanął za mną. Poprawił ułożenie mojej ręki i ustawił nadgarstek, a potem odsunął się kawałek. Zamachałem ręką jak wiatrak, puściłem żyłkę i błyska wpadła do fiordu w odległości mniej więcej ośmiu centymetrów od pali pomostu. Nawinałem żyłkę i rzuciłem puszkę Iverowi.

– Sam możesz sobie łowić. Ja to olewam.

Spojrzał na mnie zdumiony i podszedł bliżej.

– Poddajesz się już po pierwszej próbie?

– Ja się wcale nie poddaję, bo nawet nie zacząłem.

– Mnie się też za pierwszym razem nie udało. Błyska wylądowała przy autobusie, który o mało nie złapał gumy.

– Złowiłeś coś?

Iver się roześmiał i znów podał mi puszkę.

– Spróbuj z trochę mniejszym zamachem. Zakręć trzy razy. I puszczaj, gdy tylko wyciągniesz rękę przed siebie.

Zrobiłem tak, jak powiedział. Poszło mi lepiej niż poprzednio. Może nie był to najdłuższy rzut z puszek w historii Nesoddlandet, ale błyska poleciała tak daleko, że mogłem wcelować w makrelę, a przynajmniej w witlinka. Iver klepnął mnie po plecach.

– Świetnie! Cholera, naprawdę świetnie! Teraz musisz policzyć do dziesięciu, w tym czasie niech błyska opada. Potem możesz zacząć spokojnie nawijać. I nie musisz liczyć tak cholernie szybko!

Poczułem się dziwnie, jakby wszystko stanęło na głowie. To przecież ja przyszedłem tutaj, żeby być okej wobec Ivera Malta, a tymczasem to on był okej wobec mnie. Chyba mi się to nie podobało. Ciągłe jednak wykonywałem jego polecenia. Ku własnemu zdumieniu musiałem też przyznać, że wyjątkowe było wyczuwanie ruchów błystki w głębi, jej malusieńkich skrętów, które przenosiły się na żyłkę, przechodziły na dłoń i przez ramię przedostawały się do kanału usznego w postaci piosenki, a raczej tonu, który trwał jeszcze długo po tym, jak skończyło się tamto lato.

- Jeszcze raz – powiedział Iver.
- Prom płynie.
- Wszystko jedno, rzucaj!
- I ludzie idą.
- No i co z tego? Olej ich!

Po raz trzeci usłuchałem tego, co mówił Iver. Olałem ich. Olałem to, czy ci, którzy wysiadają z autobusu, i ci, którzy wybierają się do miasta, widzą, że się wygłupiam. Już zacząłem mówić i myśleć jak Iver Malt. Taki łatwy jestem we współzyciu. Zapomniałem nawet, że mój ojciec nie przyplynie tym promem. Zdecydowałem się na większy zamach, trzy obroty, to znaczy trzy i pół, dokładnie w momencie prostowania ręki puściłem żyłkę i od razu wiedziałem, że to był całkiem niezły rzut, a może nawet więcej niż całkiem niezły. Błystka poleciała eleganckim łukiem, nie za wysoko, bo nie chodziło o to, żeby wbiła się w niebo, a żyłka odwijala się z puszki z szatańską prędkością, aż zostało jej mniej niż metr i nawet się przestraszyłem, że wszystko wyleci mi z ręki. Zatrzymała się jednak i nie usłyszałem nawet, jak błystka wpada do wody.

- O cholera! – zawołał Iver. – Niezły jesteś!

Policzyłem nie do dziesięciu, tylko do piętnastu. Potem zacząłem nawijać żyłkę najwolniej, jak potrafiłem. Prom się zbliżał, ale wciąż jeszcze zostało dość czasu. Przez moment gotów byłem się założyć, że znalazłem się w świetle Ivera Malta. Nagle poczułem szarpnięcie i zacząłem zwijać szybciej.

- Zwolnij! – polecił Iver.

Nie zwolniłem, bo czułem teraz, że ciągnę coś ciężkiego, opornego, coś, co miało więcej sił niż ja. Żyłka się napięła i wbiła w palec. To już nie ja ciągnąłem. Byłem ciągnięty.

- Złapałem! – krzyknąłem. – Złapałem!

Iver dotknął palcem żyłki, ale bez podziwu.

- Owszem. Złapałeś dno.

- Dno?

- Pociągnij i popuść, to się poluzuje.

Ci, którzy wybierali się do miasta, otoczyli nas, bo pewnie im się wydawało, że wyciągnę co najmniej delfina. Nie było ich wielu, ale kiedy kilkoro ludzi staje w gromadzie, robi się ich więcej. Chciałem, żeby Iver wziął ode mnie puszkę, ale on tylko stał bosy w tej durnej czapce i udawał, że nie ma z tym nic wspólnego. Zacząłem więc ciągnąć i popuszczać, popuszczać i ciągnąć. Powoli, ale w końcu to coś się poddało. Wciąż pamiętam to cudowne uczucie. Jakbym pozbył się wielkiego ciężaru, a nawet więcej, jakbym znalazł się na swoim miejscu. Ale ciągle coś stawiało opór. Miałem na haczyku coś, co zachowywało się tajemniczo. Idioci przysunęli się bliżej i wychylili nad krawędź pomostu. Czy to ośmiornica? Dostrzegłem w wodzie cień, wcale niemały. Ciągnąłem, jakby chodziło o sprawę życia i śmierci. To był wózek dziecięcy. To było, niech to jasny szlag trafi, zardzewiałe podwozie cholernego wózka dla dzieci, oplątane wodorostami, obrośnięte małżami i oślizgłymi meduzami. Bystry idioci zaczęli się śmiać i klaskać. Jasna cholera, niech to wszyscy diabli. Przedstawienie dobiegło końca. Iver pomógł mi

wyciągnąć zdobycz i odczepił błysk od tylnego kółka.

- Cholernie fajne – stwierdził.
- Cholernie fajne? Co jest cholernie fajne? To gówno?
- Wczoraj wyciągnąłem rower.
- Myślałem, że łowisz ryby.
- Ryby też. Ale staruszkowi wszystko się przyda.

Przykucnął i zaczął usuwać brudy z połowu. W tej samej chwili do brzegu przybił prom. Nie „Prinsen”, lecz „Bunnefjorden”, najgorsza łajba na tych wodach. Wysiadło niewielu ludzi, większość przecież przyplłynęła już wczoraj. Kapitan, mężczyzna w mundurze z przyrządem do liczenia w rękę, stanął przy relingu i pomagał tym, którzy tego potrzebowali. Był na pokładzie wszystkich promów pływających między pirssem B w Oslo a Nesoddlandet. Niektórzy mówili nawet, że widziano go na pokładzie „Prinsen” w tym samym czasie, gdy liczył pasażerów schodzących na ląd z „Oksvald”. Ojca, rzecz jasna, nie było na tym promie. Całkiem o tym zapomniałem. Zapomniałem o własnym kłamstwie, dopóki Iver mi o nim nie przypomniał.

- Twój ojciec jednak nie przyplłynął? – spytał.
- Ojciec? Będzie dopiero w sobotę.

Iver tylko zachichotał i nic więcej nie powiedział. Natychmiast się zawstydzilem. Przejrzałem. Postanowiłem, że kiedy następnym razem będę kłamał, napiszę sobie karteczkę, żebym o tym nie zapomniał. Na samym końcu stoczyła się z trapu Banda Trzech. Nie pamiętam ich imion, nie mają one zresztą teraz żadnego znaczenia. Mogę ich nazwać, jak chcę. Mówiłem już, że nikt się ze mną nie witał? No cóż, to nie jest do końca prawda, ale też nie wszystkie powitania się liczą. Banda Trzech się nie liczyła, przynajmniej w moich oczach. Zawsze kiedy się ze mną witali, coś się za tym kryło. W każdym razie tak sobie wyobrażałem, a to, co sobie wyobrażałem, było równie prawdziwe bez względu na to, czy zgadzało się z prawdą, czy nie. Przynajmniej dla mnie. Oni się witali nie po to, żeby być wobec mnie w porządku. Zawsze o coś im chodziło. W zasadzie uważałem, że większości ludzi, którzy próbowali się ze mną przywitać, o coś chodzi, dlatego nie przejmowałem się tym, że mało kto mnie pozdrawia. Wszędzie, gdzie się obróciłem, dostrzegałem diabelstwo i ataki z zasadzki. Widziałem oznaki złośliwości tam, gdzie inni nie zauważali żadnego zagrożenia. Dlaczego więc nie dostrzegłem tych oznak w Iverze Malcie?

Bandę Trzech tworzyła paczka chłopaków, już licealistów; przyjeżdżali na lato do domków położonych bardziej w głębi półwyspu w stronę Oksva. Od naszego poprzedniego spotkania minął rok. Wtedy błagałem ich, żeby przyjęli mnie do swojej paczki. Teraz za wszelką cenę pragnąłem ich unikać. Miałem nadzieję, że mnie nie zauważą. Zauważyli.

- Cześć, Chaplin!

Nie znoszę, kiedy ktoś nazywa mnie Chaplinem. I nie pytajcie mnie, skąd wzięło się to przezwisko. Postanowiłem zignorować tę niepotrzebną mi bandę, ale mimo wszystko odwróciłem się w ich stronę. Wydawali się jeszcze bardziej buńczuczni niż dawniej i nieśli skrzynkę piwa. To były takie typki z długimi włosami na karku i drobnymi twarzami, w spodniach w kant. Ale za nimi szły dwie dziewczyny. Dobrze wiedziałem, kim jest jedna, to Lisbeth, córka asesora sądowego czy jak to się tam nazywa, w każdym razie jej ojciec był kimś na sali sądowej i sądził mnóstwo ludzi, no i mieli tutaj domek. Ona też się zmieniła. Nie bardzo potrafiłem stwierdzić, dlaczego stała się inna, niemal obca, prawdopodobnie coś w spojrzeniu sprawiało, że jej twarz wydawała się twarda. Uwagę jednak zwróciłem na tę drugą dziewczynę. Bardzo wielką uwagę. Tak wielką, że prawie w ogóle nie zauważyłem Lisbeth. Tej drugiej dziewczyny wcześniej nie widziałem. Już w tej chwili chętnie zobaczyłbym ją znowu.

- Cześć, Chaplin – powtórzył Putte. – Coś taki hardy?

- Cześć – mruknąłem w końcu.
- Bawisz się z tubylcami?
- Łowią ryby.

Zaczęli się z czegoś śmiać, dziewczyny też. Na pewno z puszki, ze mnie, z Ivera Malta i z wózka dla dzieci, z całego tego gówna. Zerknąłem na Ivera. Najwyraźniej się nie przejął. Dalej robił swoje we własnym świecie, w którym nie było już dla mnie miejsca. A mój świat był ciasny jak śpiwór.

- Pójdiesz z nami napić się piwa, Chaplin? Jesteś już dostatecznie duży, co nie?
- I znów śmiech, potrafili się śmiać bez końca.

– Może innym razem.

- Innym razem? Nie wiadomo, czy będzie jakiś inny raz. Przemysł to sobie.

Ruszyli drogą pod górę, każdy już trzymał otwarte piwo. Co by na to powiedział asesor sądowy? Mogłoby się skończyć skazaniem na dożywotnie koszenie trawy. Lisbeth i ta nowa dziewczyna szły z tyłu. Nowa była w zniszczonych džinsach i białej koszulce. Czarne włosy opadały jej na plecy. Miała dość szerokie ramiona. Nie nosiła paska, ale w talii przewiązała się cienką linką. Tuż przed zakrętem zwolniła, uniosła włosy i spięła je gumką, czerwoną, odsłaniając kark, długi, złoty, a światło akurat w tej chwili padło tak, że umożliwiło mi zobaczenie delikatnego puchu pokrywającego jej skórę, jakby pochylonego od podmuchu wiatru. Długo za nią patrzyłem. Nie odwróciła się.

Iver Malt wziął wyciągnięty z wody wrak pod pachę i pokręcił głową.

- Nie rozumiem, dlaczego w ogóle chce ci się gadać z tymi dupkami.

Ulicą, na której mieszkaliśmy, mam na myśli ulicę w mieście, jeździł trolejbus. Przyjeżdżał z Skillebekk, zatrzymywał się przy szpitalu tuż koło nas, kilku pasażerów wypuszczał, kilku zabierał, obliczyłem, że mniej więcej tyle samo za każdym razem, zawracał i jechał z powrotem tą samą drogą. Nie wiedziałem, gdzie jest druga pętla. Nigdy tam nie byłem. Przypuszczam, że osoby mieszkające przy tamtej pętli również nie miały pojęcia, gdzie ja jestem. Trolejbus jeździł na prąd, nie na benzynę, dlatego miał na dachu skośne pałaki, połączone z przewodzącymi prąd kablami rozciągniętymi wzdłuż i w poprzek miasta. Przewód od strony chodnika był naładowany ujemnie, natomiast ten drugi, od strony ulicy, dodatnio, inaczej trolejbus nie ruszyłby z miejsca. A jeśli na jego drodze stanął samochód? Czy taki trolejbus, oplątany i spętany kablami, mógł go ominąć? Owszem, i to nawet o trzy i pół metra. Zdaniem ojca to wystarczało. Ulice są przecież niewiele szersze. A gdyby zamknięto jakiś fragment trasy, na przykład z powodu robót drogowych albo jakiegoś wypadku? Na taką sytuację trolejbus miał przygotowany agregat awaryjny i mógł przejeżdżać krótkie odcinki bez prądu z kabla. To ojciec objaśniał mi tajemnice trolejbusów. Lekceważył opinię tych, którzy narzekali, że sieć przewodów brzydko wygląda, szczególnie w eleganckich dzielnicach. Mamy nie widzieć, jak działa świat? Gorzej chyba, że trolejbus porusza się bardzo cicho, więc łatwo pod niego wpaść.

Ale właściwie nie to mnie zajmowało w kwestii tajemnic trolejbusów, może oprócz wpadania pod nie. Najistotniejsze, że w niektórych miejscach przewody trzymały się na stalowych linach umocowanych do kamienic wzdłuż trasy. Właśnie w takiej kamienicy mieszkaliśmy. W nocy, kiedy nie mogłem zasnąć, wydawało mi się, że słyszę ciche głosy, śmiech, płacz, brzęk wydawanej reszty i milczenie. Długo sądziłem, że to wszystko odzywa się w mojej głowie, dopóki nie zrozumiałem, że te dźwięki oczywiście docierają przez stalowe liny przytwierdzone do ściany tuż za moim oknem. Byłem połączony z ludźmi, o których nic nie wiedziałem, z przejeżdżającymi ulicą pasażerami, z ich chorobami i drobnymi pieniędzmi, tajemnicami i uzdrowieniami. Po odjeździe ostatniego trolejbusu ciągle ich słyszałem, jak echo, które zawisło w powietrzu, jak opóźnione przypomnienie. Ci pasażerowie czegoś ode mnie chcieli. Chcieli, żebym o nich opowiadał.

Obudziła mnie matka.

– Nie masz zamiaru dzisiaj wstać?

– Mam.

– Już po dziewiątej. Źle się czujesz?

– Myślę.

Słońce przedzierało się przez zasłonki i padało na matkę, która stała przy drzwiach, jak zwykle zmartwiona. Światło zdawało się przepływać również przez nią, jakby nie napotykało żadnego oporu, jakby matka w ogóle nie istniała.

– To znaczy, że myślisz przez sen?

– Mniej więcej. A kiedy się myśli przez sen, to się nazywa, że człowiek śni.

Matka podeszła do okna. Wciąż wydawała się daleka, niewyraźna. Czy ona również żyła w swoim świecie? Ile światów istniało? Musiało ich być tyle, ilu ludzi. Nagle ogarnął mnie paskudny humor.

– A co ci się śni?

– Zastrany Księżyc.

– Bardzo cię proszę, Chris, wyrażaj się przyzwoicie.

– Maszt do flagi. Ustęp. Meduzy. Sadzawka z karpami. Trzmielie w rododendronie.

Dalej stała oparta o parapet i pozwalała mi mówić, aż w końcu już nic nie przychodziło

mi do głowy. Oczywiście mogło przyjść dużo więcej, ale to chciałem zatrzymać dla siebie. Mogłem na przykład opowiedzieć o objawieniu, którego doznałem na „Prinsen” w drodze tutaj, kiedy przyszłość otworzyła się przede mną w postaci rzędu drzwi, a przeszłość zamknęła za mną swoje pokoje w symetrii przypominającej fale rozchodzące się wachlarzem od dziobu, tyle że odwrotnie. Ale jak już mówiłem, miałem taką konstrukcję, że moment później wszystko mogłem równie dobrze widzieć w czarnych barwach. Nic we mnie nie było trwałe. Dlatego nie wspominałem o tym matce. Mogłem także powiedzieć, że śnię o zostaniu pisarzem, że to jedyny plan na życie, jaki mam, ale nawet tego nie zdołałem z siebie wydusić. Mogłem powiedzieć, że już jestem pisarzem i teraz śnię o sławie, o uznaniu. Nie powiedziałem bowiem matce również o tym, że wysłałem swój wiersz do „Kvinner og Klær”, „Kobiet i Strojów”, tygodnika, który kupowała w każdy wtorek. Mieli tam szpaltę przeznaczoną na wiersze czytelników, to znaczy czytelniczek. Nie byłem wprawdzie stałym czytelnikiem tego czasopisma, ale czasami je przeglądałem, jeśli przypadkiem wpadło mi w ręce i nie miałem nic innego do roboty ani do przemyślenia. Niektóre wiersze były okropne, co wprawiało mnie w dobry humor. Mojego wiersza na razie jednak jeszcze nie wydrukowali, a wysłałem go już siedem wtorków temu. Nie miałem jednak wątpliwości, że *Międzyczas* – taki tytuł nosił mój wiersz – zasługiwał na Nagrodę Nobla w porównaniu z tymi słodkimi wersami, które były ułożone w słupek i z trudem się rymowały. Nie mam siły cytować tych strofek, które potrafiły brzmieć mniej więcej tak: „Ciesz się każdym dniem ze słońcem na niebie / bo każdy może być ostatni dla ciebie”. Zamierzałem pokazać kobietom i ich strojom, jak wygląda prawdziwy wiersz. Mogłem też powiedzieć, że śnią mi się trolejbusy i że dzień wcześniej widziałem dziewczynę, która zrobiła na mnie spore wrażenie.

Matka się roześmiała.

– Chyba śnią ci się też inne rzeczy, nie tylko rododendrony?

– Owszem. Ciotki. Ale to nazywam koszmarem sennym.

– Nie mów źle o ciotkach, Chris. Żal mi ich, są takie biedne.

Dlaczego zawsze mówiła, że kogoś jej żal? Żal jej było Ivera Malta. A teraz ciotek. Czy żal jej było również mnie? Może wszystkich? Nie chciałem, żeby użalała się nade mną.

Usiadłem na łóżku.

– Dlaczego ci ich żal?

– Bo nie powychodziły za mąż i żyją samotnie.

– Chyba nie trzeba się nad nimi użalać z tego powodu?

Nie odpowiedziała i zamknęła oczy. Może chciała, żebym też ją spytał o to, co jej się śniło? Ale nie potrafiłem. To było po prostu niemożliwe. Oczywiście, bałem się odpowiedzi, przez co ogarniał mnie jeszcze większy strach. Zrozumiałem to już wtedy. Miało to związek z tym, co nazywam jej brakiem dobrowolności. Z tym, że życie, jakie wiodła, było obowiązkiem. Że nie dało się go ominąć. Może w gruncie rzeczy zazdrościła tym zgiętym wpeł, bardzo wymagającym samotnym ciotkom, które nie miały obowiązków, robiły sobie okłady z octu na twarz i przechadzały się z parasolkami przeciwsłonecznymi, jeśli nie pełzły na czworakach po alejkach w ogrodzie i nie wrywały chwastów widocznych jedynie dla nich i dla mrówek. A kiedy się im o tym powiedziało, spytało, dlaczego, na miłość boską, wrywają coś, czego nikt nie widzi, oczywiście oprócz ciotek i mrówek, śmiertelnie się obrażały, porzucały narzędzia ogrodnicze, zamykały się w domu i wcierały jeszcze więcej octu w szare odęte policzki. Uważały, że to dobre dla skóry. Słońce było szkodliwym dla zdrowia przekleństwem, z którego mogli sobie do woli korzystać ludzie zatrudnieni na pensji i chłopcy na posyłki. I niech nikt nie ośmiela się mówić, że to, co robią, niechby nawet zajmowały się drobiazgami, jest niepotrzebne i bezcelowe. Po prostu sobie tego nie życzyły. Czy z tego samego powodu również matka się

złościła, gdy ojciec pytał, czy codzienne odkurzanie jest naprawdę konieczne? „Przecież i tak nie widać różnicy”, dodawał. Nie mógł powiedzieć nic gorszego: nie widać różnicy. Jej życie, cel, duma rozsypywały się pod wpływem tych płynących z dobrego serca słów, a zostawały wyłącznie obowiązek odarty z wszelkiej wspaniałości, brzydota i niechęć. Już lepiej by było, gdyby ojciec napomknął, że naszym zdaniem okna naprawdę zaczynają wyglądać na brudne. Mogłaby wtedy przystąpić do dzieła, z drabinką, ścierką i wodą z mydłem. Błąd można naprawić, z pochwałą trzeba żyć.

Przyszła mi do głowy pewna wstrząsająca myśl, że matka odziedziczyła moje dołki.

– Był Iver z gazetą? – spytałem.

Pokręciła głową.

– Nie mógłbyś jej przynieść? I od razu mógłbyś oddać tę wstrętną puszkę na ryby. Musiałam ją wynieść na werandę. Cuchnie.

– Dlaczego sądzisz, że to puszka Ivera?

– Zaraz ci wyjaśnię, profesorze. Jest na niej jego nazwisko.

Gwałtownie rozsunęła zasłonki, a wtedy prostokąt jeszcze bardziej żółtego światła przemieszanego z zielonymi niespokojnymi cieniami padł na maszynę do pisania, kartkę i stół, obejmując je niczym rama. Matka jakby chciała dotknąć tego światła, które moment wcześniej przepływało przez nią, a teraz ułożyło się na stole, poza nami. Nachyliła się i już opuszczała rękę na klawiaturę.

– Nie ruszaj!

Schowała rękę za plecy i popatrzyła na mnie dość dziwnym wzrokiem, jakby ukrywała coś w tej dłoni, którą cofnęła. Potem się roześmiała.

– Ależ mój drogi, przecież nie chciałam jej zepsuć!

– Kiedy w maszynę jest wkręcona kartka, to znaczy, że jest zajęta.

Matka dalej stała w tej samej pozycji, z ręką za plecami, ale drugą wytarła z czoła kropelki potu. Wyglądało to tak, jakby płakała, a łzy pociekły do góry.

– Dlaczego mnie nikt nie słucha – powiedziała cicho.

To nie było pytanie. Powiedziała to po prostu do siebie, jakby westchnęła słowami. Jej głos wydawał się bardziej odległy niż tajemnicze rozmowy w trolejbusie, które dochodziły do mnie nocą. Zawsze kiedy zaczynała tak mówić, ogarniał mnie niepokój, niepokój i prawie wkurzenie, bo nagle przez moment robiło mi się jej żal, a to była ostatnia rzecz, jakiej sobie życzyłem.

Czy wszystko nie mogło być po prostu w jak najlepszym porządku?

– Nikt? Ktoś cię chyba słucha?

– A ty?

– Ja cię nie słucham? Słucham. Nie słyszysz tego?

– Może ty to słyszysz, ale słuchać nie słuchasz.

– O co ci chodzi?

– Powiedziałam, że masz się trzymać z dala od tego chłopaka.

– Spotkałem go na przystani. Łowiliśmy ryby. I co z tego?

– Co z tego? Wszystko jedno, co powiem, i tak słyszę: „I co z tego?”. Powinam się tak nazywać. Pani I-co-z-tego.

– To jednak nie oddawać mu tej puszkę, skoro mam się trzymać od niego z daleka?

– Nie, masz oddać. Bo inaczej on tu przyjdzie. A tego wolałabym uniknąć.

– Dobrze.

– Na miękko czy na twardo?

– Na twardo.

– Sześć i pół minuty. Zdązysz to załatwić w tym czasie.

Tego lata nie mogłem zrozumieć matki. Najpierw mnie prosi, żebym się przywitał z Iverem Maltem. Potem mówi, że nie jest dobrym towarzyszem, następnie, że jest jej go żal, a na koniec, że mam się trzymać od niego z daleka. Mimo wszystko chce, żebym poszedł do Signalen i oddał mu puszkę. Czy w tym wszystkim chodziło o uprzejmość? Uprzejmość przejawiała się w czynach. To, co mówiliśmy, kiedy nikt nas nie słyszał, nie miało żadnego znaczenia. Ale czyny też potrafią kłamać. Nawet bardziej niż słowa. Różnica polega tylko na tym, że słowo można cofnąć. Czynu nie. Nigdy nie powinienem był przywitać się z Iverem Maltem.

Przy skrzynkach pocztowych spotkałem, niestety, Lisbeth. Ale za to mogłem z niej wycisnąć kilka słów o nowej dziewczynie. Nie byłem jednak zbyt dobry w wyciskaniu. Właściwie w ogóle nie byłem dobry w rozmowie, a gdy przychodziło do zwykłej pogawędki, równie dobrze mogłem wrócić do łóżka. Lisbeth wyglądała na zasną, ale minę miała chytrą. Przez chwilę wydawało mi się, że jest wstawiona, to jednak nie wchodziło w rachubę. Nie było jeszcze dziesiątej. W każdym razie wskazała na puszkę.

– Idziesz na ryby?

– Nie. Po gazetę.

– Rzeczywiście, do tego są potrzebne haczyk i żyłka.

Miałem ochotę spytać ją wyłącznie o to, jak ma na imię jej przyjaciółka i kim jest. Nie przemogłem się. Zabrakło mi odwagi. Słowa nie przechodziły przez usta. Nawet nie docierały do ust. Gdyby to trwało dłużej, mógłbym eksplodować.

– No właśnie. Nie wiesz, że w tym roku „Aftenposten” przynoszą latające ryby?

Lisbeth spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Znów idziesz do tego wariata?

– Do jakiego wariata?

– Do jakiego wariata? Do Ivera Malta, przecież to jasne. Są jacyś inni wariaci w pobliżu?

Mogłem powiedzieć, że z jednym właśnie rozmawia, może zresztą sam rozmawiałem z wariatką, czyli z nią. Była z nas dwójka wariatów, którzy ucięli sobie pogawędkę przy skrzynkach pocztowych, ale jak już wspominałem, nie miałem zbyt ciętego języka.

– W to akurat wątpię – odparłem. – W każdym razie nie tak zwariowani jak Iver Malt.

Lisbeth roześmiała się z zamkniętymi ustami.

– Nic dziwnego. Jego matka jest nazistką, a ojciec pijakiem.

– Podobno. No i mają psa, który nie umie szczekać.

– Pomyłka. Iver ma przyrodniego brata, który nie umie mówić. Niemieckiego bękarta.

– Tego, którego gdzieś oddano?

– Kolejna pomyłka, mądralo. Oni go sprzedali. Matka owinęła go w bibułę do pakowania prezentów i przehandlowała za dwie korony i pięćdziesiąt øre.

Teraz ja się roześmiałem i znienawidziłem za to samego siebie.

– Niezła cena – powiedziałem. – Dwie korony i pięćdziesiąt øre. Ale czy korona w tamtych czasach nie była więcej warta?

– Wybierzesz się dziś z nami do Sandvika?

– Chyba się nie da.

– Nie bądź takim dziwakiem, Chris. Weźmiemy motorówkę Puttego. Kupimy piwo i drożdżówki, będzie fajnie.

– Obiecałem mamie, że pomaluję maszt w ogrodzie.

Lisbeth dość długo mi się przyglądała.

– Wiesz, co mi się wydaje? Że mimo wszystko zamierzasz się jednak zadawać z tym

wariatem.

- Aha, na pewno. Towarzystwo Ivera Malta jest poniżej mojej godności.
- Poniżej twojej godności. Nieźle, Chris. Ale dlaczego nie chcesz się zadawać z nami?
- Może innym razem.
- Słyszałeś, co powiedział Putte. Nigdy nie wiadomo, czy będzie jakiś inny raz.
- Putte musi być bardzo mądry.
- Z twoją nogą się pogorszyło, Chaplin?
- Nie, a co?
- Utykasz. Bardziej niż w zeszłym roku. A może to tylko okres dojrzewania nie chce

minąć?

- Nie mogę utykać, stojąc w miejscu.
- Teraz to ty wykazałeś się wielką mądrością, rybaku. Widziałam, jak szedłeś.
- Zarzuca mnie. To coś zupełnie innego.

Lisbeth wyciągnęła „Aftenposten” ze skrzynki asesora sądowego i odeszła. Zaraz jednak się odwróciła.

- Heidi też się z nami wybiera.
- Heidi? Kto to jest Heidi?
- Kto? Ta, od której nie mogłeś oderwać oczu, głupolu!

Zacząłem z wysiłkiem pokonywać ostatni odcinek do przystani, zawstydzony i podniecony jednocześnie. Trochę było tego za dużo. Za każdym razem, kiedy prawie zapomniałem o swojej diabelskiej stopie, ktoś koniecznie musiał mi o niej przypomnieć. Nie mogli zostawić moich stóp w spokoju? A przynajmniej tej jednej? Takie ważne było mówienie o niej? Moje buty spacerowały same, jeden prosto, a drugi prosto w bok. Czuję, że wkrótce zrobię szpagat. Już teraz cieszyłem się, że kiedyś się zestarzeję i będę mógł zacząć chodzić o lasce. Czy to ta koleżanka, ta nowa dziewczyna, która miała na imię Heidi, chciała, żebym popłynął z nimi do Sandvika? Może Heidi poprosiła Lisbeth, żeby mnie spytała? Czy to możliwe? Nie przywykłem do takich rzeczy. Nie umiałem przebywać wśród ludzi. Nie wiedziałem, co powinienem czuć. Wiedziałem tylko, że obrzuciłem Ivera Malta błotem, obmawiałem go, wyśmiewałem się z niego, a po co? Ponieważ chciałem się przypodobać. Chciałem zadowolić wszystkich, dlatego w końcu zostawałem pomiędzy, w pozycji szpagatu. Cholera, urodziłem się w pozycji szpagatu. Nie należałem do żadnego miejsca. To zresztą nieprawda, że słowa można cofnąć.

Ja i moje buty ruszyliśmy dalej w stronę Signalen. Nie przychodziłem tu codziennie, wręcz przeciwnie – nigdy. Signalen była starą latarnią morską na rogu Oslofjorden i Bunnefjorden. Później tak samo nazwano również zaniedbany cypel, chociaż latarni już się nie używa i tylko sterczy z wody jak zgasła świeczka choinkowa. Przed wojną był tu duży hotel, z orkiestrą, apartamentami i smokingami. Ciotki potrafiły dużo o nim powiedzieć, o czerwonych latarniach zawieszonych między gwiazdzistym niebem a błękitnymi falami, o jazzie, krokach tanecznych i głośnym śmiechu przez całą noc. Same jednak nigdy tam nie były, niech Bóg broni! Później hotel spłonął, przyszła wojna i Niemcy wybudowali na jego miejscu baraki, które nie wiem dlaczego zostały, mimo że był już pokój, a Niemcy musieli się poddać. Czy nie powinno się usunąć wszystkich śladów po *Donner und Blitzen*? Pozostawienie baraków miało jakiś związek z brakiem mieszkań, musieliśmy przełknąć gorzką pigułkę. Nie potrafiliśmy w porę zbudować dostatecznej liczby mieszkań, właśnie dlatego mój ojciec przyjechał aż z Danii, nie tylko po to, żeby ożenić się z moją matką, ale też by pomóc narodowi norweskiemu zaprojektować jak najwięcej domów. Wszystkie ręce na pokład. Nic dziwnego, że jeszcze nie miał urlopu. Właśnie w jednym z tych baraków, jedynym, który pozostał, mieszkali Iver Malt

i jego rodzice.

Dreptałem wąską ścieżką wysypaną szkłem i kapslami. Po obu jej stronach rosły gęste pokrzywy, a drzewa pochylały się nade mną, jakbym był w środku dżungli. Nawet pachniało tu inaczej, mieszkanką wodorostów i benzyny. Innymi słowy, znalazłem się na obcym gruncie. Byłem odkrywcą podróżującym po mrocznym sercu Nesoddlandet. Kiedy odepchnąłem ostatnie omszone gałęzie zwisające z drzew jak liny, odkryłem Ivera Malta. Siedział na zdezelowanym krzeselku turystycznym pod tym, co było jego domem, pod barakiem, pod niemieckim barakiem, pod wrakiem domu, w którego dwóch oknach wisiały jednak ładne, porządne zasłonki. Iver Malt z nogami opartymi o pustą skrzynkę czytał książkę. Nie widziałem jaką. W każdym razie grubą. Działka wokół niego wyglądała jak plac handlarza złomem, walały się tu dekle do kół, części karoserii i silników samochodowych, miedziane rurki, Kuchenki, blacha falista, akumulatory i kierownice rowerów. Gdzieś w pobliżu ktoś walił młotkiem w metal, w żelazo, stal czy co to, do cholery, było, z pewnością to ten jego ojciec, który zapił i nie mógł iść do pracy. Iver najwyraźniej mnie nie zauważył. Podeszwy stóp miał zupełnie czarne. Pewnie się takie robią od chodzenia boso po odłamkach szkła, gwoździach i kapslach od piwa. Wydawał się pochłonięty, a raczej zatracony w tym, co czytał. Uderzenia młotka przenikały do szpiku kości. Nigdzie nie zauważyłem psa, który nie umie czekać, tylko dwie zaniedbane brązowe kury przechadzające się wśród śmieci i dziobiące ubitą jałową ziemię, jakby dało się tam znaleźć coś do jedzenia. Nagle na pieńku do rąbania drewna tuż obok mnie zobaczyłem strzelbę. Nie mam pojęcia, co we mnie wstąpiło. Może dlatego, że nigdy wcześniej nie trzymałem w ręku broni. Może dlatego, że tak rzadko potrafię się powstrzymać, kiedy już coś wpadnie mi do głowy. Nie wykluczam też niedorozwoju emocjonalnego albo najzwyczajniejszej w świecie głupoty. W każdym razie odstawiłem puszkę, wziąłem strzelbę, przyłożyłem ją do ramienia i wycelowałem w Ivera Malta. Miałem go na muszce. Strzelba okazała się cięższa, niż się spodziewałem. Kolba była gładka i lepka jednocześnie. Cyngiel łaskotał w palec. Iver Malt nagle podniósł głowę, jakby dopiero teraz poczuł, co się dzieje. Opuścił książkę na kolana i podniósł ręce do góry. Przez moment patrzył z niedowierzaniem i przerażeniem. W tej samej chwili poczułem czyjaś rękę na ramieniu, ktoś ciężko dyszał mi w kark.

– Oddaj mi strzelbę, chłopcze. Tylko spokojnie.

Opuściłem lufę i natychmiast zostałem odwrócony. To był ojciec Ivera. Trzeźwy, w każdym razie nie pijany. Twarz miał łagodną, mroczną i łagodną. Wyjął mi broń z rąk, cały czas patrząc mi w oczy. Iver dalej siedział na turystycznym krzeselku. Nie miałem pojęcia, co dalej będzie.

– Teraz uważaj – powiedział ojciec Ivera.

Wycelował w kurę i strzelił. Huknęło tak mocno, że na kilka minut ogłuchłem. Kura przestała być kurą, zmieniła się w kupkę zakrwawionych piór, rozrzuconych w promieniu dwóch kilometrów. Dopiero teraz ogarnął mnie wielki strach. Usta zrobiły się suche jak gumka do ścierania, łyzy wyschły, zmieniając się w piasek pod powiekami. Serce waliło jak zwariowany metronom. Jeszcze nigdy tak się nie bałem.

– Nie wiedziałem, że jest naładowana – mruknąłem.

– Ani nie wiedziałeś, że jest nienaładowana.

– No tak.

– Strzelba zawsze jest naładowana, dopóki nie udowodni się, że jest inaczej.

Ojciec Ivera przełamał broń, odszedł i zniknął za barakiem. Wkrótce znów rozległ się odgłos metalu, głośny mroczny ton. Odwróciłem się do Ivera, który dalej siedział na swoim krzeselku, szeroko się uśmiechając.

– Cześć, Chaplin.

- Cholera. Jasna cholera!
 - Przyszedłeś mnie zastrzelić?
- Ledwie mogłem wyraźnie mówić.
- Oddać ci puszkę.
 - Dlaczego?
 - Zapomniałeś jej wczoraj.
 - Jest twoja.
 - Moja? Dlaczego?
 - Bo dostałeś ją ode mnie.
 - Tylko pożyczyłem.
 - Dostałeś. Ja ci ją dałem. Nie pamiętasz?
 - Jest na niej napisane twoje nazwisko.
 - I co z tego? Możesz zeszkrobać.
 - A jeśli jej nie chcę?
- Iver wzruszył ramionami.

– To możesz ją wyrzucić. Zrobisz, co zechcesz. Jest twoja.

Ale się wkurzyłem! Nareszcie mogłem pozwolić na wypuszczenie z siebie strachu. Wystarczyło otworzyć gębę. Cudownie, że był Iver Malt, miałem się na kim wyładować. Uświadomiłem sobie, że jest chyba jedyną osobą, która do tej pory nie wspomniała o mojej stopie, co wkurzyło mnie jeszcze bardziej, bo mógł przynajmniej o nią spytać.

- Właściwie dlaczego dajesz mi tę cholerną puszkę?
- Bo dostałem od ciebie wózek.
- Wcale nie.
- To był twój rzut, dlatego wózek był twój. Dałeś mi go i teraz jest mój. To proste.
- Myślisz, że chcę tę śmierdzącą puszkę, co? I nie mów do mnie Chaplin!

Iver zwilżył śliną palce, przerzucił kartkę w książce, a na czole ukazała mu się wielka zmarszczka. Drażnił mnie. Cholernie mnie drażnił. Całe ciało mnie świerbiło. Plecy pokryły się papierem ściernym. Szkoda, że nie zdążyłem go zastrzelić. Nagle zaczął się śmiać. Siedział, kołysząc się w przód i w tył na rozpadającym się krzeselku turystycznym, i śmiał się długo i serdecznie. Czyżby ta książka, którą czytał, była tak niesamowicie zabawna, że nie mógł się powstrzymać?

- Ale głupio wyglądałeś, kiedy huknęło! – powiedział.
- Ty też wyglądałeś głupio. Żebyś wiedział.
- Ale na pewno nie tak głupio jak ty, to niemożliwe.
- A ty podniosłeś ręce do góry. Naprawdę myślałeś, że strzelę?
- A dlaczego nie?
- Co czytasz?

Zeszło ze mnie powietrze. Czuję się ciężki, wypompowany i miałem odrętwiałą głowę. Iver nie odpowiedział.

- Co czytasz? – powtórzyłem.

I tym razem się nie odezwał. Już mi się dłużej nie chciało tak stać, zabrałem puszkę i odszedłem. Nie zamierzałem tu wracać. Gałęzie za mną opadały na swoje miejsca. Mogłem wyrzucić tę puszkę gdziekolwiek, zwłaszcza w takim miejscu, w którym Iver Malt by jej nie znalazł, bo inaczej mógł mi ją podarować jeszcze raz. Kiedy znów dotarłem do przystani, zobaczyłem białą motorówkę prawie na środku fiordu. Wydało mi się, że ktoś z niej do mnie macha. Może ta koleżanka, o której mówiła Lisbeth, jak ona się nazywała, Heidi, zdaje się, ale słońce świeciło mi prosto w oczy, więc liczyłem się z tym, że się mylę. Zabrałem „Aftenposten”

ze skrzynki pocztowej i poszedłem do Kleiva. Jajko już dawno ugotowało się na śmierć. Było po śniadaniu. Niestety, matka miała bardzo eleganckiego gościa, panią Gulliksen, wdowę, gadułę, stałą mieszkankę cypla, która słyszała i widziała wszystko, co się działo od Sandvika na zachodzie po Oksvała na wschodzie i od Signalen na północy po Ildjernet na południu. Jej mąż był pilotem portowym i umarł tej samej jesieni co król Haakon, ale to już koniec porównań. Którejś nocy źle popilotował w drodze z przystani do domu. Spadł ze zbocza przy zakręcie, tam gdzie rosną czereśnie. Nikt nie mógł pojąć, w jaki sposób zdołał przelecieć przez płot, policja też przez pewien czas uważała jego zgon za podejrzały, ale niczego nie wykryła i umorzyła sprawę. Jeśli w ogóle można mówić o jakiegokolwiek sprawie, oprócz tego, że była to tragiczna śmierć. Zagadki nie zdołała rozwiązać nawet pani Detektyw Gulliksen. Ta pani widziała naprawdę dużo, tylko własnej osoby nie dostrzegała. Dla mnie jednak cała sprawa była jasna. Pilot po prostu nie miał siły wrócić do domu, do swojej żony, i wybrał drogę na skrót do nieba, ewentualnie do piekła, w zależności od tego, jak się na to spojrzy. To była, zdaje się, ostatnia kryminalna sprawa w Nesodden. Od tamtej pory lensman miał niewiele do roboty, z wyjątkiem dwóch przypadków jazdy samochodem po pijaku i czterech nielegalnie zastawionych pułapek na homary. Chyba że uważało się panią Jasnovidzącą Gulliksen za wielką sprawę samą w sobie. Siedziała teraz z moją matką na werandzie i popijała herbatę. Schowałem puszkę pod rododendronem, gazetę położyłem na progu, ale niestety, nie zdołałem się przemknąć niezauważenie obok tych dwóch pań, z których jedna była moją matką. Musiałem grzecznie się przywitać i wytrzymać tę samą idiotyczną rozmowę, która powtarzała się każdego lata.

– No proszę, kogo ja widzę? Prawie cię nie poznałam.

Oczywiście mógłbym powiedzieć, że też jej prawie nie poznałem, że ma bardziej tłustą gębę niż kiedykolwiek i gdzie, na miłość boską, podziła się jej szyja, może powinienem pomóc jej poszukać?

– Aha. Dzień dobry, pani Gulliksen.

– Urosłeś.

– Mam nadzieję.

– Tak, tak. Ależ ten czas leci.

– Rzeczywiście. Teraz leciał cały rok.

– Jak tam z twoją nogą?

– Też jej jakoś leci.

Dalsza część rozmowy, niestety, się nie powtórzyła. Rozmowa wykonała nagły zwrot. Nie znoszę takich zwrotów. A jeżeli już, to sam muszę być ich autorem. Tym razem za zwrot odpowiadała pani Natrętna Gulliksen.

– No i słyszę, że zostałeś poetą.

– To akurat lekka przesada.

– Zawsze wiedziałam, że masz w sobie coś wyjątkowego.

Mógłbym na przykład powiedzieć pani Wścibskiej Gulliksen, co w niej jest wyjątkowego, a mianowicie że nie widać u niej różnicy między tyłem a przodem, bo ma oczy również z tyłu głowy, dlatego musi zawsze używać dwóch par okularów.

– Możliwe. Ale czy nie każdy człowiek jest trochę wyjątkowy?

– Powiedz, o czym piszesz wiersze.

– O większości spraw. O różnych rzeczach. Mniej więcej. Niedużo.

– Pewnie piszesz też o Księżycu? Wszyscy się teraz zajmują tą gomółką żółtego sera!

Pani Wdowa Po Pilocie Niech Ją Diabli Porwą Gulliksen najwyraźniej sądziła, że powiedziała coś zabawnego i zasłużyła na śmiech. Roześmiała się. Powinienem był przynieść strzelbę od Ivera Malta i skończyć z babskiem. Tymczasem stałem tylko, zaciskając ręce za

plecami, zakłopotany, uprzejmy i bliski utraty rozumu. Mógłbym zresztą za jednym zamachem skończyć również z matką.

– To chyba nieuniknione. Mam na myśli Księżyc.

– Ale od czasu do czasu powinienesz też wychodzić na słońce, a nie tylko pisać wiersze. Dziewczyny lubią opalonych chłopców, no wiesz, a nie takich, którzy tylko siedzą w domu z nosem na kwintę. Jesteś biały jak mleko, chłopcze.

– Aha. No tak.

– Napijesz się z nami herbaty? – spytała matka.

– Nie, nie, serdecznie dziękuję.

Wdowa Maruda Gulliksen nachyliła się nad stołem i szepnęła do matki:

– Na pewno pójdzie pisać wiersz. Może ma przyptyw natchnienia?

Poszedłem na górę do swojego pokoju, umyłem ręce, rzuciłem mydłem o ścianę, przewróciłem krzesło, rozsypałem puste kartki po podłodze i podeptałem je. Niczego nie miałem tylko dla siebie. Musiałem mieć coś dla siebie, bo inaczej się dusiłem. Musiałem mieć tylne drzwi, którymi mógłbym się wymknąć, wyjście awaryjne, gdyby zaczęło mi się palić pod stopami. Miałem pisanie. Nikt nie mógł tego zbrukać, niech się strzeże ten, kto to robi. Posprzątałem i usiadłem. Teraz albo nigdy. Najczęstsze było nigdy i już samo to słowo przerażało mnie do szaleństwa. Nie istniało żadne większe słowo. Można było w nim zniknąć, przepaść na dobre. W „nigdy” można się było zapaść i już tam zostać. „Nigdy” oznaczało resztę życia i było nieznośne. Bardzo długo miałem nadzieję, że jednak będzie „teraz”. Stale miałem nadzieję, że to będzie teraz, a nie nigdy. Było jednak za późno. Nie mogłem ruszyć z miejsca. Księżyc tkwił nieruchomo na kartce, która odchyliła się do tyłu i ziewała, jakby śmiertelnie się nudziła i chciała sobie ze mnie zadrwić. W uszach wciąż miałem huk wystrzału. Gdy przymykałem oko, ciągle widziałem Ivera Malta na muszce, moje oko zmieniło się w muszkę. Nie mogłem ruszyć z miejsca, nie mogłem, nie mogłem. Byłem bliski płaczu. Zamiast tego ułożyłem nową rozmowę wszystkich tkwiących we mnie głosów, która powinna wyglądać mniej więcej tak:

„– No proszę, kogo ja widzę. Prawie cię nie poznałam. – Ja pani też. – Urosłeś. – A pani zmaląła. I to bardzo. Kurczy się pani. Zauważyła to pani? Że się kurczy? Niedługo zupełnie pani zniknie. – Tak, tak, ależ ten czas leci. – On ucieka od pani, pani Bez Pilota Gulliksen. – Jak tam z twoją nogą? – Zaraz pani powiem. Kiedy tylko pani się odwróci, moja noga kopnie panią w ten niesamowicie wielki tyłek i uczyni to z radością. – No i słyszę też, że zostałeś poetą. – Mam pani przynieść trzmiela albo dwa, żeby mogła je pani wpuścić sobie do herbaty? Trzmielie w tym roku są bardzo dobre. Mam nadzieję, że przy okazji powoli się pani udusi. – Zawsze wiedziałam, że masz w sobie coś wyjątkowego”.

W tym momencie powinienem przerwać pani Jędzy Gulliksen, nachylić się, pokazać jej wierzch mojej głowy i obie skronie.

„– Widzi pani te dołki? Proszę się dobrze przyjrzeć, to właśnie one są wyjątkowe. Widzi pani, jakie głębokie? Przy dobrej pogodzie mogłaby pani zajrzeć aż do mózgu. – Powiedz, o czym piszesz wiersze? – O cipkach. – Pewnie piszesz też o Księżycu? Wszyscy się teraz zajmują tą gomółką żółtego sera! – Ależ pani zabawna, pani Atak Śmiechu Gulliksen, niewiarygodnie zabawna! Zaśmiejemy się razem na śmierć? No nie, już dłużej chyba nie utrzymam się na nogach. Żółty ser! Ależ pani potrafi powiedzieć! – Ale od czasu do czasu powinienesz też wychodzić na słońce, a nie tylko pisać wiersze. Dziewczyny lubią opalonych chłopców, no wiesz, a nie takich, którzy tylko siedzą w domu z nosem na kwintę. Jesteś biały jak mleko, chłopcze. – A pani wygląda jak jeden wielki pieprzyk. – Napijesz się z nami herbaty? – To absolutnie ostatnia rzecz, na jaką miałbym ochotę. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym

pragnąć czegoś mniej niż picia z wami herbaty. – Na pewno pójdzie pisać wiersz. Może ma przyływ natchnienia. – Tak. Jestem natchniony do wymiotów. I z uwagi na was idę do siebie i tam się wyrzynam”.

Taka twórczość otwierała pewne możliwości. Mogłem rzucić świat innych na kolana, a wszystko obrócić na swoją korzyść. Ale jedynym słowami widniejącymi na kartce wciąż pozostawał tytuł: *Zachód Księżyca*. Wszystko, co w nas, jest niewidoczne. Dlatego nie istnieje. Znów spadałem. Cały ja. Na szczycie i na dnie w tej samej chwili. Ktoś zapukał do drzwi. Matka. Nie odwróciłem się.

– Siedzisz w domu? W taką pogodę?

– Najwyraźniej.

– Nie idziesz się kąpać?

– Nie widzisz, że pracuję? Ślepa jesteś?

Stała w milczeniu. Dostrzegałem jej słabe odbicie w szybie, niewyraźną postać, która jakby wychodziła z siebie i wchodziła z powrotem. W każdym razie nie miałem zamiaru odezwać się pierwszy.

– Długo zabawiłeś.

– Musiałem czekać na gazetę.

– Aha. Mogę ci ugotować nowe jajko.

– To babsko już sobie poszło?

– Co ty mówisz?!

Postarałem się wypowiedzieć słowa jak najwyraźniej. Matka widocznie źle słyszała. To przypadłość tej gałęzi rodziny, na której czubku sam siedziałem.

– Czy, miła, przecinek, pani, przecinek, Gulliksen już poszła?

– Co się z tobą dzieje?

– Nic. Dlaczego pytasz? Co się ma ze mną dziać?

– Tak to wygląda. Coś się wydarzyło?

– Wydarzyło? A czy w Nesodden coś się wydarza? Nic mi o tym nie wiadomo.

– Jesteś dzisiaj nieznośny, Chris.

– A czy na pewno to nie ty jesteś nieznośna?

– Dlaczego nie oddałeś tej puszki?

– Bo Ivera Malta nie było w domu.

– Mogłeś ją zostawić.

– Mogłem, ale nie zostawiłem.

– Co ja złego zrobiłam, Chris?

Odwróciłem się do niej. Przyniosła moje kąpielówki.

– Dlaczego powiedziałaś tej krowie, że piszę?

– Chris! Nie mów tak! Co w ciebie wstąpiło?

– Dlaczego to zrobiłaś? Dlaczego powiedziałaś pani Gulliksen, że piszę?

– Ależ mój drogi, jest w tym coś złego?

– Owszem, jest. Chcesz jeszcze zamieścić ogłoszenie w „Aftenposten”?

Widziałem, że jest nieszczęśliwa. Odłożyła ręcznik i kąpielówki na łóżko.

– Nie wiedziałam, że to tajemnica, Chris.

– Właśnie, tajemnica. Mam nadzieję, że rozumiesz.

– Po prostu jestem z ciebie dumna.

Zamknęła drzwi powoli, bezszelestnie. Nie ruszyłem się z miejsca. Jest ze mnie dumna? Tak w każdym razie powiedziała, a rzadko mówiła coś, czego naprawdę nie myślała, chyba że zmuszała ją do tego czysta uprzejmość. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie mogłem jednak

dłużej tak siedzieć i z powodu wyrzutów sumienia nie napisać ani słowa. Wziąłem kąpielówki i poszedłem na plażę Hornstranda, gdzie właściwie wcale nie było plaży, tylko gładkie, wypolerowane przez morze skały. Wszędzie leżeli rozciągnięci w słońcu ludzie i brakowało wolnego miejsca. Na szczęście nikogo nie znałem i nikt nie znał mnie. Motorówki też nie widziałem, jedynie leniwe żaglówki i kilka łodzi wiosłowych. Nagle na słońce nasunął się cień i wchłonął całe światło. Niedługo potem zaczęło padać. Ludzie złapali ubrania, spakowali szybko swoje rzeczy i uciekli. Nie mogłem tego zrozumieć. Najpierw się kąpią, ale kiedy woda leci z góry, wpadają w panikę. Wkrótce wszystkie skały były wolne. Ucieszyłem się. Lubiłem deszcz, zwłaszcza krople uderzające w fiord, który nagle nieruchomieje jak posłuszny pies. Takie obrazy tworzyłem. Albo same się pojawiały. Nie musiałem nic robić. Wszystko, co widziałem, zmieniało się w coś innego. Jaki związek z fiordem miał posłuszny pies? Żaden. Właśnie o to chodziło. Tworzyłem własny porządek, własny najlepszy porządek, w którym mogłem odnaleźć spokój. Przebrałem się, poszedłem na trampolinę i tam się położyłem. Cudowny deszcz. Cudowny cień w deszczu. Przytulny chłód. Mogłoby być tak pięknie. Mogłoby być w najlepszym porządku. Byłem jednak zbyt wzburzony. Nie potrafiłem odzyskać spokoju. A tego właśnie potrzebowałem. Pamiętam – nie tak, jakby to było wczoraj, ale jakby trwało cały czas – gruzełkową wykładzinę, którą była pokryta trampolina, jej szorstkość pod plecami. Wciąż potrafię budzić się nocą i myśleć, że leżę na trampolinie. Wciąż widzę wzory odcisnięte na skórze, kiedy stoję odwrócony plecami do lustra i szpieguję samego siebie. Te wzory przypominają mi gofry, które też nie mają żadnego związku ze sprawą, to znaczy z trampoliną, bo wykładzina i gofry to nie są pierwsze skojarzenia, które się nasuwają. Ale ze mną właśnie tak jest. Regularnie przetacza się przeze mnie lawina obrazów i dają się jej porwać. W końcu deszcz przeszedł, pozostawiając po sobie blade światło, od którego rozboleła mnie głowa. Musiałem kucnąć i osłonić oczy. Trwało to dobrą chwilę. Kiedy znów zacząłem widzieć wyraźnie, dostrzegłem motorówkę okrążającą Signalen. Banda Trzech wygłupiała się jak zawsze. Stali na ławeczkach w pasach do pływania, ale korki w przegrodach zastąpili butelkami po piwie. Lisbeth leżała przewieszona przez burtę jak martwa foka w bikini. Chyba wymiotowała. Ale przecież morze nie było aż tak niespokojne. Więc raczej przez wszystkie te fale na pokładzie. Dziewczyna o imieniu Heidi siedziała przy sterze. Podobał mi się sposób, w jaki go trzymała. Mnie na szczęście nie zauważyli. Przebrałem się i wróciłem do domu. Matka siedziała na werandzie i czytała gazetę. Z wielkiej markizy kapało. Nagle matka wydała mi się taka samotna, taka opuszczona. Jakich wiadomości szukała? Żal mi się jej zrobiło. To nie było dobre. Nikt nie powinien się użalać nad własną matką. Czuję się winny. Usiadłem przy niej.

– Jest tam coś? – spytałem.

– Tylko to co zwykle. Czy to nie dziwne, że latem jakby nic się nie dzieje?

– Nie piszą nic o Księżycu?

– Tylko że odliczają.

Spojrzała na mnie ponad gazetą i uśmiechnęła się niepewnie. Nie chciałem, żeby się tak uśmiechała.

– To prawie tak jak twój wiersz – dodała. – To odliczanie.

Kiwnąłem głową, chciałem się z nią pogodzić.

– Mogę ci zresztą pożyczyć.

– Księżyc? – Roześmiała się, odkładając gazetę.

– Maszynę do pisania.

– Kiedy będzie wolna, to masz na myśli?

– Mniej więcej. Na ogół bywa wolna.

– Nie udaje ci się nic napisać?

- Na to wygląda.
 - Iloma palcami piszesz?
 - Dwoma.
 - Dość wolno idzie, prawda?
 - I co z tego?
 - Nie chciałbyś pisać szybciej?
- Musiąłem okazać wyniosłość.
- To raczej nie zależy od szybkości. Od czasu do czasu trzeba też trochę myśleć, prawda?
 - Albo śnić.

Wykradłem się z domu tuż po północy. Niebo posypało fiord cukrem pudrem, księżyc zamieszał w nim żółtą łyżeczką. Umówiliśmy się na spotkanie przy domkach kąpielowych, tam gdzie cumowała motorówka. Biegłem przez dokładnie wyregulowaną, chłodną ciemność. Byłem niezwyknięty. Heidi już przyszła. Czekwała na mnie. Mieliśmy dla siebie całą noc. Pomogłem jej wsiąść do łódki, odwiązałem cumę, uruchomiłem silnik i usiadłem przy sterze. Opłynęliśmy Signalen, gdzie mrugnęła do nas latarnia, martwa latarnia, i gdzie nie stał Iver Malt i nie obserwował nas przez lornetkę, którą mu dałem. Nie chcieliśmy nikogo budzić. Poruszaliśmy się cicho jak maszyna do szycia, prująca i zamykająca szwy w czarnej wodzie. Wkrótce widać już było Ildjernet, Steilene, cieśninę Drøbak i latarnię morską Færder. Z nieba wciąż sypał się na fiord cukier puder, a księżyc mieszał w głębinie. Heidi usiadła obok mnie i nakryła dłonią moją rękę na sterze, w ten sposób mogliśmy sterować oboje, płynąć tam, gdzie oboje chcieliśmy. Przygotowałem wszystko, co powiem, a następnie wszystko, co zrobię. Jeśli nie teraz, to nigdy. Byłem pewien swego. Tak pewien nie byłem od dawna. Nachyliłem się do jej ramienia. Dobry początek. Byłem niezwyknięty. Potem zainteresowały mnie jej plecy. Plecy są niedoceniane. Plecy są źle wykorzystywane. Plecy to najlepsze, co mamy. Pogładziłem palcami rytmiczne wypukłości kręgosłupa. Pozwoliła mi na to. Zgodziła się, żebym nie przerywał, jedną rękę trzymałem na sterze, a zarazem w jej dłoni, druga odbywała wielką podróż po jej skórze, wciąż przez ubranie, wciąż tymi niepewnymi, łatwymi do przewidzenia ruchami, które miały mnie zaprowadzić głębiej. Księżyc mieszał wodę. Minał nas statek towarowy, żelazo w wodzie, dwa okna tuż nad powierzchnią przypominały białe studnie opadające ku zachodowi, początkowo sądziłem, że potrząsają nami po prostu fale kilwateru tego ciężkiego nocnego frachtowca, ale to się nie kończyło, przeciwnie, przybierało na sile i stawało się coraz straszniejsze. Wiatr i woda szarpały łodzią, staliśmy w miejscu wśród grzywaczy, w spienionej wodzie, aż w końcu wszystko ucichło, powoli, ale zdecydowanie, jak taniec, który zamiera w kolejnych ruchach, aż do odprężenia ostatniego mięśnia, będącego na samym wierzchu twoich myśli i na samym końcu twoich zapisków, a jednocześnie jakaś inna siła przejęła władzę, bezdźwięczna energia zakręciła nami w kółko, najpierw powoli, uwodzicielsko, jak w przychylnym nam cyrku, w kurzu, w wodzie, tak pomyślałem, tyle zdążyłem pomyśleć, bo to myśli mnie prowadzą, prowadziły mnie już wtedy. Heidi straciła równowagę i upadła na dno łódki, mnie wyszarpnęło ster z ręki, położyłem się na niej i zacząłem się wznosić, nigdy tak się nie bałem i nigdy nie byłem szczęśliwszy. „Umrzemy”, powiedziała Heidi. Wtedy oślepiły nas reflektory, nadchodził ratunek – ratunek, a zarazem koniec. Z drugiej strony zawołała matka: „Uwaga, uwaga! Ciotki płyną!”. Kiedy sen pozostawił mnie na arenie, wśród oklasków i trocin, pomyślałem przez moment: to jest rzeczywiste. To jest równie rzeczywiste. Czujesz się oszukany? Zawiedziony? Mogło tak być. Sny są kontynuacją mnie. Moje sny tak się zaczynają.

Uwaga, uwaga! Ciotki płyną!

Stałem na przystani i patrzyłem, jak do brzegu przybija „Prinsen”, ten tak zwany tatusiowy prom, który przywoził słomianych wdowców na letnisko, gdzie przez krótki czas mieli cieszyć się latem wespół z rodzinami, zanim w niedzielę wieczorem wyruszą w drogę powrotną i znów zajmą swoje miejsca w biurach, przeciwko czemu z całą pewnością nic nie mieli. Byli w szarych spodniach, których kant się roztopił, i w białych koszulach z wielkimi jak koła od traktora plamami potu pod pachami, a twarze już mieli błyszczące i czerwone. Przypominali klaunów, ci poważni mężczyźni przypominali klaunów w cyrku lata. Prawdopodobnie, a właściwie niemal na pewno, wypili niejedno piwo w restauracji Skansen, żeby nabrać odwagi przed wyjazdem, a przede wszystkim wymyślić chytre wyjaśnienia i kłamstwa, bo słomiani wdowcy zawsze mają o czym kłamać, między innymi o tym, że przed wyjazdem nie pili piwa w Skansen. Była zatem sobota, a wśród tych komicznych panów znajdowały się Ciotki, konkretnie cztery, i w tę sobotę były na pokładzie jedynymi kobietami. Stały zbite w gromadkę, trzymając zataczających się mężczyzn na odpowiedni dystans za pomocą swoich lasek, mimo że wątpiłem, by którykolwiek z nich dobrowolnie się na nie rzucił. Nagle znikąd wyłonił się Iver Malt, podszedł do mnie z rękami na plecach, bez żadnego sprzętu rybackiego, bosy jak zawsze. Poczułem się nieswojo.

– Czekasz na ojca? – spytał.

– Na niego też. Nie łowisz?

– Mam wystarczająco dużo ryb.

– Wystarczająco dużo? Co to znaczy: wystarczająco dużo ryb?

– Wystarczająco dużo ryb ma się wtedy, kiedy jest ich dość do jedzenia. Myślisz, że łowię dla zabawy?

– A zardzewiałe wózki i stare rowery? Kiedy masz ich dość?

– Kiedy ojciec ma ich dość.

– A kiedy on ma dość?

– Rzadko.

Znów spojrzałem na prom, ale nigdzie nie dostrzegłem ojca. Zwykle machał do mnie z pokładu. Ciotki natomiast nietrudno było zauważyć. Cisnęły się do trapu, w zamieszaniu ktoś mógł stracić życie, zważywszy na wiek Ciołek i zawartość alkoholu we krwi zataczających się pingwinów, gdyby Kapitan nie wkroczył do akcji i władczyimi gestami nie ustawił pasażerów w takim porządku, jakiego żądał.

– Twój ojciec jest na mnie zły? – spytałem.

Iver tylko wzruszył ramionami.

– Ojciec nie złości się za długo, kiedy pije.

Miał ze sobą książkę, nad którą siedział wtedy na krzeselku turystycznym. To była powieść Hermana Melville’a *Moby Dick*. Podał mi ją. Ważyła osiem kilo. Poczułem się jeszcze bardziej nieswojo, bo miałem wrażenie, że za każdym razem, kiedy Iver Malt coś mi daje, jestem mu coraz więcej winien.

– Co mam z nią zrobić?

– Przeczytać, durniu. A co innego?

– Mam wystarczająco dużo innych książek do czytania.

Iver Malt zachichotał.

– A kiedy masz dość do czytania?

– Kiedy nie mam czasu na więcej.

- No to możesz ją dać komuś innemu.
 - A ty nie możesz?
 - Jasne, że mogę, ale teraz dałem ją tobie.
 - A jeśli jej nie chcę?
 - To twój problem.
 - Mój problem?
 - Powiedz mi tylko, jak się kończy. Kto wygra.
 - Wygra?
 - Tak. Kto wygra. W porządku?
 - Sam nie możesz przeczytać?
- Iverowi pociemniały sińce pod oczami.
- Nie chce mi się.

Zawrócił gwałtownie i znów zniknął na terenie Signalen. Poczułem się nędzny i niewdzięczny. Wkrótce jednak miałem inne zmartwienie, niebędące niestety żadną pociechą. Ciotki przez duże C wreszcie, całe i zdrowe, zeszyły na ląd ze swoim wielkim, niepotrzebnym bagażem i obstały mnie gromadą, mówiąc jedna przez drugą. Przywiozły złe wiadomości. Tyle już rozumiałem. Ciotki były jak psy na złe wiadomości, szczególnie jeśli to one mogły je przekazać. Miało się wrażenie, że właśnie to nadaje ich życiu sens. Bo koniec końców to Ciotek było najbardziej żal. Złe wieści były dla nich niczym powiew świeżości.

- Twój ojciec złamał nogę!

Pobiegłem, ile miałem sił, do matki, podczas gdy Ciotki czekały na przystani. Biegłem tak szybko, że prawie zapomniałem o krzywej stopie. Teraz to ja przekazywałem złe wieści dalej. Ojciec złamał nogę! Ojciec złamał nogę! Czy nie byłem równie przejęty jak Ciotki, jakbym się bał, że ktoś mnie uprzedzi? Obwieszczałem to krzykiem, jeszcze zanim otworzyłem furtkę. Ojciec złamał nogę! Ojciec złamał nogę! Matka dawno zdążyła mnie usłyszeć i szła mi na spotkanie, prawdopodobnie wdowa Szpieg Gulliksen wcześniej uchwyciła złą wieść i przekazała ją matce za pomocą sygnałów dymnych. O Boże! Jak to się stało? Stało się tak – jak się z czasem dowiedziałem, przynajmniej w takim stopniu, w jakim dowiadywałem się czegokolwiek, w co mogłem wierzyć tego lata – że ojciec wizytował plac budowy na Økern i zawaliło się rusztowanie. Takie rzeczy nie powinny się zdarzać i brygadziście groziło natychmiastowe wyrzucenie z pracy, ojciec był jednak wyrozumiały. Powiedział, że każdy człowiek ma prawo popełniać błędy, i dodał: „Nawet architekci mogą się mylić. Nie można zaprojektować domu, dopóki nie umie się go zbudować”. Powtarzał to aż do śmierci wiele lat później, czyli jeszcze do niedawna. „Trzeba wiedzieć, jak się buduje dom, zanim można go zaprojektować”. Ja ze swojej strony mogę dodać: trzeba też wiedzieć, jak go zburzyć. W każdym razie matka pobiegła do pani Plotkarki Gulliksen, która miała telefon, i zadzwoniła do szpitala czy gdzie tam był ojciec. Potem znów pobiegliśmy na przystań, na której Ciotki w tym czasie siłą zatrzymywały prom.

- Ja też płynę – oświadczyłem.
 - Nigdzie nie płyniesz. Musisz zostać tutaj.
 - Razem z Ciotkami? Ja? Sam? Razem z Ciotkami? Sam?
 - Dasz radę.
 - Chcę jechać z tobą.
 - Weź się w garść! Odwiedzisz ojca innym razem.
 - Nie wiadomo, czy będzie jakiś inny raz.
- Matka na moment straciła cierpliwość.
- Od złamanej nogi się nie umiera, Chris. Weź się w garść!
 - Cholera!

- Co powiedziałaś?
- Nic. A nie możemy zrobić tak, że ja pojedę, a ty zostaniesz?
- Tu chodzi o ojca, a nie o ciebie. Wyjątkowo!

No i musiałem z narażeniem zdrowia przetrzymać weekend z czterema obrażonymi Ciotkami, które uważały, że ojciec złamał nogę wyłącznie po to, by uniknąć ich towarzystwa. To było dla nich oczywiste. Teraz miały już czarno na białym, że ich nie lubi. Tego prostackiego manewru nie zamierzały mu prędko zapomnieć. I czy naprawdę miał wypadek na rusztowaniu? Czy to aby na pewno nie było przy restauracji Skansen, nie przewrócił się po wypiciu tak zwanego piwka? Plotki już krążyły, bo kiedy się korzystało z telefonu pani Radionadajnik Gulliksen, było to w zasadzie równoznaczne z wykaligrafowaniem przekazywanej informacji czerwonymi literami na szczycie wzgórza Kolsåstoppen. Przyłapałem się na tym, że podoba mi się ten niesłychany podsłuch. Było dokładnie tak jak z Iverem Maltem i wszystkim, co mówiono, a raczej czego nie mówiono o nim i jego rodzinie, o chorych psach, niemieckich żołnierzach i nieślubnych braciach – prawda rozmnażała się i sprowadzała na świat bękarty. Wszystko to kusiło mnie w sposób, którego nie potrafiłem wyjaśnić, zresztą wcale nie próbowałem. Prędzej czy później plotka wraca do autora i zaraża go swoimi pochlebstwami. Tak zaczęła się moja długa kariera kłamcy.

Ledwie zdołałem otworzyć furtkę, bo nogi uginały mi się pod ciężarem bagaży Ciołek i mojego własnego mrocznego przygnębienia. Co takiego powiedziała matka? Że tym razem wyjątkowo nie chodzi o mnie. To znaczy, że zawsze chodziło o mnie? A więc to jednak prawda, że zajmowałem tyle miejsca, iż matka musiała się usunąć! Byłem bez wątpienia złym człowiekiem. Ale cały weekend z Ciotkami! Na coś takiego nie zasłużyłem. Zatrzymały się równocześnie i drżącymi, zasuszonymi palcami wskazały to samo miejsce:

- I kto teraz pomaluje maszt?

O Ciotkach można powiedzieć wiele. Ale powiem tylko jedno: gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, przysięgałbym, że jest ich co najmniej dwadzieścia. Gdy już przyjechały, były wszędzie. Kiedy Ciotka Soffen szła do wygodki, jak ładnie nazywały to miejsce, Ciotka Emilie zawsze stała pod drzwiami i pilnowała, żeby nikt jej nie przeszkadzał. Komu, na miłość boską, chciałoby się przeszkadzać Ciotce Soffen w wygodce? Ciotka używała poza tym trąbki do słuchania, czarnej tutki, którą mogła rozciągnąć na podwójną długość albo złożyć, w zależności od tego, ile chciała usłyszeć. A kiedy Ciotka Massa wciągała flagę na maszt, Ciotka Carlik zawsze była w pobliżu. Potem nagle wszystkie cztery znajdowały się w sadzie, gdzie przeprowadzały inspekcję rabarbaru i agrestu, ale jednocześnie dwie z nich wciąż kucały na żwirze i wrywały chwasty, posługując się lupą i pincetką. Zanim się zorientowałem, te, które były w sadzie, nagle stały w pustej sadzawce dla karpi i szorowały jej brzegi mydłem, natomiast Ciotka Carlik i Ciotka Massa trzymały straż przy rododendronie z trzepaczkami do dywanów w rękach, żeby trzmielom nie miały swobody ruchu. Trzmielom mają areszt domowy! Żadnego kątko ani zakątka nie zostawiły w spokoju. Otwierały szuflady i szafki, podnosiły wszystko, pod czym mogło się cokolwiek skrywać. Czego szukały? Kurzu? Martwych owadów? Starych wiadomości? Zapomnianych widokówek? Potajemnych liścików? Wydaje mi się, że szukały swojej młodości, cienia, jakiegoś sygnału z czasów, zanim stały się starymi pannami i Ciotkami, jeśli takie czasy w ogóle kiedykolwiek istniały. Schroniłem się przed nimi w piwnicy, w najchłodniejszym pomieszczeniu lata. Tu stała bowiem stara lodówka, nie na prąd i niebędąca nawet szafką, tylko podłużną skrzynią, którą w zimie wypełniało się blokami lodu wyciętymi z fiordu. Dopóki utrzymywał się chłód, można w niej było przechowywać świeże produkty spożywcze i butelki z mlekiem. Oczywiście Ciotki mnie znalazły. Nawet gdybym się położył w tej skrzyni w letniej wodzie z roztopionego lodu, która jeszcze została na dnie, i tak by mnie znalazły. Zabawa w chowanego z Ciotkami nie miała sensu.

– Christian? Christian! Co ty tam robisz na dole?

Wyrzależem przez właz i zobaczyłem wpatrzona we mnie cztery pomarszczone twarze.

– Halo – powiedziałem – to wy?

– Masz przed nami jakieś tajemnice?

– Sprzątam.

– Co za głupstwa! Wychodź natychmiast!

Wspięłem się po stromej drabinie, a na ostatnim odcinku Ciotki ciągnęły mnie i szarpały, jakbym przypadkiem wpadł do dziury w podłodze i chodziło teraz o moje życie. Okazało się, że Ciotka Soffen znalazła puszkę. Trzymała ją w obu rękach.

– Co to za zabawna puszkę? – spytała.

– Puszka na ryby.

– Co?

– Puszka na ryby!

– Ale w środku nie ma żadnych ryb.

– To puszkę do łowienia ryb! A nie puszkę z rybami!

– Co mówisz? Ryby w puszcze?

– Puszka na ryby! – wrzasnąłem prosto do trąbki.

– To dlatego jest przy niej żyłka z haczykiem?

– Tak. Najpierw trzeba złowić rybę, żeby ją potem zapuszkować!

Pozostałe Ciotki stojące wokół nas świetnie się bawiły.

– Koniecznie musimy tego spróbować – oświadczyła Ciotka Carlik.

Już sama myśl o tym, że miałbym stać z Ciotkami na przystani i zarzucać puszkę, była nie do pomyślenia. Ktoś mógł nas zobaczyć. Moje dni w Nesodden byłyby policzone. W mieście prawdopodobnie też. I tak może byłoby najlepiej, koniec końców. Ale po omówieniu wszystkich „za” i „przeciw” uzgodniliśmy wreszcie, że pójdziemy pod maszt. To był przecież mimo wszystko dzień żałoby, ojciec złamał nogę i z tego powodu wszelkie gry i zabawy, na przykład zarzucanie puszek, należało ukrywać przed innymi. Przy maszcie mieliśmy trenować na sucho. To znaczy, ja pokazałem Ciotkom, co należy robić. Zakręciłem błyską osiemnaście razy, puściłem żyłkę, a przynęta zniknęła w rododendronie, z którego poderwała się cała ławica trzmieli, i z hukiem wylądowała w sadzawce. Ciotki klaskały w ręce i głośno się śmiały.

– Tam, niestety, nie ma już ryb – powiedziała Ciotka Emilie.

Teraz nadeszła ich kolej. Ciotka Carlik stłukła jeden z wazonów na werandzie. Ciotka Massa złapała sznur do suszenia bielizny. Ciotka Emilie rzuciła całkiem nie w tę stronę. Na koniec próbę ogniową miała przejść Ciotka Soffen. Odłożyła trąbkę. Do zarzucania puszek trąbka jest niepotrzebna. Ciotka była tak mocno zgięta w pól, że wątpiłem, by w ogóle mogła dostrzec błyską. Przygarbiona postawa okazała się jednak zaletą. Ciotka zakręciła błyską nad ziemią i w cudowny sposób udało jej się podbić ją do góry jakimś szatańskim podkręceniem. Błyska wznosiła się i wznosiła między mewy i makrelowe chmury, aż w końcu upadła na dach i tam została.

– Musimy to robić częściej – oświadczyła Ciotka Soffen, oddając mi puszkę.

Błyska oczywiście się zaklinowała. Miałem na haczyku cały dom. Wyobraziłem sobie, że mogę przyciągnąć go bliżej, nawinąć żyłkę z domem i wszystkimi wakacjami, które go wypełniały. Ale dom ani drgnął. To raczej on ciągnął mnie. Musiałem się wspiąć na dach i odczepić błyską, podczas gdy Ciotki stały w dole, na ziemskim globie, i kurczowo przytrzymywały rozpadającą się drabinę, którą razem przynieśliśmy.

– Tylko nam nie spadnij! – wołały. – Na miłość boską, tylko nam nie spadnij!

Jak ja je kochałem! Kochałem je z całego serca! Były z innego świata. Były posłańcami z minionych czasów, z epoki octu, dziewictwa i bladych policzków. „Nie tknęły mnie ręce mężczyzny”, mawiała zwykle Ciotka Emilie i wcale nie towarzyszyło temu westchnienie, tylko triumf. Mówiła to z dwoma wykrzyknikami. Nie dała się! Ciotka Carlik nie wyrażała się z taką pewnością, lecz i tak bohatercko oparła się większości prób inwazji ze strony wrogiej, prostackiej i niecywilizowanej armii zwanej mężczyznami. Ciotka Massa niewiele się w tej kwestii odzywała. Prawdę mówiąc, w ogóle nie przypominam sobie, by cokolwiek mówiła. Ale była pulchna, przyjemnie zaokrąglona i zawsze miała dropsy kamforowe w kieszeni jasnoniebieskiej sukienki w kwiatki, sięgającej jej od obwisłych ramion aż do kostek. Ciotka Soffen każdego lata powtarzała, że była kiedyś najpiękniejszą dziewczyną w Kristianii. Myśl o tym, że ta osoba, która wkrótce miała zamiatać nosem podłogę i coraz bardziej przypominała rodzynekę, była kiedyś najpiękniejsza, wszystko jedno gdzie i kiedy, wydawała mi się dość dziwaczna. Prawie niepojęta. „Nieźle cię oszukali”, krzychałem jej zwykle do trąbki. Ciotka Soffen uśmiechała się wtedy kącikiem ust, a ja po przyłożeniu ucha do słuchawki mogłem usłyszeć, jak burczy jej w głowie, w której być może nabierało kształtów marzenie lub przez którą przelatywały jakieś wystygłe wspomnienia. No ale z drugiej strony wszystkie rodzyńki były kiedyś winogronami.

Odczepiłem haczyk i Ciotka Soffen, nawijając żyłkę na puszkę, ściągnęła mnie z powrotem na ziemię.

Po kawie z ciastem zgubiliśmy Ciotkę. Naprawdę, nie mogliśmy jej znaleźć. Ciotka Soffen przepadła. Szukaliśmy wszędzie. Wpadła do dziury w wychodku? Leżała bez życia na dnie studni? Schowała się w rododendronie z nadzieją, że znajdzie trochę pyłku kwiatowego, który zdoła udźwignąć? Zabłądziła? Przy tej prędkości, z jaką zwykle się poruszała, i tak nie

mogła zająć zbyt daleko. Naprawdę będzie o czym opowiadać matce. Trzy pozostałe Ciotki przeniknęły dreszcz, który zapowiadał emocjonujące omdlenia. Przeczesałyśmy sad; na próżno. O zmierzchu zapaliliśmy latarki i przeszukaliśmy okolicę wzdłuż płotu. Również na próżno. Wołaliśmy, ale to także nic nie dało. Przecież była głucha, prawda? Zajrzałem do stojącego pod schodami wielkiego kosza na ubrania, w którym zmieściłoby się kilka takich jak ona, ale tam również jej nie było. Znalazłem tylko starą kurtkę, trzy poduszki, fartuch, mole i stos komiksów, które powinienem był wyrzucić już dawno, *Dziki Zachód*, *Kaczor Daffy*, *Królik Bugs* i seria *Ilustrowani Klasycy*. O dziesiątej zakończyliśmy poszukiwania. Teraz pozostawały nam już tylko Armia Zbawienia i Czerwony Krzyż. Ciotka Emilie wpadła w przesądny nastrój i powtarzała, że nieszczęścia chodzą parami, bo są zbyt tchórzliwe, by zjawiać się pojedynczo. „Najpierw twój ojciec, a teraz nasza Soffen. Uważajcie, Bóg jest dzisiaj w złym humorze”.

– Wychodź, Soffen!

W końcu to ja znalazłem Ciotkę. Siedziała sobie spokojnie w moim pokoju przy biurku, wygięta w nawias. Powinienem się wkurzyć, bo osobom niepowołanym wstęp tutaj był surowo wzbroniony, ale nie potrafiłem. Kto umiałby się wkurzyć na Ciotkę Soffen? W każdym razie nie ja.

– Siedzisz tu?

– Jak widzisz, Christianie. Tu panuje cudowny spokój.

– Szukaliśmy cię.

– Niepotrzebnie. Przecież siedzę tutaj.

Poczułem zdumienie. Coś mi się nie zgadzało. Mój mózg jakby przejechał przystanek. Podeszedłem o krok bliżej.

– Ciociu Soffen?

– O co znów chodzi?

– Wydaje mi się, że zapomniałaś swojej trąbki.

– Nie musisz z tego powodu krzyczeć.

Odwróciła się i uśmiechnęła.

– Nic nie powiem – szepnąłem.

– Siadaj, Christianie.

Usiadłem na łóżku. Ciotka Soffen zagiętym, pomarszczonym palcem wskazała kartkę w maszynie do pisania.

– Co to jest?

– Tytuł wiersza, który zamierzam napisać.

– Wiedziałam.

– Za daleko nie doszedłem.

– Masz dużo czasu, Christianie.

– Wcale nie. Mam mało czasu. Lądują na Księżycu już za szesnaście dni.

– Masz przed sobą resztę życia, Funder^[2]. Nie przejmuj się tym, że innym się spieszy. Spójrz na mnie. Ja mam mnóstwo czasu.

Nie bardzo wiedziałem, czy to jakkolwiek pociecha, ale i tak miło było rozmawiać z Ciotką Soffen bez jej trąbki. Haczykowany palec skierował się w moją stronę. Z jakiegoś powodu skojarzył mi się z moją stopą. Gdybym miał kogoś wskazać prawą stopą, też bym nie wcelował.

– Jesienią idziesz do liceum – powiedziała.

– Tak.

– Jaki profil klasy wybrałeś? Liczę, że łaćski.

– Wydaje mi się, że profilu łaćskiego już nie ma, ciociu Soffen, bo gdyby tak było, to

oczywiście bym go wybrał.

- No to masz tylko jedną możliwość, Christianie. Klasa francuska. To postanowione.
- Francuska? Dlaczego?
- Dlaczego? Dobry Boże, chłopcze! To chyba tobie potrzebna jest trąbka do słuchania!
- Aha. A co mnie ominęło?
- Francuski to język ojczysty poezji. Baudelaire. Rimbaud. De Gaulle. No i cała reszta.
- Wydaje mi się, że de Gaulle to prezydent i generał.

Ciotka Soffen pokręciła głową i zaczęła wstawać. Musiałem jej pomóc. Była niższa, kiedy stała, niż kiedy siedziała.

- Nie obchodzi mnie polityka. Ciebie też nie. Zostało jeszcze ciasto, Funder?

O tak, kochałem Ciotki i byłem przekonany, że się nigdy nie urodziły. Były po prostu nieprawdziwe. Musiały spaść z nieba jako już w pełni ukształtowane Ciotki, a jeśli astronautom naprawdę uda się stanąć na Księżycu, to niewykluczone, że odnajdą miejsce, z którego się wzięły.

Ale były męczące. Brały człowieka w posiadanie i posiadały aż do swojego wyjazdu. W niedzielę rano siedziałem więc wycieńczony na werandzie z lornetką i szklanką mleka, podczas gdy Ciotki wciągały flagę i utyskiwały na spróchniały maszt, a przede wszystkim na tego niedbałego lenia, który nie kiwnie palcem, żeby pomóc czterem bezradnym Ciotkom, czyli na mnie. Nagle usłyszałem, że ktoś idzie, i nabrałem otuchy. Matka mnie zmieni. Mogłem zejść z dyżuru. To nie była matka. Podniosłem lornetkę do oczu. To była przyjaciółka Lisbeth, Heidi. Zamknęła za sobą furtkę i ruszyła wąską ścieżką. Przysunąłem się bliżej. Miała na sobie obcisłe szorty z frędzlami, zapewne pozostałość dzinsów, od których odcięła nogawki. Zobaczyłem nawet pępek, bo jej biały T-shirt był dość krótki. Trochę zakręciło mi się w głowie. Co ona tu robi? Oczywiście powinienem wyjść jej na powitanie, ale nie mogłem ruszyć się z krzesła. Ciotki natomiast wypuściły wszystko, co trzymały w rękach, czyli flagę, i równie nagle mnie otoczyły. Przypominały trzmielce i brzęczały jeszcze głośniej:

- Kto to jest, Christianie? Kto to jest?

– Dziewczyna.

– Tyle to same widzimy. Może jesteśmy przygłuche, ale ślepe jeszcze nie! Jak ma na imię?

– Heidi – mruknąłem.

– Skąd jest?

– Przyjaciółka córki asesora sądowego.

Teraz i Heidi zbliżała się do mnie. Bez najmniejszego wysiłku weszła wprost do mojego świata, jakby tu było jej miejsce. Zupełnie nie wiedziałem, co robić. Ciotka Soffen włożyła mi do ucha swoją trąbkę.

- Będziemy miały was na oku. Chcę, żebyś o tym wiedział.

Wsunęły się przez drzwi do salonu, w ogóle ich nie otwierając. Nie były ludźmi z krwi i kości, raczej czystymi duchami w długich kwiciastych sukniach. Heidi zatrzymała się przy schodach.

– Cześć – powiedziała.

Udałem, że dopiero teraz ją zobaczyłem. No i musiałem udawać, że nie wiem, kim jest. To całkiem dużo naraz.

– O co chodzi? – spytałem.

– Przeszkadzam?

– Czy ty mi przeszkadzasz? Nie, nic mi o tym nie wiadomo. Jesteś przyjaciółką Lisbeth, prawda?

- Powiedziała mi, że tu mieszkasz.
- Tak. To znaczy latem. A gdzie ona jest?
- Ma areszt domowy.
- No to jakby jej nie było.
- Są karpie w tej sadzawce?
- Nie. Ale w rododendronie są trzmiel.

Heidi roześmiała się, weszła na werandę i usiadła. Chwilę po prostu siedzieliśmy.

- Mam na imię Heidi.
- Funder – powiedziałem.
- Fajnie.
- Skoro tak mówisz. Na Heidi chyba też nie możesz się skarżyć.
- Jesteś tu sam?
- Z sześćdziesięcioma dwiema ciotkami. Ale one są chwilowo niewidzialne.

Heidi znów się roześmiała. To znaczy, że byłem zabawny. Podobało mi się, że ją rozśmieszyłem.

- Szpiegujesz? – spytała.
- Czy co?

Wskazała na lornetkę. Teraz z kolei ja się roześmiałem.

- Studiuję trzmiel. Też są sześćdziesiąt dwa. Po jednym na każdą ciotkę.
- Może będziemy mogli patrzeć przez nią na Księżyc, kiedy będą lądować.

Powiedziała „my”. My, czyli nas dwoje. Snuła plany, w których byłem i ja. Nie przesłyszałem się. Brała mnie pod uwagę. Szybko poszło. Było to równie przytłaczające, jak przerażające. Mój świat przestał być tylko mój.

- Jasne. To fajna lornetka. Można przez nią daleko patrzeć.
- Czy ty i Iver jesteście bliskimi przyjaciółmi?

Wolałbym, żeby o to nie pytała. Zaniepokoiliem się. Co Iver Malt miał z tym wspólnego? Nic. Znała nawet jego imię. Iver. Nie chciałem, żeby on, ani ktokolwiek inny, jeśli chodzi o ścisłość, miał z tym cokolwiek wspólnego.

- A co?
- Lisbeth cały czas o nim mówi.
- O czym? To znaczy, mówiąc o Iverze.
- Że zawsze chodzi boso. I że śmierdzi.
- Przynajmniej latem.

Heidi sięgnęła po lornetkę i popatrzyła przez nią na mnie. Najpierw starałem się uśmiechnąć, ale nie mogłem zapanować nad ustami, dlatego spróbowałem zmarszczyć czoło, co miało wyrażać brak zainteresowania, i podparłem brodę dłonią. Prawdopodobnie wyglądałem jak bóbr cierpiący na ból zęba. Heidi odłożyła lornetkę i dalej patrzyła przed siebie, już bez środków pomocniczych innych niż oczy. Były piwne, przejrzyste i odrobinę smutne, przeciwko czemu również nic nie miałem. Chętnie popadłbym w lekkie przygnębienie razem z nią, w jej świecie, w naszym świecie.

- Piszesz? – spytała.

To po mnie widać? Czyżby zauważyła moje dołki? Wzruszyłem ramionami, wciąż obojętny na wszystko i wszystkich. Właśnie taki chciałem być: obojętny, nieporuszony i właściwie nawet się cieszyłem, że spytała, bo dzięki temu sam nie musiałem o tym mówić.

- Owszem, kiedy tak się złoży.
- A co? Wiersze?
- Tak, głównie wiersze. Ostatnio.

– O czym?

– Między innymi o Księżycu. To znaczy ostatnio.

Uświadomiłem sobie, że siedzimy tu i wypytyjemy się nawzajem, jakbyśmy zostali wezwani na przesłuchanie, tylko że pytała głównie Heidi, a oboje byliśmy niewinni, przynajmniej ja, dopóki nie udowodni się, że jest inaczej. Przyszło mi do głowy coś, co widziałem w jakimś serialu kryminalnym: masz prawo milczeć. Ale ja nie miałem ochoty milczeć. I jak już powiedziałem, nie wadziło mi, że to głównie ona pytała. Byle tylko nie chciała dowiedzieć się więcej o Iverze. Lubiłem siedzieć i rozmawiać o pisaniu, dzięki temu niemal prawdą stawało się to, że jestem poetą, nie tylko we własnych oczach, lecz również w oczach innych, przynajmniej jednej osoby, a mianowicie Heidi. I to mi wystarczało na długo. Wręcz się tym napawałem.

– Mogę coś przeczytać? – spytała.

Trafiła mi się zatem nawet okazja, żeby trochę się podrożyć, a to nie zdarzało się często. Podobne przypadki mogłem policzyć na palcach jednej dłoni po amputacji co najmniej dwóch. Natomiast do policzenia tych razów, kiedy sprzedawałem się tanio, potrzebna była potężna tabliczka mnożenia i co najmniej jedna ściaga.

– Jeszcze nie skończyłem, więc zobaczmy.

Czyżby Heidi, ta obca dziewczyna, która pojawiła się nagle pewnego lata, miała zostać moją pierwszą czytelniczką? Nie byłem temu przeciwny. Niczemu w niej nie byłem przeciwny. Jak to możliwe? Nie znałem jej. Nic o niej nie wiedziałem. Mogła być na przykład piromanką albo kleptomanką, uwielbiać zupę kalafiorową, mogła nawet należeć do zielonoświątkowców, w co oczywiście nie wierzyłem, ale jednak. Owszem, była ładna, ale nie olśniewająca, nie miała takiej urody, która wbija dziewczyny w dumę, przez co stają się odpychające, bo zarzucane przez nie sieci są tak gęste, że nie przepuszczają nawet światła; w końcu blade i rozgoryczone podpierają ściany na najważniejszym szkolnym balu. Dobrze im tak. Nie żebym nie uważał Heidi za bardzo ładną. Była ładna na pierwszy rzut oka. I gdyby się dała złowić na ten rzut, zacząłbym ostrożnie ściągać i nawijać jej spojrzenie wraz ze wszystkim, co się z nim łączyło. Siedziałem i marzyłem o różnych rzeczach, o których nie miałem pojęcia. Byliśmy pokrewnymi duszami. Właśnie tak. A skoro już nasze dusze były pokrewne, to wkrótce mogły się do nich przyłączyć również ciała. Przypomniałem sobie nagle, że przecież już wysłałem inny wiersz do „Kvinner og Klær”, i chociaż jeszcze przed chwilą wznosiłem się wysoko i wyraźnie ponad przeciętną, to teraz winda dość szybko zjechała z powrotem do piwnicy. Zawsze coś musiało wszystko zepsuć. Zawsze jakiś kij zaplątał się w szprychy. Czyżby gospodynie domowe od Przyładka Północnego po Lindesnes miały stanowić krąg moich pierwszych czytelniczek? Czyżby mój wiersz *Międzyczas. Zegary na Drammensveien* miał zostać wydrukowany w „Kvinner og Klær” między przepisami a horoskopami, reklamami wazeliny, waty i naczyń Tupperware? Wysyłając ten wiersz, musiałem być co najmniej niespełna rozumu. Powinienem wstrzymać druk, bez względu na koszty. Zadzwoić do odpowiedzialnego redaktora i oświadczyć, że natychmiast wiersz wycofuję. Ale była niedziela, a w niedzielę nie da się wstrzymać niczego oprócz mszy, nabożeństw i być może mnie.

– Dziwak z ciebie – powiedziała Heidi.

Potem sięgnęła po moją szklankę z mlekiem i się napiła. Piła z tej samej szklanki co ja. Czy to było zaproszenie? Znak, że mogę albo powinienem zrobić coś w związku z tym, jakoś się odwzajemnić? Czy ona czegoś oczekiwała? W kącikach ust pojawiły jej się małe białe skrzydełka. Zebrałem siły, wychyliłem się nad stołem i ostrożnie je wytarłem, a ona w tym czasie zamknęła oczy. Wargi miała miękkie. Nigdy wcześniej nie dotykałem ust żadnej dziewczyny.

Wtedy objawiły się Ciotki.

– Dość już tego! – krzyknęła Ciotka Carlik. – Chyba najwyższy czas, żeby ta młoda dama wróciła do domu!

Heidi wstała i dygnęła przed wszystkimi czterema Ciotkami. Ja też musiałem wstać, ale się nie ukloniłem. Ciotka Emilie puknęła mnie zgietym palcem w ramię.

– Możesz odprowadzić ją do furtki, tam zawrócisz i przyjdiesz z powrotem.

Nie chciało mi się z nimi kłócić. Odprowadziłem Heidi ścieżką, oboje prawie tarzaliśmy się ze śmiechu, moja stopa nagle zrobiła się lekka. Ale czy Ciotki właściwie nie ocaliły mnie w ostatniej chwili? Właśnie tak. Bo nie miałem pojęcia, co zrobić z ręką, kiedy odsunąłem palce od warg Heidi. Zatrzymaliśmy się przy furtce. Otworzyłem ją. Zazgrzytały odporne zawiasy. Lubię zgrzytające drzwi i furtki i trzeszczące schody. Człowiek wtedy wie, że ktoś idzie, i może się przygotować. Wie też, kiedy ktoś wychodzi. Heidi przystanęła.

– One są słodkie – powiedziała.

– Chętnie ci je pożyczę na parę dni.

Przez chwilę nic nie mówiliśmy. Ta chwila wydawała się dłuższa, niż zwykle trwają chwile, i nie zamieniłbym jej na żadną inną w tym świecie ani w następnym. Dobrze wiedziałem, że Ciotki na werandzie walczą o lornetkę, żeby nic im nie umknęło. Nie miałem im tego za złe, były w kinie i oglądały niemy film.

– Za co Lisbeth ma areszt domowy?

– Piła piwo. Ojciec widział to z łądu.

– A ty? Też piłaś piwo?

– Troszeczkę. Łyk.

– Ale nie dostałaś aresztu?

Heidi tylko pokręciła głową, a po chwili dodała:

– Wiesz, boję się.

– Boisz się Lisbeth? Dlaczego? Że coś ci zrobi?

– Nie, oczywiście, że nie. Boję się, że zrobi coś sobie.

Powiedziałem najgłupszą rzecz do tej pory:

– No to dlaczego u niej jesteś? Dlaczego po prostu nie wyjedziesz?

– To nie takie proste.

– Jak to?

– Ona jest moją przyjaciółką, prawda? Nie mogę jej zawieść.

– Jasne.

– Wykapiemy się razem któregoś dnia?

– Pewnie, możemy.

– Przy domkach kąpielowych jest tak ładnie. I trochę byś się też opalił. Trzymaj się, Funder!

Pobiegła zwirową drogą. Zaczekałem, dopóki nie straciłem jej z oczu i kurz nie opadł. Wróciłem do domu szczęśliwy i zawstydzony. No tak, wszystko wskazywało na to, że byłem złym człowiekiem. Ale czy można być jednocześnie szczęśliwym i złym? „Nie mogę jej zawieść”. Kogo ostatnio nie zawiodłem? Nie umiałem sobie przypomnieć. Chociaż nie przypominałem sobie też, że bym miał taką szansę. Czyli nie miałem szansy na to, żeby być dobrym, i dlatego uspokoiłem się stwierdzeniem, że jestem tylko prawie szczęśliwy i jeszcze nie całkiem zły. Emilie, Massa i Carlik rozeszły się do siebie, pogwizdując ostatni przebój z festiwalu Eurowizji. Nie żebym oglądał Eurowizję, ale tego nie dało się nie usłyszeć: *Oj, oj, oj, będzie wesolo*, a one gwizdały to w tonacji moll. Ciotka Soffen została jednak w cieniu na werandzie i zajęła się czyszczeniem swojej trąbki.

– Naprawdę ładną dziewczynę sobie znalazłeś, Christianie. *Très belle*. Podobna do mnie

w młodości.

Tego nie musiała mówić. Zdecydowanie wolałbym, żeby Ciotka Soffen akurat tego nie powiedziała. Mogła sobie darować. Przyszło mi teraz walczyć z kilkoma obrazami, bez których chętnie bym się obył, bo nie miałem ani dość energii, ani dość fantazji, by wyobrazić sobie, jak wyglądała Soffen wtedy, gdy była najładniejszą dziewczyną w Oslo, które w tamtych czasach nazywało się Kristiania.

– Ale nie możesz jej brutalnie atakować. Jeśli chcesz się zalecać, musisz postępować ostrożnie, rycersko i dobrze się rozglądać. Łatwo się potknąć.

Nie wiem, czy Ciotka Soffen mówiła z doświadczenia, czy raczej opowiadała o swoich fantazjach. I tak uznałem, że już wystarczy. Pogłaskałem ją po policzku i wstałem. Ale ciotce coś jeszcze leżało na sercu.

– Ładną miałaś błyskę przy tej swojej puszcze. Po zdjęciu haczyka można by z niej wręcz zrobić biżuterię. Ale najpierw musisz ją starannie umyć i może skropić perfumami.

Podziękowałem za troskę, okręciłem się wokół własnej osi i poszedłem za dom, gdzie Ciotka Emilie pochylała się z tyłkiem wypiętym do słońca i pielęła. Próbowałem się przemknąć niepostrzeżenie; ten dzień był już i tak wypełniony po brzegi. Ale tym razem mi się nie udało. Ciotka się wyprostowała.

– Spośród ryb najdłużej na łądzie może przeżyć karp – oznajmiła.

– Aha. Dobrze wiedzieć.

– No właśnie. Nie mów, że jest inaczej.

– To dlatego nie ma już karpi w sadzawce?

– Co za bzdura! Wypiły całą wodę.

Ciotka Emilie dalej wyciągała mszyce z trawy, a ja uciekłem jedynie po to, żeby wpaść na Ciotkę Carlik, która wracała z wygodki, co było widoczne, bo niosła przywiezioną z miasta rolkę papieru toaletowego, którą nie chciała dzielić się z innymi. Nie mogłem jej ominąć. Jej również coś leżało na sercu. To musiało być zaraźliwe.

– Wiesz, że poczta co roku musi palić dwadzieścia pięć tysięcy listów z powodu niewyraźnie napisanego adresu? Te listy po prostu nie dochodzą!

– Dwadzieścia pięć tysięcy? To dużo.

– Dużo? To o dwadzieścia pięć tysięcy za dużo! Wstyd, że ludzie nie umieją wyraźnie pisać!

Pomaszerowała dalej z papierem toaletowym w jednej ręce i laską w drugiej, a ja stanąłem, zastanawiając się, na co mi to wszystko. Eurowizja w tonacji molowej, martwe karpie i spalone listy: czy mi się to przyda, wszystko to, czego nigdy się nie pozbędę, bo kiedy już raz o czymś usłyszałem, nie mogłem się tego pozbyć? Czy mi się to do czegoś przyda? I czy przyjdzie taki dzień, kiedy zabraknie miejsca na cokolwiek więcej, bo mózg zwyczajnie się zapełni i czaszka zamknie się na dobre? Co wtedy? Czy to nie jest równoznaczne ze śmiercią? Najgorsze było to, że nie dało się wybrać tego, co się chce usłyszeć. Byłem nieustająco atakowany. Wypełniałem się, nie mogąc się opróżnić. Powiniennem wykopać wokół siebie fosę. Musiałem pozbierać myśli w sadzie. Ale tam, w trawie za rabarbarem, siedziała Ciotka Massa. Wyglądała dziwnie, w obszernej niebieskiej sukience przypominała wielkie zamysłone dziecko albo Buddę. Ośmieliłem się podejść bliżej. Dłonie miała czerwone. Krew jej leciała? Czyżby sama się okaleczyła? Obgryzała paznokcie? A może pokąsały ją wściekłe osy? Ośmieliłem się podejść jeszcze bliżej.

– Ciociu Masso – szepnąłem – to ja.

Podniosła wreszcie głowę. Uśmiechnęła się, więc nie była ciężko ranna. Na kolanach miała ładny bukiet żółtych kwiatków na długich łodygach. Ja też usiadłem na trawie.

- Twoje ręce – powiedziałem – są całe czerwone.
- Dziurawiec.
- Słucham?
- Dziurawiec. Ziele świętego Jana. Spróbuj. Wetrzyj je między palce.

Ciotka Massa dała mi jeden kwiatek, jak się okazało, dziurawca, a ja zrobiłem tak, jak poleciła. Wtarłem żółte płatki w palce. I rzeczywiście, powoli, ale zdecydowanie zaczęły się czerwienić. To było coś. To było naprawdę coś dla mnie. Żółć, która zmienia się w czerwień.

- Jak ja to zmyję?
- Samo zejdzie, Christianie. Ale nie chodzi tylko o to. Dziurawiec można też pić.

Tyłu słów Ciotka Massa nie wypowiedziała przez wszystkie piętnaście letnich wakacji. Może właśnie dlatego zaczęła mówić językami:

– Nasz Pan ukrył w tym zieleu wielką tajemnicę, aby pokonać duchy i fantazje doprowadzające ludzi na skraj rozpaczy.

Miała też ze sobą kubek do połowy wypełniony wodą. Wsypała do niego żółty proszek i zamieszała palcem. Dała mi się napić.

- Dziurawiec – powtórzyła.
- Opróżniłem kubek jednym haustem.

Chwilę później jeszcze bardziej zachciało mi się pić, ale Ciotka Massa już nic więcej nie miała. Zostawiłem ją siedzącą na trawie, a sam poszedłem do studni, odsunąłem pokrywę, spuściłem wiadro, przechyliłem je i wyciągnąłem. Kiedy chciałem się napić prosto z wiadra, w wodzie pojawiła się znów tamta twarz, nie ta sama co ostatnio, lecz inna. Obca, roześmiana. Śmiejąca się ze mnie. Próbowałem ją zmacić, ale gdy już miałem wrażenie, że się jej pozbyłem na dobre, wracała, gdy tylko woda się uspokoiła. Pozostawało mi jedno. Zanurzyłem głowę w wiadrze i wypilem tę obcą twarz.

Drabina wciąż stała w tym samym miejscu. Wspiąłem się na nią w dwóch susach i znów usiadłem na dachu. Dziwak. Co miała przez to na myśli? Czy to dobrze? Czy może już zauważyła moje dołki? Myśli układały mi się w głowie w wysokie stopy. Iver. Strzelba. Heidi. Księżyc. Poczta. Karpie. Dziurawiec. Wiersz. „Kvinner og Klær”. „Kvinner og Klær”! O mało nie spadłem z kalenicy. Może zrujnowałem sobie karierę na długo przed tym, zanim w ogóle się zaczęła? Naprawdę wysłałem wiersz do czasopisma, które prenumerowały nasze matki? Prawie zabrakło mi tchu. Im więcej rzeczy przenikało do mojego świata, tym stawał się ciaśniejszy. Czy nie to zawsze powtarzałem? Wkrótce nie będzie w nim miejsca dla mnie. Gdybym mógł trochę porządzić tą historią, kazałbym ojcu złamać nogę w środę, abym po wyjeździe matki do miasta został sam, bo Ciotki nigdy nie przyjeżdżały w środy, tylko w soboty. Ale z drugiej strony matka najprawdopodobniej zażądałaby wtedy, żebym z nią pojechał, ponieważ nie musiałbym się zajmować Ciotkami, skoro była środa, a one miały przyjechać dopiero w sobotę. Ale założmy, że nie zrobiłaby tego, miałbym wtedy dla siebie cały dom, zresztą nie tylko dom – miałbym dla siebie cały swój świat i Heidi mogłaby tu przyjść, to znaczy w środę, nie w sobotę. I co dalej? Co dalej? Co miałbym zrobić dalej? Jak już mówiłem, nie byłem przyzwyczajony do takich sytuacji. Nie umiałem przebywać z ludźmi. Czułem się przy nich nieswojo. Bałem się, że ich znudzę. Byłem przekonany, że nudzą się w moim towarzystwie. Że to moja wina. Może i tak pojechałbym z matką do miasta, gdyby ojciec złamał nogę w środę. W zasadzie wszystko jedno. Ojciec złamał nogę w sobotę i nic więcej nie dało się z tym zrobić. Tak po prostu było. Dzień przychodzi po dniu, jak napisano. Ale napisano również, że większość rzeczy pozostaje taka, jaka jest, lecz dopiero kiedy się taka stanie, dlatego możliwości wciąż były otwarte niczym drzwi uchylone do kolejnych pomieszczeń, w których czekało światło o nieznanym mi zasięgu, a za mną oczekiwała równie duża ciemność, ale z ciemnością już skończyłem, prawda? Już

zostawiłem ją za sobą. Ze wszystkich imion i nazwisk wybrałem Fundera. Funder był zakochany.

Matka wróciła promem o ósmej, a Ciotki tym samym promem wyjechały do swoich brunatnych mieszkań w mieście, gdzie miały wkrótce jedna po drugiej cicho i spokojnie umrzeć wśród ozdóbek i stearyny, zabierając ze sobą cały swój czas, krótszy niż ułamek sekundy w porównaniu z czekającą je wiecznością. Machałem, dopóki nie mogły mnie już widzieć. Mnie zresztą też zniknęły z oczu. Ruszyliśmy do domu. Matka wydawała się zmęczona i niewiele się odzywała.

– Przyszło „Kvinner og Klær”? – spytałem.

Zatrzymała się i popatrzyła na mnie zdumiona.

– „Kvinner og Klær”? Dlaczego o to pytasz?

Wzruszyłem ramionami.

– Tak się tylko zastanawiałem. Nieważne.

– Sądziłam, że bardziej naturalne byłoby pierwsze pytanie o to, jak się czuje ojciec.

– No tak. Jak się czuje ojciec?

– Stosunkowo dobrze jak na tę sytuację. Ale to skomplikowane złamanie, więc musi poleżeć w szpitalu przez pewien czas.

Ruszyła dalej. Dogoniłem ją.

– A kiedy przychodzi „Kvinner og Klær”?

– Przestań mówić o „Kvinner og Klær”! Co się z tobą dzieje?

– We wtorek, prawda?

– Wydaje mi się, że Ciotki tym razem naprawdę doprowadziły cię do szaleństwa.

Ostatni odcinek przeszliśmy w milczeniu. Matka zwykle przywoziła mi coś z miasta – czekoladę, oranżadę. Jak nazywaliśmy te drobne upominki? Aha, gościniec. Ale nie tym razem. Może uznała, że jestem już na to za duży. Ja tak nie uważałem. Usiadłem na werandzie, a ona obeszła dom, sprzątając po Ciotkach. To znaczy ustawiając na swoich miejscach rzeczy, które Ciotki poprzestawiały. Był ciepły wieczór, niebieski jak muszla. W końcu matka wyszła z zielonym pledem zarzuconym na ramiona. W rękę trzymała *Moby Dicka*.

– Skąd to się wzięło?

– Od Ivera Malta.

– Pożyczyłeś?

– Dostałem.

– On ci daje dużo rzeczy, ten Iver. Puskę na ryby, błystkę, książki.

– I co z tego? To w czymś szkodzi?

Matka odłożyła książkę na stół i dalej stała.

– Musisz uważać na prezenty, Christianie. Zwłaszcza na te, które dostajesz.

– Dlaczego?

– W końcu też będziesz musiał mu coś dać.

– A co by to miało być?

– No właśnie. Co by to miało być?

– Może para butów.

Matka usiadła i westchnęła w sposób, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Powiedziała coś dziwnego. Nie pamiętam tego dosłownie, to była skarga, której głębi nie rozumiałem, coś w rodzaju refrenu:

– No, ja już nic nie wiem.

Powiedziała to obojętnie, nie zwracając się do nikogo, nie patrząc na mnie. „No, ja już nic nie wiem”, jakby wszystkie myśli, cała jej mądrość, zgromadziły się w tym spokojnym

zaprzeczeniu albo wyznaniu; istniało na to słowo, dowiedziałem się później, kiedy sam się zaraziłem tym stanem, to był spleen, który ma swoją siedzibę w śledzionie, tym podłużnym, spłaszczonym organie, warsztacie czerwonych krwinek.

– Czego ty już nie wiesz, mamó?

Wzdrygnęła się, jakby nagle zrobiło jej się zimno albo po prostu chciała się z czegoś otrząsnąć.

– Nie przejmuj się mną. Jestem taka głupia.

Dała mi kopertę z moim imieniem. Ledwie rozpoznałem charakter pisma ojca, zwykle mocny i ostry, teraz jednak kwadratowe litery były krzywe, nachylały się w stronę kropki, a mocna kreska się wahała, jakby ręce mu się trzęsły, kiedy trzymał pióro. Może przy upadku zranił się też w rękę? Jakie byłyby budynki, gdyby projektował je trzęsącą się ręką? Tak samo roztrzęsione? Poszedłem do swojego pokoju i tam otworzyłem kopertę. W środku były banknot pięćdziesięciokoronowy i pozdrowienia. „Cześć, łobuzie! Opiekuj się dobrze mamą tego lata i przynajmniej część tych pieniędzy wydaj na taśmę do maszyny. Ojciec”. Na odwrocie zrobił szkic ołówkiem: z samej góry rusztowania spada mężczyzna, obiema rękami przytrzymujący kapelusz. Pod spodem dopisał: „Przepraszam, czy to droga na Księżyc?”.

Dzień później zebrałem się na odwagę i pobiegłem na Pynten do pani Rozmowy Zamiejskowej Gulliksen, żeby zadzwonić do „Kvinner og Klær”. Należało wstrzymać numer przed oddaniem do druku. Zanim jednak tam dotarłem, obleciał mnie strach. Zachowałem się bez sensu, w sposób zupełnie nieprzemyślany. Jeśli zadzwonię stamtąd, Bóg, wszyscy święci i jeszcze ze dwie osoby dowiedzą się, o co chodzi, jeszcze zanim odłożę słuchawkę. Odwróciłem się więc w ostatniej chwili i pobiegłem do Signalen. To nie był mój dzień. W Niecce stała bowiem wdowa Gulliksen we własnej osobie z zakupowym wózkiem w szkocką kratkę wypełnionym ziemniakami, wodą mineralną i plotkami.

- Ależ ten młody człowiek się spieszy!
- Makrele przypląnęły.
- Na pewno niczego nie knujesz, ty spryciarzu?

Próbowałem ją wyminąć, ale była jak ściana. Nie wykluczałem, że w końcu będę musiał się po niej wspiać.

- Bardzo mi się spieszy, pani Gulliksen.
- Jak się miewa twój ojciec?
- Dobrze.
- Możesz przyjść skorzystać z telefonu, jeśli będziesz chciał do niego zadzwonić.
- Dziękuję.
- To dotyczy również twojej matki, w każdej chwili.
- Dziękuję.
- A jak ona się miewa?
- Tak sobie. Przykro jej, że...
- To musi być dla niej straszne. Mój Boże!
- Ojciec tylko złamał nogę.
- No tak, oczywiście.
- Tylko złamał nogę – powtórzyłem. – Od tego się nie umiera.
- Nie uważasz, że powinieneś spytać starszą panią, czy nie potrzebuje pomocy?

Prawie wyrwałem jej wózek i pociągnąłem go z powrotem w stronę Pynten. Wdowa Walące Serce Gulliksen ledwie zdołała dotrzymać mi kroku. Sapała i dyszała gdzieś w tle. Paskudnie to brzmiało. Dobrze jej tak. Gdyby umarła, tam, na zboczach, nie zrobiłoby to na mnie szczególnego wrażenia. Zaparkowałem wózek przy płocie. Wdowa uniosła palec.

- Powiem ci jedno. To chłopaczysko z baraków ma na ciebie zły wpływ. Naprawdę.

Znów zawróciłem w stronę Signalen. Nie chciało mi się biec, nie było sensu. Numer „Kvinner og Klær” najprawdopodobniej już dawno poszedł do druku. Sama myśl o tym wprawiła mnie w zubożenie. Skoro Bóg z góry postanowił, jak wszystko się potoczy, równie dobrze można usiąść nad rowem i czekać, aż huknie. A ja nawet nie wierzyłem w Boga. Zajęcia dostarczały mi liczby, znaki i Ciotki. Ale ponieważ nachodziły mnie tego rodzaju myśli, musiało w nim, to znaczy w Bogu, coś być. Niech zrozumie ten, kto potrafi. W każdym razie gdy w końcu dotarłem do Signalen, byłem wycieńczony, skrzywiony i beznadziejny.

Iver Malt, chłopaczysko z baraków, ciągle siedział na swoim turystycznym krzeselku, nagi od pasa w górę, prawie ukryty za wielkimi okularami przeciwsłonecznymi. Najwyraźniej osiadł tu na stałe. Szybko się rozejrzałem, ale nigdzie nie zauważyłem jego ojca. Nie słyszałem też żadnych hałasów z warsztatu. Ostatnia kura również zniknęła, a na pieńku do rąbania drewna nie leżała żadna broń.

- Macie telefon? – spytałem.

- Nie.
- A znasz jakieś miejsce, z którego mógłbym zadzwonić?
- Znam.
- Gdzie to jest?
- To kosztuje.
- Mam pieniądze.
- Ile?

Iver palcem wskazującym wolno podsunął okulary na czoło i zmrużył oczy.

- Pięć dych?
- Tak, pięć dych. Pospiesz się.

Wstał powoli, podszedł do sznura rozciągniętego między zwiędłym drzewem a słupem i zerwał z niego podkoszulkę. W tym samym momencie dostrzegłem kobietę. To musiała być jego matka, no bo kto inny? Ta nazywana hitlerowską dziwką, bo miała dziecko z żołnierzem wroga, nieślubnego syna, którego nikt nie widział i który dotychczas istniał tylko w bujnie pleniących się plotkach i bezmyślnej gadaninie. Wyszła z szopy, czy raczej z ziemianki, widocznej za całym tym złomem i śmieciami. Niosła koszyk z resztkami jedzenia czy co tam w nim było. Pomyślałem, że pewnie karmiła zwierzęta. Dopiero teraz mnie zauważyła i na moment przystanąła. Ubrana była w grube ciemne rzeczy, na nogach miała kalosze, a na głowie zawiązaną czerwoną chustkę. Nie wiedziałem, jak się zachować. Czy powinienem do niej podejść, ukłonić się i przywitać? Iver też mi w tym nie pomógł, stał tylko ze swoją podkoszulką, zawstydzony, i nie odezwał się ani słowem. Jego matka ruszyła dalej szybkim krokiem i zaraz zniknęła w domu, to znaczy w baraku. Iver ciągle się nie odzywał. Ten dzień był rzeczywiście dniem wielkich prób. Poczuję się nagle niemile widziany, co może wcale nie powinno mnie dziwić. Przecież kiedy poprzednim razem przyszedłem z wizytą, o mały włos nie uśmierciłem Ivera. Ale coś jeszcze nie zgadzało się tutaj, na Signalen. Nie myślę wcale o żelastwie ani o rozsypanych wszędzie śmieciach; chodziło o coś innego. Nie potrafiłem stwierdzić, o co dokładnie, ale jestem wyczulony na takie rzeczy, na to, co się nie zgadza. Wyczułem jakiś brak równowagi, pewną chwiejność, jak na statku, gdy przesuwają się ładunek i mało brakuje, żeby cały statek się przewrócił.

- To moja matka – powiedział Iver. – Nie przejmuj się nią.

Znow wyszła z domu z tym samym koszykiem. Tym razem były w nim kromki chleba i miseczka dżemu truskawkowego. Zatrzymała się przede mną.

- A więc ty jesteś Christian?

Wyciągnąłem rękę, ale nie mogła jej uścisnąć, bo obiema dłońmi trzymała kosz.

- Przepraszam za to ze strzelbą – powiedziałem.
- Ona nie powinna była tam leżeć. Naładowana. To nie była twoja wina.
- I tak przepraszam.

- Weź sobie kromkę chleba. Sama piekłam. I zapomnijmy o całej tej sprawie ze strzelbą.

Nie znoszę jeść u innych, to znaczy jeść cudzego jedzenia. Od biedy mogę przynieść własne jedzenie i zjeść je u kogoś, chociaż rzadko trafia się taka okazja. Ale jeść cudze? Nie, bardzo dziękuję.

- Bardzo dziękuję – powiedziałem.

Wziąłem kromkę. Jestem, jak już wspominałem, uprzejmy. To dziedziczne. Od uprzejmości można umrzeć. Byłem gotowy na śmierć. Czerwony dżem spływał mi po palcach. Żułem i żułem, podczas gdy Iver i jego matka uważnie mnie obserwowali. To właśnie jest najgorsze w jedzeniu u kogoś: ci, którzy przyrządzili posiłek, nie chcą, żeby ominął ich choćby

jeden grymas, jedno najmniejsze mlaśnięcie. Chcą zmierzyć twój podziw, twoją wdzięczność. Łzy cisnęły mi się do oczu. Przełyk się skurczył, język szukał schronienia za języczkiem. Ale potem stało się coś, co przypominało cud. Uświadomiłem sobie sens chleba. Nie potrafię tego wyrazić inaczej. Poczułem coś więcej niż ciepły, łagodny smak, więcej niż chrupiącą skórkę, której trzask roznosił się echem w całym ciele, więcej niż to, że się nasyciłem. Sens chleba spełnił się we mnie. Sens chleba był większy niż samo nasycenie głodu. Chleb ma zaspokajać inny głód. To był błogostawiony posiłek. Wziąłem jeszcze jedną kromkę. Matka Ivera się uśmiechnęła.

– Wszyscy biorą jeszcze jedną – powiedziała.

W końcu Iver musiał mnie prawie turlać na przystań, na której cumował „Oksvald”, stara łajba. Plan był taki, że właśnie stamtąd miałem zadzwonić. Zaczekaliśmy, aż pasażerowie zejść na ląd, i ruszyliśmy na pokład. Był przyptływ. Weszliśmy po trapie. Kapitan nas policzył. Wyjaśniłem mu, że chodzi o życie. Mój ojciec złamał nogę. To skomplikowane złamanie. Zawisł. Między życiem a śmiercią. Musiałem zatelefonować. Miałem pieniądze i mogłem za to zapłacić. Sprawa jest pilna. Kapitana bardziej interesowało, dlaczego Iver Malt nie łowi. Czyżby ławica zawróciła przy Steilene?

– Meduzy – odparł Iver. – Meduzy zagrażają drogę.

– To pilna sprawa – powtórzyłem.

– To ja decyduję, kiedy sprawa jest pilna – oświadczył Kapitan. Odczekał jeszcze chwilę, zerknął na puste nabrzeże i na ostatni autobus, który rozwijał dywan spalin na asfalcie. Sprawdził liczbę na aparaciku do liczenia. Wciąż było nas dwóch, ja i Iver. Strzepnął pyłek z rękawa nienagannego munduru, a czas płynął, odpływał ode mnie. Kapitan znów zerknął na swoją maszynkę, jakby to był zegarek, i wreszcie powiedział:

– Teraz możesz zadzwonić. Tylko się pospiesz. Mam pilną sprawę.

Rozmieniłem w kiosku pięćdziesięciokoronowy banknot na cztery dychy, sześć koronówek i osiem pięćdziesięciórówek i odszukałem telefon w ciasnej budce tuż przy kiblu. Zacząłem przerzucać strony w książce telefonicznej, minąłem tę z nazwiskiem, adresem i numerem ojca. Nazwiska matki nie było, chociaż najczęściej, a właściwie prawie zawsze to ona odbierała, kiedy ktoś dzwonił. Przyszła mi do głowy dziwna, nieprzyjemna myśl, że matka nie istnieje. Nie ma jej. Jest tylko w wyobraźni mojej i ojca.

Wreszcie znalazłem numer do „Kvinner og Klær” i zadzwoniłem. W centrali odebrała jakaś pani. Poprosiłem o połączenie z redaktorem naczelnym. Tego absolutnie nie mogła zrobić. Co ja sobie myślę? Kim ja jestem? Jestem Funder, powiedziałem. Pisarz. Po wielu protestach połączono mnie z sekretarką. Wyjaśniłem, z jaką sprawą dzwonię. Że z powodów osobistych muszę wycofać wiersz. W żadnych okolicznościach nie wolno go publikować. Jaki wiersz? *Międzyczas. Zegary na Drammensveien!* Przełączono mnie do jakiejś redaktorki i musiałem opowiedzieć wszystko od początku.

– No to w porządku – powiedziała.

– W porządku?

– Tak. Nie wydrukujemy go, jeśli nie chcesz.

– Nie?

– Oczywiście, że nie.

– Więc gdybym go nie wycofał, to byście go wydrukowali?

– Taki był plan. Wszystkim tutaj twój wierszyk bardzo się spodobał.

Przez chwilę milczałem w ciasnej budce. Jak długo, nie wiem. Ścisnąłem słuchawkę w dłoniach, próbując dodać dwa do dwóch. Owszem, to była sytuacja, z którą mogłem żyć. Wiersz im się spodobał. Ale niestety, nie mogłem pozwolić na jego wydrukowanie, przynajmniej

na razie. Wiedziałem jednak, że jestem dobry, przynajmniej dla „Kvinner og Klær”. Miałem tajemnicę, na której mogłem się oprzeć, za którą mogłem się schować i czerpać z niej przyjemność, gdy wszystko zaczynało się psuć.

– Może później uda nam się współpraca – powiedziałem.

– Dobrze by było. Nie masz przypadkiem jakiegoś wiersza z rymami? Nasze czytelniczki lubią rymy.

– Niewykluczone. Sprawdzę, co mam. Jeszcze raz dziękuję.

Rozłączyłem się. Zostałem przyjęty. Winda we mnie pojechała w górę przez wszystkie piętra, od podeszew stóp po sklepienie czaszki. W mózgu rozległ się cichy dzwonek, drzwi się otworzyły i mogłem wysiąść w niebie. Nie miałem zresztą pojęcia, że mam aż tyle pięter. Zakręciło mi się w głowie i zacząłem się przechylać na burtę. To chyba właśnie tak człowiek się czuje, kiedy zostaje zaakceptowany. Mimo że chodziło o „Kvinner og Klær”. To było prawdziwe szczęście. Moje szczęście. Chciałem, aby trwało. Dlatego musiałem je powtórzyć. Musiałem napisać więcej. Przez resztę życia pisałem więcej, żeby podtrzymać to szczęście, dopóki nie obróciło się przeciwko mnie, dopóki nie zwróciło się przeciwko mnie pustą kartką.

Zrozumiałem, że nie tylko ja przechylałem się na burtę, „Oksvald”, zardzewiała łajba, mój statek szczęścia, też się przechylał i gdy wyszedłem na pokład, okazało się, że już płyniemy w głąb Bunnefjorden, biorąc kurs na cienie i zgniłą stojącą wodę. Iver stał przy cumie i na mój widok zaczął się śmiać. Mógł przynajmniej uprzedzić, że prom odpływa, a my wciąż jesteśmy na pokładzie. Ale nie potrafiłem się nawet wkurzyć. Nic mnie teraz nie mogło wkurzyć. A jeszcze dziwniejsze było to, że wcale się nie denerwowałem – nie denerwowałem się, że matka się zdenerwuje, kiedy mnie tak długo nie będzie, i wcale też mnie nie martwiło, że będzie pytać, na co wydałem wszystkie pieniądze. Martwiło mnie jedynie, że wcale się nie martwiłem. To nie było normalne. Stałem przy Iverze. Od wody, która zmieniła kolor ze srebrnego na czarny, zaczął bić nagły chłód.

– Mam dwie tajemnice – oznajmił Iver.

– Ja nie.

– A ile ty masz?

– Żadnej.

– Żadnej? No to kłamiesz. Wszyscy mają tajemnice.

– Nie ja.

Iver spojrzał na mnie. W oczach miał jakiś strach i twardość.

– Przyjaciele nie mają przed sobą tajemnic – stwierdził.

– Być może.

– Bo inaczej nie są przyjaciółmi.

– Aha.

Wyjął paczkę papierosów, w której został tylko jeden. Zapalił go i zaciągnął się głęboko, zanim oddał go mnie.

– Przeczytałeś książkę?

– Jeszcze nie. Jest dosyć gruba.

– Jak skończysz, to mi powiesz, jak poszło, dobra?

– Dlaczego ją pożyczyłeś, skoro jej nie przeczytałeś?

– Nie umiem czytać.

Zaciągnąłem się dymem, jeszcze bardziej zakręciło mi się w głowie i nie byłem pewien, czy dobrze usłyszałem.

– Nie umiesz czytać?

– Te cholerne litery nie mogą ustać w spokoju. Cały czas zamieniają się na miejsca. Niech

je szlag trafi!

- Może potrzebujesz okularów?
- Moim oczom nic nie dolega. Tak powiedział lekarz szkolny.
- No to co ci jest?
- Jestem głupi.

Wskazałem skrzynkę, w której na pewno było coś ładnego, bo dużymi literami napisano na wieku „OSTROŻNIE”.

- Co tam jest napisane? – spytałem.
- Pocałuj mnie w dupę. Teraz twoja kolej.
- Moja kolej? Na co?
- Na zdradzenie tajemnicy. Ty też jesteś głupi?
- Nie mam żadnej.
- Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.
- A jesteście? Nie wiedziałem.

Iver jakby zapadł się w sobie, wyglądał jak zranione dziecko. Pożałowałem swoich słów. Zwykle tak nie mówiłem. Zwykle mówiłem to, co ludzie chcieli usłyszeć. Zazwyczaj zgadzałem się ze wszystkimi tak dalece, jak tylko się dało. Czy to szczęście odebrało mi wrażliwość, uczyniło odpornym, wyniosłym i odpychającym? Czy właśnie tak działa szczęście? Pamiętałem, co powiedziała Heidi, gdy spytałem, dlaczego po prostu nie wróci do domu, jeśli się boi tego, co może zrobić Lisbeth: „Ona jest moją przyjaciółką. Nie mogę jej zawieść”. Tak, byłem złym człowiekiem, najprawdopodobniej zgniłym na wskroś. Dodałem niezdarnie, mało przekonująco, ledwie słyszalnie:

- Ale teraz już wiem. Znaczy, że jesteśmy przyjaciółmi.
- Okej.
- Może mógłbym ci pomóc z literami?
- Dobrze.
- A jaka jest ta twoja druga tajemnica?
- Nie powiem.
- To twój brat? Twój brat jest tą tajemnicą?

Iver Malt powoli się wyprostował i spojrzał mi w oczy. Spojrzenie zmieniło się w ostrą czarną kreskę, którą nie do końca umiałem zrozumieć, ale na pewno nie zapowiadała ona niczego dobrego.

- Ja nie mam żadnego brata, więc niech cię to nie obchodzi.
- Nie musisz się złościć.
- Nie złoścę się. Jeszcze nigdy nie widziałeś mnie rozzłoszczonego.

Nie wiem, dlaczego dalej ciągnąłem temat, zamiast się zamknąć, ale ciągnąłem i nie mogłem przestać:

- No to przyrodni brat. On jest tą drugą tajemnicą?
- On też niech cię nie obchodzi. Bo ja nie mam też żadnego przyrodniego brata.

Przez chwilę wydawało mi się, że zaraz dostanę w gębę. Zrobiłem krok do tyłu i potknąłem się o zwiniętą cumę. Runąłem na pokład. Iver stanął nade mną.

- A ja i tak wiem, jaką masz tajemnicę – powiedział.
- To wiesz więcej niż ja.
- Masz dziewczynę.

Roześmiałem się serdecznie.

- Dziewczynę? Nie pieprz. Nie mam pojęcia, o czym gadasz.
- To ta nowa. Ta, która przyjechała razem z córką sędziego.

– To nie jest moja dziewczyna.

– Właśnie że jest. I dlatego nie ma już miejsca dla mnie, prawda? A może?

To ostatnie zabrzmiało jak błaganie. „A może?” Głos miał słaby, ledwie rozpoznawalny. Wstałem i odwróciłem głowę, bo nie mogłem znieść jego proszących psich oczu. Gdybym mógł wybierać, wołałbym, żeby się wściekł.

– Jasne, że jest. To znaczy miejsce dla ciebie. Poza tym ona wcale nie jest moją dziewczyną.

Zrobiło mi się zimno. W cieniu przy skałach siedziały blade dzieci. Słyszałem nierówną muzykę z gramofonu ze zdychającymi bateriami. Iver Malt nabrał powietrza i je przytrzymał.

– Właśnie że jest, tylko jeszcze o tym nie wiesz.

Siedziałem przy maszynie do pisania i czekałem, aż pojawi się Heidi, w związku z czym oczywiście nie udało mi się napisać ani słowa. Nie można jednocześnie pisać wiersza i czekać. Nawet jeśli czeka się na sam wiersz. Niech to zrozumie ten, kto potrafi. Ja w każdym razie z czasem to rozumiałem. Zachód Księżycy trwał spokojnie. Papier zaczął żółknąć, słońce nieźle sobie z nim poczynało. Wyrwałem kartkę, wkręciłem nową, wystukałem tytuł i znalazłem się dokładnie w tym samym miejscu. Heidi nie przychodziła. Bez względu na to, jak mocno waliłem w klawisze, nie przychodziła. Na szczęście padał deszcz. Dzięki temu przynajmniej omijało mnie gderanie matki, że mam się iść kąpać, bo przecież latem wszyscy się kąpią, i że nie mogę jesienią pójść taki trupioślady do nowej szkoły, bo wszyscy pomyślą sobie, że nie wyjechałem na żadne wakacje, a to jednoznacznie wskazywało, że się jest biednym, czego ona oczywiście sobie nie życzyła. Ale musiała się z tym pogodzić i tego sobie życzyć. Poza tym przypuszczałem, że większość uczniów w klasie z francuskim jest równie blada, a gdybym okazał się niedostatecznie blady, zamierzałem umówić się z Ciotką Soffen na kąpiel w occie. Wychodziłem z domu jedynie wtedy, kiedy musiałem iść do kibla albo rano po gazetę. Poza tym dwa razy w tygodniu odbierałem skrzynkę z artykułami kolonialnymi, którą sklepikarz zostawiał przy furtce, opróżnioną skrzynkę odnosiłem z powrotem. Matka czasami chodziła do wdowy Marudy Gulliksen zadzwonić do ojca i dowiedzieć się, jak się czuje. Podobno czuł się całkiem nieźle. Z nogą było lepiej, ale gorzej, zdaje się, ze stopą. Siedziałem przy maszynie do pisania i nie pisałem. Tęskniłem jedynie za tym, by usłyszeć zgrzyt zardzewiałej furtki i zobaczyć, że Heidi do mnie wraca. Słyszałem wyłącznie frachtowce, tak ciężkie od cementu i stali, że płynęły prawie pod wodą.

Prędzej czy później musiało przestać padać. W zasadzce czał się lipiec. Niebo zmieniło się w jasnoniebieski naprężony obrus. Widziałem jego spód czy wierzch? Mniej więcej takie rozważania snułem. Śmierć to biały obrus, który rozścielasz od spodu stołu. Szklanki i talerzyki wiszą tuż nad tobą, puste. Sztucce szukają twoich rąk, serwetka upada na podłogę, która jest sufitem. Mniej więcej takie rozważania wciąż snuję. Inhalowałem prozę i wydychałem metafory. Ale czy to pomagało? Dostałem bólu głowy i rozstroju żołądka. W końcu zrobiło się za ciepło na siedzenie w domu, zwłaszcza w pokoiku na poddaszu. Litery w maszynie do pisania prawie się topiły. Po otwarciu okna robiło się jeszcze cieplej. Kosz na papiery prawie się zapełnił, a na kartce wciąż był tylko tytuł. Próbowiałem się uspokajać tłumaczeniem, że i tak nie zdołam ukończyć wiersza, dopóki Apollo nie wyląduje na nawiedzonym Księżycu, że nie mogę brać żadnej zaliczki, bo to oszustwo, no a potem przeczytałem wiersz Heidi na głos. Ona usłyszy mnie pierwsza, najpierwsza. Zamiast pisać, przeniosłem się na leżak w wąskim, cennym pasku cienia za masztem i zacząłem czytać *Moby Dicka*. Coś musiałem robić. Wiedziałem, że nie pozbędę się Ivera Malta, dopóki nie przeczytam książki. Nie skończyłem jej. Przeczytałem pierwszą stronę i musiałem czytać jeszcze raz. „Imię moje: Izmael”^[31]. Zamiast czytać, zacząłem liczyć słowa. Na samej pierwszej stronie było ich siedemset sześćdziesiąt trzy. Ile to liter? Dwa tysiące dwieście czternaście. Nie mówiąc już o spacjach. Tych było także więcej niż dość, bo konkretnie sześćset trzydzieści cztery. Wpadłem w panikę. Jak mogłem zostać pisarzem, skoro liczyłem słowa, zamiast je pisać? Iver Malt, mój dręczyciel, skazał mnie na dożywotnie czytanie.

Nareszcie, o mój Boże, zgrzytnęła furтка. Trzymałem lornetkę w pogotowiu, nie żebym jej potrzebował, by móc dojrzeć, kto idzie, ale dobrze było ją mieć, dopóki nikt mnie nie widział. To nie była Heidi. Przyszedł Iver Malt. Przyniósł skrzynkę z artykułami spożywczymi i postawił przy wejściu. Kiedy matka, mrużąc oczy, wyjrzała z kuchni, Iver ściągnął swoją beznadziejną czapkę, ukłonił się nisko i zamasyście machnął ręką, jakby trzymał cylinder. Na twarzy matki

zmieniła się pogoda. Powiedziała coś, czego nie usłyszałem, na chwilę zniknęła i wręczyła Iverowi monetę. Miałem ochotę zapaść się na samo dno studni i zostać tam ze wszystkimi swoimi twarzami. Iver Malt u nas nie pracował! Nie należała mu się żadna zapłata! Nie powinien dostawać napiwku! Czy matka miała zamiar go zatrudnić?

Szedł teraz do mnie. Schowałem książkę pod leżakiem, zamknąłem oczy, udałem, że śpię i że kompletnie niczego nie zauważyłem. Usłyszałem, że zatrzymał się tuż obok.

– Twoja matka jest fajna.

Otworzyłem oczy i głośno ziewnąłem.

– Cześć, Iver. To ty?

– Orzeł czy reszka?

– Wszystko jedno.

– Musisz wybrać. Nie może być inaczej.

– Orzeł.

– Reszka.

Iver pstryknął monetą w powietrze, zawirowała, wznosząc się coraz wyżej, błyszcząca w ostrym świetle, na moment znieruchomiła w górze, ustawiona na sztorc, z orłem i reszką w pionie, po czym spadła wprost w jego dłoń. Przerzucił monetę do drugiej ręki, odczekał chwilę, potem uniósł dłoń i sprawdził.

– Orzeł – oświadczył.

– I co z tego?

– Wygrałeś.

– Co?

Iver tylko wzruszył ramionami.

– Chyba wszystko jedno. Wygrałeś i tylko to się liczy.

Nie mogłem zrozumieć Ivera Malta i wcale nie zamierzałem. Oparł się barkiem o maszt, zdrapał kilka płatków farby i schował je do kieszeni.

– Dlaczego nie chodzisz w butach? – spytałem.

– Bo nie.

– Bo co?

– Bo nie potrzebuję butów.

– Wszyscy noszą buty.

– Indianie nie noszą. Wiesz, co mówili Indianie?

– Howgh.

– Mówili, że trzeba chodzić boso, żeby nie spaść z globu ziemskiego.

– Nie spaść?

– W ziemi są magnesy, prawda? Inaczej byśmy pospadali.

– Ja jakoś nie spadam.

– Na razie. Ty też powinieneś spróbować chodzić boso.

– Ja nie spadam – powtórzyłem.

– Słyszę.

– Naśmiewasz się z mojej stopy?

– Z której?

– Jak to z której? Oczywiście z prawej.

– Nie widzę różnicy.

Oddałem mu lornetkę i uniosłem obie stopy.

– A teraz widzisz?

Ale Iver Malt nie patrzył na mnie. Śmiejąc się, obrócił się wolnym ruchem. Wreszcie się

zatrzymał i wskazał na wychodek.

- Twój rower – powiedział.
- Nie mogę otworzyć zamka.
- Jaki to zamek?
- Szyfrowy.

Podeszliśmy tam, a raczej ja poszedłem za Iverem Maltem.

- Zapomniałeś szyfru?
- Nie. Tylko że on nie działa.
- Jaki to szyfr?
- Taki jak mój wzrost.

Iver długo mi się przyglądał.

- Może urosłeś – stwierdził w końcu.
- I co z tego?
- Jesteś wyższy, prawda?
- I co z tego?
- Musisz mieć nowy szyfr, ty głupku.

Zakręciło mi się w głowie od logiki Ivera Malta. To było i logiczne, i idiotyczne. Oczywiście, że muszę mieć nowy szyfr. Byłem wyższy od starego szyfru z poprzedniego lata. Nic dziwnego, że nie działał. Nic się już nie zgadzało. Iver pogrzebał w kieszeni swoich krótkich spodni i coś w niej znalazł. Gwóźdź, kawałek drutu, nie wiem co jeszcze, po czym kucnął tyłem do mnie i mniej więcej w ciągu zero przecinek zero sekundy otworzył zamek. Usłyszałem to cudowne kliknięcie oznajmiające, że rzeczy wpasowują się w swoje miejsce, i poczułem głębokie zadowolenie, jakby to mojej dłoni dotykał zamek.

- Jak to zrobiłeś?
- Nie powiem.
- Nie pieprz.
- Nie powiem. Bo inaczej już do końca życia będziesz kradł rowery.
- Nie wygłupiaj się, powiedz, bo znów mogę zapomnieć szyfru.
- To go nie zamykaj, tak też będzie dobrze.
- Jeszcze ktoś mi go zwinie.
- A kto miałby to zrobić? Ja?
- Nic złego nie miałem na myśli.

Iver Małt przez chwilę stał z lornetką na szyi.

- Skończyłeś? – spytał wreszcie.
- Co?
- *Moby Dicka*.
- Na razie jeszcze nie, ale...

Zamachał rękami i przerwał mi.

- Nic nie mów. Nie mów nic, dopóki nie skończysz. Nie mów.

Zamierzał zdjąć lornetkę z szyi, ale teraz z kolei ja mu przerwałem:

- Możesz ją zatrzymać – powiedziałem.
- Zatrzymać? Lornetkę?
- Tak. Mniej więcej właśnie to powiedziałem.

Iver Małt powoli opuścił lornetkę i uśmiechnął się dziwnie, wręcz zawstydzony. Potem zniknął między sosnami i mrowiskami, za żywopłotem i pod ziemią, za ogrodzeniem i w Niece, przy skrzynkach pocztowych i w Signalen. Wyparował. Po dziś dzień wciąż potrafię wątpić, kiedy dopada mnie nastrój powątpiewania, czy to lato w ogóle było, czy też istnieje tylko

w mojej pamięci, w moim świecie, wydaje mi się, że to jedynie zniekształcenie czasu i przestrzeni, którego nie pamięta nikt oprócz mnie.

Zdarzało się, że matka siedziała na werandzie i śpiewała pod niebieskim baldachimem, zwłaszcza rano, kiedy wydawało jej się, że tylko ona wstała. Ale i tak ją słyszałem. Śpiewała też w mieście przez resztę roku. Czasami, kiedy wracałem wcześniej ze szkoły – nie wagarowałem, pewnie jakiś nauczyciel zachorował, a nie było nikogo na zastępstwo – już na schodach słyszałem śpiew matki. Stawałem wtedy przy skrzynkach pocztowych i słuchałem jej piosenek. Napełniały mnie głęboką ulgą, a jednocześnie, na tym samym oddechu, niepokojem, przypominającym zwątpienie i rozpacz, chociaż w tym czasie nie użyłbym akurat tych określeń do opisanego swoich uczuć. Te słowa są zastrzeżone dla spojrzenia wstecz, ale wcale nie mam pewności, czy jestem szczególnie mądrzejszy, gdy to piszę. Wtedy nie wiedziałem niczego, a rozumiałem wszystko. Teraz wiem wszystko, a nie rozumiem niczego. Stałem więc na dole, na chłodnej klatce schodowej, i słuchałem, a matka o tym nie wiedziała. Dlaczego nie śpiewała dla innych? Ciotki mówiły, że mogła być sławna, że podziwiano jej głos; kiedy chodziła do szkoły średniej, śpiewała w stowarzyszeniach i na różnych zebraniach w dzielnicy; zawsze zbierała owacje na stojąco. Twierdziły, że mogła daleko zajść, gdyby tylko kontynuowała śpiew. Ale matka go zarzuciła i teraz śpiewała wyłącznie wtedy, gdy miała pokoje tylko dla siebie, przed południem, kiedy ojciec był w biurze, a ja w szkole. Mieszkanie było jej sceną, a letnią operą – weranda. Kiedy zrezygnowała ze śpiewu? Gdy wyszła za męża? Albo urodziła mnie? Czy moje przyjście na świat położyło kres jej przyszłości? Nie mogła dłużej śpiewać z powodu ojca i mnie czy tylko mnie? Czyżbym był tak wymagający, ja, który najchętniej poruszałbym się na palcach? Czy my, ojciec i ja, zajmowaliśmy tyle miejsca w jej życiu, że śpiew i piosenki powoli, lecz zdecydowanie musiały nam ustąpić? *Over the Rainbow, Heaven Can Wait, Cheek to Cheek, We'll Meet Again, Bei Mir Bist Du Schön, There's a Song in the Air, Will You Remember, Whistle While You Work, Thanks for the Memory*. Już same tytuły wystarczyły. Sprawiały mi radość. Wnosiły powiew czegoś wielkiego. Moją ulubioną piosenką była jednak *Blue Skies*. Słowa, rytm, melodia – wszystko się zgadzało, to był utwór bez zadziorów, o nic nie zaczepiał, tylko płynął, piosenka, która wszystko zostawiała za sobą i kierowała się wyłącznie w przód, a więc dobra dla mojego serca, bo ono nie było tak skonstruowane. I jeszcze *You Can't Stop Me*. A jednak się zatrzymała. Ile piosenek ominęło świat? Ale w następnej chwili myślę: A może zrezygnowała ze śpiewania celowo? Może uważała, że nie jest dostatecznie dobra? Że nie ma sensu tego kontynuować? Może zwyczajnie знаła swoje ograniczenia? Może była akurat na tyle dobra, by wiedzieć, że nie będzie lepsza, i dlatego ograniczyła śpiewanie do kuchni i werandy? Później oczywiście rozumiałem, że rozpoznawałem w tym myśleniu własny lęk – przed swoim ograniczeniem i przed wielką przeciętnością. Pamiętam tamten dzień, kiedy przyjęto do druku moją pierwszą książkę, zbiór wierszy. Miałem dwadzieścia lat, byłem poetą, zamierzałem spalić za sobą wszystkie mosty. Już stały w płomieniach. Biegłem całą drogę ze studenckiego miasteczka w Sogn do matki, która chodziła sama po mieszkaniu, nie śpiewając, w każdym razie nie śpiewała, kiedy pokonywałem ostatni odcinek na górę po schodach, kiedy otwierałem drzwi kluczem – a więc wciąż jeszcze miałem klucz do tego mieszkania – zastałem matkę w kuchni i podałem jej list. Czytaj! – powiedziałem. Palę wszystkie mosty! Już płoną – powiedziałem, gdy czytała. Oddała mi list. Jestem z ciebie dumna. Naprawdę dumna. Natychmiast sobie przypomniałem, jakby był w tym jakiś porządek, tamto lato, kiedy to ja powinienem powiedzieć jej, że jestem z niej dumny. Czy kiedykolwiek pytałem matkę o to, jak się czuje? Na co ma ochotę? Nigdy. Palę wszystkie mosty, powtórzyłem. Płoną. To niezdarne, fałszywe zdanie wbiło mi się w mózg. Dlaczego? – spytała matka. Dlaczego? Dlaczego! Nie widzisz, co tam napisali? Zostałem przyjęty. Jestem z ciebie dumna, powtórzyła. Ale skończ najpierw studia. Nie mam na

to czasu! Owszem, Funder, masz dużo czasu. Pisać możesz w nocy. Śmiałem się głośno, chodząc tam i z powrotem po kuchni, w której matka nakryła już dla siebie: żółty kubek, zielona podkładka, serwetka w srebrnej obrączce, dżem z czarnej porzeczeki w niebieskim pojemniczku, dwie kromki chleba, jeden kawałek pieczywa chrupkiego. Drugie śniadanie, święty posiłek gospodyni domowej. Nie masz pojęcia, o czym mówisz! – zawołałem. Owszem, mam. Wiem wszystko o tym, jak ważna jest wolność. Te słowa mnie zaskoczyły, wręcz zaszokowały. O czym ty mówisz? Wolność? Matka odwróciła się do okna. Najwyższe drzewa w ogrodzie Robsahmów już wówczas ścięto i dlatego słońce wypełniało całe to pomieszczenie, czyli kuchnię – biuro matek w powolnie działającej fabryce rodziny. Teraz matka stała w swoim biurze w fabryce, w której zlikwidowano produkcję. Widziałem, że zadrżała; to było jak lawina trwająca zaledwie sekundę, może mniej, ale odniosłem wrażenie, że całe jej życie oderwało się i runęło, tak to sobie wyobrażałem. Zaraz się jednak wyprostowała, pozbierała i jednym ruchem uporządkowała swój gruz, podsumowując swoją przeszłość. Była wiosna. Zostałem pisarzem w maju. Wolność? O czym ty mówisz? Tylko o tym, powiedziała matka, że nie możesz się od nikogo uzależnić. Skończ studia i nie uzależniaj się. Dopiero wtedy będziesz mógł dokonywać właściwych wyborów. Rozumiesz, co do ciebie mówi niemądra starsza pani? Tak, rozumiałem. Miała wtedy o dziesięć lat mniej, niż ja mam teraz. Większości rzeczy, które umiem, nauczyłem się właśnie wtedy, w rodzinnej fabryce. Wolność to możliwość dokończenia. Możliwość zrealizowania czegoś w pełni. Mam nakryć też dla ciebie? – spytała. Czy teraz, kiedy zostałeś pisarzem, nie masz czasu? Roześmialiśmy się. Jasne, że tak. Pisarz jest głodny.

Książka się ukazała. Świat pozostał taki sam. Skończyłem studia i przez pewien czas, co prawda niedługo, pracowałem jako nauczyciel w liceum na północy Oslo, uczyłem norweskiego i historii. Napisałem w tym czasie więcej książek, to znaczy jedną powieść i jeszcze dwa zbiory wierszy; z jednego byłem nawet zadowolony, przynajmniej z tytułu – uświadamiam sobie teraz, że najczęściej jestem zadowolony z tytułów – *Wielbłąd w moim sercu*. Kiedy pierwszego dnia rano wszedłem do klasy, w której miałem być wychowawcą i uczyć norweskiego, oberwałem pomarańczą w czoło. Widziałem, kto ją rzucił, ale nie zareagowałem, przecież mimo wszystko przeżyłem, a pomyślałem, że być może zyskam szacunek, udając, że ta pomarańcza nie istniała. To był chyba błąd. Pojawiło się więcej pomarańczy. Z czasem jednak zaczęliśmy się dogadywać, klasa i ja. Polubiłem uczniów, oni też się do mnie przyzwyczaili, ustanowiliśmy coś w rodzaju zawieszenia broni, z którym wszyscy mogli żyć. Może więc jednak nie był to aż tak duży błąd z tą niby nieistniejącą pomarańczą. Muszę przyznać, że próbowałem napisać wiersz o nieistniejących pomarańczach. Był bardzo zły. Pisałem zresztą wieczorami i nocami, kiedy już poprawiłem wypracowania i przygotowałem się do lekcji na następny dzień. Któregoś dnia rano, idąc korytarzem do klasy, czułem się naprawdę fatalnie. Byłem też trochę spóźniony, co absolutnie nie leży w moim zwyczaju, właśnie wydałem zbiór wierszy i dzień wcześniej został przyjęty z mieszanymi uczuciami. W dwóch recenzjach naprawdę się na nim wyżywano, znalazło się w nich kilka sformułowań, z którymi nie mogłem i wciąż nie mogę żyć: że jestem płytki, zdolny, ale płytki, i nie mam nic do powiedzenia. Wlokłem się przez puste korytarze, mijałem wieszaki na ścianach, które w tym stanie ducha kojarzyły mi się oczywiście z rzeźnią. Zaszlachtowane zwierzę wraca na miejsce zbrodni. Miałem więc kaca i czułem się fatalnie. Poza tym byłem zdolny i płytki. W kółko powtarzałem w duchu zdanie, które nie pozwoliło mi zasnąć przez całą noc: następnym razem będę głęboki i tępy. Umiałem je nawet zaśpiewać. I może rzeczywiście je zaśpiewałem, bo nagle otworzyły się drzwi do pracowni fizyki i wyjrzał zza nich profesor Gundersen. Pochyliłem głowę zawstydzony, przyspieszyłem, odszukałem swoją klasę i pierwszą rzeczą, na którą zwróciłem uwagę, kiedy w końcu dotarłem na katedrę, była cisza. Co prawda uczniowie zazwyczaj niespecjalnie hałasowali ani nie robili zamieszania, bo tak jak

powiedziałem, od czasu pomarańczy zawarliśmy w pewnym sensie ugodę. Ale ta cisza była czymś innym, zupełnie innym, przykrywała coś innego, a więc jakąś tajemnicę, coś, o czym uczniowie wiedzieli, w przeciwieństwie do mnie. Natychmiast wzmogłem czujność. Mówiłem już wcześniej, że nie lubię niespodzianek. Chcę, żeby wszystko było jak zwykle. Czyżbym wpadł w pułapkę? To się robiło nieznośne, a mnie brakowało sił do kontrataku. Czekałem tylko na wielką niewidzialną pomarańczę. Jak długo to trwało? Nie wiem. Czy uczniowie chcieli w ten sposób złażyć mnie za spóźnienie na lekcję? Ukarać mnie swoim dobrym zachowaniem? Ukarać ciszą? Ale w tych młodych twarzach, młodszych ode mnie nie więcej niż o pięć czy sześć lat, a mimo wszystko jakby z zupełnie innego świata, młodych i nieukształtowanych, nie potrafiłem tego ranka odkryć żadnych złych zamiarów – tylko wyczekiwanie. W końcu klasa nie wytrzymała. Jeden z chłopaków wstał, był to zresztą ten, który swego czasu rzucił pierwszą pomarańczę, i wskazał na mnie, a raczej za mnie. A kiedy z punktu widzenia klasy nic tym nie wskórał, mieli już tego zupełnie dość. Opadli na ławki z westchnieniem i jękiem, a potem zaczęli jedno przez drugie wołać: „Niech pan spojrzy za siebie!”. Odwróciłem się i wreszcie zobaczyłem. Na tablicy narysowali duże serce, w nim wielbłąda, a pod spodem napisali: „Gratulujemy, panie pisarzu Funder! Jesteśmy z pana dumni!”. Oni też nazywali mnie Funder. Nie wiedziałem, jak mam się zachować, jak sobie z tym poradzić. Zawstydzilem się i wyszedłem na korytarz. Tam oparłem się czołem o wieszak i rozplakałem. Byłem nauczycielem licealnym, a stałem na korytarzu i płakałem z radości. Uczniowie mnie tu wysłali. Uczniowie wysłali mnie na korytarz, żebym płakał z radości. W końcu jednak się opanowałem, wróciłem do klasy; teraz cisza była zupełnie inna, ciężka i nasyciona, wręcz ospała, bo ci niezdarni uczniowie zrozumieli, jaką wagę może mieć uznanie. Oni mieli uznanie dla mnie. Potem rozległ się dzwonek na przerwę i mógł się rozpocząć dalszy ciąg mojego życia. Przestałem pracować jako nauczyciel jeszcze tej samej jesieni i zrozumiałem, że matka miała rację w tamto przedpołudnie w kuchni, kiedy w wieku dwudziestu lat chciałem spalić za sobą wszystkie mosty. Ten, kto tylko pali mosty, sam ginie w płomieniach. A głupek pali mosty, zanim przez nie przejdzie. Klasa z liceum na Grefsen jesienią 1980 roku była moim mostem, przejściem do społeczeństwa, w którym miałem funkcjonować jako pisarz do dziś, do chwili gdy to piszę: ta klasa stała się moją wolnością.

Dlaczego nie powiedziałem, że matka ładnie śpiewa? Że w tajemnicy jej słuchałem? Że jej piosenki działały na mnie uspokajająco, że uwielbiałem jej repertuar, bo niósł przesłanie o beztrosce, o bezpośredniości, którą wcześniej nauczyłem się cenić, ponieważ mnie tego brakowało, we mnie wszystko ciągnęło w dół albo sterczało w górę? Jej piosenki dawały mi pociechę, radość, sen, dźwiękową melancholię. Miały swoje pory roku. Wiedziałem, że wiosna przyszła, kiedy matka zaczynała śpiewać *Blue Skies*, tak samo jak wiedziałem, że coś jest źle, kiedy nie śpiewała. Dlaczego więc nie spytałem, co jest źle? Dlaczego nie okazałem jej uznania i nie powiedziałem po prostu, że ładnie, bardzo ładnie śpiewa? Nie powiedziałem tego. Wykorzystywałem każdą okazję do wykpiwania jej piosenek, mówiłem, że obrosły mchem, że może je zachować dla siebie, że ich miejsce jest w domu starców i jeszcze inne, gorsze rzeczy. Co odpowiadała matka? „Ale to i tak są moje piosenki”, tak mówiła.

Ale to i tak są moje piosenki.

Heidi nie przysłała z wizytą, a ja, ciężko myślący, bo właśnie taki byłem, zrozumiałem w końcu, że skoro Księżyc nie przychodzi do mnie, to sam muszę po prostu się na niego wybrać, chociaż to wcale nie było proste, bo jeszcze nigdy nie wbijałem flagi w takie ciało niebieskie ani, prawdę mówiąc, w żadne inne ciało.

Siedziałem w pokoiku na poddaszu, denerwując się, czyli usiłując wymyślić, jak to będzie przebiegać. Chciałem uprzedzić sny. Sny, te należące do nocy i do spania, były mimowolne i niepełne. Zawsze się rozmywały, gdy zaczynało się coś dobrego. Inaczej było z tworzeniem, ze snami na jawie, które można od pierwszej chwili kontrolować, zamiast pozwalać im się bezwolnie prowadzić tu i tam. Przede wszystkim Heidi miała być sama, kiedy przyjdę. Ta nędzna grupka maminsynków utknęła na mieliźnie przy Steilene, a Lisbeth aresztowano za włóczęgostwo, siedziała w Bredtveit, więzieniu dla kobiet, i czekała na wyrok śmierci. Asesor sądowy wyjechał na Przylądek Północny, żeby tam wydawać wyroki. Tęskniłam za tobą, mówi Heidi, wychodząc mi na spotkanie. Ja też. Co zajęło aż tyle czasu? Wiersz, moja droga. Musiałem skończyć wiersz, zanim ośmieliłem się znów spojrzeć ci w oczy. Przeczytaj, moja kochana, przeczytaj go dla mnie. Potem ja ci go przeczytam. Po czym? Najpierw mam ochotę się różnić.

Moje motto: „Wszystko w głowie!”.

Włożyłem koszulę, która leżała w głębi szafy od rozwiązania unii ze Szwecją, zrezygnowałem z tenisówek i wyszarpałem z dżinsów kilka nitek. Ja też musiałem włożyć mundur, żeby nikt mnie nie pomylił z bucami z Bandy Trzech.

Matka siedziała na werandzie.

– Naprawdę wychodzisz tak ubrany?

– A dlaczego nie?

– Bo wyglądasz jak obdartus. Mógłbyś przynajmniej włożyć buty.

– Najlepiej jest chodzić boso, inaczej można spaść z naszej planety.

– Ty najwyraźniej już dawno spadłeś. Próbujesz naśladować Ivera?

Ależ się wkurzyłem! Gotów byłem poszarpać na strzępy całą markizę. Czy wszyscy, nawet moja rodzona matka, uważali, że jestem naśladownictwem, kalką, jakimś cholernym odbiciem? Powinni się poznać na mojej wyjątkowości. Wiedzieć, że przyjęto do druku wiersz, którego nikt przede mną nie napisał, którego nie było na świecie, dopóki go nie stworzyłem. Gdyby wiedzieli, potknęliby się o moje dołki i już nigdy by się nie podnieśli. Zamierzałem im pokazać. Prędzej czy później, na pewno jeszcze im pokażę!

– A ty nie powinnaś była dawać mu pieniędzy.

– Co w tym złego? Wyświadczył nam przysługę.

– No to co?

– Sam mogłeś przynieść tę skrzynkę, gdybyś był czujny.

– Widać nie jestem!

– Dokąd idziesz?

– Donikąd.

– Donikąd? Masz na myśli Ivera Malta?

– Nie idę do Ivera Malta. Idę pojeździć na rowerze. W tym też jest coś złego?

– Myślałam, że pójdziemy się kąpać i opalać.

– Może innym razem.

– Innym razem? Nie zawsze jest jakiś inny raz.

Matka spojrzała na fiord, na wzgórze po jego drugiej stronie, rozmywające się w świetle

i farbach wodnych. Wolałbym, żeby tak nie mówiła. Tego lata te słowa stale powracały. „Innym razem”. „Nie zawsze jest jakiś inny raz”. Nie znosiłem tego refrenu. Można by napisać do niego muzykę i wynająć chór chłopięcy, a i tak brzmiałoby to równie ohydnie. Najgorsze jednak, że nie brzmiałoby fałszywie, tylko prawdziwie. Usiadłem, nie mając odwagi spytać, co ona tak naprawdę rozumie przez to, że nie zawsze jest jakiś inny raz.

– Są jakieś zdjęcia Ciotki Soffen z młodości? – spytałem.

– Na co ci one?

– Tak się tylko zastanawiam. To też źle? Czy muszę mieć jakiś powód do wszystkiego?

– A ja się zastanawiam, dlaczego nagle zainteresowałeś się starymi zdjęciami Ciotki Soffen. Nie musisz się złościć.

– Wcale się nie złościę.

– Wyglądasz na rozzłoszczonego.

– Jeszcze mnie nie widziałaś rozzłoszczonego.

Matka przyglądała mi się przez chwilę, zdziwiona i milcząca, w końcu poszła do pokoju i przeszukała szuflady. Jej żółty notes został na stole. Lato 1969. Miałem ochotę do niego zajrzeć. Nie wiem dlaczego. Czemu miałbym chcieć oglądać jej rachunki i listy zakupów? Ale ta myśl na dobre utkwiała mi w głowie. Musiałem zajrzeć do żółtego notesu. Inaczej nie zaznałbym spokoju. Tak już ze mną było, że kiedy raz coś mnie napadło, nie potrafiłem odpuścić, dopóki tego nie zrobiłem. Musiałem się opanować. Matka wróciła z albumem ze zdjęciami i położyła go na stole. Obejrzałem kilka fotografii, które niewiele mi powiedziały. Przerzucałem kartki, matka w pewnej chwili mnie zatrzymała. Pokazała palcem.

– To ona. To jest Ciotka Soffen w młodości.

Siedzi w wiklinowym fotelu przed werandą. Jest lato. Sukienka sięga jej do kostek. Na kolanach trzyma parasolkę od słońca. Twarz ma okrągłą, drobną. Przypomina szczeniaka. Jak dawno to było? Ciotki nie miały wieku. To mogło być tuż przed narodzeniem Chrystusa albo coś koło tego, gdyby oczywiście w tamtych czasach istniały klisze do aparatu.

– Najładniejsza dziewczyna w Kristianii – powiedziałem.

– Rzeczywiście, była piękna. Wszystkie ciotki były piękne.

Na zdjęciu byli jeszcze inni ludzie. Za Ciotką Soffen stał jakiś pan w białym garniturze i kapeluszu, a z wąsów sterczała mu fajka. Opierał się ręką o fotel, mrużył oczy z powodu dymu albo słońca, albo czegoś innego.

– Co to za błazen?

– Nie mów tak.

– Kim jest ten dżentelmen?

– To kawaler Ciotki Soffen. Francuz. Był, zdaje się, muzykiem.

– O rany! To dlatego Ciotka Soffen zna francuski.

– Rozmawiałeś z nią po francusku?

– Nie. To ona rozmawiała po francusku ze mną. A co się z nim stało?

– Chyba zamierzali się zaręczyć, ale nic z tego nie wyszło. Wyjechał do Francji i Soffen nigdy więcej o nim nie słyszała.

„Nic z tego nie wyszło”. Te słowa mnie mocno poruszyły, chwyciły i nie chciały puścić. Wszystko, z czego nic nie wyszło. Czyli większość rzeczy. Świat jest tego pełen, pełen wszystkiego, co nie wyszło. To było wręcz nie do zniesienia. Na zdjęciu Soffen uśmiecha się przebiegle, jakby skrywała jakąś wielką tajemnicę, a ową tajemnicą jest przyszłość. Prawdopodobnie jest szczęśliwa. Tak, jest szczęśliwa. Ja o tym decyduję. Życie jest blisko, tuż obok. Bliskie spełnienia. Ciotka Soffen siedzi jak na szpilkach, gotowa. Przygotowana. Czeka tylko na to, żeby ktoś krzyknął: „start”, bo ona jest już gotowa do biegu. Ale nikt nie krzyknął.

Kiedy patrzymy na zdjęcie, wszystko już minęło. Bieg się odbył. Co jest pomiędzy? To, z czego nigdy nic nie wyszło. Ogarnął mnie wielki smutek, śledziona zaczęła się powiększać nie tylko na myśl o Ciotce Soffen, lecz również o sobie, bo byłem i wciąż jestem przejęty sobą, a nagle pomyślałem o tym wszystkim, z czego nic nie wyjdzie w moim życiu. O rachunku, który zawsze będzie na minusie. O czerwonych liczbach nad łóżkiem.

– A więc jednak był błaznem.

Matka się roześmiała.

– No tak.

Na zdjęciu jest jeszcze jedna osoba, dziewczynka, której głowa ledwie wystaje nad skrzynki z kwiatami na werandzie. Prawdopodobnie wcale nie miała być na tym zdjęciu. Jest po prostu ciekawa i sprawdza, co się dzieje. Nie chce, żeby cokolwiek jej umknęło. Ma krótko obcięte włosy, z grzywką na pazia, tak to się chyba nazywało, spojrzenie otwarte i przyjazne. Ona też jest przygotowana, jeszcze niegotowa do biegu, ale przygotowana.

– To ja – powiedziała matka.

Czy jej coś wyszło? Czy jej życie się spełniło? Czy matka stała się tym człowiekiem, o jakim marzyła dziewczynka wśród kwiatów na werandzie? Czy matka odpowiedziała na otwartość małej i spełniła jej marzenia? Nie mogłem tego wiedzieć, nie mogłem wiedzieć, o czym marzyła. Koniec końców, wiedziałem mało, albo wręcz nic o nich, o matce i dziewczynce, którą kiedyś była. Jestem skazany na domysły. Każde inne stwierdzenie jest kłamstwem.

– Ile masz tutaj lat? – spytałem.

– Siedem lat i cztery miesiące.

– Dobrze to pamiętasz.

– Tego lata nauczyłam się pływać.

– Muszę już lecieć.

Matka zamknęła album.

– Nie chciałam tak powiedzieć.

– Jak?

– Że myślisz tylko o sobie.

– Nic nie szkodzi.

Może jednak miała rację. Nie mogłem tego wykluczyć. Prawie zapomniałem, że ojciec leży ze złamaną nogą w mieście i nie ma go tutaj. Znów przyszła mi do głowy ta nieczysta, dokuczliwa myśl, że jestem złą osobą. Że nie jestem dobrym człowiekiem. Musiałem się skupić na tym, żeby być dobry. To nie przychodziło samo z siebie. Poza tym przypuszczałem, że dobrym człowiekiem się jest, a nie postanawia nim być.

– Miałaś jakieś wiadomości od ojca?

– Musi wypoczywać.

– Nie możemy go odwiedzić?

– Zobaczymy.

– Zobaczymy? Dlaczego?

– Bo potrzebuje wypoczynku.

Matka uśmiechnęła się nagle i spojrzała na mnie z ukosa.

– Jak jej na imię? Heidi?

– Kto tak powiedział?

– Ciotki wspominały o jakiejś dziewczynce, która ma na imię Heidi.

– I co z tego?

– Ja tylko pytam, Chris. Przecież sam o niczym nie mówisz.

- Co mam ci mówić, skoro nie ma nic do powiedzenia.
- Myślałam, że masz na oku Lisbeth.
- Lisbeth? No to musisz się zastanowić jeszcze raz.
- Aha. Tylko uważaj na siebie, dobrze?
- Mam uważać? O co ci chodzi?
- Kiedy będziesz jechał rowerem. Tak łatwo się zamyślasz. A o wypadek nietrudno.

W gruncie rzeczy nie miałbym nic przeciwko temu, żeby doszło do wypadku. Nie dawano mi spokoju. Wszystko musiało zostać rozgrzebane. Każdy kamień miał za wszelką cenę zostać odwrócony, a ja musiałem grzecznie wypełznąć i ukazać się w obrzydliwym świetle. To było nie do zniesienia. Już sama myśl o tym, że nie można mieć żadnej tajemnicy, nie dawała się wytrzymać. Przyszła mi do głowy jeszcze inna oszałamiająca, przesłaniająca wszystko myśl, również ona prawie nie do zniesienia, że pozostawione w spokoju będzie jedynie to, co miałem napisać, czego jeszcze nie napisałem, to, czego jeszcze nie było, ale z czego miało coś wyjść.

Pojechałem rowerem odpowiednio okrężną drogą, żeby się uspokoić, co wcale się nie stało; w końcu schowałem grata w krzakach i ostatni kawałek przeszedłem piechotą. Lisbeth siedziała w wysokiej trawie z kijem do krokietu i piwem. Poza tym miała na sobie połowę bikini, to znaczy tylko tę dolną. Niewiele. Prawie nic. Wsunąłem ręce do kieszeni i podszedłem do niej naturalnie niedbałym, w mojej opinii, krokiem, patrząc wszędzie indziej, byle tylko nie na jej piersi, niezbyt duże, nie było co krzyczeć „hura!”, ale ja i tak krzyczałem „hura!” na widok każdych piersi. Lisbeth musiała chodzić bez stanika już od dość dawna, przynajmniej co do tego miałem pewność, bo jej piersi były równie brązowe jak reszta ciała i uda, co dało się stwierdzić, kiedy się spuściło na nie wzrok, a ja to zrobiłem, bo nie mogłem się powstrzymać.

- Grasz w krokietu? – spytałem.
- Inteligentne pytanie. Piję piwo.
- Widzę. A w krokietu grasz w międzyczasie?
- Mniej więcej właśnie w takiej kolejności, owszem. Fajnie wyglądasz. Specjalnie się tak wystroiłeś?
- Nie, a dlaczego miałbym się stroić? A ty?
- Jak widzisz, bardzo mało się wystroiłam. Cholernie ci oczy lecą w te miejsca, w których nie zdążyłam się wystroić.
- Myślałem, że masz areszt domowy.
- Jestem wolna, jak widzisz. Wolna jak ptak.
- Rzeczywiście, widzę. A umiesz fruwać?
- Cholera, fajnie się z tobą gada. Ale umiesz coś więcej, niż tylko gadać?
- Zarzucać puszkę.

Lisbeth się roześmiała, wstała, pociągnęła łyk piwa, a jednocześnie trzepnęła natrętnego gza szykującego się do ataku na nią z hamaka, w którym leżał kot – w idiotycznym upale nareszcie było mu dobrze. Żadna inna odpowiedź nie wpadła mi do głowy. Lisbeth odwróciła się do mnie i dalej się śmiała.

- Zarzucać puszkę, no, no. Już myślałam, że nigdy nie nabierzesz odwagi, żeby przyjść.
- Odwagi? Dlaczego miałbym nie mieć odwagi?
- W każdym razie za bardzo się nie spieszyłeś.
- A jest coś pilnego?
- Cholera, pewnie, że jest, przystojniaczku. Ona czeka przy domku kąpielowym.
- Kto?
- Kto? To znaczy, że przyszedłeś tylko pogapić się na mnie, przystojniaczku?
- Wcale się nie gapię.

– Uważasz, że nie ma na co?
– Pewnie, że jest. Mnóstwo.
– Pewnie, że jest? To zabrzmiało bardzo przekonująco. Postaraj się bardziej, poeto. Zrób to dla mnie.

Podeszła o krok bliżej i wystawiła piersi, bezwstydnie, a zarazem skromnie. Cofnąłem się, bo nie chciałem dać się w to wciągnąć, chociaż nie bardzo wiedziałem w co. Czy ona przed chwilą nazwała mnie poetą?

- Nie ma twoich rodziców?
- Nie. A co? Wyjechali wczoraj. Zrobiłeś coś złego? Chciałbyś dostać jakiś mały wyrok?
- Właściwie to nie. Dość się nasłuchałem kazań.
- Cholera, Chaplin, coraz zabawniej się z tobą konwersuje. Musimy to robić częściej.
- I z tobą też. Wspomniłeś o domku kąpielowym?

Lisbeth wskazała na fiord.

– Tamtędy, kochany. Kiedy poczujesz, że masz mokre nogi, to będziesz prawie na miejscu.

– Dobrze.

– A kiedy zobaczysz, że masz wodorosty w zębach, to będzie znaczyło, że zaszedłeś za daleko.

– Bardzo ci dziękuję. Cholernie miło z twojej strony.

– Nie ma za co, kochasiu. Tylko zachowuj się przyzwoicie.

Poszedłem w stronę wskazaną przez Lisbeth. Las nagle się skończył, wysokie sosny wypuściły mnie i wyszedłem na przybrzeżne skały. Zatrzymałem się. Miałem wrażenie, że przechodzę z jednego świata do drugiego. Odległości istniały już tylko we mnie. Każdego dnia tego lata otwierały się przede mną jakieś drzwi i nie miałem żadnego wyboru, musiałem iść dalej. Siedziała odwrócona tyłem na samym końcu małego pomostu przy domku kąpielowym. Mokre włosy spływały jej na ramiona, widziałem przezroczyste krople przyklejone do skóry. Chyba nagle zrobiło jej się zimno, bo zarzuciła na plecy żółty ręcznik. Czyżby to ode mnie bił chłód? Wyczuła, że się na nią gapię? Podeszedłem bliżej, starając się stąpać po martwych muszlach, żeby narobić lekkiego hałasu. Nie chciałem zjawiać się zbyt nagle. Wreszcie się odwróciła i wcale nie wyglądała na zaskoczoną. Za to ja udałem zaskoczenie.

– O rany, siedzisz tutaj?

– Najwyraźniej.

– Zimna woda?

– Letnia.

Usiadłem przy niej. Widać stąd było miasto i nawet słyszeć dzwonki na wieży ratusza, tak blisko byliśmy, dźwięk jednak zniekształcał się i wykrzywił w ciągu tego krótkiego czasu, jaki zajmowało mu dotarcie do nas, a w końcu brzmiał jak krowie dzwonki pod wodą; nie żebym często słuchał krowich dzwonek pod wodą, ale to było najbliższe porównanie, na jakie wpadłem. Żarłoczne mewy czyściły dzioby blaskiem słońca i skrzeczały nad śmieciami pływającymi przy zielonym brzegu, gdzie leżał na grzbiecie krab z rozczapierzonymi szczypcami. Pragnąłem jedynie wziąć ten ręcznik, który Heidi miała na ramionach, i zetrzeć z niej gęsią skórę.

– Przyniosłeś swój wiersz? – spytała.

– Właściwie nie. Bo widzisz, nie jest jeszcze całkiem skończony.

– Obiecujesz, że mi go przeczytasz, kiedy skończysz?

– Jasne. Daję ci słowo.

Roześmiała się, a mnie ogarnęło zawstydzenie. Kiedy się głębiej zastanowię,

przypominam sobie, że wszyscy tego lata się wstydzieli. Można by sądzić, że będzie raczej odwrotnie, że tego lata, lata podboju Księżycy, wszyscy będą czuli się dumni. Ale tak wcale nie było. Co ja przed chwilą powiedziałem? Daję ci słowo. Tak jakbym za chwilę miał powiedzieć: na dobre i na złe, dopóki śmierć nas nie rozłączy i cały dalszy ciąg tej instrukcji użycia. Innymi słowy, rozmowa stanęła w miejscu. Miło by zresztą było po prostu tak sobie posiedzieć razem bez gadania, może nawet lepiej, ale taki już byłem, że nie znośiłem milczenia w obecności innych. W samotności byłem człowiekiem milczenia, absolutnie, potrafiłem godzinami się nie odzywać, ale z innymi, a zwłaszcza z dziewczyną o imieniu Heidi, milczenie było niemożliwe.

– Czytałaś *Moby Dicka*? – spytałem.

– Tylko o nim słyszałam.

– No to powinnaś przeczytać. To opowieść o wielorybie albinosie, który waży szesnaście ton i nikt nie może go pokonać.

– O wielorybie albinosie? Są takie?

– No jasne. Białe wieloryby. Niewiele ich jest. Może tylko jeden, jak się dobrze policzy. Za to ten jeden jest niezwykle stary. Mogę ci pożyczyć. To znaczy książkę, nie wieloryba. Gdybyś chciała. Mogę ci ją nawet dać.

Poczułem nagle, że Heidi patrzy na mnie, próbując ukryć uśmiech w kąciку ust, prawym. Nie udało się. Pewnie patrzyła tak przez cały czas, podczas gdy ja pracowałem na jałowym biegu, zasnuwając Oslofjorden mgłą i spalinami.

– À propos białych wielorybów – powiedziała – powinieneś się trochę opalić.

– Pisarze się nie opalają.

– Nie?

– Zamiast się opalać, myją się octem.

– To dlatego nazywają cię Chaplin?

Nie bardzo już wiedziałem, o co chodzi. Musiałem się nagłówkować nad związkami między wielorybem albinosem, pisarzami, octem i Chaplinem, nawet ja, okręgowy mistrz obrazowego myślenia, znalazłem się w kropce, nie umiałem znaleźć odpowiedzi. Czy ona chciała mnie wypróbować? Chyba właśnie tak. Wypróbowywała mnie. Zdawałem ustny egzamin z metafor. Nagle się rozluźniłem, zupełnie, nie mam pojęcia, skąd się to wzięło, po prostu przyszło, pewnie dlatego, że siedziałem razem z pokrewną duszą w cichym zakątku lata. Czy nie należało mówić wprost? Gdybym tak zrobił, być może Heidi nagrodziłaby moją szczerość, może nawet moglibyśmy stać się sobie pokrewni czymś więcej niż tylko duszami.

Wskazałem na swoją prawą stopę.

– Urodziłem się nogami do przodu.

– Aha?

– To bardzo rzadkie. Raz na sto tysięcy. A może więcej. To znaczy mniej. W każdym razie bardzo rzadkie.

– Mam nadzieję, że tak jest. Ze względu na matki.

Uznałem, że nie potraktowała tego dostatecznie poważnie.

– Mogłem mieć końsko-szpotawą stopę.

Od razu pożałowałem swoich słów. Szpotawa stopa to za mało, żeby się nią chwalić. Musiałem potraktować temat ostrzej.

– Mogłem też mieć haluksy. Wiesz, co to są haluksy? Palce u nóg splećją się w jakiś cholerny supeł i nie można ich rozdzielić. W najgorszym razie musieliby mi amputować obie nogi. Na szczęście tego uniknąłem. Jak zresztą widzisz.

– Obie?

– Obie. A w najlepszym razie jedną. Od kolana w dół.

– I dlatego nazywają cię Chaplin?
– To przez stopę, prawda? Jest pod kątem. Tak jak u Chaplina, prawda? Tyle że on miał krzywe oba buty. A ty co myślałaś?

– Że dlatego, że przypominasz czarno-biały film.

– Ale nie jestem niemy. Uważasz, że powinienem zacząć chodzić o lasce?

Heidi się roześmiała, położyła i słońce padło na nią całą. Powinna wiedzieć. Powinna wiedzieć, jak bardzo była prawdziwa w tej chwili.

– Dziwak z ciebie – stwierdziła.

– Już raz tak mówiłaś. Co to znaczy? Wariat? Opóźniony w rozwoju? Głupi? Wolno myślący? Neandertalczyk?

Zaczekała, aż skończę ten trójskok przez słownik.

– Po prostu inny, Chris.

– Nazywaj mnie Funder, tak jak mówiłem.

– Okej, Funder. Po prostu trochę inny.

– Tylko trochę?

Teraz mogłem być jeszcze bardziej prawdziwy niż Heidi. To zależało ode mnie. Dobrowolnie pokazałem jej swoją stopę. Mogłem też pokazać dołki i nadać słowu „inny” nowe znaczenie. Ale nie miałem odwagi. Tu, tego lata, na wąskim pomoście przy domku kąpielowym, było to niemożliwe. Bałem się, że zniszczę to, co się zaczynało. Nie chciałem zakłócać radości wyczekiwania, ssania nadziei, beznadziejnie dużej nadziei, jakby życie, tak, właśnie życie, moi państwo, przesuwało się niczym ciężko wyładowany frachtowiec i ciągnęło nas albo za sobą, albo w dół. Chciałbym, żeby baśnie nie zaczynały się od słów: „Był sobie kiedyś”. Powinny się zaczynać od: „Jest sobie kiedyś”. Albo jeszcze lepiej: „Będzie sobie kiedyś”. Ściągnąłem koszulę i oboje zmieściliśmy się na żółtym ręczniku. Właśnie wtedy zrozumiałem swoją najgłębszą istotę, jeśli w ogóle coś takiego miałem, jakąś istotę w sobie, a mianowicie że nie chcę być inny. Chciałem być zwyczajny. Koniec końców chciałem być zwyczajny. Nie chciałem, żeby moja istota robiła wokół siebie zbyt dużo hałasu. Leżeliśmy tak blisko, że czułem prąd płynący z jej biodra i barku. Dystans między nami przybrał formę skorupki, która przy najmniejszym ruchu napęłniłaby się albo stłukła. Nakryłem dłonią rękę Heidi, a ona mi na to pozwoliła. Posunąłem się przynajmniej o kawałek, ale do przejścia zostało mi jeszcze dużo. Nagle wśród mew usłyszałem warkot zbliżającej się motorówki. Usiedliśmy równocześnie. To był oczywiście Putte i reszta bandy. Niestety, nie utknęli jednak na mieliźnie przy Steilene. Jeden zero dla przekłętej rzeczywistości. Wszyscy stali w łódce i rzucali pustymi butelkami w morze albo w mewy, co właściwie wychodziło na jedno. Musiałem pokazać, ile jestem wart.

– Nie róbcie tego! – zawołałem.

– Cześć, Blackie!

Blackie? Czyżbym dostał jeszcze jedno imię, i to teraz, kiedy już zacząłem się przyzwyczajać do wszystkich pozostałych?

– Blackie? Kto to jest? Jest tu ktoś, kogo nie widzę?

– Najprawdopodobniej. Jesteś taki blady, że prawie przezroczysty. No a poza tym to łowisz dzisiaj na puszkę czy bez?

– Aleś ty zabawny!

– Złowiłeś coś, Blackie? Czy dopiero masz branie?

Śmiech, śmiech i jeszcze więcej śmiechu. Samolubny śmiech. Jak ja go nienawidziłem, jak gardziłem tym hałaśliwym śmiechem, na jaki pozwalają sobie niektórzy, kiedy coś wcale nie jest zabawne. Ale Heidi się nie śmiała. A w takim razie ten śmiech w ogóle mi nie przeszkadzał. Dopóki Heidi się nie śmiała, mogli się śmiać tyle, ile chcieli. Prawie nabrałem rozpędu.

- Nie róbcie tego! – powtórzyłem.
- Czego?
- Nie rzucajcie pustych butelek do wody. Ryby się mogą pociąć.
- Pociąć? A to źle? Złapiesz do puszek już oczyszczoną makrelę.

Przybili z hukiem, aż cały pomost się zatrząsał. Tu nie było żadnych odbijaczy, nic, co by przyjęło uderzenie i odepchnęło łódkę. Nie chce mi się zresztą w tej chwili poświęcać więcej miejsca i czasu na te beztalencia, dodam tylko, że Putte chciał zabrać Heidi do sąsiednich domków kąpielowych, bo tam coś się działo, jakaś impreza z okazji odpływu, ale ona nie chciała i Putte w końcu odpuścił.

- Może Lisbeth jest wolna – podsunąłem.

Dlaczego tak powiedziałem? Putte spojrział na mnie, Heidi na mnie spojrziała, wszyscy na mnie spojrzeli.

- Lisbeth wolna? O co ci chodzi?
- Może ona z wami popłynie.
- Wolna? Żarty sobie stroisz z Lisbeth? Żarty? Z Lisbeth?
- Nie to miałem na myśli. Dlaczego miałbym żartować z Lisbeth?
- A skąd miałbym to wiedzieć? Nie umiem, do cholery, czytać w cudzych myślach.

Ogarnij się, Blackie. Słońce cię poparzyło.

- Ja wcale nie żartuję z Lisbeth. Ona siedzi w ogrodzie i sama ze sobą gra w krokieta.
- Putte znów odwrócił się do Heidi, ale wskazał na mnie.
- Chcesz, żeby cię przymurowało do tego leniwca?
- Może przyjdziemy później.
- Może przyjdziemy później. Cholera, nie chce mi się tu dłużej tkwić i do końca lata grać w zapałki.

Wskoczył na pokład i wreszcie odpłynęli, całe szczęście, ale ten dzień już i tak był zepsuty, w każdym razie prawie. Putte przywołał mnie do porządku. Dużo niżej nie można już upaść. Dlaczego mówiłem rzeczy, których nie powinienem był mówić? Przecież nikt mnie nie zmuszał. Mówiłem różne rzeczy, żeby zadowolić ludzi, mówiłem rozmaite rzeczy, które, jak sądziłem, ludzie chcieli słyszeć, a tymczasem osiągałem efekt wprost przeciwny. Nikogo nie zadowalałem. Czy tak samo będzie z pisaniem? Czy będę pisał to, co według mnie ludzie chcą czytać? Kiedy przyjdę tu następnym razem, zatroszczę się o to, żeby padał deszcz. Wtedy będziemy mogli usiąść w domku kąpielowym, niewidzialni, nieskrępowani, przynajmniej do takiego stopnia, do jakiego mogę się nie krępować w towarzystwie Heidi w domku kąpielowym podczas deszczu. Z drugiej strony wątpię, by Heidi siedziała na pomoście, jeśli będzie lało, więc właściwie wracałem do punktu wyjścia. Powtórzyłem sobie: jestem w punkcie wyjścia. Utknąłem. Nie nabrałem żadnego rozpędu.

Poszliśmy do Lisbeth. Maszerowaliśmy w odstępach kilku metrów.

- Pójdziemy do nich później? – spytałem.
- Tak tylko powiedziałam, żeby się ich pozbyć.
- To był powód, żeby podejść do niej trochę bliżej.
- Czy Lisbeth nie jest wolna?
- Masz na myśli „łatwa”?
- Nie, po prostu wolna.
- Nie ma chłopaka. Z nikim nie chodzi, jeśli o to pytasz. Zainteresowany?
- Ależ skąd.

Heidi się roześmiała.

- Właśnie że tak.

Odezwałem się dopiero po chwili.

– Skąd znasz Lisbeth?

Rzuciła we mnie szyszką. Podobało mi się, że rzuca we mnie szyszkami. Równie dobrze mogła rzucić całą sosną.

– Lisbeth padła ci na mózg?

– Nie. Na mózg? Skąd. Po prostu pytam.

– Jesteśmy przyjaciółkami z dzieciństwa.

– Byłem kiedyś u niej na urodzinach. Już dawno temu. Może ty też tam wtedy byłaś?

– Może. Nikomu się już nie chce przychodzić do niej na urodziny.

– Dlaczego?

– A ty byś przyszedł?

Lisbeth huśtała się w hamaku. Przywołała nas do siebie. Kota nigdzie nie zauważyłem.

Podeszliśmy bliżej.

– Opowiedz o Iverze – powiedziała.

– Ale co?

– Co? To ty masz opowiadać. Inaczej bym cię nie prosiła, prawda?

– Iver chodzi boso.

– To każdy widzi. Wymyśl coś lepszego.

– Jego matka piecze pyszny chleb.

– Nagle zrobiłeś się cholernie nudny, Christian. Opowiedz o tym pijaku.

– O ojcu?

– A są tam jacyś inni pijacy?

– On robi błystki, na które Iver łowi.

– Nie stać ich, żeby kupować gotowe?

– Może jego ojciec robi lepsze.

– Na pewno. Gównu mnie to zresztą obchodzi. Opowiedz o jego bracie.

– Z tego, co wiem, nie ma żadnego brata.

– Z tego, co wiesz? No to o przyrodnim bracie, o niemieckim bękarciu, tym debilku. O nim opowiedz.

– On nie ma też żadnego przyrodniego brata. Przynajmniej na tyle, na ile udało mi się to wyjaśnić.

– A kto tam strzela?

– Na tyle, na ile zdołałem to stwierdzić, uśmiercają kury strzałem w tył głowy.

– Znakomicie, pięknie. Wyrabiasz się. A co z tym psem, który nie umie szczekać?

– W ogóle go nie słyszałem.

– No bo nie umie szczekać. Co robiłaś z naszym chłopczykiem, Heidi? Opalałaś go czy tylko łaskotałaś w uszko?

– Daj spokój, Lisbeth!

Przyszedł czas, żeby się wycofać. I tak zrobiłem. Wycofałem się cicho i spokojnie. Wydaje mi się zresztą, że w ogóle tego nie zauważyły. Odszukałem rower w krzakach. Miałem wielką ochotę zamknąć oczy, puścić kierownicę i pojechać z górki do pomostu, ani razu nie hamując, żeby za parę dni Iver Malt mógł mnie złapać na haczyk, biało brzuchego witlinka ze szprychami zamiast ości. Ale nie zrobiłem tego, to mogłem tylko zmyślić. Stworzyć. No to mnie macie. A nie mówiłem? Wszystko w głowie. Tak brzmi moje motto. Pojechałem do domu. Matka ciągle siedziała na werandzie i przeglądała żółty notes. Pewnie robiła rachunki, licząc towary, które dostaliśmy od kupca w zeszłym tygodniu, no i musiała przygotować listę zakupów na następny tydzień. Kiedy mnie zobaczyła, najpierw zaczęła się śmiać. Najwyraźniej tego dnia

wszyscy się śmiali. Czyżby coś mnie ominęło? Czyżby to był międzynarodowy dzień śmiechu pod egidą ONZ? A może NATO zdecydowało, że mieszkańcy wszystkich krajów członkowskich 14 lipca mają się śmiać? Albo rząd premiera Bortena coś wymyślił? Czy ja też powinienem się śmiać? Tylko że nie było mi do śmiechu.

– Spaliłeś się – powiedziała matka.

– Naprawdę? Dobrze, że mi powiedziałaś, od razu zrobiło mi się lżej.

– Nie musisz się złościć tylko dlatego, że ci to mówię.

– Wcale się nie złościę. Dlaczego mówisz, że się złościę, kiedy wcale tak nie jest, co?

Przez chwilę tylko patrzyła na mnie w milczeniu i akurat w tej chwili byłem pewien, że widzi moje dołki. Przez moment miałem ochotę położyć jej głowę na kolanach i powiedzieć: „Spójrz na moje dołki, bardzo cię proszę, zobacz je”.

– Przyniosę ci maść – oświadczyła.

– Najlepiej ocet, dobrze?

– Coś się stało, że jesteś taki zły?

– Znów to samo! Nie jestem zły! Dlaczego miałbym być zły?

– Właśnie o to pytam. Ale i tak nie musisz się na mnie złościć.

– Jeśli jeszcze raz powiesz, że jestem zły, to naprawdę się wścieknę!

Przypadkiem przewróciłem filiżankę, minąłem matkę i poszedłem do swojego pokoju. Skóra mi trzeszczała. Odważyłem się stanąć przed lustrem i uderzyłem w krzyk. Twarz też miałem spaloną. Wyglądałem jak spuchnięta śliwka. Może to już nigdy nie zejdzie. Może byłem skazany na wieczny rumieniec. To była moja kara. Jeżeli istniał jakiś czartowski bóg gdzieś na górze, na lewo od Księżycy i dalej prosto, to skazał mnie, Christiana, Chrisa, Chaplina, Blackiego albo Fundera, możecie mnie nazywać, jak chcecie, na wieczny zachód słońca. Czułem, że będę musiał zamknąć się w domu na dobre, a kontakt z ludzkością utrzymywać przez listownik i dziurkę od klucza. Jedno w każdym razie było pewne: już nigdy nie spojrzę w lustro. Dałem sobie słowo honoru. Nigdy więcej luster. Spróbowałem popisać wiersz, niebędący jeszcze wierszem, tylko tytułem, który podobał mi się zresztą coraz mniej. Ale nie da się pisać, kiedy skóra trzeszczy i człowiek przypomina zgniłą śliwkę. Otworzyłem więc *Moby Dicka* i zacząłem czytać. Ta książka naprawdę, jak już mówiłem, z każdą przerzuconą stroną stawała się coraz grubsza. Każde zdanie było niczym przeszkoda, na którą musiałem się wspinać, w dodatku coraz wyższa. A kiedy już się przedostałem na drugą stronę, to musiałem zawracać, żeby sprawdzić, czy wszystko ze sobą wziąłem. Tak to się toczyło, to znaczy w ogóle się nie toczyło. Toczyło, ale w drugą stronę. W tył. Zacząłem czytać do tyłu i stawałem na: „Imię moje: Izmael” za każdym razem, kiedy usiłowałem przejść dalej. A miało być jeszcze gorzej, bo doczytałem do miejsca, w którym powieść jeszcze się nie zaczęła, i w końcu zamiast kartek przewracałem powietrze. Z całej siły rzuciłem *Moby Dickiem* o ścianę. Grzbiet pękł i mniej więcej siedemset trzy strony rozsypały się na podłodze, układając się w odwrotnej kolejności. Zgarnąłem je wszystkie i upchnąłem w koszu na papiery. Kiedy się wyciszyłem, usłyszałem, że matka śpiewa na werandzie. To była moja piosenka, *Blue Skies*, ta, która płynie, ta, na której ja mogę płynąć, która nigdy się nie zatrzymuje, tylko dalej trwa w refrenach ułożonych ze słońca. Nabrałem takiej zuchwałości, że nie dotrzymałem złożonej sobie obietnicy i znów odwróciłem się do lustra. Musiałem zasłonić usta obiema dłońmi, żeby nie krzyknąć. Teraz jeszcze dostałem odry. Cała gęba przypominała piłkę plażową w czerwone kropki. Nie poznałem się. Jakbym pochylał się nad studnią i napotkał w niej czyjeś obrzydliwe spojrzenie, chory widok. Odsunąłem się, ale to nie pomogło. Ciągle tam byłem. Zamknąłem oczy, dotknąłem twarzy palcami i odniosłem wrażenie, że pełno na niej łańcuchów górskich, w dodatku bolesnych. To mój wewnętrzny rumieniec wyszedł na wierzch. Zasłużyłem na to. Niektórzy używają znaków wodnych. Mnie naznaczył

ogień. Miałem wypalone piętno. Nigdy więcej nie spojrzę sobie w oczy. Nigdy więcej nie przejrę się w lustrze. Nigdy. Nigdy nie spojrzę w lustro. Tym razem przysięgam to sobie na wszystkie świętości. Powtórzyłem: nigdy więcej luster!

Odczekałem chwilę, dopóki również matka się nie wyciszyła.

Zszedłem na dół.

– Spójrz na mnie – powiedziałem.

Podniosła głowę.

– O co chodzi?

– Nie widzisz? Co to jest?

– Musisz podejść bliżej.

Zrobiłem krok w jej stronę.

Niebieskie, ciche słońce wisiało nad Kolsås. Żółty notes leżał na stole jak ostatni rozżarzony płomień, punkt wieczoru, w którym wszystko mogło zatonać.

– Nie mogę się już nigdzie pokazać. Nie mogę się pokazać ludziom. Jestem skończony.

– Nie wygłupiaj się.

– To odra?

– Już miałeś odrę.

– Mogę mieć jeszcze raz. Może pogryzły mnie osy, chociaż wcale tego nie poczułem?

– Ciotka Massa dała ci dziurawiec?

– Tak.

– Kiedy człowiek się opala po wypiciu dziurawca, to tak się dzieje.

– Przejdzie?

– Wszystko przechodzi.

Poszedłem do swojego pokoju i zostałem tam, dopóki mi nie przeszło. Ale to nie przechodzi na stałe. Przechodzi tylko tym razem.

Iver Malt stał w progu z wielkim wiadrem farby i pędzlem.

– Chorowałeś?

– Bo co?

– Bo tak wyglądasz.

Natychmiast zrobiłem się czujny.

– Tak wyglądam?

– Błady jesteś.

Takie rzeczy lubiłem słyszeć, to znaczy, że jestem błady, neutralny, że się zlewam.

Usposobiło mnie to przyjaźnie.

– Co się dzieje?

– Maszt.

– Co z masztem?

– Będziemy go malować.

– Kto tak powiedział?

Rozejrzałem się, ale nigdzie nie zobaczyłem matki. Panowała cisza. Nawet trzmiiele spały.

Słońce wskazywało piętnaście po dwunastej. Iver ruszył w stronę masztu.

– Pospiesz się! – zawołał. – Skończymy, zanim twoja matka wróci.

– Wiesz, gdzie ona jest?

– Na pewno poszła zadzwonić do twojego ojca. Widziałem ją na drodze do Pynten. To nie tam mieszka ta plotkara? Ta, co ma telefon?

Właściwie chyba wtedy Iver Malt mi się sprzykrzył. Okrążył mnie. Wiedział więcej ode mnie. Przestałem już być przyjaźnie usposobiony. Musiałem się go pozbyć.

– Skończyłem już *Moby Dicka* – skłamałem.

Iver nic nie powiedział, tylko szedł dalej.

– Nie chcesz się dowiedzieć, kto wygrał?

– Później. Tak żebym miał się na co cieszyć.

Ruszyłem za nim. Nawet tu, czyli w domu, w moim miejscu, szedłem za nim. Słońce wpadło między dwie chmury, światło było ciężkie. Iver podał mi swoją czapkę.

– Na co mi to, do cholery?

– Żebyś się znów nie spalił.

Jeszcze bardziej się wkurzyłem.

– Naprawdę myślisz, że będę chodził w tej czapce? Z Esso?

– Nie wiem. Nie chcesz?

– Wolę się upiec, niż ją włożyć.

– Aha. Nikt cię nie zmusza, żebyś w niej chodził.

– Cholernie głupio wygląda.

Iver jakby się zdumiał.

– Nie musisz się złościć.

– Po pierwsze, wcale się nie złościę.

– Aha. To dobrze.

– Po drugie, jeszcze nigdy nie widziałeś mnie rozszłoszczonego.

Natychmiast usłyszałem, że te słowa też nie są moje. To były słowa Ivera Malta. Tego lata słowa krążyły. A ja chciałem mieć własne, a nie przejmować cudze. Iver włożył czapkę na głowę.

– Ty mnie też – powiedział.

Zabraliśmy się do masztu. Najpierw musieliśmy go złożyć, ale nie daliśmy rady. Mocowanie zardzewiało. To była bardzo radosna nowina. Mogliśmy się rozejść i zostawić wszystko tak, jak było. Iver zaproponował jednak, że wdrapie się na samą górę i będzie się ześlizgiwał ze skrobaczką w rękę. Przyniósł bowiem ze sobą nie tylko farbę i pędzel, miał też skrobaczkę, papier ścierny i środek do czyszczenia srebra. Nie chciał ustąpić. Nie było odwrotu. Podstawiłem więc drabinę, Iver niemal wbiegł po szczeblach, a ja stałem na samym dnie świata i trzymałem. Przyszła mi do głowy myśl, żeby puścić i odejść. Do domku kąpielowego, na skały, do wszystkiego, co było daleko stąd, daleko od Ivera Malta. Skończyło się na pomysł. Ale mogłem to zapisać. Już sama myśl o tym, że mogę zapisać pomysł, który przyszedł mi do głowy, chociaż nic z niego nie wyszło, napełniła mnie szczerą radością. Jeszcze mocniej przytrzymałem drabinę, żeby Iver nie wykonał ostatniego lotu jaskółki. Wkrótce posypały się na mnie suche płatki farby. Przypominały martwe, poszarpane motyle. I stronie *Moby Dicka*. Potem było malowanie. Iver zapewnił mnie, że to dokładnie ten sam kolor co poprzednio, przecież wziął dla pewności płatek farby, kiedy był tu ostatnio. Iver był zapobiegliwy. Iver myślał o wszystkim. Iver planował. Znów wbiegł na górę i schodząc, malował. Wreszcie zostało już tylko samo zwieńczenie dzieła, kula czy kopułka, jak nazywały ją Ciotki. Iver wziął papier ścierny i środek do czyszczenia srebra i po raz trzeci wzbil się w chmury. Pracował wysoko pod napiętym jasnyniebieskim niebem, a przy furtce zatrzymała się matka z panią Wdową Wytwórną Plotek Gulliksen. Na widok Ivera Malta udającego flagę obie rozdziawiły usta. W końcu matka przybiegła z krzykiem:

– Złaż stamtąd! Ale już! Natychmiast!

Ale Iver Małt nie zlażł ani już, ani natychmiast. Nie wiem, czy dostał wielkiej drżączki, czy też po prostu to olał. Matka chwyciła drabinę i dalej krzyczała. Tak wścieklej nigdy jej nie widziałem, bo owa wściekłość była przemieszana ze strachem, a nikt nie bywa bardziej wściekły niż osoby, które się również boją. Jej twarz zacisnęła się jak pięść. Podmuchał wiatru porwał czapkę Ivera. Matka zaczęła krzyczeć jeszcze głośniejsze, jednocześnie sycząc do mnie cicho przez zacisnięte zęby, tak się przynajmniej wydawało. Spodziewałem się większej awantury już po wszystkim, jeśli obejdzie się bez zbyt wielu poległych.

– Co wy wymyślacie? Na miłość boską! Przecież on się może zabić!

– Chcieliśmy tylko zrobić niespodziankę...

– Niespodziankę! No to rzeczywiście wam się udało!

Przerwała nam Wdowa Głośnik Gulliksen, która wciąż stała przy furtce, nie pozwalając, by takie przedstawienie przeszło jej koło nosa. Teraz z kolei ona zaczęła pisać, ale jej na sercu leżało co innego.

– Naprawdę uważa pani za słuszne, żeby to chłopaczysko z baraków naprawiało maszt do flagi?

Wtedy coś się stało z matką. Supeł na jej twarzy się poluzował. Spojrzenie jednak pozostało harde. Puściła drabinę. Spódnicę miała poplamioną farbą, ale tym najwyraźniej się nie przejęła. Długo patrzyła na tę Gulliksen, która wrosła w ziemię przy naszej furtce.

– Co pani przez to rozumie?

– Ależ pani dobrze wie!

– Nie, niestety. Absolutnie nie wiem, co pani przez to rozumie.

Pani Kłótniwa Gulliksen wskazała na Ivera Malta, który stał bosy z gołą głową na najwyższym szczeblu drabiny i pucował kopułkę, jakby nic się nie stało.

– Jak ktoś taki, syn hitlerowskiej dziwki, może malować maszt do naszej flagi!

Matka ujęła się pod boki, barki od razu zrobiły jej się szersze, a ja już wiedziałem, że sytuacja jest poważna. Cholera, już byłem z niej dumny!

– Czy ma pani coś do zarzucenia wykonanej pracy?

– Słucham?

– Proszę podejść bliżej i sprawdzić. Według mnie nasz maszt nigdy nie wyglądał ładniej.

Wdowa Obrażona Gulliksen najwyraźniej nie miała na to ochoty, nic więcej nie leżało jej też na sercu, poza jednym prychnięciem. Zdażyłem pomyśleć, że teraz już zniknie na dobre. Gullikse. Gulliks. Gullik. Gulli. Gull. Gul. Gu. G. Na koniec wytarłem duże G i zdmuchnąłem pył w prażące słońce. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem! To przecież takie proste. Iver wreszcie zlął na dół. Matka wciąż stała podparta pod boki i patrzyła na nas groźnie.

– Niech wam się nawet przez moment nie wydaje, że nie jestem na was zła – oświadczyła.

Do powiedzenia zostało nam jedynie milczenie.

– Przynajmniej posprzątajcie.

Obserwowałem mrówki chodzące po żwirze.

– Ja posprzątam – powiedziałem.

Matka kazała mi podnieść głowę.

– Wy posprzątajcie. A poza tym zasłużyliśmy na dobry obiad. Zjesz z nami, Iverze?

Miałem ogromną nadzieję, że odmówi. Nie mógł raczej iść szukać swojej czapki?

– Tak – powiedział Iver. – Bardzo chętnie.

Zamietliśmy płatki złuszczonej farby, wynieśliśmy drabinę do szopy, a ja przekląłem świat i wszystko, co ze sobą niósł. Nie znosiłem nie tylko jedzenia u innych, tak samo źle było mieć obcych przy stole. Moje dołki zrobiły się głębokie i błotniste jak okopy. Kiedy skończyliśmy sprzątać, jedzenie było już gotowe. Umyliśmy ręce i usiedliśmy na werandzie. Matka zaserwowała kotlety schabowe ze smażonymi plastrami ananasa. Dla Ivera Malta było to coś nowego. Nie zdziwiłoby mnie, gdyby podobnie rzecz się miała z nożem i widelcem. Może nie wiedział też, do czego służy serwetka. Wstydzilem się tak myśleć, ale dalej tak myślałem. Gorzej, że nie umiałem z nim rozmawiać przy matce. Iver natomiast umiał. To znaczy umiał rozmawiać z matką w mojej obecności. A matka potrafiła rozmawiać ze wszystkimi.

– Pani jest fajna – powiedział.

– Dziękuję ci, Iverze. Bardzo mi miło, że tak mówisz.

Dlaczego ja nigdy tego nie powiedziałem, że moja matka jest fajna, że jest fajna i że jestem z niej dumny? Dlaczego te słowa tak mnie zawstydzają, że zatrzymywałem je w środku, dla siebie, tam gdzie nie było z nich żadnego pożytku? Nie wiem. Wiem tylko, że wszystkie proste słowa mogą się okazać trudne do wymówienia. A kiedy jest za późno, przychodzi ci do głowy jedno zdanie po drugim, które powinieneś być powiedzieć, ale nie powiedziałeś. Jesteś fajna, mamo. Trzeba było Ivera Malta, żeby te słowa padły.

– Jak tutaj jest zimą? – spytała matka.

– Bardzo spokojnie. – I niemal ze smutkiem, prawie zawstydzony dodał: – To znaczy kiedy nie ma awantury.

Chciałem, żeby matka spytała, jaki rodzaj awantur Iver Malt ma na myśli, ale ona zatrzymała się w tym miejscu. A spojrzenia, jakie mi posyłała między jednym a drugim kąsem, wyraźnie mówiły, że ja też mam dalej nie drażyć, chociaż w ogóle nie miałem takiego zamiaru.

Na deser były truskawki ze śmietaną. Później Iver chciał pomóc przy zmywaniu. Jakie będzie następne posunięcie? Bejcowanie domu? Wykopanie nowej studni? Zbieranie agrestu? Na szczęście matka stwierdziła, że z tym sama da sobie radę, to znaczy ze zmywaniem, ale „na szczęście” nie zawsze oznacza pełnię szczęścia, bo wynikało z tego, że będę siedział sam z Iverem na werandzie, kompletnie nie wiedząc, jak się zachować.

– Co za awantury? – spytałem.

Iver Malt odwrócił głowę i upłynęła chwila, zanim znów na mnie spojrział.

– Teraz twoja kolej na opowiadanie – powiedział.

– Opowiadanie czego?

– Jak poszło.

Ja, tego lata nieustający idiota, sądziłem, że ma na myśli Heidi.

– Tak sobie.

– Tak sobie? Co przez to rozumiesz?

– Tak sobie – powtórzyłem.

Iver nachylił się nad stołem zdezorientowany i zniecierpliwiony.

– Co to znaczy: tak sobie?

Musiałem z tym skończyć raz na zawsze. Musiałem skończyć z Iverem Maltem.

– Tobie, do diabła, nic do tego – oświadczyłem.

Iver przez dłuższą chwilę milczał, patrzył na mnie, wzrok mu spochmurniał. Nagle zaczął się śmiać.

– Myślałeś, że mnie chodzi o twoją dziewczynę! O Heidi! Tak myślałeś! Ale śmieszne!

Zawstydzony, odwróciłem głowę w stronę tego przekłętą fiordu, wzgórz w tle i samolotu startującego z lotniska Fornebu. Chętnie znalazłbym się na pokładzie tej maszyny, bez względu na to, dokąd leciała. Tak jak powiedziałem, to było zawstydzone lato. Wszystko przez Księżyc. To on tak z nami robił. Księżyc nie świeci własnym światłem. On je tylko pożycza. Ludzie chcieli odebrać cnotę wstydliwemu Księżycowi i dlatego on zsyłał na nas cały swój rumieniec na okrągło, przez całą dobę.

– Cholernie zabawne – powiedziałem.

– Mnie chodziło o *Moby Dicka*, ty idioto! Kto wygrał?

Zaryzykowałem, postawiłem na wieloryba. Poza tym Iver nie czytał książki, więc w zasadzie mogłem odpowiedzieć cokolwiek.

– Wygrał biały wieloryb.

– Wieloryb? Dlaczego?

Znalazłem się na grząskim gruncie. Chciałem, żeby to lato prędko się skończyło.

– Bo z białymi wielorybami nie ma żartów.

Wtedy przeżyłem coś dziwnego. Iver Malt się wkurzył. Widziałem to po nim. Wkurzył się porządnie. O to mu chodziło, kiedy mówił, że nie widziałem go rozzłoszczonego?

– Gówniana książka! Niech cię szlag trafi!

– Nie ja ją napisałem. Uspokój się!

– Niech szlag trafi i tak.

– A co jest złego w tym, że wygrał wieloryb?

– Zwierzęta mają wygrywać z ludźmi? Za cholere!

– Wieloryb jest większy.

– Co z tego? A jak jest polowanie na łosie, to czyją stronę trzymasz? Myśliwego czy łosia?

Wzruszyłem ramionami.

– Niczyją.

– Tak się da?

– Tak.

– Nie wierzę.

Przez chwilę milczeliśmy. W głębi ducha, wszystko jedno, gdzie była ta głębia, miałem nadzieję, że to już nasz koniec. Pomalowaliśmy maszt, zjedliśmy kotlety i porozmawialiśmy o *Moby Dicku*. Powinno wystarczyć. Pierwszy przerwał ciszę Iver:

- Pójdziemy jutro na ryby?
- Już się umówiłem – skłamałem po raz drugi.
- Z Heidi?
- Nie twoja sprawa.

Iver szybko się poderwał.

- Mogę ci pokazać swoją drugą tajemnicę.
- Nie możesz o niej po prostu opowiedzieć? Skoro już tak koniecznie...
- Nie – przerwał mi. – Musisz ją zobaczyć.

Pobiegł do furtki i wkrótce zniknął mi z oczu. Chciałem, żeby zniknął na dobre. Właśnie tak myślałem. Nie miałem od niego spokoju. Chciałem mieć spokój. Sam dla siebie byłem dostateczną awanturą. On się mnie uczeplił, a ja chciałem dalej pracować nad wierszem o Księżycu. Zgodnie z moim zamysłem w tę noc, kiedy ludzie zgwałcą Księżyc, powinna mi zostać do napisania tylko jedna linijka. Jediną osobą, która miała pozwolenie na to, by mi w tym czasie przeszkadzać, była Heidi. Ale być może jej już nie zależało na tym, żeby mi przeszkadzać. Co mogłem wiedzieć? Nic. Mniej więcej tyle wiedziałem. Fiord zmienił wzór. Wtedy znów zauważyłem żółty notes. Leżał pod stołem. Podniosłem go. Na okładce były nazwisko matki i rok. „Lato 1969”. Już miałem otworzyć. Czułem, że się nie powstrzymam. Musiałem zajrzeć. W tej samej chwili weszła matka i gwałtownie zatrzymała się w drzwiach otwartych na zacieniony salon. Szybko odłożyłem notes.

- Co byś powiedział, gdybym to ja zajrzała do tego, co piszesz? – spytała.

Chciałem powiedzieć, że może nie ma tego świadomości, ale jest pewna różnica między wierszem a rachunkami i listami zakupów. Mogłem również powiedzieć, że nie napisałem ani jednego cholernego słowa, więc może sobie zaglądać, ile jej się żywnie podoba.

- Przepraszam – powiedziałem.
- Nie poszedłbyś któregoś dnia ze mną na plażę? Tak tam teraz ładnie.
- Może.
- Wstydzisz się matki?
- Oczywiście, że nie. Miałbym się wstydzić? Dlaczego?
- Nie wiem.

Teraz, właśnie teraz mogłem powiedzieć, że jestem z niej dumny.

- Dlaczego to zrobiłaś? – spytałem zamiast tego.
- Co zrobiłam?
- Nakrzyczałaś na Gulliksen.
- Ponieważ ona nie ma prawa tak mówić o Iverze. Poza tym wcale nie krzyczałam.
- Więc jak to nazwiesz?
- Przywołałam ją do porządku. Czasami trzeba coś takiego zrobić.
- Nie będziesz już mogła dzwonić do ojca.
- Zawsze są jakieś konsekwencje.
- Możesz dzwonić z promu.

– No widzisz. Wszystko się ułoży. Mam cię zresztą od niego pozdrowić. Musi mieć nogę w gipsie aż do sierpnia.

– Nie sądziłem, że to aż tak poważne. Poprzednim razem mówiłaś, że stopa jest tylko zwichnięta.

Matka zapaliła papierosa i prawie zniknęła w niebieskiej niespokojnej chmurze, w obojętności, albo raczej w lekceważeniu wszystkiego; tego lekceważenia jej życzyłem, lecz mimo wszystko mnie przerażyło.

- Nigdy nic nie wiadomo – powiedziała.

Przez resztę wieczoru szukałem czapki Ivera i w końcu ją znalazłem w mchu przy ogrodzeniu.

Supeł w maszynie do pisania! Sześć czcionek splecionych ze sobą w bukiet martwych liter. Próbowałem je rozplątać. Na nic. Próbowałem je rozerwać. Też na nic. Oporne kwiaty. Kiedy się to stało? Nie miałem pojęcia. Czy to Ciotka Soffen grzebała w maszynie, siedząc tutaj? Czy może ja wpadłem w amok, próbując czytać *Moby Dicka*, i nie wiedziałem, co robię? A może czcionki same poszły do kąta albo po prostu się ze mną drażniły? Wszystko jedno. Zacząłem walić w wolne litery i w końcu cały alfabet się zaciął. Położyłem się i nie mogłem zasnąć. Znów wstałem, wysypałem papiery z kosza i próbowałem poskładać *Moby Dicka*. Przy stronie trzydziestej ósmej nie miałem już siły. Nagle coś mi wpadło do głowy. Jestem dość powolny w naciskaniu cyngla, ale kiedy już raz odpalę, to jednak nie jestem wcale taki najgorszy. Przemknąłem się na parter, otworzyłem kosz na ubrania stojący pod schodami, wygrzebałem czasopisma z dna, wróciłem na górę i rozłożyłem je na łóżku. I rzeczywiście w serii Ilustrowani Klasycy znalazłem *Moby Dicka* Hermana Melville'a. „Słynne książki i zdarzenia przedstawione w nowy zabawny sposób”. Teraz przeczytanie *Moby Dicka* zajęło mi nie więcej niż trzy minuty i osiem sekund. „Ku tobie płynę, wszystko niszczący, lecz nie zwycięski wielorybie. Do ostatka zmagam się z tobą, z samego serca piekieł godzę w ciebie. W imię nienawiści plwam na ciebie ostatnim mym tchnieniem!”^[4] Położyłem się i teraz mogłem już zasnąć.

Następnego dnia rano spakowałem walizeczkę, przypiąłem ją do bagażnika roweru, włożyłem czapkę i pojechałem do Signalen. Iver Malt siedział na swoim turystycznym krzeselku z ostatnią kurą na kolanach i lornetką na szyi.

– Najwyraźniej się pomyliłem co do zakończenia *Moby Dicka* – powiedziałem.

– Ty też nie umiesz czytać?

– Skończyło się remisem. Kapitan Ahab też wygrał.

– I jak to wyjaśnisz, Funder?

– Kapitan Ahab wygrał ze sobą.

Iver podniósł lornetkę i długo mi się przypatrywał.

– Masz rację – powiedział.

– Świetnie. No to załatwione.

– Masz rację, że ta cholerna czapka wygląda idiotycznie. Możesz ją zatrzymać.

Zerwałem czapkę z głowy i rzuciłem Iverowi. Nie podniósł jej z ziemi.

– Posłuchamy razem relacji z lądowania na Księżycu? – spytał.

– Już się umówiłem.

– Wczoraj też tak powiedziałeś.

– Jak?

– Że już się umówiłeś. Zawsze już jesteś umówiony.

– I co z tego?

– Ale jednak przyszedłeś. Wyjeżdżasz?

– Nie. A dlaczego?

Iver ze śmiechem wskazał na walizkę.

– Z nią w każdym razie daleko nie zajedziesz.

– Właśnie przez nią przyszedłem. Trzeba ją zreperować.

Wstał, lornetkę zostawił na krzeselku, a kurę rzucił na sznur do suszenia bielizny.

– Chodź – powiedział.

Poszedłem za nim za barak. Było tam wąskie pole, na którym rosły rzepa, ziemniaki i marchew, a za nimi stała szopa, gdzie ojciec Ivera miał swój warsztat. Weszliśmy do środka. Wewnątrz krzywe pomieszczenie wydawało się o wiele większe niż z zewnątrz, otwierało się

niemal jak kościół, i gdybym miał jeszcze na głowie czapkę Ivera, najprawdopodobniej od razu bym ją ściągnął. Wszędzie wisiały narzędzia: śrubokręty, noże, pilniki, kombinerki, młotki, palniki i mnóstwo rozmaitych innych rzeczy, których nazw ani przeznaczenia nie znałem. Nie wiedziałem, że istnieje aż tyle różnych narzędzi. Tutaj kierownice rowerów zmieniały się w lichtarze. Maski samochodów stawały się półmiskami i baliami. Wózki dziecięce przeobrażały się w wieszaki, a dekle w rondle. Wszystko, co tutaj trafiało, wychodziło stąd jako coś innego. Z nadwyżki zaś powstawały błystki. Wisiały na sznurze rozciągniętym między drzwiami a oknem, na pewno ze trzydzieści sztuk, może więcej, rozmaitych kształtów i kolorów. Iver podszedł bliżej.

– Ta jest najlepsza na witlinka – pokazał. – Ta na dorsza. A jeśli chcesz złowić makrele, to musisz użyć tego błyszczącego diabelstwa tam. Jest naprawdę podstępna.

– Czy to jest twoja druga tajemnica? – spytałem.

– To żadna tajemnica, głupku. Wszyscy wiedzą, że ojciec robi najlepsze błystki. Prawda, tato?

Dopiero teraz go zauważyłem. Siedział na stołku w kącie i prawie zlewał się ze ścianami, tyle narzędzi i żelastwa miał przy pasku i w kieszeniach długiego skórzanego fartucha. Czyścił lufę strzelby i w ogóle się nie spieszył, ale w końcu powiesił ją na ścianie i odwrócił się do nas.

– Mógłbyś zreperować walizkę Fundera? – spytał Iver.

– Muszę ją najpierw zobaczyć.

– Właściwie nie chodzi o walizkę – mruknąłem. Położyłem ją na stole i podniosłem pokrywę. Ojciec Ivera zajrzał do środka, wycierając ręce.

– Ho, ho. Co ty takiego pisałeś na tej biedaczce?

– Funder pisze wiersze – powiedział Iver. – Prawda, Funder?

Ledwie mogłem uwierzyć, że zaplątałem się w to wszystko z własnej woli.

– Zdarza się – odparłem.

Ojciec Ivera pstryknął w czcionki, nachylił się, przyjrzał uważniej, a potem sięgnął po nieduże kombinerki i długie szydło, które delikatnie wetknął w supeł, kombinerkami odginając czcionki. Wyobraziłem sobie, że moja maszyna trafiła do szpitala z zatwardzeniem i leży znieczulona na stole operacyjnym. Nagle naprężone czcionki rozłożyły się i wróciły na swoje miejsca. Pamiętam ten widok bukietu zmieniającego się w uspokojone litery. Napawałem się nim, wciąż się nim napawam, chociaż z pewnym żalem, z pewnym smutkiem i czarnym sumieniem.

– Teraz chyba da się na niej napisać wiersz albo dwa – stwierdził ojciec Ivera.

Zamknąłem walizkę.

– Dziękuję.

– Nie ma za co.

Podszedłem do drzwi. Iver dalej stał przy ojcu.

– Czy Funder może do nas przyjść i u nas słuchać relacji z lądowania na Księżycu?

– Pewnie, że może. Jeśli chce.

Iver w zapale zaczął podskakiwać, jak miał w zwyczaju.

– Oczywiście, że chce. Mama upiecze chleb, a Funder przeczyta nam wiersz!

Odwróciłem się, bo nie miałem siły spojrzeć mu w oczy. Tutaj był jedynie dzieciakiem, pełnym nadziei gówniarzem, który już na mnie czekał. Nie mogłem tego znieść.

– Myślę, że Funder powinien sam odpowiedzieć, Iver – stwierdził jego ojciec.

Musiałem się do nich odwrócić. Co innego mogłem zrobić, niż podziękować i powiedzieć, że przyjdę, chociaż ostatnią rzeczą, na jaką miałem ochotę, było czytanie wiersza i jedzenie domowego chleba, bez względu na to, jak był pyszny, podczas lądowania na Księżycu.

Ale zrobiło mi się żal Ivera. Szkoda mi go było. Paskudnie się czułem.

– Oczywiście, że chcę – odparłem. – Bardzo dziękuję.

Iver objął mnie za ramię i wyszliśmy.

– Chodź – powiedział.

Poszedłem za nim, tym razem do umocowanego lekko pod kątem włazu prowadzącego najprawdopodobniej do ziemianki. Był zamknięty na mocny rygiel.

Iver szybko się rozejrzył.

– Uważaj teraz – szepnął.

Zapukał we wąż. Już po chwili z drugiej strony usłyszałem jakieś dźwięki, dziwne i odległe. Iver w tym czasie nie odrywał ode mnie wzroku. Wydawał się niemal dumny. Potem znów wszystko ucichło tam, w środku, czy raczej tam, w dole. Iver chwilę odczekał, przyciągnął mnie bliżej i znów walnął pięścią we wąż. I znów usłyszałem te dźwięki, buczenie, wycie, skargę. Dźwięki przerażały, wolałem ich nie słyszeć, chciałem uciec, ale stałem w miejscu i słuchałem. Też zacząłem szeptać, jakbym się bał, że jeśli będziemy mówić za głośno, z ziemianki wyrwie się jakaś zła moc.

– Co to jest, Iver?

Znów spojrzył na mnie, uśmiechnął się; jeszcze nigdy go takiego nie widziałem. Miał w sobie zapał, a zarazem wstrzemięźliwość. Nie chciał tego powiedzieć, ale nie mógł się pohamować.

– Spytaj raczej: kto.

– Kto?

– Tak. Spytaj, kto to jest.

– Kto to jest?

Iver nabrał powietrza.

– Mój brat.

Nie mam pojęcia, jak długo milczałem, i nie miałem pojęcia, czy mam mu wierzyć.

– Nie żartuj – powiedziałem w końcu.

– Wcale nie żartuję. Mieszka tu, odkąd pamiętam. Albo jeszcze dłużej.

– Dlaczego? To znaczy...

Iver mi przerwał. Wiedza paliła go w środku już od bardzo dawna. Teraz wreszcie miał szansę ugasić płomień, nic nie mogło już go powstrzymać.

– Bo to wariat. Nie może być na zewnątrz, to się źle kończy. Właściwie jest całkiem łagodny, ale i tak źle się kończy.

– Kłamiesz.

Iver wzruszył ramionami.

– No dobrze. Kłamię. To nie jest mój brat. To mój przyrodni brat.

Zrozumiałem, że mówi poważnie.

– Są takie miejsca, gdzie...

– Masz na myśli domy wariatów? Tutaj jest mu o wiele lepiej.

– Skąd wiesz?

– Wiem tylko, że mama nie chce go oddać, chociaż jego ojcem był Niemiec. I nikt nie wie, że on tu jest.

– Nikt?

– Tylko my.

Roześmiał się.

– On właściwie nie istnieje. Wyobraź to sobie!

– Co masz na myśli?

– Nie był ochrzczony ani konfirmowany. Nie przynosi do domu uwag w dzienniczku. Nie dostanie powołania do wojska. Nie istnieje. Czy to nie byłoby fajne – nie istnieć? Można wtedy robić, co się chce.

Wokół nas zapadła cisza. Potem znów rozległy się te przeraźliwe dźwięki. Musiałem zatkać uszy. Iver śmiał się, tańczył i wydawał się równie szalony.

– Nigdy go nie widziałeś?

– Kilka razy. Kiedy mama daje mu jeść. Masz ochotę go zobaczyć?

Pokręciłem głową. Iver zachichotał.

– Widzę, że masz. Masz ochotę zobaczyć Henry’ego. Mówimy na niego Henry.

– Nie – powtórzyłem.

Iver znów zrobił się niespokojny i podniecony, jakby musiał to powiedzieć, zanim będzie za późno.

– On jest wielki. Ma co najmniej dwa metry. Je kartofle, rzepę, ryby, a w niedzielę domowy chleb. Wszystko pochłania. Wydaje mi się, że waży sto osiemdziesiąt kilo. A łeb ma wielki jak balon, chociaż w środku pusto. Jesteś pewien, że nie chcesz zobaczyć Henry’ego?

– Nie. To znaczy tak.

Iver położył mi rękę na ramieniu.

– To zostanie między nami, prawda?

– Jasne.

– Nikomu ani słowa? Bo inaczej cię zabiję.

– Nie, nic nie powiem.

– Kiedy wylądują na Księżycu, to go zobaczysz. Umowa stoi?

– Stoi – szepnąłem.

Iver nagle przyciągnął rękę do siebie i niemal zakrzepł, zgarbił się, spłoszony. Odwróciłem się. Ścieżką wśród krzaków i sosen szła jego matka z siatkami na zakupy w obu rękach. Zatrzymała się, obserwując nas. Słyszałem, jak Iverowi wali serce. Słyszałem to aż tutaj. Ruszył w stronę baraku. Matka poszła za nim. Zostałem sam na tym śmietniku. Światło było białe. Bolała mnie głowa. Zawsze boli mnie głowa od białego światła. Niebo przypominało brudną porcelanę. Podniosłem z ziemi kamień i rzuciłem nim we właz. Nic nie usłyszałem i przez chwilę wydawało mi się, jak często tego lata, że nic z tego się nie wydarzyło. Że wszystko wymyśliłem. Że znów znalazłem się w swoim świecie. Nagle jednak coś usłyszałem. Huk. Ktoś walił we właz od drugiej strony, mocno, gwałtownie. Co sił w nogach pobiegłem na przystań. Roweru nie było tam, gdzie go zostawiłem. Może rzuciłem go w innym miejscu? W każdym razie go nie znalazłem. Ukradziono mi rower. I co z tego? Wszystko jedno, do cholery. Wolnym krokiem ruszyłem w stronę domu. Teraz z kolei mnie paliło w środku. Iver przekazał mi swój pożar. Pewnie spalała mnie od środka historia przyrodniego brata Ivera Malta, nieślubnego syna hitlerowskiej dziwki. Obliczyłem, że musi mieć dwadzieścia trzy lata, jeśli był prawdziwym niemieckim bękartem, jeśli w ogóle istniał; wciąż niepełnoletni w głowie, mieszkał pod ziemią, żywił się rzepą, rybami, pieczonym domowym chlebem i ważył sto osiemdziesiąt kilo. Nie wiedziałem, czy zdołam wytrzymać ten ogień. Mogło się zrobić za gorąco. Mogłem nie wytrzymać żaru wiedzy. Niech szlag trafi Ivera Malta! Ale mogłem o tym napisać. Nikt i tak nie uwierzyłby, że to prawda. Uważano by, że wszystko sobie wymyśliłem. Już byłem całą biblioteką pełną białych kartek.

W Niece spotkałem matkę. Wracała z plaży Hornstranden. Niosła przewieszony przez ramię koszyk z rzeczami plażowymi. Zatrzymała się i popatrzyła na moją walizeczkę.

– Gdzie byłeś?

– U Ivera.

- Z maszyną do pisania?
- Jego ojciec ją zreperował. Czcionki się splątały.
- Chyba nie był pijany?
- Nie, był w porządku.
- To dobrze.

Staliśmy w Niecce, jakbyśmy nie mogli ruszyć z miejsca. Jakby coś nas trzymało.

- Czy to prawda, że Iver ma brata? – spytałem.
- Podobno.
- Gdzie on jest?
- Tego nie musimy wiedzieć.

Wreszcie ruszyliśmy na ostatnie wzgórze. Matka szła coraz wolniej, aż w końcu znów się zatrzymała. Trochę tak, jakby opierała się o światło, jakby tylko ono powstrzymywało ją przed upadkiem.

- Nie wiadomo, czy ojciec w tym roku zdąży tu przyjechać – powiedziała.
- Musi zostać w szpitalu?

Tylko kiwnęła głową, zagubiona we własnych myślach.

- No i spotkałam Lisbeth. Przy skrzynkach pocztowych.
- Aha.
- Zmizerniała.
- Zmizerniała? To znaczy?
- Wyglądała na udręczoną. A przecież była taka ładna.

Nic nie powiedziałem. Sam to zauważyłem. W Lisbeth pojawiło się coś nieprzyjemnego, jakaś obojętność i zaniedbanie. Od zeszłego roku postarzała się o wiele lat. Zacząłem iść. Matka mnie dogoniła.

– Mam nadzieję, że nie bierzesz udziału w czymś, czego później będziesz żałował – powiedziała.

- Dlaczego miałbym coś takiego robić? To znaczy robić coś, czego będę później żałował?
- To bardzo łatwe.
- Co jest łatwe?
- Robienie rzeczy, których się później żałuje.
- O to nie musisz się martwić.
- I tak się martwię.
- Dlaczego? Przecież nie ma o co?
- Bo martwienie się jest moim obowiązkiem.

Otworzyłem jej furtkę, a ona nagle się uśmiechnęła.

– Poza tym nie musiałeś iść do Signalen, żeby zreperować maszynę do pisania. Sama bym sobie z tym poradziła.

- Aha, na pewno.
- Gdybyś ty wiedział... – powiedziała, ale nie dodała nic więcej.

Kiedy zjedliśmy obiad i pozmywaliśmy – do moich zadań należało wycieranie naczyń i byłem w tym świetny, wycierałem szybciej, niż matka zmywała, cały czas zostawała z tyłu, a spieszyła się, jakby walczyła o życie, powtarzając, że muszę wycierać porządnie, jakbym tego nie robił, powtarzała to zresztą w odniesieniu do większości rzeczy – że muszę je robić porządnie, bo jeśli się czegoś nie zrobi porządnie, to prędzej czy później się za to płaci. No tak, ale miałem powiedzieć, że kiedy już zjedliśmy obiad, pozmywaliśmy naczynia, powycieraliśmy je i odstawiliśmy na miejsce, matka chciała zagrać w scrabble. Wolałem się wycofać do siebie i kontynuować pracę nad wierszem, który wciąż miał tylko tytuł, a zaczynało mi się spieszyć, nie

chciałem jednak sprawiać zawodu matce. Chciałem być wobec niej w porządku, chociaż uważałem ten sposób używania języka – składanie drewnianych klocków z literkami – za zdecydowanie poniżej mojej godności, no chyba żeby chodziło o wiersz, który miał się ukazać drukiem w „Kvinner og Klær”. Ale taka zabawa była zupełnie nie w moim stylu. Westchnąłem szczerze, głęboko i powiedziałem: „No dobrze, skoro już tak koniecznie chcesz grać w scrabble”. Potem westchnąłem jeszcze raz, jedynie po to, by się upewnić, że do matki dotarło, iż łaskawie się zgadzam, wyłącznie ze względu na nią, skoro w pobliżu nie ma akurat nikogo innego, z kim mogłaby zagrać. I tak zamierzałem jej pokazać, kto tu jest panem liter, bez względu na to, czy są z atramentu, drewna, piasku czy ołowiu.

Usiedliśmy na werandzie, rozłożyliśmy planszę i zaczęliśmy grać. Niech nikt nie myśli, że pamiętam słowa, które wtedy układaliśmy. Na to zwyczajnie nie ma miejsca w mojej czaszce, która i tak jest już przepełniona, a brakuje wyjścia awaryjnego. Ale przypominam sobie przynajmniej tyle, że ułożyłem słowo „wieczór”, niezbyt dużo punktów, ale „wieczór” to dobre słowo, o wiele lepsze niż „noc”, która jest zresztą mniej warta niż „wieczór”, noc to koniec dnia albo koniec życia, wieczór natomiast to część dalszego ciągu, tak to widzę. To był właśnie taki wieczór, z ładnymi spokojnymi cieniami rozciągającymi się na trawie. Nie zamierzałem poprzestawać na „wieczorze”, musiałem przeć do przodu. Matka ułożyła „dołek” i mogła zgarnąć okrągłą sumkę, ponieważ Ł znalazło się na polu podwajającym punkty. Ja miałem nędzny zapas liter, słabo punktowane spółgłoski i jedną literę I.

– Może dołożyłbyś „po”, będziesz miał dwa razy więcej punktów.

Czy w tym również był jakiś ukryty sens? Żeby słowo „dołek” leżało bezczelnie na środku planszy? Czyżby matka wiedziała więcej, niż sądziłem? Czy już dawno dostrzegła moje dołki? Może zauważyła je już wtedy, gdy wyslizgnąłem się z niej w klinice położniczej przy Josefines gate nogami do przodu, gotowy do ucieczki przy najbliższej okazji?

– Nie wtrącaj się.

Ale miałem również F, więc dołożyłem „fri” do K matki i powstało słowo „frik”. Zdziwiła się i koniecznie musiała się wtrącić.

– Frik? Nie ma takiego słowa.

– Jest. Leży tutaj. Frik.

– I co to ma znaczyć?

– Przeciwiństwo bananowca.

– Bananowca?

– Zapomnij! Osiemnaście punktów.

– Dostałbyś więcej, gdybyś dołożył „po”.

– Układam takie słowa, jakie chcę, okej?

– Jak sobie chcesz.

– No właśnie. Jak ja sobie chcę.

Mniej więcej tak to się toczyło. Literowaliśmy w kierunku zachodu słońca. Słowa rozprzestrzeniały się po planszy. Matce udało się pozbyć V, układając słowo „viola”. Prowadziła. Ja się męczyłem z X. Paliło mnie. Straciłem kontrolę. Swędziało mnie czoło. Znów byłem w swoim świecie. Matka mnie zbudziła.

– Masz gościa.

Odwróciłem się powoli i zobaczyłem przed sobą Heidi.

– Cześć – powiedziała.

– Cześć, cześć.

– Przeszkadzam?

Matka wstała i podeszła do niej.

- Oczywiście, że nie. To ty jesteś Heidi?
- Tak. Heidi Alm. Jestem na wakacjach u Lisbeth.
- Miło, że przyszłaś. Chcesz z nami zagrać?

Dziewczyna, która nazywała się Heidi Alm, chciała. Matka i Heidi Alm były w jednej drużynie. Skąd matka wiedziała, że Heidi Alm ma na imię Heidi? Nigdy nie wymieniałem jej imienia. To Ciotki musiały stać w oknach w mieście i mrugając żyrandolami, nadawać morsem: „H-e-i-d-i”. A ona spojrzała na mnie i leciutko się uśmiechnęła. Skórę miała złotą, włosy opadały jej na ramiona. Zawieszka na szyi. Lakier do paznokci na trzech palcach. Miałem atak dysleksji, zawstydzenia i przygnębienia. Żeby to się już skończyło. Dlaczego tak się zawstydziłem? Czyżbym się wstydził własnej matki? Czy ona miała rację, mówiąc, że się jej wstydzę? Uświadomiłem sobie wtedy, że nie jestem wolnym człowiekiem, nie mam własnej woli. Jestem wydany na pastwę losu.

- Twoja kolej, ślamazaro – powiedziała matka.

Ależ one się śmiały. Ależ się śmiały ze ślamazary. Zmusiłem litery do współdziałania. Mogłem ułożyć takie słowa, jak „cipka”, „pieprzyć”, „sutek”, „stanik”. Mogłem ułożyć cały wiersz wszerek i wzdłuż, cholera, do jasnego czorta! Mogłem ułożyć „kondom”! Ułożyłem „ser”. Ze wszystkich słów w całym języku siedziałem ze zwyczajnym produktem w rękach, z serem. Matka i Heidi Alm natychmiast przystąpiły do walki i dodały „ek” do mojego „ser” i miały „serek” za potrójną liczbę punktów. To się musiało skończyć. W końcu się skończyło. Matka i Heidi Alm wygrały z dużą przewagą, ale gdyby podzielić punkty na dwie osoby, co nie byłoby wcale bezsensowne, to wszyscy mielibyśmy podobny wynik. Nie powiedziałem tego jednak, nie chciałem wyjść na kogoś, kto nie umie przegrywać, chociaż nie umiałem. Co więcej, nie umiałem też wygrywać. Miałem tylko nadzieję, że matka nie spyta, czy chcemy zjeść kolację.

Wstała.

- Chcecie zjeść kolację? Mogę zrobić kanapki.
- Chętnie – powiedziała Heidi. – Bardzo dziękuję.

Matka wyszła, to znaczy poszła do kuchni. A my, Heidi Alm i ja, siedzieliśmy na werandzie nieistniejącego już letniego domu, podczas gdy fiord zmieniał kolor, wzgórze po drugiej stronie przypominały grzbiet wielkiego bawołu, który zabłąkał się gdzieś między Drammen a Fornebu. Spakowałem grę i schowałem alfabet. Równie dobrze mogłem spakować resztę języka. Musiałem teraz powiedzieć coś inteligentnego, ale nic nie przyszło mi do głowy. Tak jak mówiłem, język mam najostrejszy wtedy, kiedy jestem sam. Długo to trwało. Heidi siedziała i patrzyła na mnie. Ja próbowałem patrzeć na nią. Ale mniej więcej co drugą sekundę musiałem albo przewracać oczami, albo przenosić wzrok w jakieś zupełnie inne miejsce. Na przykład na sznurze telefonicznym przy furtce siedziała sroka i bardzo byłem ciekaw, co zamierza. Odleciała, to jasne. No proszę. Znow zwróciłem wzrok ku Heidi Alm. Nie odwzajemniła spojrzenia. Była taka śliczna. Nie miała w sobie nic nieładnego, nawet najmniejszego kawałeczka. Miała ładną nasadę nosa, ładne koniuszki uszu. Brwi. Kąciki ust. Grdykę i pachy. Nawet łokcie. Oddałbym życie właśnie za te łokcie. Mogłem o tym powiedzieć, wyznać prawdę, że za jej łokcie oddałbym życie. Przygotowanie kanapek niewiarygodnie się przeciągało, ale zanim coś powiedziałem, Heidi odezwała się pierwsza:

- Dużo wiersza napisałeś?
- Czekam.
- Na co?
- Na wiersz.

Heidi przechyliła głowę, oparła ją na rękę.

- A może jest odwrotnie?

- Odwrotnie? Z czym?
- Może to wiersz czeka na ciebie.
- Może.
- I zaczyna się bardzo niecierpliwie.
- Skoro tak mówisz.

Zanim rozmowa kompletnie zesłała na złą drogę, matka wreszcie wróciła. Pozwoliła nam zjeść w spokoju, ale przed wyjściem zdążyła jeszcze posłać mi spojrzenie, które oznaczało mniej więcej tyle, że mam się zachowywać porządnie, bez względu na to, co konkretnie miała na myśli. Czy ja się zachowywałem nieporządnie? Nie zachowywałem się przykładowo? Mając pełne usta, przynajmniej nie musieliśmy rozmawiać. To jedyna zaleta jedzenia w towarzystwie innych ludzi. Dotyczy zresztą również pocałunku. Podczas pocałunku nie można mówić. Nagle Heidi się zerwała i zaczęła jej się spieszyć.

- Muszę lecieć – oświadczyła. – Pożegnaj swoją mamę.

I poleciała. Widziałem, jak znika w Niecce. Świetnie sobie z tym poradziłeś, pomyślałem. Naprawdę świetnie. Matka wyjrzała z salonu.

- Gdzie się podziała Heidi?
- Heidi Alm musiała, niestety, już lecieć.
- Tak szybko?
- Mam cię od niej pożegnać.

Matka wyszła na werandę i usiadła.

- Powiedziałeś jej coś?
- Czy ja jej coś powiedziałem?
- Coś, co jej się nie spodobało. Czy dlatego poszła?
- A co by to miało być? Nic nie mówiłem.

Matka westchnęła.

- Mogłeś przynajmniej odprowadzić ją do domu.

Mogłem zrobić przynajmniej tyle, ale nie zrobiłem. Nie byłem głodny. Niech matka sama sobie zje resztę kanapek albo pośle je do Biafry. Poszedłem do swojego pokoju i uklęknałem przy maszynie do pisania. Nic mi nigdy nie wyjdzie. Czy mimo wszystko czegoś nie powiedziałem? Czy nie wiedząc ani nie słysząc, powiedziałem jednak, co myślę? Na przykład, że oddałbym życie za jej łokcie? Kto by chciał siedzieć przy jednym stole z osobą gotową oddać życie za czyjeś łokcie? A może wśród okruczeńców wręcz usiłowałem wymusić na niej pocałunek, i to namiętny? To było nie do zniesienia. Co ja takiego powiedziałem? Co zrobiłem? Obróciłem się na podłodze, przyciągnąłem do siebie kartkę i niewidzialnym piórem palca wskazującego, bo i tak nie miałem już nic do stracenia, napisałem: „Prędzej czy później pocałuję Heidi Alm. Idę o zakład! Nowe motto. Wszystko z głowy!”.

W kolejnych dniach nie widywałem Ivera Malta, ani też Heidi Alm, jeśli chodzi o ścisłość. Siedziałem w swoim pokoju i robiłem to, co w zasadzie robiłem przez całe tamto lato – wpatrywałem się w maszynę Remington Portable z klawiszem korygującym. Ale po co komu klawisz korygujący, kiedy nie ma czego korygować? Pomyślałem o czymś, co powiedziała matka. „Tego nie musimy wiedzieć”. Kto decyduje o tym, czego nie musimy wiedzieć? Po długich rozważaniach doszedłem do wniosku, że jedyną osobą, która może o tym decydować, jest człowiek sam, czyli w tym wypadku ja. Nie chciałem wiedzieć o Henrym. Nie chciałem przejmować cudzych tajemnic. A moje tajemnice były moje. „Tego nie musimy wiedzieć”. Od tamtej pory rozmyślałem o tym krótkim, prostym zdaniu mniej więcej codziennie i przyznaję matce rację. Nie wszystko musi zostać wyłożone na stół. Coś trzeba zachować. Niektóre szafki należy pozostawić zamknięte. Niektóre kamienie powinny dalej leżeć nieodwrócone. Bez tajemnic jesteśmy barbarzyńcami.

Któregoś dnia rano zrobił mi się też supeł na puszcze, wielki twardy supeł, który nie pozwalał się rozplątać. Nie mogłem tego pojąć. Jak to się mogło stać? Zdarzyło się to samo co z czcionkami. Jak zaczyna się supeł? Albo gdzie? Czy żyłka w ciągu nocy postanowiła żyć własnym życiem i narobić mi kłopotu? Gdzieś w jakimś momencie musi się przecież pojawić ten pierwszy niepozorny supełek, który rozmnaża się w środku dużego supła i powoli, lecz zdecydowanie również ciebie wiąże w supeł, którego pochodzenia nie znasz. Czym innym była ta godna pożałowania planeta aniżeli supłem we wszechświecie? Teraz już wiedziałem: właśnie dlatego mają lecieć na Księżyc, muszą wyciągnąć tę nitkę, dzięki której rozplącze się supeł pętający ludzkość.

Usłyszałem kroki na żwirze od strony furtki.

Kogo miałem nadzieję ujrzeć? Miałem nadzieję, że to nikt. Miałem nadzieję, że to Heidi. Miałem nadzieję, że to ojciec. To była Lisbeth. Prowadziła mój rower. Zatrzymała się w pewnej odległości. Zszedłem do niej.

– Ładnie wyszedł ten maszt – stwierdziła.

– To ty mi zwinęłaś rower?

– Aha, zwinęłam. Leżał w rowie koło sklepu. Powinieneś mi podziękować.

– Kłamiesz.

– Chyba wszystko jedno. W każdym razie jest. I nie ma nawet zadrapania. Ale powinieneś sprawić sobie nowy zamek.

Roześmiała się i puściła rower. Ledwie zdążyłem złapać za kierownicę, żeby się nie przewrócił.

– Czego ty właściwie ode mnie chcesz? – spytałem.

Już się nie śmiała, tylko na mnie patrzyła. To było nieprzyjemne. Nie umiałem wytrzymać jej spojrzenia. Niewiele spojrzeń potrafię wytrzymać, a zwłaszcza takich. Dlatego wszyscy myślą, a w każdym razie sporo osób, że mam coś do ukrycia, coś na sumieniu. Jakby patrzeć komuś w oczy o czymś świadczyło. Hitler potrafił patrzeć ludziom w oczy. Poza tym większość ludzi ma rację, przypuszczając, że mam coś do ukrycia albo na sumieniu, co w zasadzie wychodzi na jedno.

– Wiesz co, Chris?

– Nie, powiedz.

– Gdybym to ja z tobą chodziła, natychmiast bym zerwała.

Nie zrozumiałem, co ma na myśli. Gdyby to ona ze mną chodziła? Lisbeth chciała ze mną chodzić? I zerwać? Czy może chodziłem z kimś innym? Jeszcze bardziej zgłupiałem, ale

postanowiłem udawać inteligentnego.

– Wielka szkoda.

– Wielka szkoda – powtórzyła, przedrzeźniając mnie.

Jak ja nie lubiłem zagadek! Nienawidziłem wszystkiego, co pozostawało między wierszami i między słowami. A teraz miałem tego w nadmiarze.

– Co ty właściwie masz na myśli?

– „Właściwie” też rzuciło ci się na mózg? Nie wiesz, że „właściwie” to właściwie bardzo niegrzeczne słowo?

– Też? Coś jeszcze mi się rzuciło na mózg?

– Sam wiesz, Blackie.

Wzmogłem czujność. Wkurzyłem się. Czy inni wiedzieli o mnie coś, o czym sam nie wiedziałem? Przecież mówię, na świecie jest nie tylko za dużo treści, ale również za dużo ludzi.

– Cholera, nie możesz po prostu powiedzieć tego, co masz do powiedzenia, i spadać? Supeł mi się zrobił na puszcze.

Lisbeth przewróciła oczami i westchnęła.

– Supeł na puszcze, rzeczywiście. Sam się zasuptałeś.

– Co przez to rozumiesz?

– Naprawdę chcesz wiedzieć, co właściwie mam na myśli?

– Jestem w pełni gotowy, żeby tego wysłuchać. Całe moje ucho zamieniło się w słuch.

– Jesteś niedorozwinięty, Blackie.

– Niedorozwinięty? Dlaczego?

Lisbeth jeszcze raz przewróciła oczami i ziewnęła. Dopiero wtedy zauważyłem, że nosi aparat na zębach. Może właśnie przez niego tak się zmienia. Nagle zrobiło mi się jej żal. Poczulem wręcz współczucie. Druga klasa liceum i aparat na zębach. Cholernie niedobrana para.

– Dlatego że każesz Heidi czekać, dzieciaczku. Czekać i czekać. Czy ona ma czekać na próżno? Bo jeśli tak, to jej powiem, żeby sobie poszukała nowego chłopaka, który trochę szybciej naciska na spust.

– Ona sobie po prostu poszła.

– Poszła?

– Siedziała na werandzie. I poszła. Bez słowa. Poszła sobie.

Lisbeth przysunęła się bliżej i zmrużyła oczy.

– Ale ty jesteś głupiotki z tym swoim kurzym mózdzkiem.

– Jeszcze i to? Jestem niedorozwiniętym, głupiotkiem dzieciaczkiem i mam kurzy mózdzek?

– Wszystko znaczy prawie to samo, nie rozumiesz?

– Trzeba mieć kurzy mózdzek, żeby być niedorozwiniętym?

– Nie miałaś w podstawówce nauki o rozmnażaniu? Dziewczynom czasami się zdarza, że muszą wyjść bez uprzedzenia.

Wskazałem na jej usta.

– Zniszczyłaś sobie zęby?

– Naśmiewasz się ze mnie, Blackie?

– Ani trochę. Aparat na zębach to żaden wstyd.

– Ktoś tak powiedział? Że aparat na zębach to wstyd?

– Nie, właściwie to nie.

– Właściwie. No to dlaczego o tym mówisz?

– Wcale nie mówię. Powiedziałem, że aparat na zębach to żaden wstyd. Powiedziałem, że jest przeciwnie.

- Wobec tego ktoś musiał twierdzić, że to wstyd. Uważasz, że głupio nosić aparat?
- Ależ skąd! Bardzo ci w nim do twarzy. W tym aparacie.
- Jak zamknę usta, to nikt go nie widzi.
- No właśnie. Ale czy ty to wytrzymasz, Lisbeth?

Roześmiała się, a jej usta przez chwilę wyglądały jak więzienna krata.

– Przewróciłam się w łazience i uderzyłam podbródkiem o umywalkę. Przemeblowałam sobie całą szczękę. Będę musiała nosić to gówno jeszcze przez cztery tygodnie.

– Na pewno wytrzymasz.

– Wiesz co, Blackie?

– Jeszcze czegoś nie wiem?

– Wydaje mi się, że piszesz za dużo wierszy. Od tego ten twój kurzy mózdzek zamienia się w watę.

Ruszyła do furki. Tam się zatrzymała i odwróciła. Dopiero wtedy zauważyłem, jaka jest udęczona. Chyba musiałem spojrzeć na nią z daleka, żeby móc to zobaczyć wyraźnie. Matka miała rację – Lisbeth zmizerniała. To nie była wina aparatu na zęby, on tylko rzucał dziecienny blask na zaniedbaną twarz. Objawiła się cała jej samotność.

– Robię imprezę w niedzielę. Przyjdiesz?

– Właściwie to już jestem umówiony.

– Tak cię proszę. Zrób to dla Heidi.

– W niedzielę jest lądowanie na Księżycu.

– Właśnie dlatego urządzam imprezę, prawda?

– Zobaczę.

– Świetnie. Tylko nie przyprowadzaj Ivera. Bo przecież nie chcemy się zarazić, prawda?

– Czym?

– Chorobą barakową. No i u nas jest telewizor. Przyjdiesz?

– Może.

Lisbeth się roześmiała i posłała mi w powietrzu pocałunek z aparatu na zęby.

– Rozmowa z tobą jest za każdym razem tak samo inspirująca, Chris.

Podprowadziłem rower pod drzwi i tam go zaparkowałem. Ale nie wiedziałem, gdzie zaparkować siebie. Nie znalazłem żadnych wolnych miejsc. Czy Heidi naprawdę oczekiwała, że przyjdę? Czy tylko Lisbeth, do której już nikt nie przychodził na urodziny, tak sobie wymyśliła? Byłem zagubiony w większości spraw. Musiałem dokonywać zbyt wielu wyborów. Im więcej miałem możliwości, tym mniej potrafiłem wybrać. Nie miałem wątpliwości jedynie co do tego, że będę pisał. Ale świat wszystko mi poplątał. Ludzie rzucali mi kłody pod nogi. Znów się okropnie wkurzyłem. Powinienem być szczęśliwy. Ale szczęście nie było moją najmocniejszą stroną. Mój osobisty rekord szczęścia wynosił dwadzieścia sekund. To mniej więcej trochę krócej niż przebiec dwa razy sześćdziesiąt metrów. Pobitem go, pisząc swój pierwszy prawdziwy wiersz, ten o zegarach na Drammensveien, ten, którego nie pozwoliłem wydrukować w „Kvinner og Klær”. Ale po zastanowieniu i przeliczeniu stwierdziłem, że być może szczęście, które poczułem, kiedy się dowiedziałem, że chcą go wydrukować, trwało dłużej. A czy nie powinno być odwrotnie, bo być może mój pierwszy wiersz był również ostatni? I gdzie się podziała ta wolność, którą poczułem na promie, w drodze tutaj, na dziobie „Prinsen”? Wyparowała. Nie zostawiła nawet krótkich pozdrowień. Od tej pory musiałem się trzymać z dala od świata. Obszedłem dom, długo ze sobą dyskutując. Matka stała na werandzie.

– To Lisbeth pożyczyła twój rower?

– Tak. Mniej więcej.

– Mniej więcej?

- Mniej więcej.
- Osłoniła oczy przed słońcem, żeby mnie lepiej widzieć.
- O czym rozmawialiście?
- O niczym.
- Tak długo rozmawialiście o niczym?
- To nie twoja sprawa.
- Jej ręka opadła.
- Nic złego nie miałam na myśli. Próbuję tylko...
- Nie skończyła, bo jej przerwałem.
- Co próbujesz?
- Zrozumieć cię, Chris. Nic gorszego.
- Teraz z kolei to ja osłoniłem oczy, ale nie po to, żeby lepiej widzieć, tylko żeby się ukryć.
- Rozmawialiśmy o jej aparacie na zęby. Zaczęła nosić. Nic gorszego.
- Nie zauważyłam.
- Ja też nie. Urządza imprezę w niedzielę.
- W niedzielę? Wtedy kiedy mają wylądować na Księżycu?
- Jeśli wylądują.
- Jej rodzice tam będą?
- Nie wiem.

Matka na chwilę się odwróciła i wstrząsnął nią dreszcz, przetoczyła się przez nią lawina, ta sama lawina, którą miałem poczuć wiele lat później, w kuchni mieszkania, w którym się wychowałem, jakby uprzedziły mnie czas, odległość i własny wiek.

- Myślałam, że razem posłuchamy tej relacji – powiedziała w końcu.
- Oni mają telewizję.

Poszedłem po puszkę. Supeł nie stanowił żadnego problemu. Niepotrzebna mi była żyłka. Odciałem błyszkę, usunąłem haczyk i już trzymałem w dłoni klejnot, który polerowałem i tarłem przez resztę wieczoru, aby – jak wszystko tego lata – błysk zmieniała się w coś innego niż to, czym była na początku.

Ma zacząć padać deszcz. Zaczyna padać. Musimy szukać schronienia w domku kąpielowym. Szukamy. Mam zasunąć zasłonki. Zasuwam. Mam zamknąć drzwi. Zamykam. Mam usiąść obok niej. Siadam. Ona ma być chętna. Jest. Mam ją pocałować. Całuję. Mam dotknąć jej piersi. Dotykam. Mam przesunąć drugą rękę bliżej jej cipki. Przesuwam. Ma iść jak po maśle. Idzie. Ona ma ciężko dyszeć i mówić: „Tak”. Ciężko dyszy i mówi: „Tak”. Mam szepnąć jej imię. Heidi. Szepczę. Heidi. Ona ma szepnąć: „Bądź ostrożny”. Jestem. Mam wsunąć jej rękę w majtki. Wsuwam. Mam...

- Christian!

Ocknąłem się z bezgłośnym hukiem nad pustą kartką z mojej białej biblioteki i nie miałem pojęcia, co mnie bardziej obudziło – niewidzialne słowa czy matka. Rozsunąłem zasłonki. Stała przy maszynie i trzymała na rękach flagę tak, jakby to było dziecko. Była więc niedziela, i to nie była jaka niedziela, tylko ta. Dzisiaj Księżyc dostanie za swoje. Dzisiaj Księżyc pożałuje. Matka mi pomachała. Zazwyczaj to ojciec wywieszał flagę. Teraz nie mógł tego zrobić i miał dobre wytłumaczenie, podobno złamał nogę i leżał w łóżku w mieście. Musiałby wywiesić flagę telepatycznie, a architekci nie posługują się telepatią. Zakończyłem przemyślenia w miednicy. Potem spokojnie wyszedłem z domu.

- Flaga nie może dotknąć ziemi – powiedziała matka.
- A co się stanie, jeśli dotknie?
- Nie wiem, czy cokolwiek się stanie, ale tak ma być. Trzymaj.

Trzymałem norweską flagę, podczas gdy matka mocowała ją do linki, i miałem wielką ochotę ją puścić wyłącznie po to, żeby sprawdzić, co się stanie. Oczywiście nic by się nie stało, ale jednak. Możliwe, że istotnie coś by się wtedy stało. Domki kąpielowe zaczęłyby płonąć, samoloty spadać, mój wiersz by się skończył. W końcu nie mogłem się dłużej powstrzymać. Po prostu musiałem. To było nieuniknione. Rąbkiem flagi musnąłem ziemię, no i stało się. Stało się! Pojawiło się we mnie zdanie. Urodził się jeden wers. „Księżyc nadstawia drugi policzek”. Nigdy wcześniej nie zaznałem uczucia tak bliskiego idealnej uldze. Wszystko się poskładało, cudowny rachunek wyszedł, znalazłem złotą formułę, znaną tylko mnie, logiczną magię należącą wyłącznie do mnie, do nikogo innego. A co mogłoby się stać, gdybym rzucił na ziemię całą flagę i ją podeptał! Może gotowy byłby cały zbiorek wierszy. Dzisiaj szczęście mi sprzyjało. Mogłem pobić nowy życiowy rekord. Wciągnęliśmy flagę na maszt, popuszczając i szarpiąc, wkrótce rozłożyła się jak fala, czerwono-biało-niebieska, dla mnie, tylko dla mnie.

– Zdecydowałeś już? – spytała matka.

– O czym?

– Co będziesz robił dziś wieczorem?

– Nie.

– A na co masz największą ochotę?

– Nie wiem.

Matka się uśmiechnęła.

– Na pewno wiesz, jeśli tylko się zastanowisz.

Poszedłem do siebie i zacząłem się zastanawiać. Zastanawiałem się. Niewiele to pomogło. Zastanawianie się w ogóle rzadko mi pomaga. Wszystko jeszcze tylko pogarsza. Prowadzi okrężną drogą. A zdanie, które zasadziłem, już zwiędło. Słowa się z niego obsypały, jedno po drugim, i została jedynie cienka, twarda łądyga, a tą łądygą byłem ja. Tak jak wysoko się wzniosłem, tak nisko teraz spadłem. Położyłem się na łóżku i zacząłem się boksować z dużym klawiszem korygującym. Po raz pierwszy się do niego zbliżyłem, do wielkiego klawisza korygującego, który wybija, odrywa, wyciera i opróżnia. Z czasem miałem go dobrze poznać. „Księżyc nadstawia drugi policzek”. Co za bzdura! Cieszyłem się, że ten wers umarł. Moja głowa to śmietnik! Poza tym powinienem myśleć o innych rzeczach niż nienapisane wiersze. Dokąd mam iść? Do Ivera Malta? Na imprezę u Lisbeth? Czy po prostu zostać w domu? Na co miałem największą ochotę? Odpowiedź aż dzwoniła oczywistością, jeśli się zadało pytanie w taki sposób. Miałem ochotę na Heidi. Miałem ochotę leżeć z nią w domku kąpielowym. Miałem ochotę oglądać lądowanie na Księżycu razem z nią. Ale nie miałem ochoty na resztę tego zaproszenia. Na pijacką gadaninę Lisbeth, złe maniery Puttego i ogólną głupotę całej tej debilnej bandy. Wcale nie chciałem mieć ciastka i go zjeść. Chciałem mieć ciastko. Mogłem też popłynąć promem do miasta i odwiedzić ojca. Już sam pomysł mnie zaniepokoił. Coś się tu nie zgadzało. Nie wiedziałem co, dlatego zaniepokoiłem się jeszcze bardziej. Kartka w maszynie do pisania ze mnie drwiła. Po co mi tytuł bez wiersza? Tytuł bez wiersza jest tak samo do niczego jak imię bez człowieka. Zacząłem wpadać w panikę. Wszystko, czego nie zdążyłem zrobić. Wszystko, czego nie skończę. Wszystko, czego nigdy nie zdołam. Wszystko, co wisi na włosku, czyli większość rzeczy, zwłaszcza ja. Mój włoszek był najcieńszy. Czuję się jak ołowiany obciążnik przymocowany do szczątków pajęczyny. Myślałem o tym, co powiedział Iver, że Henry, niemiecki bękart, nie istnieje. Tak, to by przyniosło ulgę. Być, ale nie istnieć. Chociaż, szczerze mówiąc, wolałbym nie mieszkać w ziemiance. Potem próbowałem policzyć, ile zegarów jest w domu. Doliczyłem się ośmiu: dwa stojące, jeden na ścianie w kuchni, mój zegarek na rękę, zegarek na rękę matki, stary zegarek, którego ojciec używał podczas wakacji, i dwa budziki. Nie wliczyłem zegara słonecznego, który jakiś pradziadek zbudował przy pustej sadzawce dla karpi

przed pierwszą wojną światową, ale nie pomyślał o tym, że rododendron i brzozy z czasem urosną, więc teraz zegar słoneczny się zatrzymał. Znalazł się w cieniu, a jedynym sposobem na to, żeby znów zaczął chodzić, było wykarczowanie całego ogrodu do gołej ziemi, bezchmurne niebo i cierpliwość. A więc dziewięć zegarów i wszystkie chodziły za szybko albo za wolno, albo stały. Czas to spisek. Rozchodził się na wszystkie strony. A wkrótce astronauty mieli się zacząć szykować w wielkiej sali balowej, czyścić buty, poprawiać spinki przy mankietach, zaciskać krawaty, czesać włosy i prosić aniołów stróżów do tańca, przypuszczam, że do fokstrota.

Zdecydowałem się na to, na co byłem zdecydowany od początku. Poszedłem na imprezę u Lisbeth. Ona przecież miała telewizor. Matka odprowadziła mnie do furki. Mogła sobie tego oszczędzić. Nie wyjeżdżałem na zawsze. Być może chciała się upewnić, że nie schowałem gdzieś w mchu skrzynki z piwem. Nie schowałem. Nie lubiłem pić. W głowie kręciło mi się dostatecznie i bez tego.

– Dużo osób przyjdzie? – spytała.

– Nie mam pojęcia.

– Chyba nie będziesz jedyny?

– Mam szczerą nadzieję, że nie. Bo jeśli tak, to wcześniej wrócę.

Otworzyła furtkę.

– A ja mam nadzieję, że będziesz umiał o sobie zadbać.

Te słowa podziały na mnie prawie paraliżująco. Nie wierzyłem, że je wymówiła. Zatrzymałem się.

– Dlaczego miałbym nie umieć?

– Tylko tak powiedziałam, Christian. Nie...

– Dlaczego miałbym nie umieć o sobie zadbać?

– Tak się po prostu mówi, nie bierz sobie tego do serca.

– No to po co tak powiedziałaś?

– Mówię dużo głupich rzeczy, nie...

– Nie wierzysz, że potrafisz o sobie zadbać?

– Oczywiście, że potrafisz. Po prostu proszę cię, żebyś był ostrożny. I nie...

Trzasnąłem furtką i zbiegłem w dół zbocza. Słowa nie przestawały walić we mnie jak młotem. „Mam nadzieję, że będziesz umiał o sobie zadbać”. Te słowa, a raczej zwątpienie, jakie wyrażały, zwątpienie we mnie, wryły się we mnie na stałe. Nie dało się ich złagodzić. Cały czas popychały mnie w zwątpienie. Biegłem całą drogę, z wyjątkiem ostatniego odcinka. Impreza trwała już od jakiegoś czasu. Lisbeth biła się z chłopakiem, który miał na imię Gregers. Wyglądało to dziwnie. Stali przyciśnięci do siebie, ona wymachiwała rękami i waliła go w czaszkę, ciągnęła za włosy obiema rękami i kopała, a cała reszta żalosnej bandy stała wokół nich, pokrzykiwała i zaśmiewała się do rozpuku. Heidi nie widziałem. Podeszedłem do nich. Okazało się, że Lisbeth i Gregers wcale nie walczą, po prostu wczepili się w siebie i próbowali się rozerwać. Nie mogli. Wyglądali jak zrośnięte ustami bliźnięta syjamskie, które mają już siebie serdecznie dość. Okazało się, że Gregers dopraszał się pocałunku, ale nie wziął pod uwagę tego, że on też ma aparat na zębach, co prawda nieduży, trochę drutu kolczastego na trzonowcach. Ale to wystarczyło. Aparaty się zasupłyły. Gregers musiał być bardzo pazerny. Teraz nie był już taki buńczuczny. Lisbeth próbowała go zamordować.

– Ja to nazywam prawdziwą miłością! – zawołał Putte. – A co ty o tym sądzisz, Blackie? Ty się znasz na takich rzeczach.

– Nie jestem dentystą, ale wydaje mi się, że im potrzeba pilnika.

Lisbeth wściekła się jeszcze bardziej, pociągnęła Gregersa za sobą. Ciągnęła go za usta. On się już dawno poddał. Śmiałyśmy się. Ja się śmiałem. Klaskaliśmy. Klaskałem. Wtedy na taras

wyszła Heidi z nożyczkami. Nie widziała mnie. Uspokoiła Lisbeth na tyle, że udało jej się ostrożnie wsunąć nożyczki między zakleszczonych, a my w tym czasie przytrzymywaliśmy Gregersa. Metoda usta usta z nożyczkami, które jednak okazały się nie dość ostre. Putte przyniósł obcegi. Nie zmieściły się. Otworzył więc jeszcze piwo i wznosił toast.

– Obyście się kochali na dobre i na złe, dopóki śmierć was nie rozłączy!

Gregers zaczął mieć poważne kłopoty z oddychaniem. Jego twarz powoli nabierała barwy przechodzącej z niebieskiego w fiolet. Lisbeth miała w kącikach ust czerwoną pianę. Klęczeli jak dwoje skazanych na śmierć, którzy mają wykonać egzekucję na sobie nawzajem. W końcu Heidi znalazła szpilkę do włosów, rozgięła ją i zdołała ich rozdzielić, jak wytrychem. Dokładnie tak jak Iver Malt otworzył zamek szyfrowy przy moim rowerze, ale nie chciałem teraz myśleć o Iverze Malcie. Nie myślałem o nim. Skazańców ułaskawiono. Gregers zwałił się na trawę i leżał bez ruchu. Lisbeth wstała, wyjąc, krzycząc i płacząc.

– Niech was diabli porwą! Niech was wszystkich szlag trafi!

Wyrwała cały aparat. Z ust popłynęła jej krew. Wcale się tym nie przejęła. Pluła i parskała, dopóki Heidi nie zaprowadziła jej do domu, gdzie zostały przez dłuższy czas. Ułożyliśmy Gregersa w hamaku, posililiśmy go zimnymi kielbaskami i ciepłym piwem. Wtedy sytuacja trochę się uspokoiła. Mówię „my”, lecz mnie to „my” nie obejmowało, nie brałem w tym udziału, byłem tylko widzem. Nie angażowałem się. Tego wieczoru okazywałem wyłącznie bierność. Mimo to piszę „my”. Putte podał mi butelkę.

– Cholera, Blackie, wydaje mi się, że troszeczkę zbrązowiełeś, odkąd się ostatnio widzieliśmy. Cholernie głupio z twojej strony, bo teraz musimy ci wymyślić jakieś nowe przezwisko.

– Witlinek. One mają takie białe brzuchy – podsunął ten, który miał na imię Patrick i fantazji nie więcej niż spinacz.

Putte połał mnie resztką piwa.

– Zostajesz ochrzczony Witlinkiem! Wypij za Witlinka, Witlinku!

Putte ugryzł mnie w ramię, żeby sprawdzić, czy mam dużo ości. Wygulgotaliśmy jeszcze więcej piwa, śmialiśmy się, a ja się śmiałem razem z nimi. Dlaczego stamtąd nie poszedłem? Dlaczego się śmiałem? Dlaczego się na to godziłem? Uważałem, że odpowiedź jest prosta: Heidi. Ale to nie była wystarczająca odpowiedź. Zgadzałem się na to, żeby mną pomiatało, żeby mnie upokarzano i obśmiewano nie tylko ze względu na nią. Nie mogłem winić o to nikogo innego oprócz siebie. Nie miałem żadnej woli, oprócz woli pisania. A tej też już prawie nie miałem. No bo co stworzyłem? Jeden jedyny wiersz na pięć linijek. Nie miałem woli, miałem tylko ochotę. Poza tym byłem bezwolny. Pozwalałem się prowadzić. Znalazłem się we władzy innych. Przy życiu wciąż trzymało mnie tylko przekonanie, że wkrótce o tym napiszę. Zamierzałem to zrobić niedługo, wtedy tym bałwanom się dostanie. W zeszłym miesiącu skończyłem zresztą sześćdziesiąt lat. Czy już o tym wspominałem? Do tego trzeba dodać wszystkie te lata, w których żyło mi się tak ciężko, że mojemu sercu należało zaliczyć dwa lata za każdy mijający rok. Uczciłem to wydarzenie – wydarzeniem był już sam fakt, że w ogóle żyję – w pojedynkę w hotelu w mieście, w którego istnienie coraz mniej już wierzę. Wykorzystałem tę okazję na wsłuchanie się w głosy w swoim wnętrzu, nie takie, które, jak twierdzą żałośni mordercy z niewielką pomocą swoich adwokatów, zmusiły ich do popełnienia zbrodni. Ja słuchałem głosów z różnych okresów życia, a jakiś czas już minął, odkąd ostatnio z nimi rozmawiałem; głosu dziecka, głosu chłopca, głosu mężczyzny, ale nie potrafiłem już ich rozróżnić. To był mój chór mieszany. Głosy śpiewały we mnie jednocześnie. Z pewnym zmęczeniem, jak po długim, długim dniu pracy, kiedy człowiek z radością wita noc i sen, odnotowuję: piosenka nosiła tytuł *W późniejszym czasie*.

Wreszcie dziewczyny wróciły. Lisbeth sprawiała wrażenie znów w miarę umeblowanej, przynajmniej rusztowanie było na swoim miejscu, ale dalej się złościła.

– Jesteście tacy cholernie dziecinni! – krzyknęła. – Nie rozumiem, do cholery, dlaczego was zaprosiłam!

– Bo nie miałas nikogo innego, kogo mogłabyś zaprosić, Appie – odparował Putte.

Lisbeth jakby zapadła się w sobie, a ja się przestraszyłem, że zacznie płakać. Putte otworzył kolejne piwo, rzucił jej; złapała je w chmurze piany.

– Spokojnie, Appie. Przecież jest fajnie, prawda? Prawda, że jest fajnie?

Roześmiałem się, słysząc to nowe przezwisko. Aparat na zęby. Appie. Co za pomysłowy drań!

– Nie mów do mnie Appie!

Lisbeth doszła do siebie i niewiele się namyślając, wymierzyła kolejny policzek Gregersowi, którego uznano za zaginionego już jakiś czas temu. Spadł z hamaka, więc impreza mogła się przenieść do środka, do salonu, w którym był włączony telewizor. Ale mnie bardziej interesował program Heidi, która wycofała się w stronę domku kąpielowego; poszedłem za nią. Też się wycofałem. Nic nie mogło bardziej mi odpowiadać. Heidi się nie zatrzymywała, odwróciła się dopiero na wąskim pomoście.

– To wcale nie było zabawne – oświadczyła.

– Co?

– Lisbeth. Gregers. Aparat na zęby. To wcale nie było zabawne.

– Trochę było – powiedziałem.

Spojrzałem na nią i oboje równocześnie wybuchliśmy śmiechem. Nie mogliśmy przestać się śmiać. Kraby uciekły. Mewy odleciały. Nieczynna latarnia na moment zaświeciła, zamrugła, barwiąc szary wieczór na czerwono, i żaden statek kosmiczny nie poszedł na dno. W zamieszaniu udało mi się otworzyć wąskie drzwi, wtoczyliśmy się do domku kąpielowego i usiedliśmy na różnych ławkach, jakbyśmy już mieli w nim stałe miejsca. Przestaliśmy się śmiać.

– Co właściwie dolega Lisbeth? – spytałem.

– Dolega? Może już taka jest.

– Dawniej nie była.

– Jej rodzice się rozwodzą.

– Asesorzy sądowi mają zwyczaj się rozwodzić?

– W każdym razie dlatego ich tu nie ma. Poprosili, żebym przyjechała i pilnowała Lisbeth. Jestem tą niby grzeczną dziewczynką.

– Świetnie sobie radzisz.

– Z czym? Z byciem grzeczną dziewczynką?

– Z pilnowaniem jej. Z pilnowaniem Lisbeth.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Szukałem jeszcze czegoś do powiedzenia, słuchając fal pod nami, które powoli, ale zdecydowanie zlizywały skały. Któregoś dnia cała ziemia zniknie. Cieszyłem się, że nie będzie mnie przy tym, kiedy się to stanie. Wsunąłem rękę do kieszeni, upewniłem się, czy błystka, to znaczy błyskotka, ciągle tam jest. Na ścianie domku wisiał sflaczały materac do pływania.

– Jak myślisz, która godzina jest na Księżycu? – spytałem.

– Może ta sama co tutaj?

– Ale tutaj nie jest ta sama co w Ameryce. U nas jest mniej więcej o siedem godzin wcześniej. A wiesz, co to znaczy?

– Że u nich jest siedem godzin później.

– No właśnie. A jeśli na Księżycu jest ta sama godzina co w Ameryce, to u nas Apollo wyląduje o siedem godzin wcześniej niż w Ameryce. Mam rację?

Heidi tylko na mnie patrzyła. Oparła brodę na rękach i patrzyła. Nie mogłem teraz przerwać.

– Ale najszybciej wylądują w Australii, bo tam jest dwadzieścia godzin wcześniej niż u nas. W Australii już jest poniedziałek. Napompować ten materac?

– Masz ochotę się kąpać?

– Nie.

Heidi dalej na mnie patrzyła, więc teraz już z całą pewnością nie mogłem przestać. Musiałem kontynuować nieprzestawanie. Szukałem pompki, ale jej nie znalazłem. Nie pozostawało mi nic innego, jak samemu go napompować. Otworzyłem wentyl i zacząłem dmuchać. To był nadzwyczaj wymagający materac. Osiem razy musiałem nabierać powietrza i słuchać, jak się wydostaje, chociaż z całych sił zaciskałem palce na tym przeklętym wentylu, który miał smak słonej wody, wodorostów i zjełczałego kremu do opalania. Przez chwilę wydawało mi się, że to się nigdy nie uda, ponieważ bokiem uchodzi tyle samo powietrza, ile wdmuchuję, albo odwrotnie. Tak już było tego lata, że wszystko, czego chciałem się pozbyć, nie odpuszczało. W końcu „dość” musiało oznaczać „dość”. Zakręciłem korek i osunąłem się na ławkę z uczuciem, że to materac wypompował mnie. Idealnie mieścił się na podłodze między nami.

– Do jakiej szkoły idziesz jesienią? – spytała Heidi.

– Jeszcze nie wiem. A ty?

– Ojciec chce, żebym poszła do handlówki.

– Masz ochotę?

– Nie. Szczególnie że tam chodzi Putte i ci jego głupi kumple.

Nachyliliśmy się do siebie, to znaczy ja zaryzykowałem pierwszy, a ponieważ ona również to zrobiła, nabrałem odwagi na tyle, by położyć jej rękę na kolanie; tam mogła leżeć w spokoju na tyle długo, że w końcu nie widziałem już innego wyjścia, niż przesunąć ją na udo, a wtedy już było niedaleko.

– W każdym razie idę do klasy z francuskim.

– Z francuskim? Znasz francuski?

– *Non*. Dlatego chcę się go nauczyć. Najlepsze wiersze na świecie napisano po francusku. Baudelaire. Rimbaud. De Gaulle. To znaczy Baudelaire.

Heidi się uśmiechnęła.

– Jego już wymieniłeś. Baudelaire’a.

– No tak, Baudelaire. Chcę ich czytać w oryginale, prawda? Bo inaczej nie mogę mieć pewności, że to, co czytam, jest prawdą, prawda?

– Owszem. Prawda.

– No właśnie to mówię, prawda?

– Dlaczego cały czas powtarzasz „prawda”?

Plotłem trzy po trzy. To był mój sposób na okazanie buńczuczności. Kiedy przyszło co do czego, okazało się, że dobrze mieć w zanadru Ciotkę Soffen, podobnie jak Ciotkę Emilie i resztę tej hałastry.

– Wiesz, że spośród ryb to karp może przeżyć najdłużej na lądzie?

– Nie.

– No to teraz już wiesz. Karp ma cholernie duże skrzela, które działają mniej więcej jak aparat tlenowy.

– Ale co karp ma robić na lądzie?

– Też mnie to dziwi. Co karp ma robić na łądzie, skoro może być w wodzie? To chyba jakieś nieporozumienie. Karpie nie trafiają na łąd z własnej woli.

– A jeśli któryś trafi?

– To znaczy, że to głupi karp.

– No właśnie, prawda? Głupi karp.

– A wiesz o tym, że poczta musi co roku spalać czterdzieści tysięcy listów, dlatego że nie dochodzą?

– Dlaczego?

– Bo nie dochodzą.

– Ale dlaczego nie dochodzą?

– Bo adres jest niewyraźnie napisany. Pomyśl tylko, co może być w tych listach. Może ktoś ciągle czeka na list, który został wysłany trzydzieści lat temu. Albo na odpowiedź na ten sam wysłany trzydzieści lat temu list, który nie doszedł, bo adres był napisany niewyraźnie, ponieważ autor tego listu był taki zdenerwowany, że trzęsła mu się ręka i nie mógł utrzymać pióra. Prawda?

– Jak myślisz, co było w tym liście, który nie doszedł?

– Kocham cię. Mniej więcej coś takiego. Albo: Czy mnie kochasz? Może i dobrze, że nie doszedł. A wiedziałaś, że od dziurawca robią się piegi?

Potem siedzieliśmy w milczeniu równie długo, jak wcześniej plotłem. Byłem idiotą w czasie teraźniejszym. Kopałem sobie grób łyżeczką do herbaty. Dlaczego nie pozostawiłem gadania innym, by samemu zająć się ciszą?

– Skończyłeś już ten wiersz o Księżycu? – spytała w końcu Heidi.

– Nie całkiem. Ale napisałem inny wiersz, który mogę ci przeczytać. To znaczy jeśli chcesz. Mogę ci go przeczytać, i to na głos.

– Tak, proszę, przeczytaj.

– Niestety nie mam go przy sobie, ale przyjęli go do druku w „Vinduet”. To literackie czasopismo wydawnictwa Gyldendal. Ale umiem go na pamięć.

– No to mów.

– Potem.

– Potem? Po czym?

Nachyliłem się jeszcze bardziej i w końcu udało mi się przenieść na jej ławkę, natomiast ręka zbliżała się do zamka spodni, to znaczy do suwaka, który można było rozpiąć, już słyszałem ten dźwięk, szybki szmer. To był bez wątpienia przełom. Zachowałem zimną krew, ale poza tym było mi gorąco. Miałem kontrolę. Umościłem się w zagłębieniu jej szyi i przygotowałem na długi pocałunek. Liczyłem, że kiedy się skończy, reszta, że tak powiem, przyjdzie sama. Później zamierzałem przeczytać jej wiersz. To znaczy wyrecytować go z pamięci. Planowałem wygłosić go mewom i krabom, rosgwiazdom i astronautom, ale przede wszystkim jej. Potem wszystko miało już wyglądać inaczej. Nagle ktoś szarpnięciem otworzył drzwi. Puściliśmy się natychmiast i usiedliśmy na osobnych ławkach. Tym kimś była Lisbeth. Zerknęła na materac i rzuciła mi prosto w twarz:

– Heidi też napompuwałaś?

– Daj spokój! – zachnęła się Heidi.

Przesunęła się do kąta, tam było więcej cienia. Lisbeth dalej patrzyła na mnie, a ja jej nienawidziłem.

– O co chodzi? – spytałem.

– O co chodzi? Musisz przyjść.

– Już wylądowali?

– Ten twój dzieciak z baraków wylądował, Witlinku. Zapraszałeś go?

– Nie. Jasne, że nie.

– Nieźle się wystroił. I za cholere nie chce iść. Pieprzony uparty niedorozwój.

Szybko odwróciłem się do Heidi, która tylko kiwnęła głową, jakby udzielała mi zezwolenia na to, żebym poszedł i uwolnił Ivera Malta. Ale wolałbym, żeby powiedziała coś przeciwnego, albo przynajmniej dała mi znak, że mam zostać i olać wszystko, co się działo tego wieczoru poza domkiem kąpielowym. Olać Księżyc, Ivera Malta, Lisbeth i wszystkie aparaty na zęby świata. Olać i zostać z nią. Z Heidi. Z ręką na jej udzie i ze wszystkim, z czym to się wiązało; ale jednak poszedłem z Lisbeth.

– To chyba nie ma żadnego znaczenia – powiedziałem.

– Co nie ma żadnego znaczenia?

– Że Iver jest tutaj.

– Jeśli wolisz bawić się z nim, to wystarczy powiedzieć „cześć i do niezobaczenia”.

Czego ona tak się bała? Naprawdę miało jakiegokolwiek znaczenie, czy Iver tu jest, czy go nie ma? Wydaje mi się, że bała się jeszcze głębszego wciągnięcia w bagno poprzez bratanie się z dzieciakiem z baraku. Nie protestowałem więcej, zresztą moje protesty i tak nie były całkiem szczerze. Ja też chciałem, żeby go tu nie było. Od tej myśli nie dało się uciec. Chciałem się pozbyć Ivera Malta. Przeszkadzał mi. Zawadzał. Już wkrótce dotarły do nas niewyraźne dźwięki telewizora w salonie, brzmiące tak, jakby wszystko odbywało się pod wodą. Jeszcze raz znalazłem się pomiędzy. Byłem tak pomiędzy, jak jeszcze nigdy w życiu. Mimo to wiedziałem, co mam wybrać. Tym razem wiedziałem. To było proste. Chciałem tego samego co Lisbeth. Dziś wieczorem chciałem pozbyć się Ivera Malta. Pragnąłem mieć to już za sobą i wrócić do domku kąpielowego, gdzie Heidi czekała na mnie przez resztę życia.

Iver Malta stał za płotem. Podszedłem tam. Sprawiał wrażenie chudsze, twardego, a jednocześnie wystraszonego. Czoło też miał bielsze. Nie mógł ustać spokojnie i stale przestępował z nogi na nogę. Był w garniturze, a w każdym razie miał na sobie ciemną marynarkę i ciemne spodnie w kant, a nawet wąski krawat, który wisiał na białej koszuli jak krzyż.

– Myślałem, że jesteśmy umówieni – powiedział.

Zarobił gdzieś podbite oko. Siniak nie był świeży. Napuchnięty, prawie czarny cień kładł się na kości policzkowej i nasadzie nosa, prawdopodobnie dlatego jego czoło jaśniało jeszcze ostrzejszą bielą.

– Uderzyłeś się? – spytałem.

– Myślałem, że jesteśmy umówieni – powtórzył Iver. – Że razem posłuchamy radia.

– Coś mi przeszkodziło. Ja...

– Nie dotrzymujesz umów?

– Dotrzymuję, oczywiście, ale coś się wydarzyło, cholera.

– Mama upiekła chleb. I ciasto. Powiedziałaś, że przyjdiesz. Ojciec też słyszał, jak to mówiłeś. Że przyjdiesz.

– Wiem.

– Dlaczego nie przyszedłeś?

– Cholera, Iver. Po prostu zmieniłem plany. Sorry.

– Oni tu mają telewizję, prawda?

– Tak. Putte i reszta oglądają.

– A ty nie?

Nachyliłem się przez płot, postanawiając, że spróbuję poufałości.

– Ja mam inne zajęcie – szepnąłem.

Iver Malt się cofnął.

– Nie wpuścisz mnie?

– Ja tu nie mieszkam.

– A oni mnie nie wpuszczają?

– Nie ja decyduję.

Ktoś zawołał z domu. Nie odwróciłem się. To był Putte. Chwiał się na nogach, miał goły tors i butelkę wódki w ręku.

– Pozbądź się tego nazisty, Witlinek. Bo inaczej przyjdziemy i na niego naszczamy.

– Zamknij się! – mruknąłem.

Iver Malt podszedł bliżej. Przez chwilę myślałem, że przelezie przez płot, i właściwie chciałem, żeby to zrobił, bo wtedy nie miałbym już z tym nic wspólnego.

Zatrzymał się.

– Witlinek? To twoje nowe przezwisko?

– Na to wygląda. I co z tego?

– Ty się na wszystko godzisz.

W tym momencie zniechęciłem Ivera Malta. Nienawidziłem go. To uczucie było wyraźne i niezaprzeczalne. Nie było to jednak tylko uczucie, lecz również myśl, myśl, która się za nim kryła, bo właśnie tak to przebiega, prawda? Od uczucia do myśli, nie odwrotnie. Nienawidziłem go na tyle, na ile się do tego nadawałem. Chciałem mu to powiedzieć dostatecznie dużymi literami, żeby ten dyslektyk z baraku zrozumiał przekaz.

Ale Putte jeszcze nie skończył.

– On zakłóca odbiór, do cholery! Gówno widać!

Cofnął się w głąb domu. Iver Malt wciąż nie ruszał się z miejsca. Zdziwiło mnie, że po prostu nie przeskoczył przez płot, skoro miał taką ochotę być na imprezie. Może nie pozwoliło mu na to coś w rodzaju dumy. Powinien przynajmniej być mile widziany, zanim się wedrze. Niech szlag trafi wszelką dumę!

– Sądziłem, że to Putte mnie wyrzuci – powiedział – a nie ty.

– Ja cię nie wyrzucam.

– Ale mnie nie wpuszczasz. Właśnie tak. Wychodzi na to samo.

– Możemy iść jutro na ryby. Albo innym razem. Albo mogę nauczyć cię czytać.

Iver Malt spuścił wzrok i splunął na ziemię wielką porcją śliny, którą roztarł na żwirze wyczyszczonym butem. Tego wieczoru nie był bosy. Może dlatego wydawał się taki rozchwiany.

– Nie jestem pewien, czy będzie jakiś inny raz.

Słyszałem coś podobnego już wcześniej, prawda? Zakotłowało mi się w głowie, plecy miałem lepkie.

– Co masz na myśli?

Iver spojrzał mi w oczy. Nagle go nie poznałem. Jego twarz przestała być twarda i wystraszona. Teraz wyrażała jakiś spokój, wielki spokój. Jakby wreszcie go odnalazł. Jakby wreszcie miał spokój z czymś, może ze sobą, a to było gorsze od wszystkiego innego.

– Co mam na myśli? Że nigdy nie widziałeś mnie rozżłoszczonego.

Wsunął ręce do kieszeni i niedbałym krokiem ruszył w stronę przystani, gwizdząc jakąś melodię, którą znałem, ale tak napędce nie mogłem sobie przypomnieć jej tytułu. Piekielnie mnie irytowało, że go nie pamiętam. Stałem jak słup, aż zniknął mi z oczu i przestałem słyszeć jego gwizd, którego mimo wszystko nie zdołałem wyrzucić z głowy. Dźwięczał mi głęboko w uchu. W końcu sobie przypomniałem. Rzeczywiście, niezły ze mnie głupek. To było oczywiście *Blue Skies*, piosenka matki, a Iver Malt właśnie ją niszczył, kradł, właśnie to było jego zamiarem, niech go trafi szlag. Kiedy słyszał matkę śpiewającą *Blue Skies*? Czyżby węszył

po kryjomu? Niech szlag trafi Ivera Malta jeszcze raz. Ale przynajmniej udało mi się go pozbyć. Kiedy się odwróciłem, Heidi stała przy hamaku. Nie czekała na mnie w domku kąpielowym. Włożyła sweter, sięgający jej prawie do kolan, a w objęciach trzymała kota. Z rękami w kieszeniach ruszyłem w jej stronę, ale stopa nie chciała iść ze mną, kierowała się gdzie indziej, skręcałem w prawo i musiałem na siłę zmuszać się do powrotu na właściwe miejsce, żeby nie spudłować o parę kilometrów.

– No i tyle – powiedziałem.

– Z czym?

– Z dzieciakiem z baraku.

– Z dzieciakiem z baraku?

– Z Iverem Maltem. Musiał iść.

– Nie wpuściłeś go?

– Ja? To Lisbeth go nie wpuściła.

– Lisbeth? Widziałam tylko ciebie.

– Słyszałaś, co mówiła. Że nie pozwala mu wejść.

– A ty pozwalasz, żeby Lisbeth tobą rządziła?

– Nikt mną nie rządzi. Ja tylko...

– Myślałam, że Iver to twój kumpel?

– Mój kumpel? Poznałem go zaledwie kilka tygodni temu. Nie znam go.

Heidi spojrzała na mnie, drapiąc kota za uchem. Kot mrucał, wydawał z siebie dźwięk przypominający mroczne elektryczne nucenie słupa wysokiego napięcia albo lodówki.

– Okropne z was wszystkich dupki – powiedziała.

Ogarnęła mnie rozpacz. Rozpacz i wściekłość. Wściekłość na Ivera, na Lisbeth, na Heidi, na Księżyc i astronautów, i na siebie. Pogłaskałem kota. On też nie był po mojej stronie. Powinienem to przewidzieć. Wyciągnął łapę i pazurami narysował mi na grzbiecie dłoni dwie czerwone kreski. Heidi nie zareagowała. Przyciągnąłem rękę do siebie, pozwalając, żeby krew kapłała.

– Wrócimy do domku kąpielowego? – spytałem.

– Chyba nie, Chris.

– Nie? Nie przeczytałem ci wiersza.

– Może innym razem.

Tak jak mówiłem, tamto lato było wyłącznie echem słów wkładanych mi w usta.

– Nie wiadomo, czy będzie jakiś inny raz – powiedziałem.

– No to nie.

– No to nie?

– Uważam, że powinieneś raczej iść ze swoim kumplem.

Ostrożnie postawiła kota na trawie. Czy mnie stąd wyrzucała? Zrywała, zanim w ogóle coś między nami się zaczęło? Stałem zagubiony i zlizywałem krew z ręki. Czy już tak jest, że kiedy zdradasz, sam prędzej czy później zostaniesz zdradzony? Przekląłem ten przeklęty dzień, kiedy matka kazała mi przywitać się z Iverem Maltem, tym bosym dyslektykiem, nachalnym dzieciakiem z baraku.

– Chyba wejdę do środka zobaczyć lądowanie na Księżycu.

Heidi nagle się zmieniła.

– Nie rób tego, Chris.

– Dlaczego?

– Próbowалаm jej pilnować.

– O co ci chodzi?

Pokręciła głową i powtórzyła:

– Okropne z was wszystkich dupki.

Podszedłem do drzwi i zajrzałem przez nierówne szybki. Telewizor świecił, ale nikt niczego nie oglądał. Potem dostrzegłem Lisbeth. Leżała na kanapie. Jedna jej ręka zwisała na podłogę. Widziałem to niewyraźnie. Oni byli przy niej. Zabawiali się z nią po kolei. Nie wiem, jak długo tak stałem, w końcu zamknąłem oczy. Potem cała moja uwaga skierowała się gdzie indziej. Heidi szeptem wymówiła moje imię. Otworzyłem oczy w nadziei, że ten wieczór wróci jednak na właściwy kurs. Nie wrócił. Wrócił Iver Malt. On zawsze wracał. Nie był sam. Przeprowadził ze sobą potężnego faceta w kombinezonie. Facet miał taki wielki łeb, że aż mu leciał do przodu. Był ogolony na łyso i miał napuchniętą twarz. Stawiał ciężkie, powolne kroki, ale każdy z nich był tak długi, że Iver Malt musiał biec, żeby za nim nadążyć. Olbrzym niósł na ramieniu strzelbę. Poznałem ją. Zatrzymali się przy furtce. Iver Malt wypchnął kolosa przed siebie, wyglądał na szaleńca.

– Poznajcie Henry’ego! Chodź, przywitaj się z Henrym, Chris! Witlinek!

A więc to był Henry, niemiecki bękart, przyrodni brat Ivera. On też wyglądał na szaleńca, ale w jakiś inny, bardziej zaburzony sposób. Niebieskim rękawem raz po raz przecierał oczy, jakby blednące już światło wieczoru go oślepiało. Potem zaczął wymachiwać strzelbą, wydając z siebie te same nieludzkie dźwięki, które słyszałem z ziemianki. Całość przypominała makabryczny taniec. Heidi ukryła twarz w dłoniach. Nagle Henry się uspokoił. Przyłożył strzelbę do ramienia i wycelował. Iver Malt ze śmiechem podskakiwał w górę, w dół, z boku na bok jak chore dziecko. Dopiero wtedy się wystraszyłem. Dopiero wtedy uwierzyłem w to, co widzę. A więc to była prawda. Henry istniał. Z pomocą Ivera Malta wyszedł z głębi ziemi. Ale nie, nie tylko – ukazał się również z moją pomocą. I gdybym mógł decydować, zepchnąłbym go w tę ciemność, która jest najlepsza dla większości z nas. Nie wiedziałem, w co celuje. Mógł to być czarny kot rozciągnięty na płasko pod paprociami. Mogła to być Heidi. Mogłem to być ja. Henry celował w świat. Przypomniało mi się, co powiedział ojciec Ivera. Że strzelba zawsze jest naładowana. Więcej nie zdążyłem pomyśleć.

– Mogę teraz wejść?! – krzyknął Iver Malt. – Co?

Wystrzał opróżnił lato ze wszystkich innych dźwięków. Usłyszałem opóźnioną eksplozję, która ciągnęła się dalej w postaci lawiny szkła tuż za mną. A po tej lawinie nastąpiła nowa cisza, głębsza i bardziej przenikliwa niż kiedykolwiek. Iver zatoczył się do tyłu i upadł na środek drogi. Cienie zamieniły się na miejsca. Henry zawył jeszcze głośniejsze, walnął czołem w kolbę i znów złożył się do strzału. Nie mogłem się ruszyć. Heidi też znieruchomiała. Przez chwilę wydawało mi się, że Iver Malt został trafiony. Ile kul jest w takiej strzelbie? Nie miałem pojęcia. Patrzyłem wprost w lufę. Henry stał w odległości dziesięciu metrów od nas, ode mnie, może mniejszej. Jego wielka blada twarz była dziecinna, niczego nieświadoma. Spojrzenie wypełniała przerażająca, a zarazem przerażona pustka. Nie mogłem się zdecydować, które oko zmrużyć, żeby najlepiej wymierzyć do celu. Zamknął oboje oczu. Strzelanie na ślepo byłoby najgroźniejsze. Mógł trafić. Iver Malt w końcu się podniósł, ale chwiał się na nogach. Był nietknięty na zewnątrz, lecz zmiażdżony w środku. I tak właśnie wyglądał. Jak długo to trwało? Straciłem kontrolę nad czasem. Wszystko odbywało się szarpnięciami, których kolejność zmieniono. Jakby czas był podzielony na różne strefy, w żaden sposób ze sobą niepowiązane. Niektórzy z nas mieli stracić rozum. Poza tym prawie ogłuchłem na lewe ucho. Pozostali wybiegli z salonu, półnadzy, oszalali. Wołali coś jeden przez drugiego. Lisbeth z płaczem podeszła do Heidi, która ściągnęła sweter i okryła przyjaciółkę, zamiast szukać kryjówki. Potem usłyszałem, jak ktoś wypowiada imię Henry’ego. Henry, Henry. To nie był Iver Malt. To był jego ojciec. Stał kawałek dalej na drodze, całkiem spokojny, on również miał na sobie garnitur i białą koszulę. Ubrali się

elegancko, wystroili się tak z mojego powodu, przecież mieliśmy razem słuchać relacji z lądowania na Księżycu, tak się umówiliśmy. Ojciec Ivera wydawał się bardzo nie na swoim miejscu. Wszyscy tego wieczoru byliśmy nie na swoich miejscach. Każdy z nas powinien być gdzie indziej, nie tutaj.

– Henry – powtórzył – odłóż strzelbę.

Henry ani drgnął. Wyglądał, jakby spał. Spał na stojąco i celował. Ojciec podszedł kilka kroków bliżej, nie odrywając od niego wzroku.

– Daj mi tę strzelbę, Henry. – Wyciągnął rękę. – Po prostu oddaj mi strzelbę, Henry, i wszystko będzie w porządku. Daj mi ją.

Henry otworzył oczy, odwrócił się powoli i wycelował w ojca, w ojczyma, który ostrożnie chwycił za lufę i próbował wyciągnąć broń z wielkich łap. Czekalem na kolejny strzał. Po chwili Henry wreszcie puścił strzelbę, osunął się na kolana i zaczął płakać, kołyszając się w przód i w tył. Ojczym położył mu wolną rękę na głowie i Henry trochę się uspokoił. To przypominało pieszczotę, błogosławieństwo. Potem zwrócił się do mnie:

– Ktoś jest ranny?

– Trafił tylko w latarnię.

– Przekaż, że za nią zapłacę. Krew ci leci.

– To kot. Tylko kot mnie podrapał.

Ojciec podszedł do Ivera, który jeszcze się nie ruszył ani nie odezwał, i uderzył go w twarz zaciśniętą pięścią. Iver nie zdążył nawet unieść rąk. Kolana złamały się pod nim jak słomki i upadł na brzuch na skraju rowu. Czy ten cios również był pieszczotą? Pieszczotą, która zabłądziła? Ojciec Ivera przełamał strzelbę, wyjął nabój i szybko schował go do kieszeni marynarki. Postawił Ivera na nogi i ruszyli w stronę Signalen, prowadząc Henry'ego między sobą. Jakby nic się nie zdarzyło, pomyślałem. Jakby nic się nie zdarzyło.

Staram się opowiedzieć o tym jak najobiektywniej. Chociaż gdy doszło do tych wydarzeń, oczywiście wcale tak na to nie patrzyłem, to znaczy obiektywnie. Liczyłem się z tym, że ludzie po usłyszeniu strzału przybiegną tłumnie, ale tak się nie stało. Może go nie słyszeli, a może nie chcieli, by coś im umknęło z relacji, radiowej czy telewizyjnej. To zresztą bez znaczenia. Było jak było. Wszystko mogło ułożyć się inaczej, tak jak w przypadku większości rzeczy, które robimy. To, co się faktycznie dzieje, jest przecież tylko jedną z wielu możliwości. Ale tu zaszło to, co zaszło, i nie mogłem niczego zmienić. Rodzina Maltów rozpierchła się na cztery wiatry, jak to się mówi. Nie wiem, ile tak naprawdę jest wiatrów, znam tylko własny. Iver nigdy nie powiedział ani słowa o tym, co się stało, i spędził trzy lata w poprawczaku na wyspie Bastøy, potem wyruszył na morze jednym ze statków przedsiębiorstwa żeglugowego Wilhelmsena, który woził fracht po Oceanie Indyjskim czy gdzieś w tamtych okolicach. A później nikt już nie słyszał o Iverze. Henry, jako niepoczytalny, nie poniósł odpowiedzialności karnej, ale trafił do zakładu zamkniętego pod miastem. Pisały o nim gazety, o biednym chłopcu latami więzionym w ziemiance. Jak mogło do tego dojść? Co za potwory, ci ludzie, ci rodzice! Szczególnie dostało się matce. Jeszcze raz okryła się wstydem, większym niż kiedykolwiek. Była nie tylko dziwką, lecz dodatkowo złym człowiekiem. Ale czy za jej wyborem nie kryła się również troska, wynaturzona, ale będąca jednak przeciwieństwem zła? Czy na swój bezradny, a mimo wszystko zdecydowany sposób nie chciała również chronić syna, ociężałego Henry'ego, nieprawego Henry'ego, czy nie chciała chronić tego, który najbardziej potrzebował ochrony i troski? Sąd nie znalazł żadnych okoliczności łagodzących. Na korzyść matki nie przemawiał nawet pieczony w domu chleb. Wręcz odwrotnie – pieczony w domu chleb świadczył o jej przebiegłości. Wszystko w niej stanowiło okoliczność zaostrzającą. Nic nie przemawiało na jej korzyść, nikt za nią nie przemawiał. Ja bym chętnie to zrobił. Z wielką chęcią przemówiłbym za nią, na jej korzyść. Mój głos nie miał jednak wtedy znaczenia. Był niesłyszalny. Ale powinienem był powiedzieć: „Matka Ivera Malta piecze najlepszy chleb na świecie”. Oboje rodziców skazano na osiemnaście miesięcy więzienia, wyszli po dwunastu, przeprowadzili się w inny region kraju i tam zaczęli od nowa. Jeśli w ogóle gdziekolwiek istnieje nowy początek. Przypuszczam, że tak, zawsze jest jakiś nowy, inny początek, zresztą wcale tego nie przypuszczam – ja to wiem.

Działka na Signalen zarosła. Chwasty zżarły zardzewiałe żelastwo. Ziemiankę zasypało śmieciami i potłuczonym szkłem. Pole umarło pod paprociami. Schrony przestały już do kogokolwiek należeć. Barak i warsztat rozpadły się i w końcu zmieniły w stos blachy falistej i spróchniałych desek, które z czasem również zniknęły. Z czasem wszystko znika. Marna to pociecha. Deszcz i wiatr zmiotły ostatnie szczątki. Właśnie w tym marnym ogrodzie staram się, by moje życie zaczęło rosnąć od nowa.

A co z nami? Lisbeth wreszcie wzięła się w garść. Pozbyła się aparatu na zęby, żyła grzecznie i przykładnie aż do śmierci w wypadku samochodowym wiele lat później, czyli całkiem niedawno; zostawiła córkę, męża nie miała. Przeczytałem nekrolog, ale nie poszedłem na pogrzeb. Zrobiło mi się tylko cholernie smutno. Putte z pozostałymi dupkami też wygrzecznieli, jak to się dzieje z większością ludzi, i wkroczyli na prostą ścieżkę, już dawno dla nich wyasfaltowaną, prowadzącą na Cmentarz Zachodni – bez możliwości powrotu. Czasami rzucają mi się w oczy ich nazwiska w związku z bankructwami, przejęciem spółek i ekonomiczną nielojalnością. O Heidi nie miałem żadnych wiadomości, dopóki nie dostałem pocztówki wysłanej z Brukseli, a wtedy zdażyłem już o niej zapomnieć, bo koniec końców, niewiele było o nas do pamiętania, a jeśli w ogóle, to o wszystkim tym, czego nie zrobiłem. Heidi chciała mi tylko pogratulować pewnej nagrody, którą dostałem. Pracowała w jakiejś instytucji unijnej

zajmującej się umowami bilateralnymi, wszystkim tym, czego nie rozumiem: polityką i dyplomacją. Zastanawiała się jednak, czy kiedykolwiek skończyłem pisać ten wiersz o Księżycu. I ten drugi, o którym wspominałem. Można go gdzieś przeczytać? Mówiłem chyba, że miał się ukazać w jakimś czasopiśmie, czy nie w „Vinduet”? Zapamiętała to. Pamiętała więcej niż ja. Uznałem to za sygnały dymne, powoli rozpraszające się pod niskim niebem albo nad miastami, między którymi podróżujemy, i nad przeżytym przez nas życiem. Uznałem to za ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem. Potem nauczyłem się, że niebezpieczeństwo czai się zawsze. Bez względu na to, gdzie się obrócisz, grozi ci niebezpieczeństwo. Najwięcej wypadków wydarza się na przejściach dla pieszych. Stąd wniosek: unikaj przejść dla pieszych. A ja? Dotrzymałem obietnicy. Nigdy więcej nie przeglądałem się w lustrze. Poszedłem do klasy z francuskim, nie skończyłem wiersza o Księżycu, tamten drugi wiersz zachowałem dla siebie, nigdy też nie przeczytałem do końca *Moby Dicka*. Nie daję rady. Za każdym razem, gdy próbuję, coś mnie blokuje. A próbowałem po wielekroć. Trochę tak, jakbym chciał utrzymać kapitana Ahaba na dystans lub nie pozwolić mu dotrzeć do końca, który został mu wyznaczony przez autora albo przez los. W Ilustrowanych Klasykach było też jeszcze coś, co nie chce się ode mnie odczepić; przecież znalezienie tego czasopisma na dnie kosza pod schodami musiało mieć jakiś sens albo być mi przeznaczone, prawda? Było w tym więcej sensów, bo we wszystkim jest więcej niż jeden sens. Mam na myśli opis opróżniania głowy wieloryba, kaszalota, opróżnianie go ze wszystkiego, co jest wart. W Ilustrowanych Klasykach napisano: „Kaszalot różni się od innych wielorybów. W jego głowie znajduje się komora zawierająca najcenniejszy ze wszystkich wielorybich olejów: olbrot”. Podczas opróżniania łba kaszalota jeden z członków załogi wpada do wnętrza głowy wieloryba i Queequeg musi wyrąbać dziurę, wdrzeć się do środka i ocalić nieszczęśnika. Nie mogłem tego odczytywać inaczej niż jako opis moich dołków i otworków do oddychania. W nich tkwiło to, co najcenniejsze; nie tylko olbrot, lecz również ta pustka, którą prędzej czy później musiałem wypełnić, najpierw spokojnie, powoli, później coraz szybciej.

„Niechaj wszelako Ahab strzeże się Ahaba! Samego siebie strzeż się, kapitanie!”^[5]

Tamtego wieczoru, 20 lipca latem 1969 roku, do tego wszystkiego wciąż jeszcze było daleko i dalszego ciągu nie dawało się nawet wyobrazić. Staliśmy każde z osobna, przylutowani do trawy i do ciszy. Przerwała ją Lisbeth.

– Cholera, teraz ojciec na pewno się dowie, że urządziłam imprezę!

Odwrociłem się do Heidi.

– Chyba pójdę za swoim kumplem – powiedziałem.

Kiwnęła głową i może powinienem być z tego zadowolony, ale wcale nie byłem. Chciałem, żeby zaprotestowała, krzyknęła, że pójdzie ze mną albo żebym ja poszedł za nią, dokądkolwiek, dlatego powtórzyłem to samo jeszcze raz, jakby te beznadziejne słowa mogły zmienić to, co już się wydarzyło.

– Chyba pójdę za swoim kumplem.

– Idź.

Nie mogła równie dobrze powiedzieć: „Nie idź”? No ale powiedziała: „Idź”, ni mniej, ni więcej – „Idź”. Poszedłem więc za Iverem Maltem, chociaż oczywiście i tak było już za późno. Na wszystko było za późno. Miałem jednak nadzieję, że wszystko może być tak jak wcześniej. Tak jak wcześniej? Nie pamiętałem nawet, jak było wcześniej. Dogonił mnie samochód. Zatrzymał się, lensman opuścił szybę.

– Słyszałeś jakiś strzał gdzieś w pobliżu? – spytał.

– Jak to?

– Pani Gulliksen z Pynten zadzwoniła i twierdziła, że usłyszała strzał.

Co za babsko. Niech ją szlag trafi! Wyprzedzała wszystkich, chociaż doprowadziłem do

jej zniknięcia.

– Aha?

– Skaleczyłeś się?

– Nie. A co?

Lensman otworzył drzwiczki i stanowczo wciągnął mnie do samochodu.

– Chyba musimy pogadać. Wiesz coś o tym strzelaniu? Jeśli będziesz próbował mnie okłamywać, czekają cię duże kłopoty. Jasne?

Jak najlepiej i najbliżej prawdy opowiedziałem o tym, co się stało. Zabrzmiało to nieprawdopodobnie i nieskładnie. Sam to słyszałem. Kiedy skończyłem mówić, lensman nachylił się nad kierownicą.

– Henry? Kto to jest Henry?

– Brat Ivera Malta. To znaczy przyrodni brat.

– Niemiecki bękart? Przyjechał w odwiedziny?

– Nie.

Lensman ujął mnie za ramię i ścisnął.

– Nie? Czy ty przypadkiem nie zmyślasz?

– Był tu cały czas. W ziemiance.

Opuścił rękę.

– O Boże!

– On w nas nie celował.

Lensman przejechał ostatni kawałek, zatrzymał się przy wiacie na przystanku autobusowym i wyłączył silnik.

– To ważne, chłopcze. Czy to ojciec niósł strzelbę, kiedy odchodzili?

– Tak. Ale nienaładowaną. Wyjął nabój.

– Zaczekasz w samochodzie. Jasne?

Wszedł w zarośla na Signalen. Nie mogłem czekać. Poszedłem za nim. Łatwo było się poruszać w ukryciu. Widziałem, jak idzie w stronę baraku, w którego oknach się świeciło. Zatrzymał się w pewnej odległości.

– Malt! – zawołał.

Już po chwili drzwi się otworzyły i ojciec Ivera stanął w słabym świetle na progu.

– Wiesz, dlaczego tu jestem, Malt?

– Wiem.

– Gdzie twoja strzelba?

– Wisi na ścianie w warsztacie.

Lensman wskazał na ziemiankę, której wąż był zamknięty.

– Trzymasz tam kogoś, Malt? Ukrywasz kogoś w swojej ziemiance?

– Już nie, lensmanie.

Zobaczyłem, jak stają za jego plecami. Iver, matka i Henry. Przypominali rodzinę, zwyczajną szczęśliwą rodzinę. Może zresztą nią byli, po raz pierwszy w tym jedynym momencie, kiedy wszystko wyszło na jaw. W chwili gdy szykowałem się do ucieczki, usłyszałem głos Ivera:

– Wylądowali.

Powoli ruszyłem w stronę domu. Staralem się iść tak wolno, że równie dobrze mogłem zawrócić. Ale nie miałem do czego wracać. Henry powinien był wycelować we mnie i wypalić, nie prosto w serce czy między oczy, tylko w stopę, zwyczajnie powinien był trafić w moją prawą stopę, tę natrętą, nachalną stopę, którą zmuszony byłem wszędzie za sobą ciągnąć, i rozerwać ją na strzępy, żeby palce, kostka, pięta i podeszwa rozprysnęły się na wszystkie strony. To by dopiero było coś. Prawdziwa krwawa łaźnia stóp. Wreszcie pozbyłbym się tego ohydneho balastu. Poza tym wszyscy by się nade mną uzalali, szczególnie Heidi, a ja miałbym szansę okazać dobroć, wybacząc Henry'emu i mówiąc, że to był wypadek, niezawiniony, bez względu na to, co sądziłyby o tym ojciec Lisbeth, asesor sądowy. Poza tym nie musiałbym czekać aż do starości, żeby chodzić o lasce.

Zatrzymałem się w najgłębszym miejscu Niecki i uświadomiłem sobie, że zmienić mnie mogą jedynie nieszczęścia i przestępstwa.

Matka siedziała na werandzie owinięta pledem. Obserwowałem ją, stojąc przy furtce. Już byłem szpiegiem, ale jeszcze nie wiedziałem, jakie tajemnice powinienem odkryć lub przemilczeć. Radio, które wyniosła na werandę, było wyłączone. Z popielniczki unosiła się cieniutka smużka dymu. Zapisywała coś w swoim żółtym notatniku i wydawała się tym pochłonięta; przebywała w swoim własnym świecie, w jednym ze wszystkich tych światów, które istniały wokół nas, w nas, wśród nas. Przypomniało mi się jeszcze inne zdanie z *Moby Dicka* z Ilustrowanych Klasyków; wypowiada je Piotr Trumna, właściciel oberży Pod Wielorybnikiem w Nowym Bedfordzie w stanie Massachusetts: „Mało to głów na świecie?”^[6]. Matka w końcu wyczuła moją obecność, szybko schowała notes do kieszeni fartucha i pomachała do mnie. Podszedłem.

– Wylądowali.

– Wiem.

– Wyobraź to sobie! Na Księżycu! Usiądziesz na chwilę? Mogę zrobić jakieś kanapki.

Głodny jesteś?

– Idę spać.

– Iver pytał o ciebie.

– I co mu powiedziałaś?

– Że jesteś u Lisbeth, a co innego miałam powiedzieć? Chociaż nie podobało mi się, że tam się wybrałaś. Iver tam przyszedł?

– Zajrzał na chwilę.

– Wy też słyszeliście fajerwerki?

– Fajerwerki? Nie.

– Nic nie widziałam, ale słyszałam huk. Z tamtej strony. Co sobie zrobiłaś w rękę? Pokaż! Cofnąłem się o krok.

– To tylko kot Lisbeth. Podrapał mnie.

– Coś się stało? Coś nie tak?

Wzięłem głęboki oddech. Nie miałem w sobie dość miejsca na wszystko. Było tego za dużo. Przełałem się. Musiałem się czegoś pozbyć. Mogłem powiedzieć, że Henry, brat Ivera Malta, przyrodni brat, ten cholerny niemiecki bękart, wycelował, strzelił i trafił mnie ukosem w czoło lub tuż koło serca, albo jeszcze lepiej, że Henry wycelował w siebie i nacisnął spust, trzymając lufę w ustach. To by dopiero było coś! Lepsze zakończenie niż te zadrapania, o których wspominałem, te zadrapania, których mimo wszystko nie mogę się pozbyć.

– Co właściwie jest ojcu?

Matka, zdziwiona, zaśmiała się krótko.

– Co jest ojcu? Przecież dobrze wiesz. Co za pytanie!

– Nie, nie wiem.

– Ojciec ma niesprawną nogę. Wiesz przecież.

– Niesprawną? Teraz noga jest niesprawną, tydzień temu był złamana, a później tylko dolegało mu coś w stopę.

– W każdym razie nie może chodzić, Chris.

– Nie może chodzić? Dlaczego nie używa kul jak wszyscy inni? Albo wózka? Co?

Matka wstała gwałtownie, o mało nie przewracając krzesła.

– A dlaczego ty musisz za wszelką cenę wszystko rozgrzebywać i tak wypytywać? Nie mam już siły! Nie możesz chociaż jeden jedyny raz poprzestać na tym, że jest jak jest? Czy to takie trudne?

Jeszcze nigdy jej takiej nie widziałem. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, że ma w sobie tyle wściekłości. To było przerażające. Nie bałem się, że zaczną mnie bić, ale że coś ukrywa, coś poważniejszego i mroczniejszego, co również dotyczy mnie. Właśnie to wzbudziło we mnie przerażenie.

– Przepraszam – powiedziałem.

Matce szybko wróciła poprzednia nieszczęśliwa mina.

– To ja cię przepraszam, Chris.

– Nie musisz.

– Nie chciałam. Nie mam żadnego powodu, żeby się na ciebie złościć. Jestem po prostu bardzo, bardzo zmęczona.

Poszedłem na górę do swojego pokoju i usiadłem przy biurku, wcale niebędącym biurkiem, tylko całkiem zwyczajnym stołem, na którym przypadkiem stała maszyna do pisania. Wstałem, zdjąłem ze ściany lustro i schowałem je pod łóżko. Przeciągając palcem po głowie, wyczułem głęboki dołek w miejscu, gdzie skóra była cienka i napięta, jakbym wciąż był niemowłkiem i czaszka jeszcze mi się nie zrosła. Jeszcze raz usiadłem przy maszynie, wyciągnąłem kartkę z wałka, wrzuciłem ją do kosza, znów wyjąłem walizkę, tę mniejszą, i zamknąłem w niej maszynę. Po chwili matka zapukała do drzwi.

– Chris? Śpisz już?

– Nie.

– Mogę wejść?

Nie odpowiedziałem. Ostrożnie otworzyła drzwi.

– Pójdiesz się ze mną wykapać?

– Teraz?

– Kąpiel po ciemku. Jest dopiero jedenasta. Ciepło.

– Nie mam ochoty.

– Ale mógłbyś chyba ze mną pójść, żeby mnie przypilnować?

Poszliśmy na Hornstranden. Nikogo innego tam nie było. Ciemność zapadła nagle. Wszystko straciło swój kształt i objawiało się jako coś innego. Słyszałem jedynie powolne fale, ale nie potrafiłem stwierdzić, z której strony napływały. Kiedy matka się przebierała, usiadłem kawałek dalej. Potem położyła biały szlafrok na skale, kucnęła wśród wodorostów, wzdrygnęła się ze śmiechem i wyciągnęła na plecach wśród gładkiego błękitu. Przysunąłem się bliżej. Miałem jej pilnować. W ten sposób stałem się potrzebny. Tak najlepiej zapamiętałem swoją matkę: woda zamyka się nad nią jak bezgłośny miękki szew, przynosząc jej wielką ulgę.

Stałem na rufie, obserwując wszystko, co opuszczam: letnisko, maszt do flagi, skały, domek kąpielowy, niemiecki barak i pomost, na którym Iver Malt już nie łowił ryb. Nic nie było zwyczajne i wątpiłem, by kiedykolwiek mogło się takie stać. Może nic nigdy nie było zwyczajne, może to tylko ja dobrze się nie przyjrzałem. Ale prom był ten sam, „Prinsen”, biały i wypolerowany. Jedyna różnica polegała na tym, że wbiłem sobie do głowy, iż w powrotnej drodze tego lata będę stał z tyłu, a zatem prom nie był ten sam, bez względu na to, czy się nazywał „Prinsen”, czy nie. Za każdym razem, kiedy ktoś się przemieszcza, coś się zmienia, prawda? A przecież ludzie cały czas się przemieszczają. Panuje chaos. Nie ma dużo więcej do powiedzenia na ten temat.

Kapitan wyszedł z saloniku i stanął obok mnie.

– Pewnie idziesz do liceum – zagał.

– No tak.

– Skoro jeździsz z maszyną do pisania, to musisz iść do liceum.

Wskazał na walizkę, którą postawiłem sobie między nogami, jakbym nie wiedział, że właśnie tam jest.

– Jasne.

„Prinsen” minął Nakholmen. Pełna małych kolorowych domków, wyspa wyglądała jak zabawka. Kapitan zapalił papierosa.

– Paskudna historia z tymi z Signalen – powiedział.

– Owszem.

– Dobrze, że on nikogo nie zabił. Ten, jak mu na imię?

– Henry.

– Mało brakowało, co?

– Do czego?

– Żeby cię zastrzelił.

– Nie celował we mnie.

– Nie można wiedzieć, co się dzieje w takiej głowie.

– On w nikogo nie celował – powtórzyłem.

Kapitan wrzucił niedopałek do morza i grzbietem dłoni przeciągnął pod nosem, z którego zwisała przezroczysta kropla. Kiedyś miał w sobie coś baśniowego. Teraz już nie. A może ja przestałem to dostrzegać. Widziałem tylko znoszony mundur, wytarte guziki, buty, których nikt nie wyczyścił, zardzewiały licznik. I kapkę pod nosem rozpluwającą się po grzbiecie dłoni, którą szybko wytarł w spodnie. Prawie się wkurzyłem. Chciałem, żeby był baśniowy. Chciałem, żeby wciąż dyżurował jednocześnie na wszystkich promach pływających po Oslofjorden, liczył nas przy wchodzeniu na pokład i błogosławił przy schodzeniu na ląd. On miał liczyć, ja miałem o nas opowiadać. Czy na tym polegało dorastanie – że wszystko stawało się zwyczajne? Nie mogłem zresztą wyrzucić z głowy czegoś, co powiedział Iver Malt: że powinniśmy chodzić boso, bo inaczej pospadamy z Ziemi. Wtedy chyba nie do końca zrozumiałem, co to znaczy, teraz już dobrze wiem. Zbyt długo chodziłem w najlepszych butach i ziemia usunęła mi się spod nóg.

– Matka o ciebie pytała – powiedział Kapitan. – Tylko to chciałem ci przekazać.

Pozwoliłem mu odejść i jeszcze chwilęostałem. Błysk, która nie była już ani błyską, ani błyskotką, tylko kawałkiem metalu, z którego złuszczyła się farba, miałem w kieszeni. Cisnąłem ten złom w kilwater i przez moment zrobiło mi się żal samego siebie. To było przyjemne uczucie. Zrobiło mi się tak smutno, że gotów byłem krzyczeć z radości. Potem wzięłem walizkę i poszedłem na dziób promu. Walizka nie była ciężka, w zasadzie pusta, bo

przecież nic nie napisałem na maszynie. W kiosku, który już zamykano, za resztę swoich pieniędzy kupiłem lody w waflowych łożeczkach. Rozejrzałem się po saloniku. Letnia armia wracała do koszar codzienności. Bitwa się skończyła. Teraz czekał nas inny znój. Nasze matki często używały pewnego wyrażenia: „Już tylko włosienica i placki z owsa”. Mieliśmy przyodziać się we włosienice i jeść placki owsiane rano i wieczorem. Wracaliśmy do domu, czekała nas pora umiarkowania. Matki nie było w saloniku. Stała na pokładzie, na samym dziobie. Zdjęła chustkę z głowy. Zbliżaliśmy się już do miasta. Kiedy chciałem jej dać jednego loda, uśmiechnęła się.

– Zachowaj go dla ojca – powiedziała.

Spojrzałem tam, gdzie pokazała. Ojciec czekał na nas na samym końcu Pirsu B. Z tego, co widziałem, nie miał kul ani gipsu, a już na pewno nie siedział na wózku inwalidzkim. Pomachał do nas. Ja też podniosłem rękę i odmachalem. W tym miejscu kończę. Napisałem to, co postanowiłem napisać. Nic więcej nie było. Wkrótce wyruszam dalej, być może już jutro. W moim wieku „dalej” oznacza „z powrotem”. Z niczym mi się nie spieszy, dlatego mam mało czasu. Do napisania pozostaje jedynie to: Tego lata nie stałem się ani gorszym człowiekiem, ani też lepszym. Zbliżyłem się tylko do człowieka, którym jestem.

PROLOG II

Istnieją miasta, o których nie wiesz. Możesz tam przybyć i zacząć od nowa. Zawsze jest jakieś miejsce, w którym możesz zacząć od nowa. Gdyby takie miejsca nie istniały, byłoby nieznośnie. Zerwałem z własnym miastem. Zateęskniłem za innym rogiem, który mógłbym okrążyć. Zateęskniłem za klatkami schodowymi z innymi drzwiami, za ulicami z nowymi rynsztokami. Pozbierałem wszystkie swoje letnie miesiące i wszystkie swoje adresy, ale zgubiłem pory roku i klucze. Tak właśnie myślałem, kiedy do większości zdarzeń doszło już dawno temu, a ja po raz ostatni stałem na końcu pomostu, pozwalając, by te chłodne błękitne lata, a szczególnie jedno z nich, blizna w kalendarzu, zamknęły się w księdze zapomnienia. Miasto w głębi fiordu skrywało się w zimnej grudniowej mgle i jedynie dzwony na wieży ratusza przypominały mi o tym, co minęło. Już byłem starszym panem. Tym, którego tak często sobie wyobrażałem, panem z laską. Reagowałem tylko na jedno imię, Funder. Jestem Funder. Promy natomiast, które nie przypominają już promów, dostały nowe nazwy. Mimo wszystko pływały na tej samej trasie, torem żeglugowym w lodzie, łączącym mróz z wakacjami. To ja miałem jechać w inne miejsce. Miałem zostać uzdrowiony. Wyrzuciłem stare znaczki pocztowe. Przystudiowałem nowe mapy. Dwa miasta wyróżniały się w sposób szczególny. Jedno z nich nie istnieje. Nazywają się Karmack i Solvang. W Karmack starzy ludzie mawiali: „Jeśli będziesz dobrym człowiekiem, po śmierci trafisz do Solvang”. W Solvang mówiono to samo, tylko odwrotnie: „Jeśli będziesz złym człowiekiem, po śmierci trafisz do Karmack”. Jeszcze tylko jeden drobiazg: przy wjeździe do wszystkich miast, które odwiedzasz lub które zostawiasz za sobą, stoi tabliczka z dokładną liczbą mieszkańców. To ważne. Musimy wiedzieć, ilu nas jest. Inaczej się pogubimy. Tabliczki w Karmack i Solvang zawsze pokazywały tę samą liczbę. Bez względu na to, kto był dobry, a kto zły, liczby pozostawały takie same. Właśnie z tym zamierzam coś zrobić. Ale czy na odwrocie tych tablic, widocznych przy wyjeździe z Karmack i Solvang, nie powinna widnieć inna liczba, informująca, ilu ludzi jest na świecie poza tymi miastami?

POŚREDNIK

Kiedy już tylko podczas wiosny i lata liczba nieszczęśliwych wypadków w Karmack wzrosła o całe osiemnaście procent w porównaniu z rokiem poprzednim, władze uznały za konieczne zatrudnienie Pośrednika, mimo bardzo słabej sytuacji finansowej. Miasta nie stać było na przykład na zapalenie ulicznych latarni wieczorami, co prowadziło do kolejnych wypadków, wprawdzie nie tak poważnych, ale otarcia, wstrząsy mózgu, wybite zęby i złamane kości udowe również wiążą się z kosztami. A teraz, gdy jesień stała już za progiem, władze nie miały wyjścia. Nabór na stanowisko Pośrednika ogłoszono na początku września w „The Record”, jedynej gazecie w regionie. Tydzień później pod koniec okresu rekrutacji zgłosiło się zaledwie dwóch mężczyzn i jedna kobieta, czego właściwie należało się spodziewać, zważywszy na zakres obowiązków Pośrednika. Wszystkich troje wezwano po kolei na rozmowę z Komitetem, w którego skład weszli: Patrick Oak, Will Tyler i Ross Noden, odpowiednio Szeryf, Doktor i Pastor, trzech mężczyzn, którzy swoje najlepsze lata mieli już dawno za sobą. W zasadzie to właśnie oni rządili tym miastem, które nosiło nazwę Karmack i ze swoją główną ulicą, Union Avenue, niską zabudową i niegdyś tak zadbanymi ogródkami i świeżo odmalowanymi płotami przypominało inne miasta tej samej wielkości, oczywiście z wyjątkiem wszystkich nieszczęść spadających w owym czasie na udręczonych mieszkańców. Dwoje pierwszych kandydatów można było dość szybko skreślić. Bob Spencer, czterdziestoletni bezrobotny kierowca wózka widłowego, cierpiał na chorobę skóry, z powodu której był, łagodnie mówiąc, mało pociągający. Twarz miał naznaczoną kraterami jak po ospie i tłustą, wciśniętą między czoło a policzki oczy wyglądały, jakby stale je mrużył. Zawsze uciekał spojrzeniem, zresztą nikt nie miał ochoty, by je napotkać. Już samo to sprawiało, że nie nadawał się na Pośrednika. Poza tym miał podobno gwałtowny charakter. W ogóle ubiegając się o to stanowisko, Bob Spencer tylko marnował czas Komitetu. Kobieta, Mrs. Haven, na pierwszy rzut oka zapowiadała się obiecująco. Miała trzydzieści osiem lat, była samotną matką dziesięcioletniej dziewczynki, co oczywiście mogło stanowić problem, ale Komitet postanowił dać jej szansę. Wcześniej Mrs. Haven sprzedawała bilety w The Majestic – jedynym kinie w mieście, już dawno zamkniętym. Była zadbana i ładna, ale nie za ładna, jej twarz raczej z niczym się nie kojarzyła i zapominało się ją, gdy tylko człowiek się odwrócił. To w zasadzie pasowało do tego stanowiska. Komitet był zatem skłonny dać Mrs. Haven szansę, ale tylko do chwili, gdy kobieta otworzyła usta i zaczęła mówić. Miała skrzypiący, przenikliwy głos, którego słuchanie było wprost cierpieniem. Komitet nie mógł tego zaakceptować. Ludzie i tak już dostatecznie dużo wycierpieli, żeby musieli jeszcze wysłuchiwać takiego skrzeczenia. Komitetowi został więc tylko jeden kandydat, Frank Farrelli. Co więcej można powiedzieć o Franku Farrellim oprócz tego, że ubiegał się o stanowisko Pośrednika? Prawdę mówiąc, niewiele. Miał trzydzieści pięć lat, urodził się i wychował w Karmack. W żaden sposób się nie wyróżniał, ale też nikt nie miał mu nic do zarzucenia. Po skończeniu szkoły średniej przez jakiś czas się objął albo zastanawiał, jak sam mówił, zanim w końcu dostał stałe miejsce w okienku numer trzy na Karmack Station, gdzie sprzedawał bilety kolejowe. Było to w czasach, kiedy pociągi jeszcze się tu zatrzymywały. Pięć lat temu przestały się zatrzymywać i miejsce w okienku numer trzy okazało się nie takie znów stałe. Od tamtej pory Frank Farrelli był bezrobotny i miał czas, żeby się jeszcze głębiej zastanowić, chociaż niewiele mu to pomogło. Jego ojciec zmarł, kiedy Frank Farrelli skończył trzynaście lat, i nigdy nie widział morza. Frank mieszkał w domu u matki i miał złotą rybkę o imieniu Mark.

Sekretarka, Blenda Johnson, pod każdym względem świetna dziewczyna, zaprowadziła go do sali konferencyjnej mieszczącej się na ostatnim piętrze Ratusza, najokazalszej budowli w Karmack, nie licząc kościoła. Był to murowany budynek wzniesiony w 1908 roku, gdy

napłynęli tu Europejczycy: Polacy, Niemcy, Włosi, Norwegowie i Irlandczycy, tworząc w tym dość jałowym regionie barwną mieszankę twardych i sentymentalnych malkontentów. Z Ratusza, jeśli pogoda na to pozwalała, roztaczał się widok na dwie strony świata. Od zachodu miasto kończyło się torami kolejowymi, chwastami i słońcem zachodzącym za brunatne pagórki, niemal w całości pokryte gładkimi owalnymi głazami, pozostawionymi przez lodowce dawno temu, na długo przed nami. Na wschód Union Avenue biegła przez centrum do osiedli mieszkaniowych i docierała do Snake River, stanowiącej granicę miasta. Można było niemal pomyśleć, że te dwa widoki należą do dwóch innych krajobrazów, ale właśnie tak było położone Karmack: pomiędzy porami roku, pomiędzy górami, pustynią i równinami, w ogóle pomiędzy większością wszystkiego.

Tego dnia rano padał deszcz. Kurz, który zgromadził się latem, spływał do studzienek. Frank Farrelli usiadł przed Komitetem, a sekretarka zamknęła drzwi. Nikt nie przypominał sobie, kiedy dokładnie ten Komitet został powołany, ale musiało to być przed laty, kiedy w Karmack naprawdę zaczęło źle się dziać. A źle dziać się zaczęło, gdy przestały się tu zatrzymywać pociągi. Kiedy pociągi tylko mijają jakieś miejsce, najczęściej oznacza to drzwi zamknięte na cztery spusty. Nikt nie przybywa i nikt nie wyjeżdża.

Frank Farrelli zrobił przyzwoite pierwsze wrażenie. Był ubrany w szare spodnie, zamszową kurtkę i ciemną koszulę w kratę. Buty miał wypastowane, a paznokcie wyczyszczone i opiłowane. To oczywiście zwróciło uwagę i przemówiło na jego korzyść. Pośrednik otrzymuje tylko jedną szansę i chodzi o to, by jej nie zmarnować. Po twarzy Franka wciąż spływało kilka kropli deszczu. Pastor podał mu chusteczkę. Frank Farrelli nie bardzo wiedział, co z nią zrobić, i przestraszył się, że źle wypadł, jeszcze zanim otworzył usta.

– Wcześniej byłeś zatrudniony na kolei?

– Siedziałem w okienku numer trzy.

– A co robiłeś od czasu, kiedy zamknięto stację?

– Rozglądałem się za pracą, opiekowałem się matką i rozmyślałem.

Doktor odsunął na bok plik papierów i oddał głos Szeryfowi.

– O czym rozmyślałeś?

– O różnych rzeczach. O życiu. O przyszłości. O tym mieście.

– I co sobie myślałeś o życiu i przyszłości, Farrelli? I o tym mieście?

– Że trzeba przyjmować to, co przynosi życie.

Pastor nachylił się nad stołem.

– Nie jesteś żonaty?

– Tak, zgadza się. Nie jestem.

– A w maju skończyłeś trzydzieści pięć lat. Nie masz zamiaru się żenić? Założyć rodziny?

– Tak jak powiedziałem. Trzeba przyjmować to, co przynosi życie.

– To najwyraźniej twoje credo, Farrelli. Trzeba przyjmować to, co przynosi życie.

– Owszem. A co innego można zrobić? Ale ważne jest, żeby być na to przygotowanym.

Pastor uśmiechnął się i znów oddał głos Szeryfowi, który teraz już przystąpił do rzeczy.

– Dlaczego ubiegasz się o to stanowisko, Farrelli?

– Tak jak powiedziałem, już od kilku lat jestem bezrobotny. Chciałbym się do czegoś przydać.

– Wiesz, jaki charakter ma ta praca?

– Wydaje mi się, że jestem dobrze zorientowany.

– Chodzi mi raczej o to, czy podołasz obowiązkom, które zostaną na ciebie nałożone.

– Uważam, że udźwignę ten ciężar.

– Również w bardzo trudnych okolicznościach?

– Jak już mówiłem, siedziałem w okienku numer trzy. Pasażerowie nie zawsze byli łatwi w kontaktach, zwłaszcza pod koniec. Obwiniali mnie o to, że pociągi się nie zatrzymują. Uważałem to za niesprawiedliwe, ale mimo wszystko wytrzymałem w pracy do końca. Taki już jestem.

Przerwał mu Pastor:

– Ale to jednak trochę inna sytuacja, Farrelli. Masz stawać twarzą w twarz z ludźmi w najtrudniejszych momentach ich życia. Będziesz musiał przekazać matce, że jej córka zginęła w wypadku samochodowym. Będziesz musiał poinformować ojca, że jego syn utonął w rzece. Będziesz musiał patrzeć w oczy najbliższym ofiar i...

Szeryf położył rękę na ramieniu Pastora.

– Dobrze, już dobrze. Pytamy po prostu o to, Farrelli, czy masz jakieś doświadczenie w przekazywaniu złych wiadomości.

– Musiałem powiedzieć mojej matce, że ojciec nie żyje.

– Jak umarł twój ojciec?

– Spadł z drabiny, kiedy naprawiał rynnę na dachu. To nie było tak bardzo wysoko, ale nadzieją się na kosę leżącą w trawie. Czołem. Czaszka rozłupała mu się jak jajko. Przepraszam, nie powinienem tego mówić, ale widziałem to na własne oczy. To było straszne. – Frank Farrelli spuścił głowę, wierzchem dłoni przesunął powoli po gładkim czole i znów musiał sięgnąć po chusteczkę Pastora. Tym razem ocierał nie krople deszczu, lecz łzy.

Szeryf odezwał się po dłuższej chwili milczenia.

– Pamiętam to. Okropne. Ile miałeś lat?

– Trzynaście.

– Ja też cię dobrze pamiętam – wtrącił Pastor. – W kościele cały czas stałeś przy trumnie ojca. Piękny gest ze strony trzynastoletka.

– Dziękuję. To był mój obowiązek.

Frank jeszcze raz otarł oczy i poczuł zadowolenie. To bez wątplenia musiało przemówić na jego korzyść. Był uczuciowym człowiekiem, potrafił wczuć się w ból i żalobę innych. A potem zaczął myśleć od drugiej strony, jak to miał w zwyczaju: Komitet zapewne wcale nie szuka mięczaka, tylko raczej zimnego drania, zdolnego do przekazania najbardziej ponurych wieści bez najmniejszego drżenia warg. I rzeczywiście Szeryf nie ustępował:

– Płaczesz, Farrelli?

– Nie, nie, to tylko deszcz.

– Nie chcemy Pośrednika bekisy. Płacz to przywilej krewnych ofiar, nie Pośrednika.

Komitet wstał, Frank również. Rozmowa dobiegła końca. Członkowie Komitetu nie wydawali się z niego niezadowoleni, lecz nie składali mu także żadnych obietnic. Wkrótce miał zostać poinformowany o ich decyzji, w ciągu kilku dni, a może nawet już nazajutrz. Ta sama sekretarka odprowadziła go do wyjścia. Gdy tam dotarli, spytała, jak poszło. Frank odpowiedział, że chyba dobrze. Mówiąc to, spuścił wzrok, co również miał w zwyczaju. Na plakietce przypiętej do piersi sekretarki widniały imię i nazwisko: Blenda Johnson. Dziewczyna była ładna, chociaż krępa, ubrana w białą bluzkę i czarną spódnicę, co przydawało jej lat i staroświeckości. Frank nie był temu przeciwny. Wydawało mu się, że pamięta ją z czasów szkolnych, była o dwie klasy niżej. Blenda Johnson zdradziła mu, że pozostałej dwójce kandydatów nie poszło, zdaje się, zbyt dobrze. Oczywiście Komitet niczego nie wyjawiał, tak żadną miarą nie wolno mu myśleć, po prostu sama tak czuła. Sytuacja Franka jest więc na pewno dużo lepsza.

Wyszedł i ruszył na zachód, mijając stare bary, Smith's Corner, Willy's Saloon, Magic Pub, pełne cieni, których nie stać już było na upijanie się na wesoło – teraz upijały się sennie mętnym alkoholem. Deszcz przestał padać. Frank zajrzał do sklepu rzeźnika Billa McQuire'a,

jednego z niewielu wciąż otwartych, z zamiarem zafundowania sobie dwóch steków T-bone. Bill spytał, czy Frank ma zamiar coś uczcić, skoro tak się szarpnął. Może tak, może nie, powiedział Frank. Na co Bill stwierdził: No to masz szczęście. Ale w chwili gdy rzeźnik miał odrąbać ostatni kawałek mięsa, toporek ześlizgnął mu się na rękę i odrąbał sobie także przy okazji pół małego palca. Z wrzaskiem zaczął chodzić na czworakach po podłodze w poszukiwaniu koniuszka, a z okaleczonego kikuta tryskała krew.

– Niech cię szlag trafi, Farrelli! Niech cię szlag!

– To przecież nie moja wina.

– Niech cię szlag trafi i tak! Nie mogę go znaleźć!

– Musisz jechać do szpitala, Bill.

– Nie chcę, do jasnej cholery, jechać do żadnego szpitala! Bierz to swoje zsrane mięso i spadaj!

– Może palec zawinął się w papier pakowy razem z mięsem? Ja go nie chcę.

Bill McQuire podniósł się z trudem i zajrzał do paczki, ale w środku leżały jedynie dwa soczyste steki. Koniuszka palca nie było.

– Dziesięć talarów – powiedział Bill.

– Dziesięć? Przecież ich nie zważyłeś.

– Jak zważę, będą kosztowały dwanaście, do diabła! Pospiesz się!

Frank pogrzebał w kieszeniach w poszukiwaniu pieniędzy i zamiast nich wyjął chusteczkę Pastora. Niech to cholera, pomyślał.

– Jeśli ci się wydaje, że możesz zapłacić tą ścierką do smarkania, to się mylisz, Farrelli.

Frankowi przyszło do głowy, że w zasadzie już mógł przystąpić do pracy.

– Czy mam kogoś poinformować, że się zraniłeś? – spytał.

Bill McQuire spojrział na niego spode łba.

– Poinformować kogoś? W głowie ci się pomieszało?

– Tak tylko spytałem, Bill. Staram się być miły.

Bill wyjął chusteczkę z ręki Franka i obwiązał nią palec.

– O cholera, Bill. Oddaj mi...

– Mam się wykrwawić na śmierć tylko dlatego, że nie chcesz mi pożyczyć chusteczki?

– Nie jest moja.

– A czyja?

– Pastora.

Bill McQuire roześmiał się głośno.

– Pastora? Nie stać cię na własną?

Frank wreszcie znalazł pieniądze i rzucił je na ladę.

– Następnym razem uważaj na ten toporek, Bill. Nie chcemy w Karmack więcej nieszczęść, prawda?

Frank wyszedł ze stekami pod pachą, minął kilku chudych wyrostków szlifujących bruk na rogu Union Avenue i River Street. Obserwowali go, ale nie ruszyli się z miejsca. Napadanie na ludzi nie miało już sensu, bo nikt nie nosił nic przy sobie, a mięso ich nie interesowało. Frank przeszedł więc przez tory i brodząc w żółtych wilgotnych chwastach, dotarł do miejsca, gdzie niskie drewniane domy stały po obu stronach szerokiej pustej ulicy, która prowadziła donikąd, po prostu się urywała, a dalej były już tylko zarośla i kamienie. W wielu zapuszczonych ogrodach powbijano w ziemię tabliczki, wszędzie takiej samej treści: „na sprzedaż”, „do wynajęcia”, „do wypożyczenia”. Ale kto chciałby cokolwiek tutaj kupić? Kto chciałby się tu osiedlić? Jeżeli już, to ktoś, kto miał jakieś brudy do ukrycia. Wiatr, który zawsze wiał w tej dzielnicy, spadał ze wzgórz. Trzeszczały wypłowiałe hamaki i kłapały skrzynki pocztowe. Brzmiało to jak orkiestra

grająca bez nut na byle czym. Ta nędzna ulica nazywała się April Avenue. Dlaczego otrzymała taką nazwę, pozostawało zagadką, ale najstarsi mieszkańcy twierdzili, że kiedyś rosły tu magnolie, a one, jak wiadomo, kwitną i więdną w ciągu jednego miesiąca, mianowicie w kwietniu. Frank Farrelli mieszkał w czwartym domu po lewej stronie, w niskim prostokątnym pudle z płaskim dachem i zadaszoną werandą wzdłuż całego frontu, na której zwykł był siadywać wieczorami jego ojciec i słuchać radia, czytać strony sportowe „The Record”, gawędzić z sąsiadem i popijać piwo, jeśli była sobota, czyli robić to samo co większość mężczyzn, nie tylko przy April Avenue, lecz w całym Karmack, wtedy gdy wciąż jeszcze dało się tu żyć – chyba że stał na ulicy i polerował chevroleta, aż auto zaczynało błyszczeć jak wielkie lustro. To wtedy ziścił się sen prezydenta Hoovera: samochód w każdym amerykańskim garażu i kurczak w garnku każdej matki. Rynna, której ojciec nie zdążył zreperować, ciągle wisiała krzywo. Frank zajrzał do skrzynki pocztowej, potem wszedł do domu, zawołał: „halo”, na które nie doczekał się odpowiedzi, przebrał się, pozmywał naczynia po śniadaniu i nakarmił Marka, który nie błyszczał już taką świeżością jak dawniej, za to zmienił się w okropnego złoźnika. Potem Frank wrzucił mięso na patelnię, przesmażył, otworzył piwo, co robił rzadko, ale też i nadarzyła się niezwykła okazja, i wypił je, wyglądając przez okno. Nie było szczególnie na co patrzeć: wyludniona ulica, niebieski rower rzucony w trawę, rozciągnięty między słupkami werandy sznur do bielizny, na którym unosiła się poziomo na wietrze jego flanelowa koszula w kratkę. Frank mimo wszystko lubił ten widok. To był jego widok. Stawał tak jeszcze jako dziecko, co prawda na stolku, żeby dosięgnąć do parapetu, no i było tu wtedy więcej życia – roznosiciel gazet, autobus szkolny, mężczyźni wychodzący lub wracający do domu z warsztatów, kamieniołomów i silosów – ale mimo wszystko Frank wciąż tu stawał i podobało mu się to, co widzi, chociaż widok był opróżniony ze wszystkich wspomnień.

Akurat zsuwał delikates z patelni na talerz, kiedy do kuchni weszła matka. Najprawdopodobniej spała i nie słyszała, że wrócił. Kiedyś pracowała na nocną zmianę w Karmack Grand Hotel, dopóki i tam nie zamknięto drzwi na cztery spusty. Wciąż jednak nie mogła się odzwyczaić od spania w dzień i długiego siedzenia w nocy.

– Jak ci poszło, Frank?

– Strasznie wypytywali.

– O co?

– O wszystko, co się da. To przypominało raczej przesłuchanie. Mało kto by to wytrzymał. Pytali mnie o ojca.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Tamta sprawa świadczy o tym, że umiem zachować zimną krew, kiedy zdarza się nieszczęście.

– Uważam, że nie powinieneś mieszać w to ojca. On z tym nie ma nic wspólnego.

– Miałem nie odpowiadać, kiedy pytali? Wtedy już na pewno nie dostałbym tej pracy.

Poza tym muszą wiedzieć jak najwięcej o osobie, którą zatrudniają.

– Więc dostałeś tę pracę?

– Jeszcze nie.

– I postanowiłeś to uczcić, mimo że nie masz pewności?

– Powiedzieli, że mam duże szanse.

– Zawsze tak mówią.

– Nie mnie.

Już dzień później w otwartej zardzewiałej skrzynce pocztowej, przywiązanej do furtki drutem, leżała korespondencja do Franka: brązowa koperta z pieczętką Ratusza. Ktoś z Komitetu, a może sekretarka, musiał ją osobiście tam wrzucić, bo w Karmack już nie roznoszono poczty.

Pismo zawierało informację, że Frank Farrelli otrzymał stanowisko Pośrednika. Proszono go o jak najszybsze przybycie do Ratusza w celu zdjęcia miary na stosowny garnitur, zanim na poważnie przystąpi do poważnej pracy. Frank wrócił do domu i jeszcze raz w spokoju przeczytał list. Wciąż było w nim napisane czarno na białym, że został zatrudniony jako Pośrednik w Karmack, co prawda, na dwumiesięczny okres próbny, ale zdaniem Franka w zasadzie miał pełne prawo potraktować tę posadę jako stałą. Nie zamierzał się wygłupić. Była dopiero jedenasta. Położył list przy telefonie i w rozlatującej się kabinie wziął prysznic, z którego ciekła woda raczej zimna niż ciepła. Ale wkrótce przyjdą lepsze czasy, pomyślał Frank Farrelli.

– Lepsze czasy – powtórzył głośno, roześmiał się, zakręcił prysznic i przejrzał się w lustrze. W jego twarzy nie było niczego szczególnego. Solidna i nic niemówiąca twarz, ni mniej, ni więcej. W każdym razie tak twierdzili inni. Był zwyczajny. Kobiety nie zakochiwały się w nim od pierwszego wejrzenia, ale też i żadna na jego widok nie odwracała głowy. Nachylił się bliżej lustra, natarł podbródek i policzki pianą do golenia, przeciągnął brzytwą po białej masce. Nagle za jego plecami pojawiła się matka.

– Zużyłeś całą ciepłą wodę?

– Cholera, ale mnie przestraszyłaś! Nie możesz się nauczyć pukać? Cholera!

– Dostałeś list?

– Być może. Jeszcze nie czytałem.

– Właśnie że czytałeś.

Frank wysunął żuchwę i dalej się golił.

– Ale ty go na pewno przeczytałaś, więc nie możesz mi po prostu powiedzieć, od kogo ten list i co w nim jest?

– Jesteś podły, Frank. Ja nie czytam cudzych listów.

– Nie rozśmieszaj mnie, mamó. Golę się. Może się stać nieszczęście.

– Poza tym koperta była otwarta.

– Sama widzisz. Ktoś ją otworzył.

– Jestem z ciebie dumna, Frank.

– Dziękuję. Pozwolisz mi skończyć? Przecież idę do pracy.

– Taki jesteś podobny do ojca, Frank.

Brzytwa drasnęła skórę tuż pod nosem i na białej pianie pojawiła się plamka krwi.

– Cholera, zobacz, co zrobiłaś!

– Ja? To ty się golisz. Poszukam kawałka papieru.

– Pomyślą, że mi się ręce trzęsą! Pośrednikowi nie mogą się trząść ręce!

Matka urwała kawałek papieru toaletowego, wytarła pianę i przytknęła papier do skaleczenia. Potem Frank ją wygonił, ubrał się i z dolnej szuflady w kuchni, spod pliku niezapłaconych rachunków, wyjął kluczyki do samochodu. Poszedł na tyły domu, czerwony chevrolet stał tam wśród ostów i chwastów, które niedługo miały już wyrosnąć ponad boczne lusterka. W końcu udało mu się otworzyć drzwiczki, ale grat nie chciał zapalić. Jego ojciec, Tom Farrelli, kupił samochód w 1962 roku, kiedy nastały lepsze czasy i co piątek odbierało się wypłatę w grubej podłużnej kopercie, a Ella Fitzgerald równie czysto i dźwięcznie śpiewała *Blue Skies* i w radiu, i w szafach grających w każdy sobotni wieczór. „Kto ma najbardziej błyszczące cacko na April Avenue?”, pytał Tom Farrelli i sam sobie odpowiadał: „Tom Farrelli, chłopaki”. Teraz na desce rozdzielczej leżał martwy rój owadów, a Franka nie zdziwiłoby, gdyby spod popękanej skórzanej tapicerki, która dawniej pachniała olejem tekowym, tytoniem i sobotnimi perfumami matki, wypęły dwie jaszczurki albo szczur. Dmuchnął na martwe owady, a one rozpadły się w pył i zniknęły dosłownie na jego oczach. Oczywiście w baku nie było benzyny. Frank poszukał kanistra i ruszył do Miller's Auto na końcu April Avenue. W sumie całe to

zamieszanie z chevroletem zajęło więcej czasu niż spokojne dojście do Ratusza na piechotę. Ale Frank Farrelli patrzył na to następująco: dzisiaj czas zaczyna się od nowa. I tak już dostatecznie długo stał w miejscu. Właśnie dlatego nie zamierzał dreptać przez Karmack jak jeszcze jeden pożałowania godny przegrany, o nie, zamierzał przekręcić kluczyk, usłyszeć, jak cudowne siły wprawia w ruch i jego, i żelazo, a potem wyjechać na April Avenue, skrócić w lewo i nie zatrzymywać się, dopóki nie zaparkuje przed Ratuszem, w którym od dzisiaj był zatrudniony jako Pośrednik, co prawda wstępnie na dwa miesiące, ale wszystko jedno, to się nie mogło nie udać. A ludzie, jeśli w ogóle jacyś ludzie będą mieli odwagę pokazać się na ulicy, będą się za nim oglądać i mówić: „Oto zwycięzca”. Frank Farrelli zamierzał zacząć od początku.

Steve Miller stał między dystrybutorami w tym samym kombinezonie, w którym zawsze tam stał. Przejął ten żalony interes kilka lat temu, gdy jego ojciec, Martin Miller, rzucił ręcznik na ring i na dobre osiadł na werandzie z kanadyjskim piwem w zasięgu ręki i widokiem na Snake River, w której zachody słońca pływały przy brzegach w ładne wieczory, chociaż niestety, nie było takich zbyt wiele. Frank i Steve chodzili razem do szkoły i do pewnego momentu byli nierozłączni. Nikt do końca nie rozumiał, dlaczego trzymali się razem, różnili się bowiem od siebie tak bardzo, jak to tylko możliwe. Coś ich jednak łączyło: Steve opowiadał dowcipy, a Frank się z nich śmiał. To także należało już raczej do przeszłości. Teraz byli starymi przyjaciółmi z braku laku. Steve wziął kanister i spytał:

– Na co ci benzyna, Frank? Zamierzasz podpalić dom?

– To wcale nie było śmieszne, Steve.

– A co tam słyszeć u Marka? Ugryzł cię?

Steve wskazał na kawałek papieru przyklejony między nosem a ustami Franka, który z kolei nie mógł pojąć, jak wytrzymuje te na wskroś głupie żarty. Ale Steve był jego jedynym kumplem, dlatego to znośił.

– A twój ojciec jeszcze żyje? – spytał Frank.

– Kwęka i stęka, ale jakoś się trzyma. A twoja matka? Żyje?

– Kwęka i stęka, ale też się jakoś trzyma.

Steve wsunął końcówkę węża do kanistra, napełnił go i spojrzał na licznik.

– Czternaście dolarów. Będziesz miał aż tyle?

– Będę miał aż tyle, Steve.

– Kiedy?

– W poniedziałek.

– W poniedziałek? Ten żart też wcale nie był śmieszny.

– Przekonasz się – powiedział Frank.

– O czym?

– Możliwe, że dostałem pracę.

– Dostałeś?

– Możliwe. Pozdrów ojca.

– Ty też. To znaczy matkę.

Frank zatańczył kanister do domu, napełnił bak i usiadł za kierownicą. Chevrolet nie chciał współpracować, ale w końcu uległ i Frank, właśnie tak, jak to sobie wyobrażał, skręcił w April Avenue i pojechał do Ratusza. Tak, czas znowu ruszył. Frank wszedł do środka. Blenda Johnson siedziała w malutkiej recepcji i na jego widok natychmiast się poderwała.

– Skaleczyłeś się?

– A skąd.

– Krew ci leci.

Frank szybko przeciągnął palcem pod nosem i zorientował się, że skrawek papieru się

odlepił. Obliznął wargi.

– Nic nie szkodzi.

– Owszem, szkodzi. Nie możesz tak wejść, chyba to rozumiesz.

Wyjęła plaster, przecięła go na dwie wąskie połówki i podeszła do Franka.

– Zawsze masz plaster i nożyczki w pogotowiu? – spytał.

– Mam wszystko, czego potrzebuje Pośrednik. A tak w ogóle to moje gratulacje.

– Dziękuję.

Nakleiła plaster na ranę, a Frankowi trochę zakręciło się w głowie, gdy jej delikatne, ale zdecydowane palce dotknęły jego twarzy.

– Dziękuję – powtórzył.

Blenda Johnson się roześmiała. Frankowi bardzo się ten śmiech spodobał. Właściwie nie przepadał za śmiechem, również swoim własnym, ale ten wyjątkowo polubił.

– Teraz ładnie wyglądasz, Franku Farrelli – stwierdziła Blenda.

– Ty też.

– Nawet nie próbuj!

Frank wszedł na trzecie piętro, zapukał i zaproszono go do środka. Komitet, z wyjątkiem Szeryfa, wyraził swoje zadowolenie, że zjawił się tak szybko. Ta cecha się im spodobała. Że jest obecny. W pogotowiu. To ważne cechy Pośrednika. Pastor stanął przy oknie i założył ręce za plecy.

– Jak myślisz, dlaczego w Karmack zdarza się tyle wypadków?

– Może dlatego, że tak wiele osób nigdy nie widziało morza – odparł Frank.

Pastor wymienił przelotne spojrzenie z Doktorem, który zwrócił się znów do Franka:

– Musisz nam to bliżej wyjaśnić.

Frank nie mógł pojąć, dlaczego właśnie tak odpowiedział. Mógł wymyślić cokolwiek innego, na przykład że zamknięto kamieniołom, że pociągi przestały się zatrzymywać, że coraz więcej ludzi nie ma pracy, że z czasem wszyscy bardziej obojętnieją, no ale powiedział tę bzdurę o morzu.

– To miała być taka przypowieść, sir.

– To również musisz nam bliżej wyjaśnić.

Frank się zaciął. Czuł tylko, jak ten przeklęty plaster łaskocze go w górną wargę.

– Chodzi mi o to, że jesteśmy zmuszeni do pozostania w Karmack. My...

Na szczęście przerwał mu krawiec, niski, starszy pan, który nazywał się Joe Henderson junior i nigdy nie używał centymetra. Miał wzrok absolutny, odziedziczony po ojcu, który początkowo w latach trzydziestych założył firmę A.H. Shoe Repair. Po wojnie rozszerzył działalność o kurtki skórzane i rękawiczki. W latach sześćdziesiątych interes rozkwitł, bo firma zaczęła oferować ręcznie szyte sandały i skórzane paski dla hipisów. Ta fala jednak szybko minęła i w kolejnej dekadzie zaczął się kryzys. Znikali klienci. Znikała młodzież. Na koniec istniało zapotrzebowanie wyłącznie na czarne garnitury, a czarny garnitur, jak wiadomo, kupuje się tylko raz w życiu. Joe Henderson junior zmierzył wzrokiem Franka, który musiał stać z rękami opuszczonymi wzdłuż boków, dwa razy go okrążył, po czym bez słowa wyszedł, pozostawiając po sobie zapach pasty do butów i kremu do rąk.

– A ty widziałeś morze? – spytał Doktor.

Frank potrzęsnał rękami, nie bardzo wiedząc, co ma z nimi zrobić.

– Nie. Widziałem tylko rzekę.

– I boisz się, że tobie również może przytrafić się wypadek, skoro wierzysz w tę swoją przypowieść?

– Nie myślę o tym.

- Dlaczego?
- Przyjmuję to, co przynosi życie.
- No tak, rzeczywiście. Przyjmujesz to, co przynosi życie. Skaleczyłeś się?

Frank przeklął zacięcie pod nosem, które najwyraźniej nie uchodziło niczyjej uwagi i tylko go ośmieszało.

- Nie nazwałbym tego akurat wypadkiem – powiedział.
- Chyba nie trzęsą ci się ręce, Farrelli?
- Ależ skąd!

Wyciągnął dłonie. Czuł się nieswojo. Czy mogli w ostatniej chwili zmienić zdanie i dać pracę komuś innemu? Już sama myśl o tym wzbudziła we Franku gorycz i żądzę zemsty, nie bardzo jednak wiedział, na kim miałby się mścić. Pastor skinieniem ręki przywołał go do siebie, Frank stanął więc przy oknie i spojrzał w dół na ulicę. Stał tam Szeryf i wsuwał jakąś kartkę za wycieraczkę chevroleta. Jeszcze i to. Zaparkował nieprawidłowo. Dostał mandat. Upokarzające. Czas jednak nie zaczął się od nowa. Płynął dalej starym torem, czyli stał w miejscu. Tak to widział Frank Farrelli.

- Wczoraj zapomniałeś, zdaje się, oddać mi chusteczkę – odezwał się Pastor.
- Bardzo przepraszam. Jutro będę o niej pamiętał.

Frank zszedł na dół do Szeryfa, który opierał się o maskę.

- To twój samochód?
- Tak. Przepraszam.
- Masz zamiar używać go na służbie?
- Jeszcze się nad tym nie zastanawiałem.
- Jeśli masz taki zamiar, to musisz go przelakierować. Nie możesz jeździć autem w tym kolorze. Czerwony samochód! Nie jesteś zatrudniony jako byle jaki akwizytor.
- Oczywiście. To znaczy oczywiście, że nie.

Frank w zasadzie poczuł ulgę. Wcale źle nie zaparkował. Był zatrudniony. Musi tylko przelakierować chevroleta. Steve bez problemu to załatwi.

- Powinieneś się ostrzec – dodał Szeryf. – Chodź. Musimy porozmawiać.

Pojechali służbowym samochodem Szeryfa, kierując się na wschód, w stronę Snake River. Ulice były tu węższe, natomiast fasady wyższe, ale nie na tyle wysokie, by wciąż nie dało się dostrzec nieba, które tego dnia było ciężkie, szare i poplamione jak wycieraczka do butów.

- Wiesz, co jest największym problemem w tej pracy? – spytał Szeryf.
- Cała ta żałoba.

– Do tego przywykniesz, Farrelli. Ale człowiek nigdy nie przyzwyczaja się do tego, że nie może przewidzieć, co się stanie, kiedy przyniesie wiadomość. Jedni tylko kręcą głową, inni reagują obojętnością. Niektórzy się wściekają, a jeszcze inni tylko się śmieją. Musisz wiedzieć, cholera, że to nie jest proste. Każdy człowiek ma swoją żałobę. A każda z nich jest inna. Najgorzej jest wtedy, kiedy o to, co się stało, obwiniają ciebie. To jest naprawdę najgorsze.

- To niesprawiedliwe.

– Sprawiedliwe? – roześmiał się Szeryf. – W tym nie ma żadnej sprawiedliwości, Frank. Ani rozumu. Wyłącznie chaos. Musisz być przygotowany na wszystko, bo nigdy nic nie wiadomo. I jeszcze jedno, Frank. Chociaż nie rozmawialiśmy o tym wczoraj, masz obowiązek dochowania tajemnicy. Nawet jeśli nie powiemy ani słowa, i tak obowiązuje cię tajemnica. Pojmujesz?

- Tak, pojmuję.

Szeryf zaparkował przy Stout's Barbershop na Mills Street i położył Frankowi rękę na ramieniu.

– No i musimy mieć eleganckie fryzury, Farrelli. Przekaż fryzjerowi pozdrowienia ode mnie. Zaczekam tutaj.

Frank wysiadł z samochodu i wszedł do Stout's Barbershop. Właściciel stał przy jedynym fotelu obciążonym skórą słonia i czesał jakiegoś starca, który przysnął. Głowę zwiesił na piersi, a światło – Frank nie rozumiał, skąd się wzięło – sprawiało, że rzadkie siwe włosy na gruzłowatej czaszce zdawały się błyszczeć jak wata. Mrs. Stout siedziała na wysokim krześle przy kasie. Oboje mieli po czterdzieście i robili wrażenie miłych, porządných ludzi. Mrs. Stout uśmiechnęła się do Franka i skinieniem głowy wskazała mu stołek, na którym mógł usiąść i czekać na swoją kolej. Usiadł. Nie był tu wcześniej. Zwykle strzygła go matka. Teraz już z tym koniec. Dużo rzeczy się skończyło, a jeszcze więcej miało się zacząć. Frank się rozejrzał, zastanawiając się, w jaki sposób Stoutowie zdołali utrzymać salon, podczas gdy większość sklepów upadła albo została zamknięta. Co prawda, oni też musieli oszczędzać, bo na starym plakacie wiszącym na ścianie w ramce za szkłem można było przeczytać: *No waiting. Three barbers always in attendance.* Teraz został tylko jeden fryzjer, Mr. Stout, i jeden fotel, ale mimo wszystko się nie poddali. Może dlatego, że bez względu na to, jak podłe są czasy, ludzie i tak chcą się dobrze prezentować. Raczej nowa fryzura niż deser. Wkrótce pewnie będzie można żyć już tylko z czarnych garniturów, złych wiadomości i włosów. Frank, głównie po to, by zająć czymś oczy, przejrzał wczorajszą gazetę – „The Record” zazwyczaj docierała z jednodniowym opóźnieniem – ale i tak jego uwagę przykuł reportaż. Opisywał wszystkie jachty dryfujące wzdłuż wybrzeża bez kapitanów, bez załóg, całą flotę pustych, opuszczonych żaglówek. No tak, bogaczy nie stać już było na ich utrzymanie, za złomowanie też nic nie płacono, więc najprostszym rozwiązaniem było przecięcie cum i puszczenie łodzi na szerokie wody.

Mr. Stout nareszcie uporał się ze staruszką, który zapłacił i wyszedł. Frank zajął miejsce w fotelu. Mrs. Stout zmiotła kosmyki i wrzuciła je do worka na śmieci, nie przestając nucić starego szlagieru, który nigdy nie wychodził z mody, *Blue Skies*. Mr. Stout owinął Franka peleryną i delikatnie uciskając mu skronie, ustawił mu głowę tak, by ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

– Mam przekazać pozdrowienia od Szeryfa – powiedział Frank.

– Dziękuję, panie...

– Farrelli, Frank Farrelli.

– Wobec tego tniemy jak zwykle, prawda?

Frank nie miał na to nic do powiedzenia, chociaż nie bardzo wiedział, co to znaczy „jak zwykle”. Ufał jednak Mr. Stoutowi, który chwycił za nożyczki i grzebień. Frank zamknął oczy. Mrs. Stout dalej nuciła. Duszny, pachnący lokal przepełniała radość kojarząca się Frankowi z Wigilią z czasów, gdy jeszcze dostawało się prezenty.

– Żona jest dziś bardzo podekscytowana – powiedział Mr. Stout.

– Słyszę.

– Jimmy wraca dziś do domu. Jimmy to nasz syn.

– Wyjechał z miasta?

– Był w wojsku. Fort West. Służył w Iraku.

– No to zasłużył na gorące powitanie.

– Obiecuję, że przywitamy go gorąco. Prawda, Barbaro?

– Mam nadzieję, że za bardzo nie schudł.

Mr. Stout się roześmiał.

– Jeżeli dobrze cię znam, ten stan i tak nie potrwa długo. To znaczy, jeśli chłopak rzeczywiście schudł. Lubi pan łowić ryby, Farrelli?

– Nie bardzo mam na to czas, niestety.

Mrs. Stout odwróciła wiszącą na drzwiach tabliczkę napisem „Open” do wewnątrz. Frank był ostatnim klientem. Wkrótce mieli witać Jimmy’ego, jedynego syna. Frank życzył im wszystkim szczęścia. Nie musiał płacić. Rachunek oczywiście miał zostać przesłany do Ratusza. Pomyślał, że teraz świat stoi przed nim otworem, czy nie to właśnie napisano na tabliczce? Że świat jest otwarty? Po wyjściu początkowo nie mógł znaleźć samochodu Szeryfa. Auto stało zaparkowane za rogiem. Frank wsiadł, Szeryf zamocował policyjne radio na swoim miejscu, przesunął kapelusz do tyłu i grzbietem dłoni, powolnym, pełnym rezygnacji ruchem przeciągnął po czole.

– Niech to jasny piorun trafi! – mruknął.

Frank nie chciał pytać, w co ten jasny piorun ma trafić. Musiał się opanować, nie okazywać zbyt dużego zapału. Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu. Szeryf pokręcił głową.

– Oboje tam byli, Farrelli?

– Tak. Jeśli ma pan na myśli Mr. i Mrs. Stoutów.

– Owszem, mam na myśli Mr. i Mrs. Stoutów. Jacy byli?

Frank wzruszył ramionami.

– Jacy byli? Cieszyli się, że syn wraca do domu. Był w Iraku.

– On nie wróci.

– Coś się stało?

– Wypadł z drogi koło tablicy z nazwą miasta. Nadmierna prędkość. Prosto do rzeki.

– I to akurat dzisiaj – powiedział Frank.

Szeryf spojrzał na niego.

– Są jakieś dni, które bardziej nadają się do tego, żeby stracić syna, Farrelli?

– Nie to miałem na myśli. Pomyślałem tylko o dzisiejszym dniu. Skoro przeżył wojnę...

– Uważaj na słowa. Będiesz miał tylko jedną szansę, a to oznacza, że musisz mówić jak najmniej.

Chwilę siedzieli w milczeniu. Wiatr zamiatał papiery i kurz wzdłuż ścian domów. Nigdzie nie było widać żywej duszy.

Frank zaczął się niecierpliwić.

– Nie wejdziemy, żeby im o tym powiedzieć?

– A nie chcesz im dać jeszcze paru minut zwyczajnego życia?

– Nie mają prawa, żeby dowiedzieć się o tym jak najszybciej?

– Dobrych wiadomości nigdy nie można przekazać dostatecznie szybko, ale my nie w tej branży robimy, Farrelli. A ze złymi wiadomościami nigdy się nie spieszy. Niech się poradują, że Jimmy wraca do domu.

– Już zamknęli salon, sir. Pomyślałem tylko, że powinniśmy ich uprzedzić, zanim wyjdą mu na spotkanie.

– No tak, no tak. Przekłeta robota!

Szeryf otworzył drzwiczki po swojej stronie, ale gwałtownie się odwrócił, gdy Frank zrobił to samo.

– A ty dokąd się wybierasz?

– Mam zostać?

– Uznałem, że powinieneś tu posiedzieć i zastanowić się nad różnicą między dobrymi a złymi wiadomościami.

– Ale przydałoby mi się takie doświadczenie. Gdybym był przy tym obecny.

– No, jeśli naprawdę tak uważasz... Ale trzymaj się z tyłu i nie odzywaj. Masz słuchać i się uczyć, jasne?

– Oczywiście.

– Patrz mi w oczy, kiedy się do mnie zwracasz, Farrelli. Musisz patrzeć ludziom w oczy, inaczej nie będą ci ufać.

Przeszli za róg do salonu fryzjerskiego. Na drzwiach widniał napis „Closed”, ale małżonkowie wciąż byli w środku. Przebrali się w normalne ubrania. Mrs. Stout wyjęła zza lady ogromny bukiet kwiatów. Frank pomyślał, że teraz jest już u nich zamknięte na dobre, podczas gdy reszta świata jest otwarta, przynajmniej na razie. Uderzyło go, że oto oni dwaj, on i Szeryf, wiedzą coś o dwojgu przywoitych ludziach, czego ci ludzie sami o sobie nie wiedzą. Frank właśnie w tej chwili mógł ich zniszczyć. On, obcy, znał już ich los, przed nimi wciąż skryty w mroku. Przez zaparowaną szybę ich twarze wydawały się niewyraźne, jakby rysy się zatarły. Mr. Stout wpuścił ich zdumiony, ale wciąż niczego nieświadomy, wciąż niewinny. Ciągłe jeszcze żyli normalnie. Ciągłe czekali na Jimmy’ego. Szeryf zdjął kapelusz i wolno obracał go w dłoniach. Kwiaty upadły na podłogę i w tej chwili ich życie wywróciło się do góry nogami. Franka najbardziej zdumiało, że nastąpiło to, zanim Szeryf przekazał wiadomość.

– Przykro mi, ale wasz syn, Jimmy, niestety poniósł śmierć w wypadku samochodowym.

Mrs. Stout odwróciła się do męża, a twarze obojga nagle znów nabrały wyrazistości, jakby światło wyryło je na czarnej tablicy. To, co do tej pory tkwiło ukryte w mroku, poza ich rozumem, nagle się objawiło. Kobieta uderzyła pięściami w pierś męża i zaczęła wyć.

– To nieprawda! Powiedz, że to nieprawda!

Mr. Stout tylko patrzył na Szeryfa, nie reagując na krzyki żony.

– To prawda? Nasz Jimmy nie żyje?

– Po tych wszystkich deszczach drogi są bardzo śliskie. Ogromnie mi przykro, sir.

– Gdzie on jest?

– Pół godziny temu przewieziono go do Saint Mary’s Hospital.

Mrs. Stout uspokoiła się albo poddała. Zająta się sprawami praktycznymi. Włożyła płaszcz, przelotnie zerknęła w lusterko i poprawiła włosy.

– Chcę go zobaczyć.

– Zawiozę was – zaproponował Szeryf.

Kobieta znów odwróciła się do męża.

– Jedziesz?

Mr. Stout zamiast odpowiedzieć, wskazał na Franka.

– Skaleczyłeś się – stwierdził.

– Nie ma się czym przejmować.

– Powinieneś zostawiać golenie fachowcom. Siadaj.

Frank spojrział na Szeryfa, który leciutko skinął głową, usiadł więc na fotelu.

– Jedziesz? – powtórzyła Mrs. Stout.

– Jimmy nie żyje. Nie chcę go oglądać w takim stanie.

Mrs. Stout zawahała się przy drzwiach, dając mężowi jeszcze jedną szansę na zmianę decyzji, z której nie skorzystał. Szeryf wyszedł za nią. Frank został sam z Mr. Stoutem, który znów przebrał się w biały fartuch i stanął za fotelem, tym razem z brzytwą naostrzoną na rzemieniu. Potem zerwał plaster i położył Frankowi na twarz ciepły ręcznik. Frank zamknął oczy. Nie wiedział, ile minut upłynęło. Mogły to być nawet godziny. Zasypiał. Było to całkiem przyjemne. Odgłos stali trącej o skórę przypominał mu szarańczę, która dawniej zaciemniała niebo w maju. Wreszcie Mr. Stout zdjął ręcznik i namydlił mu twarz. Frank miał nadzieję na najlepsze. To była ostatnia rzecz, na jaką wszyscy w Karmack mieli nadzieję – na najlepsze. Ostry metal przesunął się po skórze.

– Zwykle jeździmy z Jimmym w okolice młynów. Akurat w tym miejscu można złowić ładne okonie morskie. Jeśli ma się szczęście.

- No tak, szczęście. Szczęście trzeba mieć.
- Czasami zostajemy tam na całą noc. Rozmawiamy. Tak jak powinni rozmawiać ojciec i syn, rozumie pan?

Dopiero teraz Frank się zorientował, że Mr. Stout używa niewłaściwego czasu. Wszystko było w niewłaściwym czasie. Kwiaty rosły na podłodze, a w kątach wędły włosy. Czy śmierć działa w taki właśnie sposób, że zegary gubią wskazówki i cyfry, zmieniając się w białe studnie, w które można wylać swój żal i szaleństwo? Na szczęście Mr. Stout nie powiedział nic więcej, dopóki nie odprowadził Franka do drzwi wiodących do tego świata, który wciąż jeszcze był otwarty. Na skaleczenie założył nowy plaster w cielistym kolorze, prawie niewidoczny. Dopiero wtedy się odezwał:

- Mam nadzieję, że Jimmy jest w mundurze.

Frank schował do kieszeni kartkę, na której Szeryf napisał, że wszelkie wydatki związane z lakierowaniem samochodu Pośrednika zostaną pokryte przez władze, wszedł do chevroleta i pojechał prosto do Miller's Auto. Steve wyszedł mu na spotkanie. Zawsze miał w rękach lepką szmatę, którą wycierał ręce, udając zajętego. Frank podał mu kartkę. Steve przeczytał ją i podniósł na niego wzrok.

- Gratuluję, panie Pośredniku. Rzeczywiście nieźle.
 - Dziękuję.
 - I teraz chcesz mieć czarnego chevroleta?
 - I pełny przegląd.
 - Nie wymyślasz sobie tego, Frank?
 - Nie widzisz podpisu? To podpis Szeryfa. Ratusz płaci.
 - Czy oni nie mają nic innego do roboty?
 - Innego niż co?
 - Lakierowanie samochodów.
 - Żebyś ty wiedział, Steve!
 - Co mam wiedzieć?
 - Obowiązuje mnie tajemnica.
 - Nie bądź taki hardy.
 - Jimmy Stout, syn fryzjera, nie żyje, jeśli już koniecznie chcesz wiedzieć. Wjechał samochodem prosto do rzeki. Więcej nie mogę powiedzieć.
 - A dlaczego sądzisz, że chcę wiedzieć więcej?
- Frank się obraził i pożałował, że w ogóle otworzył usta.
- Może wziąłeś się do roboty.
 - Widziałeś kiedyś czarnego chevroleta, Frank?
 - Nie. Ale jutro rano o ósmej chcę zobaczyć czarnego chevroleta, Steve.
 - Jutro rano? Niemożliwe. Mam pełne ręce...
 - Czego? Brudnych szmat?
 - Jest cholernie dużo do roboty, chociaż nie ma co robić.
 - Właśnie widzę. Jesteś wykończony.
- Steve się roześmiał.
- Słyszałeś o takim jednym, co miał cholerne szczęście?
 - Już dawno nie słyszałem o nikim, kto miałby cholerne szczęście.
 - Wpadł pod karetkę.
 - Stary dowcip, Steve. Ale nie wiem, czy go do końca rozumiem.
 - Nie masz poczucia humoru, Frank.
- Przepchnęli chevroleta do warsztatu. Frank miał ochotę opowiedzieć o Mr. Stoutcie,

o tym, jakim przeżyciem dla niego było siedzenie w jego fotelu, nie mógł jednak, miał przecież obowiązek dochowania tajemnicy. To była pewna wada. Aż go paliło w środku, żeby o wszystkim opowiedzieć.

Następnego dnia rano Frank Farrelli mógł pojechać do Ratusza lśniącym czarnym chevroletem. Steve'owi Millerowi można było zaufać, wierny kolega nigdy nie odmawiał pomocy. Zasłużył na pochwałę. Z drugiej strony to Frank załatwił mu robotę, a robota w tych czasach nie rosła na drzewach. Czy zatem to raczej nie Frank zasłużył na pochwałę? Niebo unosiło się nad Karmack, przejrzyste i napięte. Wciąż jeszcze panował chłód, ale w ciągu dnia słońce najprawdopodobniej nagrzejże ulice, porozrzuca szerokie cienie, a wtedy Karmack, to opuszczone przez Boga miejsce, będzie do złudzenia przypominało miasto, w którym można by mieć ochotę przenocować.

W Ratuszu powitała go Blenda Johnson i zaprowadziła do jego biura w piwnicy, ciasnego pomieszczenia z biurkiem, lampą do czytania, półkami pełnymi sprawozdań, wieszakiem stojącym, mapą Karmack i wąskim okienkiem pod sufitem, przez które światło wpadało ukosem i kładło się na podłodze niczym kałuża. Wcześniej Blenda postawiła na biurku świeże kwiaty w wazonie, a do jednej łodyżki przymocowała kartkę z napisem: „Witaj, Frank! Jeśli będziesz się nad czymś zastanawiał, nie wahaj się i pytaj. Pozdrowienia, Blenda”.

Frank nie bardzo wiedział, czym ma się zająć. Postanowił przyjąć to, co przyniesie życie. Co innego mógł robić? Nie miał nic przeciwko temu. Musiał przyzwyczać się do myśli, że jest w pracy, że ma własny pokój, wprawdzie niezbyt okazały, ale przynajmniej własny. Mógł zamknąć drzwi, a jeśli ktoś będzie czegoś od niego chciał, to prosić bardzo, tylko musiał najpierw zapukać. Po dziesięciu minutach rozległo się pukanie. Znow przysła Blenda. Przyniosła czarny garnitur. Frank natychmiast go przymierzył, a ona w tym czasie czekała za drzwiami. Uznał, że garnitur dobrze leży, i bardzo był ciekaw, jak ona to oceni. Blenda również uważała, że leży świetnie, jak ulał. Pochwaliła też jego fryzurę. Wręczyła mu pudełko wizytówek prosto z drukarni, z nazwiskiem Franka i numerem telefonu Ratusza. Pod jego nazwiskiem widniało po prostu „Pośrednik”. Frank był poruszony.

– Chcą cię widzieć na górze – oznajmiła Blenda.

Poszedł do Komitetu bardzo zaniepokojony. Dobry nastrój prysnął. Czyżby mieli jakieś uwagi? Nie mógł tego pojąć. Według Franka powinno być raczej odwrotnie. Trzej mężczyźni już na niego czekali. Wszyscy mieli przygnębione, udręczone miny.

– Mr. Stout nie żyje – oznajmił Szeryf.

Frank właściwie poczuł ulgę.

– Nie żyje? Jak to?

– Odebrał sobie życie, Farrelli. Zaraz po twoim wyjściu.

Frank nie czuł już ulgi. Czyżby obciążali go odpowiedzialnością? Uważali, że mógł zrobić coś, by zapobiec nieszczęściu? Ogarnęło go wzburzenie.

– Nie sądzicie chyba, że... – urwał.

– Czego nie sądzimy?

– Że mogłem coś zrobić. Że mogłem...

Przerwał mu Doktor:

– Samobójcy to cholerne uparciuchy, Farrelli. Gdy już raz podejmą decyzję, nikt ich nie powstrzyma. Między nami mówiąc, nikt nie irytuje mnie bardziej niż samobójcy.

Frank poczuł wdzięczność, prawie się wzruszył.

– Jak on to zrobił? Brzytwą?

– Powiesił się. Na rzemieniu.

– Na rzemieniu? Tak się da?

– Da się. Uwierz mi. Ale to musiało być trudne. Tak jak mówiłem, samobójcy to cholerne uparciuchy.

– Jak przyjęła to Mrs. Stout?

– Na razie o niczym nie wie.

Szeryf wstał i podszedł do Franka.

– Jesteś gotów, by przekazać jej tę wiadomość?

Frank wyjrzał przez okno. Mgła otoczyła miasto, niebieskim rantem oddzielając je od nieba. Na lepszy początek nie mógł liczyć.

– Tak – powiedział. – Jestem gotów.

Na schodach dogonił go Pastor. Frank sądził, że być może duchowny zechce dać mu jakąś dobrą radę, ale nie.

– Pamiętałeś o mojej chusteczce? – spytał.

Frank zatrzymał się, zirytowany takim marudzeniem nie w porę. Pastor wdeptał tę złotą chwilę w błoto.

– Przepraszam, tyle się wczoraj działo, że...

– No tak, no tak, nie spieszy się. Chciałem tylko o tym przypomnieć. Powodzenia.

Frank szybko wsiadł do samochodu i odjechał. Mrs. Stout mieszkała między rzeką a centrum, w zadbanym pudełkowatym domku przy River Right Lane. Zaparkował koło furki, przeszedł przez równie zadbany ogród, zapukał, a Mrs. Stout otworzyła właściwie prawie od razu, jakby na niego czekała. Obrzuciła go spojrzeniem, jakiego Frank jeszcze nigdy w życiu nie widział – oskarżycielskim, a zarazem znękanym.

– Myślałam, że to mój mąż – powiedziała.

Frank wyciągnął do niej rękę, ale ona to zignorowała.

– Nazywam się Frank Farrelli.

– Pamiętam pana z wczoraj.

– Mogę wejść na chwilę?

– Czego pan chce?

– Niestety, przynoszę złe wiadomości, Mrs. Stout. Bardzo złe wiadomości.

– Idiota. Wiem, że Jimmy nie żyje.

Już chciała zamknąć drzwi, ale Frank zrobił krok do przodu.

– Tym razem nie chodzi o pani syna. Chodzi o pani męża.

– O mojego męża?

– Tak. O pani męża.

Mrs. Stout wreszcie go wpuściła i zaprowadziła do salonu, gdzie usiedli po przeciwnych stronach niskiego stolika, Frank na kanapie, ona na prostym drewnianym krześle. Zasłony były zaciągnięte, nie paliła się żadna lampa. Na komodzie płonęła jednak świeca przy fotografii Mr. Stouta z chłopakiem, który zapewne był ich synem Jimmym. Z dumą pokazywał wielką rybę, olbrzymią bestię z długimi płetwami grzbietowymi i imponującym pyskiem. W tle dało się dostrzec Snake River.

– O co chodzi z moim mężem? – spytała Mrs. Stout.

– On nie żyje.

– Nie, Henry żyje.

– Raczej nie, Mrs. Stout.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Frank nie miał pojęcia, co powinien teraz powiedzieć, a kobieta nie przychodziła mu z pomocą. Wskazał na świeczkę i fotografię.

– Pstrąg?

– Moron.

- Moron?
- Okoń morski.
- Mój ojciec nazywał je rybami z wraków.

Mrs. Stout spojrzała na niego tak, że od razu zrozumiał, iż tego nie powinien był mówić. Zrozumiał też, że za każdym razem, kiedy będzie chciał coś powiedzieć, równie dobrze może milczeć.

- Okoń morski jest smaczny bez względu na to, jak się nazywa – powiedziała Mrs. Stout.
- Czy oni kiedykolwiek łowili w morzu?
- Nie. Tak daleko nigdy nie dotarliśmy. A pan?

Frank pokręcił głową.

- Ale rzeka jest w pewnym sensie częścią morza. W każdym razie wpada do morza.

Farrelli złożył ręce na kolanach. Musiał skierować tę rozmowę z powrotem na właściwy tor. Mrs. Stout go uprzedziła. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej i zaczęła od początku:

- Nie żyje? Mówi pan, że Henry nie żyje?
- Właśnie dlatego tu jestem, Mrs. Stout. Po to, by pani przekazać, że pani mąż, Mr. Henry Stout, nie żyje. Umarł wczoraj. W salonie fryzjerskim. Musi pani wiedzieć, że myślami jestem z panią.

- Jak to się stało? Serce? Ostatnio skarżył się na bóle w piersi.

- To zawsze jest serce – powiedział Frank cicho.

- Co to ma znaczyć?

- Targnął się na własne życie, Mrs. Stout. Przykro mi, że muszę to powiedzieć.

Kobieta spuściła wzrok, zacisnęła dłonie, a jej ładna gładka cera nagle jakby zaczęła pękać i pojawiły się na niej głębokie szare bruzdy. To Frank zrobił te ślady. Teraz to zrozumiał. Zmieniał ludzi. Takie było jego powołanie. Miał zmieniać ludzi.

- W jaki sposób to zrobił? – szepnęła.

- Czy nie wystarczy pani wiedzieć, że zginął z własnej ręki?

– Nie, nie wystarczy. Nie mam siły już do końca życia zastanawiać się, w jaki sposób to zrobił.

- A w czym pomoże pani taka wiedza?

- Pomoże? Czy cokolwiek może pomóc?

- Pogodzenie się.

- Z czym?

- Chyba z życiem.

- Sądziłam, że mamy się pogodzić ze śmiercią.

- Najpierw z życiem – powiedział Frank. – Życie zawsze jest na pierwszym miejscu.

- Jest pan mądrym człowiekiem.

Frank spuścił wzrok.

- Wiem, o czym mówię – powiedział cicho.

- Jak to?

- Kiedy miałem trzynaście lat, straciłem ojca. W wypadku. Straszny wypadku.

- Biedaczysko.

- Tak. Widziałem to na własne oczy. Byłem przy tym, kiedy się to stało.

- A jak do tego doszło?

Frank milczał przez chwilę, ale nie za długo.

- Tego nie musi pani wiedzieć, to zbyt...

- Powiedz, Frank. Na pewno dobrze ci to zrobi.

- Spadł z drabiny, kiedy reperował rynnę. I nadział się na kosę, która leżała w trawie.

Rozłupała mu głowę. To było... – Frank nie mógł powiedzieć już nic więcej, przytłoczyły go własne słowa i poczuł, jak ciepło, to, które tak kochał, rozlewa się po ciele, jednocześnie osłabiając go i dodając mu sił.

– Biedaczysko – powtórzyła Mrs. Stout.

– Pani rozumie, jak to jest.

– No to teraz możesz powiedzieć, w jaki sposób zrobił to mój mąż.

Frank podniósł głowę. Mrs. Stout wciąż nachylała się nad stołem.

– Nie wiem, czy naprawdę chce pani to wiedzieć, Mrs. Stout.

– Ty w ogóle nie wiesz, co ja chcę wiedzieć. Nic o mnie nie wiesz. Użył brzytwy, prawda?

– Powiesił się.

– W salonie?

– Tak.

– Tam nie ma na czym się powiesić. Chociaż nie, są zasłony.

– Na rzemieniu, Mrs. Stout.

– Czy tak się da?

– Proszę mi wierzyć, da się. Mniej więcej tak jak na pasku. Ale to wymaga ogromnej siły woli.

Mrs. Stout odchyliła się i zaczęła kołysać w tył i w przód, szlochając: „O Boże, o Boże”, przenikliwie jak zwierzę. Frank pojął, że musi jak najszybciej przyzwyczaić się do tego dźwięku. Nie miał nic przeciwko temu. Teraz naprawdę potrzebował chusteczki do nosa. Pozwolił kobiecie szlochać, dopóki sama się nie uspokoiła.

– Dlaczego nie pojechał ze mną? Powinien był pojechać ze mną do Jimmy’ego.

– Każdy ma swoją żalobę, Mrs. Stout. Jedna nie jest lepsza od drugiej.

Spojrzała na Franka, a on zauważył wtedy, że jej rozpacz zniknęła bez śladu, pozostawiając po sobie maskę obojętności.

– Naprawdę tak uważasz, Farrelli?

– Co uważam, Mrs. Stout?

– Że jedna żaloba nie jest lepsza od drugiej.

– To oczywiście trudno zmierzyć, ale...

Przerwała mu.

– A ja uważam, że lepiej jest pojechać do szpitala i zobaczyć Jimmy’ego, niż wieszać się na rzemieniu.

Mrs. Stout wstała, podeszła do świeczki i fotografii. Frank też się podniósł.

– Jest pani mądrą kobietą.

Aż drgnął w środku, gdy to powiedział. Słowa zabrzmiały nie na miejscu, niemal intymnie. Nigdy wcześniej nie powiedział nic podobnego do żadnej kobiety, a teraz, w chwili żaloby, powiedział to do osoby w żalobie pogrążonej. Mrs. Stout odwróciła się do niego.

– Codziennie spodziewaliśmy się, że ktoś przyjdzie z informacją, że Jimmy został zastrzelony przez snajpera, zginął od bomby podłożonej pod samochód albo w walce. A to się tak skończyło. Pewnie nie będzie miał nawet wojskowego pogrzebu. Uważasz, że to sprawiedliwe?

– Nie wiem, co jest sprawiedliwe, Mrs. Stout. Jestem tylko Pośrednikiem.

Wyszedł i wsiadł do samochodu, a w drodze powrotnej do Ratusza zatrzymał się przy sklepie rzeźnika, żeby załatwić sprawę tej przeklętej chusteczki. Sklep był zamknięty. Na drzwiach wisiała kartka z ledwie czytelnymi literami: „Zamknięte do odwołania z powodu choroby”. Czyżby Bill McQuire położył się do łóżka wyłącznie z powodu lekko krwawiącego palca? Frank zaczynał mieć serdecznie dość całej tej historii z chusteczką. To nie on prosił o jej

pożyczenie. Przejechał ostatni odcinek drogi do Ratusza i prędko poszedł do swojego pokoju, żeby uniknąć spotkania z Pastorem. Na miejscu natychmiast wziął się do sprawozdania z przypadku Stouta. Pisał w przeznaczony dla niego pustej księdze. Nie był przyzwyczajony do wyrażania się na piśmie, zanotował więc tylko kilka krótkich zdań. „Samobójstwo to nie wypadek. Wypadku nie można zaplanować. Działanie zaplanowane nie jest już wypadkiem”.

Podpisał się swoim nazwiskiem, odnotował datę i rok, odstawił księgę z powrotem na półkę i pojechał do domu. W sumie był zadowolony. Niczego nie mógł zrobić lepiej. Zaparkował przed furtką. Nie miał nic przeciwko temu, by ci, którzy wciąż jeszcze mieszkali na April Avenue, zwrócili uwagę na świeżo przemalowanego chevroleta. Mogą to uznać za znak, że sprawy prędzej czy później się ułożą, pomyślał Frank Farrelli, człowiek, który przynosił złe wiadomości. A tak w ogóle to Jimmy Stout nie miał wojskowego pogrzebu. Żołnierze nie dostają medali za to, że wracają z wojny do domu. I jego, i ojca pogrzebano w zachodniej części cmentarza. Na obu nagrobkach był napis: *Gone fishing*.

Minął tydzień, podczas którego nic więcej się nie działo. Życie w Karmack, przynajmniej w takim stopniu, w jakim dało się je nazwać życiem, toczyło się swoim utartym torem, oprócz tego, że nie następowały już wypadki, co po pewnym czasie zaczęło Franka irytować. Zrozumiał, że praca Pośrednika nie łączy się z pragnieniem nadejścia dobrych czasów. Zrobił się niecierpliwy i kłótlivy. Czyżby znów miał zostać bezrobotny tylko dlatego, że ludziom przez kilka dni dopisywało szczęście i nie doznawali ciężkich obrażeń ani nie umierali? To niesprawiedliwe, myślał Frank. Ale i tak codziennie rano o siódmej stawiał się w pracy, siadał w swoim pokoju i czekał. Nie chciało mu się nawet zaglądać do sprawozdań. Kwiaty od Blendy Johnson zaczęły więdnąć, a któregoś dnia rano zniknęły. W zamian Blenda o dwunastej przyniosła mu lunch, kanapkę z indykiem i szklankę mleka. Zdarzało im się czasami pogawędzić: o pogodzie, o pociągach mijających zamkniętą stację, o tablicy z liczbą mieszkańców, taką samą od 1963 roku. I o tym, że w dniu kiedy w Karmack nie zostanie już żadna żywa dusza, tablica wciąż będzie tam stała. Blenda kazała mu odpukać. Frank stwierdził, że ją lubi. Była proslinijna i bardzo bezpośrednia. Jemu chyba też nie miała nic do zarzucenia. Frank jednak mocno stąpał po ziemi i niczego nie przyjmował za pewnik. O czwartej wracał do domu. Ale ponieważ wypadki nie mają stałych godzin pracy, musiał być w każdej chwili przygotowany. Dlatego cały czas chodził w czarnym garniturze i właściwie był w pracy przez całą dobę. Nie budziło to jego niezadowolenia. Przeciwnie, dawało mu większą swobodę. Jeśli matka prosiła, żeby skosił nędzny trawnik albo naprawił tę przeklętą rynnę, mógł po prostu odpowiadać, że jest zajęty. Nie wolno mu przeszkadzać. Ale wypadki kazały na siebie czekać. „Miałeś więcej roboty, kiedy byłeś bezrobotny”, prychała matka.

W sobotni wieczór, ostatni we wrześniu, zdarzyło się jednak coś, co nie powinno się zdarzyć. Frank zaprosił Steve'a na obiad. Siedzieli w salonie i jedli coś upitraszonego przez matkę, co jak twierdziła, było potrawką z królika. Steve pochwalił jedzenie. Zawsze wszystko mu smakowało, był pod tym względem w porządku. Uważał nawet, że życie jest w porządku. Matka Franka lubiła Steve'a, chociaż pił piwo prosto z butelki i brakowało mu obycia.

- Jak tam ci idzie w nowej pracy? – spytał.
- Spokój – odparł Frank.
- To niedobrze?
- Dobrze? Że jest spokój?
- Że nie dochodzi do żadnych wypadków.
- No tak, tak też można na to spojrzeć.
- Masz własny pokój i w ogóle?
- Mam. Własny pokój. I sekretarkę.

– Sekretarkę? Żartujesz sobie, prawda?
– Nie żartuję, Steve. Nazywa się Blenda Johnson. Przynosi mi lunch, podlewa kwiaty, utrzymuje porządek we wszystkich sprawozdaniach i umowach. Bez niej bym sobie nie poradził. Teraz i matka na niego patrzyła.
– O tym nie opowiadałeś, Frank.
– Nie pytałaś.
Steve opróżnił butelkę i dalej drażył.
– Ale co ty właściwie robisz, Frank?
– Nie mogę o tym mówić.
– Nie żartuj, Frank.
– Niestety, nie mogę o tym mówić – powtórzył.
– Dlaczego?
– Bo obowiązuje mnie tajemnica, Steve.
– Mnie też niczego nie mówi – wtrąciła się matka. – I chodzi po domu w czarnym garniturze.

Steve otworzył kolejną butelkę.
– Coś chyba możesz powiedzieć?
Frank westchnął.
– Chcecie, żebym poszedł do więzienia? Podpisałem papier, że niczego nie wyjawię.
– Cholera, przecież tu są tylko twój kumpel i twoja matka!
– Wydaje ci się, że nie grożą mi dwa lata więzienia tylko dlatego, że jesteś moim kumplem, a matka to matka?
– Chyba nie przewróciło ci się w głowie, Frank?
– Dostał też wizytówki – dodała matka.
– Pokaż!
Frank zaczął się drożyć, ale w końcu wyjął jedną wizytówkę. Zaimponował nią Steve'owi.

– Możesz ją zatrzymać – powiedział.
Steve pokręcił głową.
– Nie, dziękuję. Wiem, gdzie cię szukać. Poza tym niepotrzebny mi żaden pośrednik.
– Każdy w końcu potrzebuje pośrednika – odparł Frank.
Kiedy skończyli posiłek, a Mark też dostał swój, Frank i Steve poszli do baru na tyłach budynku dworca, przypominającego nawiedzony dom z wytłuczonymi szybami i czarnymi ptaszyskami, które siedziały na parapetach i skrzeczały wśród odłamków szkła. Cała ta rudera zmieniła się w jedną wielką klatkę dla ptaków. Starzy robotnicy kolejowi mawiali, że kiedy pociągi przestają się gdzieś zatrzymywać, Bóg przenosi się na następną stację. Zegar na peronie wisiał jak złe wspomnienie, miał pęknięte szkło i połamane wskazówki. Steve się zatrzymał.
– Ten zegar mnie wkurza – powiedział.
Frank też stanął.
– Lepiej by było zburzyć całe to dziadostwo.
– A szczególnie ten zegar. Zostawili go, żeby wisiał tylko dla hecy?
– Pozbywanie się śmieci też kosztuje. – Frank się roześmiał.
– Drożej jest burzyć, niż budować. Cholera, zrobię im przysługę. Uspokoję ten zegar raz na zawsze.

Steve stanął na skrzynce, zaczął ciągnąć i szarpać stary zmaltretowany werk, który okazał się bardzo oporny. Steve wpadał w coraz większą złość. Znalazł gdzieś deskę, którą zaczął walić w zegar, i wreszcie miniona wielkość Karmack poluzowała się, a jej szczątki wylądowały na

torach.

- Cholera, dlaczego to zrobiłeś? – Frank zapalił papierosa.
- Co zrobiłem?
- Dlaczego to wyrzuciłeś? Może się zdarzyć wypadek.
- Wypadek? Myślisz, że pociąg wypadnie z szyn, jeśli wjedzie na sekundnik?
- I tak nie powinienes tego robić.
- Ty wszędzie widzisz wypadki, Frank. Ale przecież z tego teraz żyjesz, prawda?

Frank nie chciał, żeby taki zarzut się do niego przykleił. Zeskoczył na tory i przerzucił szczątki zegara w trawę po drugiej stronie. Na moment stanął, zaczął nasłuchiwać. Nie słyszał nic, ale czuł, ledwie, ledwie, drganie szyn, nocny pociąg, jeszcze daleko, jeszcze tam gdzie jest dzień, tę piosenkę, która dawniej była dobrym znakiem, a teraz jest złym, złą nowiną, a właściwie wcale nie nowiną, bo pociągi w Karmack już się nie zatrzymywały.

Przynajmniej bar wciąż się nazywał Railway Rest. Przy drzwiach wisiały stare rozkłady jazdy, przypominając gościom o tym, co minęło, czyli prawie o wszystkim. Steve chętnie by je również zerwał, ale tego nie zrobił. Szafy grającej w kącie nikt nie używał od lat. Stare szlagiery się przeterminowały. W głębi wokół stołu bilardowego stało kilku przygarbionych, narzekających mężczyzn, sukno rzucało na ich twarze zwiędłe zielone cienie, trochę tak, jakby zarastali. Ktoś zawołał:

- Przyszedł Frank Farrelli szukać tu wypadków!

Mężczyźni stuknęli się szklankami i wypili. A w kącie siedziała Mrs. Stout przy niebieskim drinku. Nie powinno jej tu być, pomyślał Frank i już chciał zawrócić, ale Steve go zatrzymał, każąc mu olać tych nieudaczników. Stanęli przy barze. Steve poprosił o dużą i o małą szklankę, whisky w dużej, piwo w mniejszej. Frank pił napój imbirowy Canada Dry.

- Pamiętasz, co próbowali nam wmawiać, kiedy byliśmy dziećmi? – spytał Steve.
- Próbowali nam wmawiać całkiem sporo.
- Że jeśli będziesz grzeczny, to po śmierci trafisz do Solvang.
- A jeśli będziesz niegrzeczny, zostaniesz w Karmack.

Steve opróżnił jedną ze szklanek, zamówił kolejną i odwrócił się do Franka.

- Ty w to wierzyłeś.
- Skąd, za cholere.
- Właśnie że tak.
- Za cholere. Przestań gadać, że wierzyłem w te bzdury.
- Duńskie drożdżówki w niebie, Frank. Wkrótce to jedyna rzecz, na którą będziemy mogli mieć nadzieję.

Obaj się trochę pośmiali. W zasadzie miło było tak siedzieć przy barze i gadać. Nie żeby mówili coś nowego, rzadko tak się działo, raczej rozmawiali o wszystkim, co wydarzyło się dawniej, bo o przyszłości nie było nic do powiedzenia, zresztą wtedy nie uniknęłyby się powtórzeń. Ale teraz Frank dostał pracę i musiał patrzeć przed siebie. Może właśnie dlatego w głębi ducha poczuł, że ma trochę dość kolegi, który stał w miejscu, podczas gdy on pędził ku dalszemu życiu. Ale i tak było miło. Steve zamówił jeszcze jedną kolejkę i skinieniem głowy wskazał Mrs. Stout.

- Nie uważasz, że powinienem postawić drinka tej pani?
- Nie.
- Dlaczego?

Frank zniżył głos:

- Ponieważ właśnie owdowiała.
- Tym lepiej.

- Cholera, Steve, to wcale nie było zabawne! Poza tym straciła też syna.
 - To już gorzej.
 - I musiałem jej o tym powiedzieć. To nie było łatwe.
 - Przecież mówiłeś, że obowiązuje cię tajemnica.
 - Dlatego nic więcej nie zdradzę. Ale łatwo nie było. Tyle ci powiem.
- Frank westchnął głęboko i ukrył twarz w dłoniach. Steve wyjął papierosa.
- Chyba mógłbyś mnie jej przedstawić?
 - Nie sędzę.
 - Co najgorszego może się stać? Każe mi iść do diabła? I co z tego?
 - Rzuci ci szklanką w głowę.
 - No tak, ty byś najchętniej widział, żeby tu doszło do wypadku. Miałbyś wtedy co robić.
 - To też nie było śmieszne. Ja się w każdym razie nie śmieję.
 - Bo nie masz poczucia humoru.

Frank zrozumiał wreszcie, dlaczego naprawdę zaczął mieć dość kolegi. Jego żarty przestały być śmieszne, a większość była prastara. Uświadomił sobie, że chyba dłużej już nie zniesie kumpłowania się z nim. Odkrycie sprawiło mu ból, ale tak po prostu było. Nic nie dało się z tym zrobić. Steve włożył papierosa do ust, ale zanim go przypalił, barman zarzucił ścierkę na ramię i nachylił się nad barem.

- Idź palić na zewnątrz, Steve.
- Pewnie. Wiesz, co Neil powiedział do Aldrina, kiedy wylądowali na Księżycu?
- Mały i duży krok.
- Nie, to było później. Najpierw powiedział: „Teraz tylko nas nie ma w domu”.

Steve śmiał się najgłośniej. Zapalił zapalniczkę. Barman złapał go za nadgarstek i zdmuchnął płomień.

- Tylko bez awantur, Steve. W porządku?
- W porządku, szefie. I bez napiwku.

Zgarnął monety z lady i podszedł do szafy grającej, zakurzonego wurlitzera z 1962 roku, po czym odwrócił się do Mrs. Stout.

- Czego pani ma ochotę posłuchać, madame?
- Spojrzała na niego ponad drinkiem.
- Tego, co wybierzesz, przystojniaczku. Ale mam słabość do B12.
 - B12? Właśnie to miałem zamiar wybrać. Wie pani, co to oznacza?
 - Co?
 - Że jesteśmy sobie przeznaczeni.

Mrs. Stout roześmiała się i wcale nie zaprotestowała. Zamówiła kolejnego drinka, co Steve uznał za znak, że tego wieczoru ma szansę, wszystko jedno, wdowa czy nie. Wrzucił monetę i wybrał, B12, czyli *Blue Skies* Elli Fitzgerald, no bo co innego? W dodatku dało się przy tym tańczyć. Ta piosenka nadawała się prawie do wszystkiego. Nic się jednak nie wydarzyło. Za brudnym szkłem single dalej wisały w pozycji spoczynnej. Steve wrzucił jeszcze jedną monetę. Wciąż nic się nie działo, oprócz tego, że mężczyźni w głębi zrobili sobie przerwę w grze, bo najwyraźniej zrozumieli, że Steve Miller ma zamiar się wygłupić, a na lepszą rozrywkę w taki wieczór jak ten nie mogli liczyć. Frank zezłościł się na kumpla, który próbował ożywić martwą szafę tylko zżerającą jego monety. W końcu Steve nie mógł tego dłużej znieść. Nie dopuści, by ten przeklęty wurlitzer zepsuł mu wieczór, i to teraz, kiedy wszystko tak dobrze się zapowiadało, a przynajmniej takie miał wrażenie. Wziął rozbieg i z całej siły wymierzył szafie kopniaka. Cała machina zaczęła się trząść i trzeszczeć, ale nie wyszła z tego muzyka, bo szafa zaraz znów zgasła, jeszcze bardziej martwa niż przedtem, jak grób starych szlagierów. Ale z zielonego cienia

przy stole bilardowym wyłoniła się jakaś postać i podeszła do Steve'a, który po dwudziestu latach pracy w warsztacie nie był wcale chuderlakiem. Ten gość był jednak wielki, naprawdę wielki. Steve miałby marne szanse, gdyby wybuchła awantura, a na to się zanosilo. Frank, który wciąż siedział przy barze, rozpoznał wielkiego faceta, chociaż nie ze względu na jego rozmiary, tylko po dziobatej, wręcz okaleczonej twarzy. To był Bob Spencer, ten, który również ubiegał się o stanowisko Pośrednika i został odrzucony. Barman wypuścił ścierkę i położył rękę na telefonie. Wkrótce miało się stać coś złego. Było to jasne dla wszystkich i nikt się w to nie angażował, bo każdy miał dość własnych problemów. Bob Spencer zatrzymał się przed Steve'em, ale patrzył na Mrs. Stout.

– Czy ten dureń pani dokucza? – spytał.

– Nie, to ty dokuczasz mnie, syfiasta gębo.

Jeśli do tej pory było cicho, to teraz zapadła grobowa cisza. Niekiedy, niezbyt często, zdarza się, że czas jakby szykuje się do skoku w następny moment. To właśnie była taka chwila. Bob Spencer odwrócił się do Steve'a.

– Chcesz zniszczyć naszą szafę, durniu?

– Słyszałaś, co pani powiedziała, syfiasta gębo? To ty nam dokuczasz.

– Jeśli kopniesz jeszcze raz...

– To co, syfiasta gębo?

Czas wykonał falstart i zbyt szybko wylądował w następnym momencie. Steve nie dostrzegł ciosu. Może i dobrze się stało, bo i tak nie mógłby nic zrobić. Mógł jedynie cały czas siedzieć przy barze i w ogóle nie podchodzić do tej przeklętej, nieczynnej szafy grającej ani nie pytać, której piosenki miałyby ochotę posłuchać Mrs. Stout. Na myślenie o tym wszystkim było już teraz za późno. Kość nosowa Steve'a pękła i cały nos wgniótł się w policzek. Frank, siedzący co najmniej dwa metry dalej, słyszał to wyraźnie; ten sam nieczysty dźwięk, jaki rozlega się po ściśnięciu worka ze żwirem. Cios jednak nie był wcale najgorszy. Steve wprowadził się na podłogę, ale po drodze walnął potylicą o kant szafy grającej i najprawdopodobniej właśnie to przesądziło, że kiedy już upadł na linoleum, to dalej na nim leżał i miał już nigdy nie wstać. Wszyscy oczywiście sądzili, że za chwilę poderwie się na nogi i znów opowie jakiś marny dowcip, na przykład ten o Księżycu, ale tak się nie stało. Steve Miller nie opowiedział już więcej dowcipów. Oczy miał szeroko otwarte i puste jak szklane kulki. Krew wciąż mu leciała z nosa rozsmarowanego po twarzy. Frank przykucnął i wsunął mu rękę pod kark. Z ust też ciekła mu krew. W kącikach pojawiały się banieczki, jakby próbował nadmuchać balon.

– Steve – szepnął Frank. – Steve! – zawołał.

Ale Steve był poza zasięgiem. Bob Spencer siedział na krześle i powtarzał, że nie chciał tego zrobić.

– To nie moja wina. To nie moja wina – tłumaczył się jak gówniarz, dopóki ktoś nie kazał mu się zamknąć. Barman nie miał innego wyboru, niż zatelefonować do szpitala, i kwadrans później zjawiła się karetka, a za nią Szeryf.

Dwaj pielęgniarze zajęli się Steve'em. Założyli mu kołnierz usztywniający i przenieśli go na nosze. Szeryf odciągnął Franka na bok.

– Mam nadzieję, że nie masz z tym nic wspólnego.

– To mój kumpel tam leży. Równie dobrze mógłbym to być ja.

– Okej, Frank, spokojnie. Co tu się stało?

– To ten dupek zaatakował.

Frank wskazał krzesło, na którym Bob Spencer zasłaniał rękami swoją dziobatą, gruzłowatą gębę.

– Widzę, że to nasz znajomy – powiedział Szeryf.

– A kto tu nie jest znajomy?
Szeryf spojrział na Franka.

– Ktoś zerwał zegar na stacji. Wiesz coś o tym?
– Steve chciał go tylko nastawić.
– Nie żartuj sobie, Farrelli. To wcale nie jest śmieszne.
– Przepraszam, sir. Nie chciałem. Ale ten zegar przecież nie chodził od stu lat. A poza tym sprzątnąłem go z torów, kiedy Steve...
Szeryf mu przerwał.

– Gównu mnie obchodzi ten zegar. Chcę tylko wiedzieć, czy Steve był dziś wieczorem rozzłoszczony.

– A kto nie jest?
Szeryf zaczął rozmawiać z pozostałymi gośćmi, z tą bandą obdartusów, którzy wszyscy nagle jak jeden mąż dostali zaćmy. Oczywiście nikt niczego nie widział, dopóki Steve nie wyciągnął się jak długi przy szafie grającej. Było jak zwykle. Nikt nic nie widzi. Barman też nagle zaczął mieć kłopoty ze wzrokiem i na niewiele mógł się przydać.

– Tak, doszło, zdaje się, do rękoczynów i Steve'a trzeba było liczyć, ale to on zaczął się awanturować.

– Awanturować?
Barman wzruszył ramionami.

– Steve parę razy kopnął szafę. Pewnie myślał, że to coś pomoże. – Nalał Szeryfowi kawy. – Żaden nie jest bez winy. Na ogół tak bywa, kiedy dwóch się bije.

Szeryf podziękował i za kawę, i za filozofię. Podszedł do Boba Spencera, który zapewniał o swojej niewinności, zanim ktokolwiek go o coś spytał. Wcale mocno nie uderzył. Zdarzało mu się już uderzać mocniej i nikt z tego powodu nie padał. Czyja to wina? Szafy grającej. Szeryf poczuł się cholernie zmęczony. Czy to szafa grająca uderzyła? Tęsknił za łotrem, który powiedziałby wprost: „Jestem winny. To ja. Wygraliście”. Szeryf wiedział, że sprawa i tak zostanie umorzona. Z większością spraw właśnie tak się działo. I wszyscy o tym wiedzieli. Całe Karmack było umorzone. Szeryf służył tu wyłącznie dla ozdoby. Równie dobrze mógłby zamienić gwiazdę na kapsel od oranżady. Odwrócił się, żeby popatrzeć na Steve'a, którego w pośpiechu wywożono i ładowano do karetki; odjechała na syrenie, rozszarpującej ów godny pożałowania wieczór na strzępy. Szeryf znów przywołał do siebie Franka.

– Dlaczego nie powiedziałeś, że twój kumpel skopał szafę grającą?
– Nie sądziłem, że to może mieć jakieś znaczenie.
– Nie jesteś teraz Pośrednikiem, Frank. Jesteś świadkiem, a to coś zupełnie innego.
– No tak, sir.
– Jako Pośrednik możesz wybierać, co powiesz, jako świadek masz tylko jeden wybór: prawdę.

Szeryf nawet przez moment nie wierzył w to, co powiedział.

– Rozumiem, sir – odparł Frank. – Steve trącił nogą szafę grającą, kiedy wrzucił pieniądze, a ona się nie włączyła.

– Nie wiedział, że szafa nie działa? Jest popsuta od czasów Elvise.
– Może zapomniał. To znaczy, zapomniał, że nie działa.
– I co?
– I co?
– Co się stało po tym, jak kopnął w szafę, Frank? Nie bądź taki ociężały jak inni.
– Bob Spencer podszedł do Steve'a i go uderzył.
– Tylko to?

– Najpierw się trochę wyzywali. Bob nazwał Steve’a durniem, a Steve nazwał Boba syfiastą gębą.

– Syfiastą gębą? Niezbyt pięknie.

– Ale chyba nie wolno bić za coś takiego?

Szeryf westchnął i podrapał się w kark.

– Wielu rzeczy nie wolno, Frank. Sikać w miejscach publicznych. Jeździć bez tablic rejestracyjnych. Przeklinać w kościele. Przechodzić na czerwonym świetle. A jeszcze więcej rzeczy wolno. Zamknąć stację kolejową. Zamknąć szkołę. Wyłączyć oświetlenie uliczne. Zlikwidować porodówkę. Takie drobiazgi.

– To okropne – przyznał Frank.

Szeryf zniżył głos.

– Co tutaj robi Mrs. Stout?

– Pije.

– Tyle to i ja widzę, Farrelli. Dziękuję za pomoc.

Podszedł do niej. Podniosła głowę.

– Zamierza mnie pan aresztować, Szeryfie?

– Nie mam takich planów, Mrs. Stout.

– Ale uważa pan, że nie powinnam tu siedzieć, prawda?

– To nie moja sprawa. Chciałem tylko spytać, czy coś pani widziała albo słyszała.

Mrs. Stout zapaliła papierosa.

– Teraz może mnie pan aresztować, Szeryfie. Łamię prawo.

Szeryf usiadł, pozwalając jej palić.

– Mrs. Stout, wiem, że przeżywa pani teraz trudny okres, ale nie musi pani utrudniać życia i mnie.

Roześmiała się i wypuściła w jego stronę kółko z dymu.

– Tak panu trudno?

– Wiem, że moje problemy nie mogą się mierzyć...

Przerwała mu.

– Jimmy nie padł na wojnie. Zamiast tego wpadł do wody.

Szeryf spuścił wzrok i zrobiło mu się przykro. Nie pamiętał, kiedy ostatnio tak się czuł. Nierzadko wpadał we wściekłość, w irytację, ogarniały go rezygnacja i wkurzenie; te uczucia jakby przynależały do pracy. Ale teraz zrobiło mu się po prostu cholernie przykro.

– Mogę panią odwieźć do domu – zaproponował.

Mrs. Stout rzuciła niedopałek na podłogę, przygwoździła go obcasem.

– To ja zaczęłam.

– Ach tak? W jakim sensie?

– Poprosiłam Steve’a, żeby nastawił B12.

– Niezły wybór, Mrs. Stout.

Mężczyźni skupieni wokół stołu bilardowego układali bile na suknie. Barman wycierał krew. Bob Spencer opróżnił swoją szklankę i poprosił o dolewkę. Wieczór powoli się reperował i zaczynał toczyć się dalej, jak puszczone w ruch ciężkie koło. Szeryf podszedł do Franka i położył mu rękę na ramieniu.

– Piłeś coś?

– Nie. Tylko napój Canada Dry.

– Świetnie. Pojedziesz do szpitala i sprawdzisz, co z twoim kumplem.

– A co z Bobem Spencerem?

– Ja się nim zajmę, Farrelli.

Frank poszedł na April Avenue po chevroleta i pojechał do Saint Mary's Hospital. Cały czas się cieszył, że nie uległ pokusie i nie napił się piwa. To w oczywisty sposób przemawiało na jego korzyść. Może z tej cholernej sytuacji wyjdzie jednak coś dobrego. Steve leżał już na stole operacyjnym i jeszcze nie odzyskał przytomności. Frank usiadł w poczekalni. Jakaś wycieczona, ale miła pielęgniarka przyniosła mu kubek kawy. Oznajmiła, że nie wiadomo nic nowego, i znów zniknęła. Godzinę później pojawił się Szeryf. Usiadł obok Franka i zaczął mówić:

– Ludzie nie potrafią już nad sobą panować. Tuż pod powierzchnią są jedynie zwierzętami. Dzikimi zwierzętami, Frank. Ale nie wiedzą, na kogo są wkurzeni, i wybuchają przy byle okazji.

Frank odczekał chwilę, zanim spytał:

– Oni?

– My także, Frank. Wspomnisz moje słowa. My także. Jeśli nadarzy się okazja, my też staniemy się zwierzętami. Cholera, właśnie tak, na pewno. Nie jesteśmy lepsi. Nie jesteśmy nawet zwierzętami. Jesteśmy potworami!

– No tak, wystarczy spojrzeć na Mrs. Stout.

Szeryf gwałtownie się do niego odwrócił.

– Co to, do cholery, ma znaczyć?

Frank trochę stracił rezon. Pożałował, że w ogóle się odezwał. Uważał jednak, że ma pewne prawo do mówienia. Przecież to mimo wszystko jego kumpel balansował na granicy życia i śmierci.

– Zachowała się w każdym razie...

Szeryf mu przerwał.

– Każdy człowiek ma swoją żalobę, Farrelli! A nam nie wolno tej żaloby osądzać. Wbij to sobie do łba!

– Nie o to mi chodziło.

– Nie wiem, o co ci chodziło, Farrelli. Słyszę tylko, co mówisz. A teraz masz cholernie uważnie posłuchać tego, co mam ci do powiedzenia, skoro już zapomniałeś, co mówiłem. Słuchasz mnie?

– Tak, słucham.

– Każda żaloba jest inna. Żaloba jest jak podpis. Możesz, cholera, podpisać swój testament żalobą. A wiesz, co jest atramentem? Wiesz to, Farrelli? Wiesz?

– Nie.

– To ból, Farrelli. I tego atramentu nigdy nie brakuje.

Więcej się do siebie nie odezwali. Szeryf siedział, obracając w palcach gwiazdę. Frank po pewnym czasie zaczął przysypiać. Czuł, że głowa mu opada. Brodą dotknął klatki piersiowej i zrozumiał, że zaraz zaśnie. Starał się trzymać jak najdłużej, ale znów się powtórzyło to samo. Jakby był marionetką, do której przymocowano niewidzialne sznurki i którą ktoś się teraz bawił. W pewnym momencie już nie podniósł głowy, tylko zapadł w cienki, delikatny jak włos sen, w którym marzenia senne pływały w płytkiej, srebrzyście przezroczystej wodzie, ze wszystkich stron otoczyło go dzieciństwo, łapali ze Steve'em jaszczurki przy torach, grali w piłkę na April Avenue; pachniało rozgrzaniem asfaltu, a Martin, ojciec Steve'a, zawołał ich na colę, którą trzymał w wiadrze z kostkami lodu koło warsztatu, ojciec Franka podwiózł ich tam, ten kawałeczek, jedynie po to, by skorzystać z okazji i pochwalić się najlepiej utrzymanym chevroletem w całym sąsiedztwie, a przez resztę niedzieli biegali wzdłuż Snake River, kąpali się w zakolu poniżej młynów, matki pilnowały ich na zmianę, tak żeby inne mogły w tym czasie odpoczywać w cieniu drzew awokado, popijać sok malinowy i wymieniać upragnione płoteczki

o swoich beznadziejnych mężach, których mimo wszystko nie potrafiły przestać kochać. Kiedy Frank się obudził, czuł leciutki żal, którego nie dawało się porównać z żalem odczuwanym przez Mrs. Stout, to była ledwie widoczna kopia, słabo odbita przez kalkę. Wydawało mu się, że spał zaledwie kilka minut, najwyżej kwadrans, ale dochodziła już północ. Szeryf stał w drzwiach, rozmawiając z Doktorem. Frank natychmiast się zorientował, że ze Steve'em nie jest dobrze. Wyrazu ich twarzy nie dało się pomylić. Twarze nie kłamią. Musi to sobie zapamiętać. Że twarze nie kłamią. Miał rację. Ze Steve'em nie było dobrze. Ciągłe nie odzyskał przytomności i najprawdopodobniej miał jej nigdy nie odzyskać, a gdyby nawet tak się stało, i tak byłby warzywem. Doktor tak mówił. Rozległe obrażenia mózgu. Był podłączony do urządzeń. Musiał mieć wspomaganie.

– Trzeba zawiadomić rodzinę – oświadczył Doktor.

Obaj odwrócili się do Franka.

– Czy on nie mieszkał z ojcem? – spytał Szeryf.

Frank wstał.

– Tak. Tylko jego ojciec żyje. Oprócz niego nie ma żadnych krewnych ani nieślubnych dzieci. Mieszkał?

– Myślę, że na dobre wyprowadził się z domu – odparł Doktor.

Szeryf znów położył rękę na ramieniu Franka, który zaczynał mieć już dość tego nieprzyjemnego gestu.

– Ty go znasz, prawda? Znasz ojca Steve'a.

– Chyba mogę tak powiedzieć. Że go znam. Martina Millera.

– To wcale nie ułatwia sprawy, Frank, jeśli tak ci się wydaje. Taka sytuacja jest jeszcze trudniejsza.

Frank przypomniał sobie, co Szeryf mówił o złych wiadomościach. Złe wiadomości mogą zaczekać.

– Nie możemy darować mu spokojnej nocy? Steve zwykle nie wraca wcześniej do domu.

– Chętnie dałbym Millerowi noc albo nawet dwie, ale plotki, Frank! Railway Rest jest gorszy niż koło gospodyń.

– Mogę do niego pojechać od razu.

– Ale nie myśl, że będzie ci łatwiej, bo go znasz. Jest odwrotnie.

– Będę pamiętał.

Szeryf jeszcze go zatrzymał.

– I przekaz Martinowi, że to on decyduje, kiedy mamy wyciągnąć korek.

Jadąc wzdłuż rzeki, Frank nagle poczuł się uradowany. Może sprawił to odgłos wody płynącej w tym samym kierunku. Ściągał się z prądem rzeczny. Rzeka w końcu wygra, ale dopóki wyścig trwał, było fajnie. Pomyślał o określeniu, którego użył Szeryf. „Wyciągnąć korek”. Frank sobie to wyobraził. To, co zostało z człowieka o imieniu Steve, ścieka do odpływu. Mniej więcej tak jak się opróżnia wannę, na której zostają tylko pojedyncze włosy i obwódka z brudu. Nie był to miły obraz. Odłączyć prąd – to brzmiało lepiej. Wtedy Frank mógł wyobrazić sobie Steve'a jako dom, w którego pokojach kolejno gasną światła, aż w końcu okna zaczynają się zlewać w jedno z ciemnością i niebem. Skreślił, oddalając się od rzeki, zaparkował przy bramie i ruszył piechotą do położonego na niewielkim wzgórzu domu, w którym Steve mieszkał całe swoje życie. Martin Miller, jego ojciec, uparciuch i maruda, siedział jak zwykle na werandzie ze szklaneczką w rękę i papierosem żarzącym się w popielniczce, którą balansował na kolanie. Wciąż bił od niego zapach smaru i ropy, nigdy też nie mógł się pozbyć brudu spod paznokci. Praca lepi się do ciebie, dopóki żyjesz. Czym będzie pachniał Frank, kiedy skończy pracować? Łzami?

Nieprzyjemnie zaskrzybiały rozchwiane stopnie, zbudowane ze starych podkładów kolejowych, i w tej samej chwili ostre światło zaświeciło Frankowi prosto w twarz. To oczywiście Martin, jak zawsze czujny, zapalił latarkę. Gdy wreszcie zobaczył, kto przyszedł, zgasił ją i wskazał Frankowi stołek. Frank jednak zatrzymał się przy balustradzie.

- Rzadki gość – powiedział Martin.
- Rzeczywiście, trochę czasu minęło.
- Steve mówi, że znalazłeś pracę. Że się załapałeś w Ratuszu.
- Zgadza się. Znaczy nie to, że się załapałem, ale pracę mam.
- Kim tam jesteś?

Pytanie było tak bezceremonialne, że Frank prawie nie wiedział, jak na nie odpowiedzieć.

– Pośrednikiem.

– Pośrednikiem? Nigdy o czymś takim nie słyszałem. Co robi pośrednik? Chodzi pośrodku? – Martin zaśmiał się serdecznie i napił.

- Pośrednik przynosi wiadomości – wyjaśnił Frank.
- A teraz przynosisz wiadomość mnie? Zostałeś chłopcem na posyłki, Frank?
- Nie zimno ci?

Martin dolał sobie do szklanki. Wyglądał, jakby był zły.

– Przychodzisz spytać, czy nie jest mi zimno? Gdybym tu siedział i marzył, to już dawno wszedłbym do środka i zamknął drzwi.

Frank się roześmiał. Martin pozostał sobą. Nigdy się nie zmieni. Właśnie dlatego Frank go lubił. Wszystko się zmieniało, a Martin ciągle siedział na werandzie ze szklaneczką w rękę i popielniczką na kolanie, równie uparty, zgryźliwy i pełen draństwa jak dawniej.

- Oczywiście – przyznał. – Wszedłbyś do środka i napalił w kominku.
- Jesteś pijany, Farrelli, czy tylko wstawiony?
- Steve został dzisiaj pobity, Martin. W Railway Rest.
- Tak się dzieje co sobota, kiedy idzie pić.
- Rzeczywiście, zdarzało mu się trochę za głęboko zajrzeć do kieliszka.

Martin uniósł szklankę, ale zaraz ją odstawił.

- O co ci chodzi, do cholery?
- Nie chciałem powiedzieć nic złego, Martin. Przecież nie pił więcej niż my.
- Znow to powiedziałeś.
- Co?
- Mówisz o Stevie w czasie przeszłym.

Frank nachylił się nad balustradą. Wszystkie dźwięki się przybliżyły: rzeka, gałęzie, trawa. Wszystko oddychało. Wokół istniał niewidzialny świat, może lepszy od tego. Frank zaklął w duchu. A więc już mówił w czasie przeszłym.

- Ciemno jest – odezwał się. – Cholera, nie widzę, co mówię.

Martin zaśmiał się pod nosem.

- Jeśli szukasz Steve'a, to jest u ciebie i je obiad.
- Zgadza się. Steve zjadł u nas obiad.
- I co? Siedzi w samochodzie?
- Steve został pobity, Martin.
- Słyszałem. Powiedz mi raczej coś nowego.
- Niełatwo o tym mówić – zaczął Frank.

Umilkł i poczuł, że jest odwrotnie. Właśnie łatwo było o tym mówić. Łatwiej niż gawędzić. To było łatwiejsze niż rozmowa, która tylko kręci się w kółko i kończy tym, że nie ma się już nic do powiedzenia. A teraz Frank miał władzę i nad słowami, i nad czasem.

Martin się zniecierpliwił.

– Powiedźże to wreszcie! Wykrztuś to, chłopcze!

– Tym razem Steve niestety się nie podniósł.

– Co to ma znaczyć? Nie podniósł się? Jeszcze tam leży?

– Karetka go zabrała.

– Steve jest w szpitalu?

Frank podszedł bliżej.

– Pod respiratorem. W śpiączce. Paskudnie to wygląda, Martin. Ale Steve nie da się tak łatwo złamać. Musimy...

Martin nachylił się, przerywając mu:

– Ale on się obudzi, prawda?

Frank przetarł dłonią oczy. Musiał to powiedzieć teraz. Jeszcze jedno życie miało się wywrócić do góry nogami, a to jest jak odwracanie kamienia – człowiek nie ma pojęcia, co się wtedy ukaże.

– Na razie nikt tego nie wie. Nie chcę ci dawać fałszywej nadziei, Martin, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał. Ale mogę ci powiedzieć przynajmniej tyle, że Steve nie cierpi. Już nie. I musisz to potraktować jako pociechę. Twój syn nie cierpi, Martin.

Gdy Frank mówił, Martin siedział zupełnie nieruchomo. Potem znów odchylił się w fotelu.

– Mówisz mi, że nie ma nadziei?

– Nadzieja jest zawsze, Martin.

– Taką więc wiadomość przynosisz? Że nadzieja jest zawsze? Wobec tego uważam, że powinieneś się zabierać z powrotem do Ratusza. Pieprzony Pośrednik!

– Wiem, że to trudne, Martin.

– Nie mów „Martin” za każdym razem, kiedy otworzysz gębę! Powiem ci jedno, Frank. Nigdy cię nie lubiłem. Zawsze tylko przyklejałeś się do innych. Nie masz kręgosłupa. I nie tylko ja tak uważam.

Frank stał w milczeniu. Musiał się godzić na wysłuchiwanie tych słów, musiał sobie przypominać, że każdy człowiek ma swoją żalobę. Żaloba Martina Millera była nieprzyjemna i złośliwa. Musiał okazać mu wyrozumiałość. A jednak słowa zapiekły. Czyżby ludzie naprawdę tak go postrzegali? Że nie ma kręgosłupa? Że się przykleja? Niczym sobie na to nie zasłużył. Nie tylko poczuł się urażony, ale jeszcze się wkurzył. Czy nie było zawsze tak, że to on, Frank Farrelli, przyjmował na siebie ciosy? Że to on godził się na wszystko? Już tego nie chciał, zaczął więc mówić. Powoli, miał dużo czasu.

– Uderzenie rozgniotło mu nos, ale to, niestety, nie było najgorsze.

Umilkł i spojrzał na Martina. Po jego pobrużdżonej twarzy tam i z powrotem przesuwaly się cienie. Wiatr szarpał zawieszoną w kącie latarnią.

– A co było najgorsze, Frank?

– Steve, upadając na podłogę, uderzył głową o kant szafy grającej. Mózg mu się przesunął, tak jak ładunek na pace przesuwa się na ostrym zakręcie, rozumiesz? Więc gdyby wbrew wszelkim oczekiwaniom miał się obudzić, to już raczej nie będzie ten sam Steve, którego kiedyś znaleźliśmy, Martin. Bardzo mi z tego powodu przykro.

Przez chwilę wydawało mu się, że Martin zasnął w przepastnej głębi zniszczonego fotela, że go nie słucha. Ojciec Steve’a nagle jednak podniósł głowę, w tej samej chwili szklanka wypadła mu z ręki i potoczyła się po krzywej werandzie.

– Chodzi ci o to, że będzie jak warzywo?

– Mogę cię zawieźć do szpitala.

- Po co?
- Może Steve wyczuje, że jesteś. Kto wie?
- No właśnie. Kto wie? Idiota.

W końcu jednak Martin pojechał. Tam gdzie droga wiodła najbliżej Snake River, na łagodnym zakręcie, Frank nagle coś zauważył. Zwolnił i pokazał palcem. Martin się odwrócił. Środkiem rzeki sunęła żaglówka, przechylona mocno na jedną burtę, o mało się nie przewracała. Szarpały nią lepkie prądy i wkrótce widać już było tylko żagiel, białe rozdarcie w nocy. Za chwilę i on zniknął.

Frank nie był zbyt religijny z natury. Kościoła nie odwiedzał od śmierci ojca. Nie wierzył też w żadne znaki ani ostrzeżenia. Życie i bez tego było trudne. Ale ten widok naprawdę przerażał.

– Na pokładzie nikogo nie ma – powiedział Martin.

Frank dodał gazu i oddalił się od rzeki. Martin znów się rozżołościł.

– Dlaczego się nie zatrzymałeś? Przy odrobinie szczęścia moglibyśmy dostać pieniądze za wrak!

– Kto miałby je wypłacić? Dlaczego nie spytasz raczej, kto uderzył Steve’a?

– Gównu mnie to obchodzi.

– A może by tak pomyśleć o sprawiedliwości? Ona też cię gównu obchodzi?

Martin zaśmiał się głośno.

– Sprawiedliwość? A kiedy ją ostatnio widziałeś? Pocałuj mnie w dupę.

– Jak wolisz – powiedział Frank.

– Wszyscy prędzej czy później dostają w skórę, tak już jest. A Steve czasami potrafi być cholernie irytujący.

Ale w pobliżu szpitala zmienił jednak ton.

– Chciałbym wiedzieć, co zamierzał puścić w tej szafie grającej – powiedział Martin.

– B12.

Martin się uśmiechnął.

– B12. Dawno już tego nie słyszałem. Naprawdę dawno.

– No tak, szkoda, że nie udało mu się jej włączyć. To znaczy szafy.

– Sam chętnie posłuchałbym B12. Potrzebne są nam takie piosenki. Dobrze pamiętam, jak Ella ją tutaj śpiewała, we własnej osobie. Aż dach się podniósł, Frank.

– Myślałem, że śpiewała w Solvang.

– W naszym kościele, głupku! Ciebie i Steve’a jeszcze nie było na świecie. Niech ci się nie wydaje, że pozjadałeś wszystkie rozumy.

– Może śpiewała w obu tych miejscach?

Martin Miller ze śmiechu aż musiał otrzeć grzbietem dłoni łzę z kącika oka.

– W obu tych miejscach? Nikt nie może śpiewać w obu tych miejscach, ty głupku.

Frank zaparkował w strefie wyznaczonej dla bliskich, gdzie wszystkie miejsca były wolne. Wkrótce w Karmack nie będzie już niczyich bliskich. Kto go odprowadzi do grobu, gdy przyjdzie na to czas? Ten czas, czas śmierci, prawdopodobnie wcześniej przyjdzie też na jego matkę – i kto wtedy zostanie? Czy będzie musiał nieść własną trumnę? Frank poczuł wściekłość, przyjemną i ostrą zarazem. Czuł się niesprawiedliwie potraktowany. Po prostu. Niesprawiedliwie potraktowany, mimo że wcale na to nie zasłużył. Nagle usłyszał obok siebie jakiś dźwięk. Martin trochę płakał, ale odwrócił głowę, żeby Frank nie widział łez, które po jednej odrywały się od rzęs i spływały po policzkach. Kolejny raz Frank zirytował się, że nie ma chusteczki, albo przynajmniej papierowych serwetek. Najlepiej chusteczki. Z zapasu papierowych serwetek nie umiałby się wytłumaczyć.

– Tak w ogóle to Bob go uderzył – powiedział. – Bob Spencer. Ten z paskudną gębą. W windzie, w drodze na oddział intensywnej opieki, Martin, wciąż z zaczerwienionymi oczami, ujął Franka za rękę i uścisnął.

– Wcale tak nie myślę, Frank.

– Jak?

– Że możesz się zabierać z powrotem do Ratusza. Naprawdę tak nie myślałem. Plotłem bzdury.

– W porządku, Martin. Szczerze. Możemy sobie nawzajem mówić, co tylko chcemy.

– Jesteś dobrym Pośrednikiem, Frank. Chcę, żebyś o tym wiedział. Cieszę się, że to ty przyszedłeś z tą wiadomością.

Martin go puścił, a Frank się zastanawiał, czy nie spytać o tę drugą rzecz, którą Martin powiedział. Czy rzeczywiście nigdy go nie lubił i uważał, że Frank się przykleja i nie ma kręgosłupa?

– Musisz też jeszcze wiedzieć – oznajmił jednak, zamiast pytać – że to ty i tylko ty decydujesz, kiedy odłączyć prąd. Nikt inny.

Wysiedli z windy na trzecim piętrze, Frank pierwszy, Martin tuż za nim, zgarbiony i blady. Pielęgniarka zaprowadziła ich do pokoju, w którym leżał Steve, i tam ich zostawiła. Martin jęknął ciężko na widok syna. „Synku, synku – powtarzał – co oni z tobą zrobili?” Steve był zakneblowany siatką przewodów i rurek, do ogolonej na łyso czaszki przymocowano mu elektrody. Wyglądało to tak, jakby przysłała się do niego wielka ośmiornica. Frank położył rękę na ramieniu Martina.

– Wiesz, to nie jest żadne życie – powiedział.

Martin odwrócił się gwałtownie i go odepchnął.

– Co ty tam wiesz? Skąd możesz wiedzieć, że to nie jest żadne życie? Jesteś jasnowidzem?

Martinowi zorganizowano możliwość nocowania w szpitalu. Frank nie był już potrzebny. Wrócił do Karmack. Nagle uświadomił sobie, że nie wie, gdzie teraz będzie tankował benzynę. Pojechał dalej, do Miller's Auto, zdjął pistolet dystrybutora, wcisnął dźwignię i napełnił bak. Tyle Steve powinien mu wybaczyć. Na wszelki wypadek obszedł warsztat i znalazł kanister, który też napełnił. Księżyc wgrzył się w niebo. Teraz to Steve'a nie było w domu.

Frank z czasem przekonał się, że czytanie starych sprawozdań jest przydatne. Mógł porównywać wypadki. Za dawnych dobrych czasów wypadki należały do innego sortu. Można było o nich mówić głośno. Wieśniak stracił palec w młyńskim kole. Robotnikowi kolejowemu zmiażdżyło stopę, kiedy poprawiali podkłady na torach. Murarz spadł z rusztowania i złamał rękę. To były wypadki w służbie dla kraju. W złych czasach wypadki stawały się nieeleganckie, brudne i niegodne. Złe czasy były wypadkiem same w sobie.

– Coś cię dręczy, Frank?

To spytała Blenda Johnson. Jedli razem lunch w jego biurze. Frank nie miał nic przeciwko temu. Lubił, kiedy przychodziła. Podobały mu się jej buty i niewyszukana fryzura. Podobały mu się jej sposób mówienia i kształty wypełniające całe krzesło, które ze sobą przyniosła, bo w pokoju Franka było tylko jedno, należące do niego. A teraz siedzieli tu we dwoje, każde nad swoją kanapką z indykiem.

– Nie, a co by to miało być?

Blenda szybkim ruchem wytarła różkiem serwetki odrobinę majonezu z kącika ust Franka. On się natychmiast cofnął. Czy to zaszło już tak daleko? Mogła tak robić bez pytania?

– Nie zdziwiłabym się, gdyby coś cię dręczyło – powiedziała. – Przy takiej pracy? Nie wszyscy by to wytrzymali.

Właśnie takich słów Frank lubił słuchać. Przywiązywał do nich dużą wagę. Szczególnie gdy padały z ust Blendy. Umiała go docenić. I rzeczywiście, coś go dręczyło. Co w zasadzie można uznać za wypadek? Czy kiedy ktoś kładzie się na torach i czeka na pociąg, to jest wypadek? Nie, wypadek nigdy nie jest zaplanowany. Do wypadku dochodzi nagle i bez ostrzeżenia. Wypadek nigdy nie trwa długo. Cios, który trafił Steve'a, to nie był żaden wypadek, ale uderzenie głową w szafę grającą już tak. Kiedy ojciec Franka spadł z drabiny, to był wypadek. Ale to, że się nadział na kosę? Czyżby ojca spotkały dwa wypadki za jednym zamachem? Nieszczęścia często chodzą parami. Lecz ile ich może nastąpić jedno za drugim, by przestało się je uważać za wypadek i uznało za zrządzenie losu?

– Steve – skłamał Frank – dużo o nim myślę.

– No tak, to okropne. A tak w ogóle to co z nim?

– Ojciec jest przy nim cały czas.

– Miło z jego strony.

– Steve nie wie, że on tam siedzi.

– Ale mimo wszystko. Szkoda by było, gdyby musiał tak ciągle leżeć sam.

Ale to nie Steve'a Frank miał głównie w myślach. Zajmowało go wszystko inne, z czym się stykał. No i może jednak miało to jakiś związek ze Steve'em. Bo czyż Blenda nie wystąpiła z wyrzutem, że Frank jest mniej dobrym człowiekiem niż Martin, który siedzi przy synu na okrągło przez całą dobę? To było niesprawiedliwe, było czymś więcej niż sugestią. Blenda właściwie powiedziała, że on, Frank Farrelli, zawiódł swojego kolegę Steve'a. Ale jeśli tak myślała, to Frank nie mógł spokojnie przyjmować tych bezpodstawnych oskarżeń.

– Czym właściwie jest wypadek? – spytał.

Blenda wybuchnęła śmiechem, ale zakrztusiła się i zaczęła kaszleć, aż twarz jej pociemniała. Frank kilka razy klepnął ją w plecy płaską dłonią, najpierw delikatnie, potem coraz mocniej, i nie mógł nic poradzić na to, że jednocześnie usiłował sobie przypomnieć, od jak dawna nie dotykał kobiety. Trudno było to nazwać pieszczotami, raczej udzielał pierwszej pomocy, ale przecież czuł ciepło na powierzchni dłoni za każdym razem, gdy dotykał cienkiej, nieco wilgotnej bluzki lepiącej się do jej skóry. No i wyczuwał haftki stanika. Blenda zdołała wreszcie wykrztusić coś, co upadło na podłogę i zniknęło. Doszła do siebie.

– Myślę, że do tego już z pewnością nie powinieneś się przyznawać przed Komitetem. Chodzi mi o to, że zastanawiasz się, czym jest wypadek.

– Mówię prawdę. Wyobraź sobie, że ktoś jest na tyle głupi, żeby wyprawić się na pustynię bez żadnych napojów i po dwóch dniach umiera. Czy to jest wypadek?

– Właściwie to nie. To przecież jego wina, skoro jest taki głupi.

– No właśnie. Właśnie o to mi chodzi. To jego wina. Ale jeśli potknie się o kamień, złamie nogę i nie będzie mógł wstać, to będzie wypadek, prawda?

Blenda musiała przyznać mu rację.

– Zabawnie się z tobą rozmawia – stwierdziła.

Nie wszyscy uważali rozmowę z Frankiem za zabawną. Nachylił się i poczuł, że Blenda przyjemnie pachnie.

– A gdybyś ty nie wykrztusiła tego kawałka?

– To była oliwka.

– Gdybyś nie wykrztusiła tej oliwki i się udusiła, czy to byłby wypadek?

– Teraz już się z tobą tak zabawnie nie rozmawia, Frank.

– Może wybralibyśmy się kogoś wieczoru coś zjeść?

Frank nie wierzył własnym uszom. Naprawdę zadał to pytanie? Zaprosił Blendę Johnson na miasto? Na szczęście zanim odpowiedziała, zadzwonił telefon. Pewna staruszka, Mrs. Ruth

Clintstone z Shovel Street, zapomniała wyłączyć kuchenkę i umarła, zatruty się dymem. Była wdową, ale miała syna, którego należało poinformować, Arthura Clintstone'a, pięćdziesięcioletniego bezrobotnego robotnika kolejowego, na ogół niezbyt przyjaźnie usposobionego, więc trzeba uważać. Frank dostał adres i pojechał tam, do jednego z ostatnich domów przy drodze na wschód, do zdiadziałej chałupy. Zaparkował i podszedł do drzwi kołyszających się na zawiasach, zapukał, ale nikt nie przyszedł i nie otworzył już otwartych drzwi.

– Mr. Arthur Clintstone! – zawołał Frank.

Nagle pojawiła się dwójka zasmarkanych dzieciaków i zaczęła ciągnąć go za nogawkę spodni. Musiał je odtrącić nogą, żeby nie zdarły z niego całego garnitur, ale natychmiast wróciły, jeszcze bardziej nachalne, i próbowały zniszczyć mu także buty. Wtedy pojawił się człowiek, który musiał być Arthurem Clintstone'em – opasły wielkolud, zaniedbany czort w podkoszulku bez rękawów. I rzeczywiście, ani trochę nie wyglądał na przyjaźnie nastawionego. Przepędził dręczycieli i wbił wzrok we Franka.

– Jeśli przylazłeś tu po nasze dzieciaki, to równie dobrze możesz nas wszystkich zastrzelić – oświadczył.

– Ależ oczywiście, nie przyszedłem...

Frankowi nie pozwolono dokończyć.

– A jak zabierzecie wózek widłowy, to za jednym zamachem możecie też rozwalić to, co zostało z tego domu.

Franka najbardziej zdziwiło, że ten mało pociągający mężczyzna mówił w sposób spokojny, niemal refleksyjny, który przydawał mu swoistej godności, głębokiej i rozpaczliwej.

– Pan Arthur Clintstone?

– A pan kim jest?

– Frank Farrelli. Niestety, przynoszę złe wieści.

– Widzę.

– Pańska matka nie żyje.

Arthur Clintstone bardziej się wychylił.

– Niech pan to powtórzy.

– Mrs. Ruth Clintstone wczoraj wieczorem, Niestety, zapomniała wyłączyć kuchenkę i zmarła w ciągu nocy. Rano znaleziono ją w łóżku.

– Jest pan pewien, że to ona?

– Jeżeli Mrs. Ruth Clintstone z Shovel Street cztery jest pańską matką, to owszem, jestem pewien.

Syn Mrs. Clintstone w milczeniu stał w progu. Podrapał się w tatuaż wijący się po ramieniu. Frank nie bardzo wiedział, co się teraz stanie. Czy facet się załamie, czy go przegoni? Ten moment był decydujący. Chodziło przecież o człowieka. Nie stało się ani jedno, ani drugie. Arthur Clintstone podskoczył aż do sufitu.

– Leslie! – zawył. – Leslie! Twoja teściowa wykitowała!

Ukazała się Leslie, zmęczona kobieta w samym szlafroku albo czymś podobnym.

– Co mówisz, kochany?

– Ruth nareszcie wykorkowała! Zatrwała się dymem. A wiesz, co to oznacza, Leslie Clintstone?

Najwyraźniej wiedziała, bo rzuciła się mężowi na szyję, a wkrótce znów pojawiły się dzieci i cała rodzina zaczęła świętować odejście Mrs. Clintstone, co w oczach Franka było raczej makabrycznym przedstawieniem. Musiał powtórzyć sobie to, co mówił Szeryf – że żałoba jest nieprzewidywalna. Potrafi również przejawiać się radością. A ta radość, której Frank był teraz świadkiem, wydawała się jak najbardziej szczerą i serdeczną, ci ludzie wcale jej nie ukrywali.

Byli przynajmniej uczciwi.

Arthur Clintstone odwrócił się do Franka.

– Wejdź na piwo, kolego!

– Prowadzę.

– Szkoda. Jak ci na nazwisko, Frank?

– Farrelli. Frank Farrelli.

Arthur Clintstone ujął jego dłoń w obie ręce.

– Franku Farrelli, jestem ci winien przysługę, nie zapominaj o tym.

Frank wreszcie zdołał się uwolnić. Wrócił do samochodu i odjechał. Mogli świętować tę śmierć bez jego udziału. Nie zamierzał też nigdy prosić Arthura Clintstone'a o przysługę. Ale coś zaniepokoiło go jeszcze bardziej. Clintstone powiedział: „widzę”. Czy naprawdę widać było po nim, że przynosi złe wiadomości? Jeżeli tak, to trzeba coś z tym zrobić. Musi wyglądać jak ktokolwiek – akwizytor, daleki krewny, nowy sąsiad albo po prostu obcy, który pyta o drogę. Dopiero później, powoli, ale stanowczo ujawni przyczynę swojej wizyty, zdradzi, że przynosi ze sobą śmierć, okaleczenia i choroby. Postanowił po powrocie do biura wszystko to odnotować. W zasadzie podobała mu się myśl, że pewnego dnia ktoś będzie studiował również jego sprawozdania.

Kiedy Frank skończył trzynaście lat, dostał od ojca złotą rybkę w szklanej wazie. Już od dawna chciał zwierzątko, ale miał wątpliwości, czy złota rybka nim jest. Ojciec, zdaje się, kupił ją tanio od pewnego domokrażcy, który w schowku na rękawiczki urządził akwarium. „No i nie będziesz musiał jej wyprowadzać na spacer”, żartował ojciec, który tej samej jesieni umarł w ogrodzie. To było nie do uwierzenia. Spadł z drabiny i nadział się na kosę, a Frank na to patrzył. Z czasem polubił rybkę i nazwał ją Mark Spitz, na cześć pływaka, który zdobył siedem złotych medali na olimpiadzie w Monachium w 1972 roku. Teraz Mark miał już prawie dwadzieścia dwa lata; dużo jak na złotą rybkę. Niewykluczone, że pobił jakiś rekord. I była to zasługa Franka. Nigdy nie zapominał nakarmić Marka ani oczyścić mu wazy. Twierdził, że Mark go poznaje, kiedy się nad nim nachyla i przyciska twarz do szkła. W każdym razie Mark podpływał i stukał w szkło od swojej strony. Matka Franka nie przepadała za rybką. Za bardzo przypominała jej męża, wszystko jedno, co to miało oznaczać.

Frank jechał do szpitala odwiedzić Steve'a. Właśnie dlatego akurat o tym myślał. Steve był na tamtych urodzinach, jako jedyny gość, bo urodziny Franka wypadały w połowie lata, a wtedy, jeszcze za dobrych czasów, większość kolegów w lipcu wyjeżdżała, właściwie wszyscy oprócz Steve'a i Franka, bo ich ojcowie uważali, że nie ma powodu opuszczać Karmack. Przecież mieli tu wszystko, w dodatku tylko dla siebie. Steve zresztą uważał, że złotą rybkę też można wyprowadzać na spacer. Wystarczy przywiązać jej sznurek do płetwy ogonowej i wpuścić do rzeki. Przy okazji Steve wymyślił nowy dowcip, który nigdy mu się nie znudził. „Z rybką się nie spaceruje, Frank, rybkę się woduje”. Zdaniem Franka był to całkiem niezły dowcip, dużo się razem z niego śmiali. Te wspomnienia go przygnębiły. Nad rzekę nadciągnęła mgła. Padał deszcz. Wycieraczki mogłyby też przejechać mu po oczach. Zaparkował za karetką, szybko wszedł do budynku i wjechał windą na trzecie piętro. Czy powinien coś przynieść? Ale co się przynosi człowiekowi, który leży w śpiączce? Zresztą teraz i tak było za późno, żeby się nad tym zastanawiać. Kiedy wysiadł z windy, usłyszał muzykę. Podszedł do sali, w której leżał Steve. To stamtąd dochodziła muzyka. Rozpoznał melodię: B12. *Blue Skies*. Wszedł do środka. Martin siedział przy łóżku syna, na szafce nocnej stał gramofon. Frank zaczekał, aż igła zadrapie wewnętrzne rowki płyty i wyda z siebie skargę, jakby to Ella Fitzgerald wykastywała ostatni ton.

– On nic nie słyszy – stwierdził Frank.

Martin zauważył go dopiero teraz.

- Co ty możesz o tym wiedzieć?
- Spójrz tylko na niego. Wygląda tak, jakby się dobrze bawił?

Steve'owi od ostatniej wizyty Franka napuchła twarz, dłonie także zrobiły się dwa razy większe niż wcześniej. Był nie do rozpoznania. Frank usiadł na drugim krześle, jeszcze bardziej przygnębiony. To jego dzieciństwo leżało tu i gniło.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? – powtórzył ojciec.
- O Boże! Spójrz prawdzie w oczy, Martin! Steve'a już nie ma. Nie przypuszczałem, że okażesz się na tyle głupi, żeby się oszukiwać.

– Dziś rano drgnęła mu lewa powieka. Przysięgam.

– Tylko dlatego, że martwe ciało puchnie.

Martin pogroził mu zaciśniętą pięścią.

– A może coś w nim, w środku, jeszcze czuje?

– Tam, w środku, nic nie ma, Martin. Równie dobrze możesz wyciągnąć korek.

– Wyciągnąć korek? Co ty, do cholery, wygadujesz?

– Odłączyć prąd. Pozwolić synowi odpłynąć, tak jak tej żaglówce.

Martin znów nastawił *Blue Skies*. Pokój wypełniła Ella z orkiestrą. W tej muzyce świeciło słońce, nie takie palące jak na pustyni, tylko refleksyjne, powolne słońce, a trąbka była promieniami padającymi niczym deszcz. Frank czuł się przybity i zrezygowany. Tyle bezsensu naraz. Gdyby ktoś odłączył Steve'a od tego świata, bezsensu byłoby troszkę mniej. Nie lepiej byłoby mieć grób, na który można chodzić, niż siedzieć tutaj? Nagle w pokoju zapadła cisza.

– Widziałeś? – szepnął Martin.

– Co?

– On to znów zrobił. Uniósł powiekę. Zobacz.

Frank wstał i podszedł bliżej łóżka. Przyszła mu do głowy dziwna myśl. Czy tamten biały żagiel, który widzieli na rzece, to była dusza Steve'a, która ich opuszczała?

– Widziałem, Martin. Uniósł powiekę.

Blenda Johnson się zgodziła. W ostatnią sobotę października spotkali się przy Smith's Diner, jednej z ostatnich wciąż czynnych restauracji w Karmack. Weszli i usiedli w wolnym boksie. Mogli usiąść gdziekolwiek, bo wszystkie stoliki były wolne. Frankowi w zasadzie to odpowiadało. Gdyby to spotkanie okazało się niewypałem, to przynajmniej nikt tego nie zobaczy, z wyjątkiem kelnerki, Sally Smith, która stała za kontuarem od lat i chyba wszystko już widziała po wielokroć. Podeszła do nich, położyła na stole dwie karty i wyjaśniła, że nie ma antrykotu, steków z kością ani befsztyków. W zeszłym tygodniu rzeźnik musiał zamknąć sklep i prawdziwe mięso było już nie do zdobycia. Czy przynieść im coś do picia, zanim się zdecydują? Blenda miała ochotę na czerwone wino, Frank wolałby piwo, ale też zamówił wino. Kiedy kelnerka wróciła z kieliszkami, już ustalili, co zjedzą. Dwa razy pieczony kurczak z frytkami, ale Blenda w ostatniej chwili zmieniła zdanie i wzięła rybę dnia, którą był wczorajszy moron. Stwierdziła, że nudno jest zamawiać to samo, a tak będą mogli spróbować nawzajem swojego jedzenia. Frank żałował, że nie zamówił piwa, albo jeszcze lepiej napoju Canada Dry, na wypadek gdyby coś się wydarzyło i musiał jechać. Wypili. Niewiele rozmawiali. Dopiero kiedy kelnerka przyniosła im jedzenie, mieli przynajmniej o czym mówić, ale o jedzeniu też niezbyt dużo dało się powiedzieć. Blenda poprosiła o kolejny kieliszek wina. Spytała, czy nie powinni raczej zamówić od razu całej butelki, żeby Sally nie musiała tak ciągle chodzić? Możemy, zgodził się Frank. Blenda ubrała się elegancko, w obcisłą bordową bluzkę, włożyła też sznurek pereł. Wyglądała naprawdę ładnie. Frank się zawstydził. W ogóle bowiem nie pomyślał o stroju, włożył po prostu koszulę i zwykłą kurtkę. Do pracy ubierał się lepiej. Zdążył zapomnieć, jak to jest wychodzić gdzieś z dziewczyną, zresztą z niewieloma mu się to zdarzyło.

– Dobry? – spytała Blenda.

Roześmiała się. Lubiła się śmiać. Właśnie w tym śmiechu zakochał się Frank.

– Kurczak, Frank. Ten, którego masz przed sobą na talerzu.

Frank także się roześmiał.

– Pewnie. Dobry. A twój? To znaczy twoja ryba?

– Bardzo dobra. Łowią je przy młynach. To okoń morski.

– Wiem. Okoń morski. Bywają naprawdę wielkie.

– Przypływają z morza, a potem do niego wracają.

– Żeby się rozmnażać?

– Nie, tak robią łososie.

Jedli dalej, a Frank myślał o Henrym Stoucie i jego synu. Szczerze się cieszył, że nie zamówił morona, tego żarłocznego okonia morskiego. Uważał, że nie wypada, chociaż nie bardzo rozumiał dlaczego. Już miał powiedzieć, że jego ojciec nazywał tego potwora rybą z wraków i że wcale tego nie wymyślił, bo okoń morski należy do wrakoni, które lubią przebywać we wrakach zatopionych statków, ale znów pomyślał o rodzinie Stoutów, zwłaszcza o Mrs. Stout, wdowie, chociaż wizyty u niej nie dało się porównać do spotkania z Blendą. Dlaczego jednak rozmowa się urwała? Frank szukał jakiegoś tematu, ale nic nie wymyślił. Przecież nie mógł pleść, co mu ślina na język przyniesie. Nagle wszystko wydało mu się objęte tajemnicą. Dlaczego o wiele łatwiej rozmawiało im się u niego w biurze? Czy nie powinno być odwrotnie? Nie, bo w biurze mógł w każdej chwili poprosić ją, żeby wyszła, i zamknąć drzwi. Tutaj nie miał żadnych praw. Był uwięziony. Możliwe, że będzie musiał zostać aż do zamknięcia lokalu. I co wtedy? Tak, tak, Frank się cieszył, że są sami i nikt nie widzi jego bezradności.

Blenda przesunęła swój talerz w jego stronę.

– Chcesz spróbować?

Nie chciał. Nie jadał ryb. Powinien ją o tym uprzedzić. Że nigdy nie jada ryb. Nie że ich nie lubi, bardziej chodzi o zasadę. A już na pewno że nie jada tej ryby.

– Ładnie ci w tej bluzce – powiedział.

– Miło z twojej strony, że tak mówisz. Jeśli naprawdę tak uważasz.

– Oczywiście, że tak uważam. I w perełkach też.

Blenda przysunęła swój talerz jeszcze bliżej. Frank wziął kawałeczek szarego rybiego mięsa. Zaczął je żuć na siłę i poczuł, jak kolejne ości wbijają mu się między zęby. Niewiarygodne, że tyle ości może się zmieścić w takim kawałeczku. Więcej tu ości niż mięsa. Blenda kazała mu otworzyć usta i wyciągnęła ość, potem drugą i jeszcze jedną; siedział z rozdziawioną gębą, a ona prawie czyściła mu zęby. Potem Frank podsunął jej swojego kurczaka.

– Chcesz spróbować?

– Nie, dziękuję.

Znów upili nieco wina i dokończyli kolację. Frank przeprosił i wyszedł do toalety. Tam wymiotował. Kiedy wrócił, na stoliku stał dla niego milkshake. Blenda nachylała się nad swoją szklanką i w dwóch palcach trzymała słomkę.

– Milkshake i czerwone wino – skomentował Frank. – Nigdy wcześniej tego nie próbowałem.

– Kiedyś musi być pierwszy raz, prawda?

– Wydawało mi się, że jestem już na to za stary.

– Na co?

– Na to, żeby coś zrobić pierwszy raz.

Blenda dotknęła jego ręki.

– Daj spokój, nie jesteś jeszcze taki stary.

Roześmiali się, potem znów rozmowa się urwała. Sally nachyliła się nad ladą i zaczęła nucić jakąś melodię. Frank dopiero po pewnym czasie zorientował się, co to jest. B12. Blenda przysunęła rękę do kieliszka.

– Każdy człowiek ma swoją żalobę – powiedział ni stąd, ni zowąd, nie mając pojęcia, dlaczego mówi właśnie to.

Blenda nakryła ręką jego dłoń.

– To prawda.

– Czy ty po mnie widzisz, że przynoszę złe wiadomości?

– Kiedy jesteś w pracy, to przynosisz złe wiadomości. Teraz tego nie widzę.

– Może rzeczywiście tak jest.

– Miło się z tobą rozmawia, Frank. Ale ja nie chcę mieć męża, który przynosi pracę do domu.

To go zaskoczyło. Czyżby już była pewna swego? Tylko dlatego, że zaprosił ją do restauracji? Siedzieli tu i już stali się parą? Bo ona o tym zdecydowała? Chyba nie tak powinno się to odbywać.

– Z tobą też – powiedział.

– Ze mną też?

– Z tobą też się miło rozmawia.

Sally przyniosła kawę i przysiadła się do nich. Kawa była na koszt firmy. Blenda zapaliła papierosa. Zapadła cisza. Słyszeli jedynie szum wentylatora obracającego się coraz wolniej w głębi lokalu. Ulice były puste, nawet żaden pies nie kręcił się po rynsztokach.

– Dlaczego Bill zamknął sklep? – spytała Blenda.

– Zaciął się w palec i coś się tam porobiło. Zapalenie czy zakażenie krwi.

Chwilę milczeli. Frank znów szukał jakiegoś tematu do rozmowy.

– Wiecie, co powiedział Armstrong, kiedy stanął na Księżycu?

– Wielki krok dla ludzkości – odparła Blenda.

– Teraz to tylko nas nie ma w domu – powiedziała Sally.

Panie się roześmiały, a Frank – zawstydził. Siedział tu i opowiadał stare dowcipy, dowcipy Steve'a.

– Mniej więcej – mruknął.

– A co tam z nim?

– Z kim?

– Ze Steve'em. Steve'em Millerem. Tym od dowcipów.

– Leży.

– Myślisz, że się ocknie?

– Skoro nie wie tego Doktor, to nie mogę wiedzieć i ja. Ale jeśli chcesz znać moje zdanie, to uważam, że nie. Chociaż staram się być przy nim bez względu na wszystko.

– Nie ma nawet nadziei?

– Jego ojciec ma nadzieję. Dlatego siedzi tam na okrągło bez żadnego pożytku.

– Może on ma z tego jakiś pożytek? Mam na myśli Martina.

Blenda przyznała Sally Smith rację.

– Nie nam osądzać.

Frank się zezłościł. Nie mógł sam tego powiedzieć?

– Ja nikogo nie osądzam, mówię tylko, że ktoś równie dobrze mógłby mu odciąć prąd. Im szybciej, tym lepiej.

Sally dołała mu kawy.

– A kto miałby to zrobić? Martin?
– Nie. Tego trzeba mu oszczędzić. Ja mógłbym to zrobić. Dla Steve’a. Takie leżenie to żadne życie.
– A uważasz, że to jest życie?
– Co?
– Uważasz, że tu, w Karmack, jest jakieś życie? I co? Masz ochotę odciąć prąd nam wszystkim?

Frank długo mieszkał w filizance, bo czuł się niesprawiedliwie potraktowany.

– Nie o to mi chodziło – powiedział.
– Wiem. Mnie właściwie też nie.
– On tu często przychodził, prawda? Steve.

Sally Smith, ostatnia kelnerka, troszeczkę popłakała, a w ostrym świetle jarzeniówek na suficie i neonu nad barem jej łzy przypominały piasek.

A ktoś tu nie przychodził? Skończyło się na tym, że Frank odprowadził Blendę do domu. Księżyc był błękitny. Zatrzymali się i przez chwilę na niego patrzyli. A potem Blenda zaprosiła Franka do siebie. Mieszkała nad nieczynnym kinem Majestic. Z jej sypialni Frank mógł patrzeć na Karmack Grand Hotel, w którym jego matka pracowała jako pokojówka, dopóki hotelu nie zamknięto siedem lat temu. W którymś momencie nocy wydawało mu się, że słyszy gwizd pociągu, złowrogi, przeciągły i ciężki, ale znów zasnął. Pierwszą rzeczą, którą ujrzał, gdy się obudził następnego dnia rano, były plecy Blendy. Nigdy dotąd nie budził się w cudzym łóżku. Uświadomił sobie, że się zakochał. Frank Farrelli był zakochany. Zawstydział się; facet w jego wieku zakochany? Człowiek zakochiwał się mimowolnie, kiedy chodził do szkoły, kiedy jeszcze był niedojrzały i otwarty. Tak, zwyczajnie się zawstydział. Mniej więcej tak samo jak wstydział się, kiedy zdarzało mu się zaskoczyć całujących się rodziców, na przykład w kuchni w sobotnie popołudnie. Rzadko się całowali i tym bardziej wszyscy się tego wstydzili. Ojciec kłął pod nosem, przyciągał do siebie brudne ręce i maszerował do chevroleta czy w inne miejsce, gdzie mógł liczyć na spokój od natrętnych chłopców i rozżłoszczonych bab. Teraz Frank Farrelli bez ostrzeżenia zaskoczył sam siebie. Kiedy się to stało? W ciągu nocy? Delikatnie położył rękę na ramieniu Blendy ze świadomością, że teraz i on ma coś, co może stracić.

Frank wyszedł, zanim Blenda się obudziła. Padało. Deszcz był przyjemny. Wciąż jeszcze nikt nie pojawił się na ulicy, jeżeli w ogóle komuś będzie chciało się wychodzić. Frankowi to odpowiadało. Ale na Union Avenue nie było już spokoju. O mało nie wpadł na Pastora, który przechodził na drugą stronę w kierunku kościoła. Frank w ostatniej chwili się ukrył. Nie miał siły znów wysłuchiwać gadania o chusteczce. Poza tym wolał, żeby nikt go nie widział w drodze do domu w niedzielny poranek, chociaż nikomu nic do tego, dokąd i kiedy szedł. Już myślał, że ma wolną drogę, gdy natknął się na Szeryfa. Zatrzymali się i spojrzeli na siebie.

– Ranny ptaszek – stwierdził Szeryf.
– Pan też. I Pastor.
– No tak. Potrzeba nam soczystych kazań. Słyszałeś w nocy gwizd lokomotywy?
– Nie, nie słyszałem – skłamał Frank, nie bardzo wiedząc dlaczego.
Szeryfa przeszedł dreszcz.
– Mam złe przeczucie – oświadczył. – Cholernie złe przeczucie.

Ruszył dalej do Ratusza. Frank poszedł do domu. Matka czekała na niego w kuchni. Być może nie kładła się przez całą noc. To prawdopodobne. W każdym razie sprawiała wrażenie gotowej do kłótni, gdy tak siedziała, ściskając w ręku filizankę z kawą. Frank wyminął ją, poszedł do Marka. Wyniósł szklaną wazę do łazienki, zmienił wodę i nasypał pokarmu. Potem nachylił się, przycisnął nos do szkła, a Mark od razu podpłynął i szturchnął szkło od swojej

strony, tak jak zawsze.

– Nie przywitasz się z matką? – zawołała matka.

– Przywitam.

– Bardziej cię obchodzi ta ryba niż ja.

Frank wrócił do kuchni i usiadł.

– Nie ma kawy?

– Gdzie byłeś?

– Nie twoja sprawa.

– Czekałam na ciebie całą noc.

– Niepotrzebnie.

– Mogłeś przynajmniej zadzwonić. Nie spałam ani chwili.

– No to pewnie słyszałaś gwizd lokomotywy? A może to był grzmot. Jak myślisz?

– Niczego nie słyszałam.

Frank się roześmiał.

– A więc jednak spałaś. Bo tego gwizdu nie dało się nie usłyszeć.

– Może trochę się zdrzemnęłam. Ale tak się o ciebie bałam, Frank.

– Niepotrzebnie. Nie musiałaś się bać.

– Ale się bałam. Przy wszystkich tych wypadkach i...

Matka zasłoniła twarz rękami, Frank uznał, że teraz już naprawdę trochę przesadza.

Westchnął głośno i wyraźnie.

– Jedliśmy wczoraj w Smith's Diner. Sally ciągle dobrze gotuje.

– My? To znaczy kto?

– A jak myślisz?

– Ja już nie wiem, z kim ty się spotykasz.

– Z Blendą Johnson.

Matka opuściła ręce i popatrzyła na syna.

– Z twoją sekretarką?

– Owszem. Ona we wszystkim mi pomaga.

Matka przez chwilę milczała zamysłona. W końcu wstała, przyniosła dzbanek i naląła Frankowi kawy.

– Nie mogłeś przynajmniej włożyć czegoś innego niż ta koszula?

Zadzwonił telefon. Czy to Blenda? Czy zamierzała na niego krzyknąć, zresztą słusznie?

Co miał na swoją obronę? Nic nie potrafił wykombinować. Nigdy wcześniej nie znalazł się w podobnej sytuacji. Najlepiej chyba stulić uszy i wyjaśnić, że nie miał nic złego na myśli, wymykając się, zanim się obudziła. Już wszystkiego żałował. Gdy tylko zaczyna ci na kimś zależeć, pakujesz się w kłopoty. Zakochanie to choroba wieku dziecięcego. Ale to nie Blenda telefonowała, tylko Pastor. Frank odetchnął z ulgą. Miał się stawić jak najszybciej. Coś się stało. Pastorowi drżał głos. Frank włożył garnitur, wziął jedną z chusteczek matki i pojechał do Ratusza. Pastora zastał w recepcji. Szeryf już pojechał na miejsce wypadku. Doktor był w szpitalu. Dwie dziewczyny, Veronica i Marion, osiemnastolatki, szły po torach i za piętnaście trzecia w nocy przejechał je nocny pociąg „Amtrak Superior”, dwanaście piętrowych wagonów żelastwa pędzących z prędkością dziewięćdziesięciu mil na godzinę. Skład ciągnął dziewczyny kilkaset metrów. Veronica poniosła śmierć na miejscu, Marion cudem przeżyła. Leżała teraz w śpiączce w szpitalu, ze śmiertelnie groźnymi obrażeniami. Obie były tak zmasakrowane, że ledwie dało się je rozpoznać. Maszynistę pociągu przesłuchano w Greenville, na najbliższej jeszcze czynnej stacji. Ale o nic nie można go było oskarżyć. Nikogo nie można było oskarżyć. Jeżeli w ogóle kogoś, to wyłącznie dziewczyny albo tych, którzy swego czasu zamknęli stację

w Karmack. Stara śpiewka: kto jest winny. Frank zastanawiał się jednak raczej nad tym, co skłoniło dziewczyny do maszerowania po torach dokładnie o godzinie drugiej czterdzieści pięć.

– Kogo powiadomimy najpierw? – spytał.

Pastor chodził tam i z powrotem, nie mógł ustać spokojnie.

– Rozdzielimy się.

– Przepraszam, że nie przyniosłem pańskiej chusteczki, ale...

Pastor zatrzymał się i przerwał mu:

– Chusteczka? Mamy inne rzeczy na głowie niż chusteczka, Farrelli! Zapomnij o niej teraz!

Frank poczuł się głęboko urażony. Nigdy więcej nie wspomni o tej przeklętej chusteczce, chociaż to Pastor stale powracał do tego tematu. Zaczynał być niezadowolony z tego dnia, który zaczął się tak niezwykle zaskakująco. Wychodząc, spotkał Blendę, którą również wezwano. Oboje się zatrzymali, puszczając Pastora przodem.

– Gdzie ty się podziałeś? – spytała.

– Sądziłem, że będziesz wołała obudzić się sama.

– Takie sprawiałam wrażenie? Że nie jesteś mile widziany? Że chciałabym, żebyś sobie poszedł?

– Nie, nie.

– A może ci się nie spodobałam? Dlatego?

Pastor stał na chodniku i niecierpliwie machał. Frank spuścił wzrok.

– Podobałaś mi się. Bardzo. Nie wiedziałem tylko, co mówić, kiedy się obudzisz.

– Nie musiałeś nic mówić, Frank. A teraz się pośpiesz. Miej to już za sobą.

Frank pojechał najpierw do rodziców Veroniki, mieszkających na samym końcu Union Avenue, w lepszej dzielnicy Karmack, która jednak swoje najlepsze dni również miała już za sobą, i tam wysadził Pastora. Życzyli sobie powodzenia, mimo wszystko. Pastor na koniec jeszcze go pouczył: „Bądź silny i gotowy”. Frank Farrelli był silny i gotowy. Nie bał się. Musiał przyznać, że się cieszył. Chociaż „cieszyć się” to złe określenie, mogło zostać źle zrozumiane. Ale nie mógł się już doczekać. Pojechał dalej do rodziny Marion pod nieodległy adres, na Grand Valley Street. Zaparkował przy wysokiej bramie, przecesał włosy, zdrapał kroplę błota z butów i jeszcze raz powtórzył imiona i nazwisko, Robert i Margareth Perkinsowie. On był sprzedawcą mebli, ona zaangażowała się w dobroczynność. Ani jeden, ani drugi interes nie kręcił się najlepiej. Kiedy nie ma się niczego w nadmiarze, trudno jest czynić dobro, a kiedy dom, w którym się mieszka, trzeba sprzedać, to nowe meble są zbędne. Drzwi otworzyły się na oścież, jeszcze zanim Frank do nich doszedł, i jakaś rozhisteryzowana kobieta zaczęła coś wykrzykiwać. Musiała to być matka dziewczyny, bez najmniejszych wątpliwości. Za nią stał mężczyzna; wydawał się spokojniejszy, ale to nie oznaczało, że był spokojny. To ci najspokojniejsi nagle wybuchają, niszcząc wszystko wokół siebie, i rzeczy, i ludzi.

– Znaleźliście ją? Znaleźliście Marion?

Frank nie powiedział nic, dopóki nie stanął tuż przed nimi. Uświadomił sobie, że tym razem nie wie, czy przynosi dobre, czy złe wiadomości. To zależało od punktu widzenia. W porównaniu z tą drugą dziewczyną, Veronicą, wiadomość była dobra, bo nic nie może mierzyć się ze śmiercią. Ale i co do tego stracił pewność. Czyż nie jest tak, że również śmierć może przynieść ulgę, kiedy staje się faktem i zastępuje zardzewiałą, a z czasem nieznośną nadzieję? Pomyślał o Martinie czuwającym przy Steve'ie. Jak długo w ogóle można mieć nadzieję? W końcu myśl o tym, że inni mają gorzej, przestaje być pociechą. Frank zrezygnował ze zgłębiania tego problemu do samego dna.

– Nazywam się Frank Farrelli. Państwo Perkinsowie?

- Tak, to my.
- Możemy wejść do środka?
- Znaleźliście Marion?

Mężczyzna położył rękę na ramieniu żony.

- Chodźmy do salonu, tak będzie lepiej.

Zaprowadzili tam Franka. Mężczyzna usiadł na kanapie. Jego żona stała, cały czas niespokojnie, i usta jej się nie zamykały. Najwyraźniej nie tolerowała ciszy. Frank pozwolił jej mówić, sam w tym czasie próbował stworzyć sobie obraz rodziny Perkinsów. To było proste. Najprawdopodobniej nie znosili się nawzajem.

– Ona nigdy wcześniej nie zniknęła w taki sposób! Zawsze punktualnie wracała do domu. Zawsze. To porządna dziewczyna. Ona...

- Margareth! Pozwól Farrellemu...

– W przyszłym roku idzie do college'u. Gdyby nie ta Veronica, z nią zawsze coś jest nie tak, ma zły wpływ na naszą córkę. Nigdy nie lubiłam tej dziewczyny. Jest...

Mr. Perkins wstał zmęczony i bliski wybuchu.

– Nie możesz chociaż raz się zamknąć? Mówisz o córce naszych przyjaciół! To najlepsza przyjaciółka Marion, a o nią teraz chodzi.

Zapadła kompletna cisza. Mrs. Perkins zakryła ręką usta, jakby chciała powstrzymać potok słów, a może dlatego, że mąż odezwał się do niej ostro, co pewnie rzadko się zdarzało. Tego już było dla niej za dużo. Rozpłakała się.

- I pozwolisz panu Farrellemu dojść do słowa. W porządku?

Wszyscy troje usiedli. Frank się nie spieszył.

- Znaleziono je – powiedział.

Mrs. Perkins upuściła chusteczkę na podłogę.

– Dzięki Bogu! Dobry Boże, bardzo ci dziękuję! Nie będę się na nią gniewać, obiecuję! Nie będę się złościć...

Mr. Perkins wstrzymywał się jednak z okazywaniem radości.

- Gdzie je znaleziono? – spytał.

– Przy torach.

- Przy torach? A co one tam robiły?

Nie uświadamiali sobie, co się mogło wydarzyć. Nie dlatego, że byli głupi, tylko dlatego, że rzeczy nie do pomyślenia najczęściej nie przychodzą na myśl. Przejmowali się powszedniością, tym, co prawdopodobne, nieposłuszną córką, złą koleżanką, tym, gdzie ona się zapuściła, wszystkim, co da się wygładzić, uporządkować, zdarzeniami, które idą w niepamięć albo z których za jakiś czas można będzie się śmiać. Margareth Perkins zwróciła się do męża niemal z triumfem w głosie:

– To Veronica ją tam zaciągnęła! Wiedziałam! Marion nigdy nie poszłaby tam z własnej woli! Nigdy! Gdzie ona jest? Dlaczego jej tu nie ma? Co się stało?

Frank wstrzymał się z mówieniem czegokolwiek, dopóki ciszy w salonie nie zakłócał już żaden dźwięk.

- Przejechał je pociąg.

Mr. Perkins pochylił się tak, jakby się złamał w pół.

– Pociąg? Przecież wtedy przejeżdża tylko jeden jedyny pociąg, a one akurat wtedy szły po torach?

O tym samym myślał wcześniej Frank. Wszyscy wiedzieli, że jedyny pociąg przejeżdża o drugiej czterdzieści pięć.

- Tak. O drugiej czterdzieści pięć.

– I co? Jak to się skończyło?

Mężczyzna był albo głupi, albo religijny. Co on sobie wyobrażał? Nie pojmował, jak się kończy uderzenie amtraka w dwie dziewczyny, trzystu ton w zetknięciu z cienką skórą i kruchymi kośćmi? Nierówne szanse. Mimo to niektórzy wierzą w cuda i może rzeczywiście cudem było to, że ich córka Marion przeżyła zderzenie. Frank to rozumiał.

– Pociąg zawlókł je aż na drugą stronę stacji. Veronica Mills najprawdopodobniej zginęła na miejscu.

– A Marion? Co z naszą Marion?

Mrs. Perkins mówiła cicho. Siedziała sztywna na kanapie i rozpadała się w pył. Kruszała na oczach Franka, a pierwszym elementem zmiecionym przez wiatr strachu był jej głos. Frank wstał i podszedł do okna. Po niebie sunęło kilka chmur, prawie żółtych, przypominających płatki złuszczonej farby. Wyobraził to sobie. Wagony wyłaniające się z ciemności, nagle znajdujące się tuż-tuż, i kompletną ciszę, jakby noc wchłaniała w siebie wszystkie dźwięki, światło tak ostre, że nic nie można zobaczyć, dziewczyny wciągane pod lokomotywę, mielone między żelazem a podkładami, ciągnięte obok nieczynnego budynku stacji o nazwie Karmack. Jak szybko przychodzi śmierć, pomyślał Frank. Ktoś za jego plecami uderzył w stół, prawdopodobnie ojciec dziewczyny. Teraz to matka nie odzywała się ani słowem. Czy ludzie nie wiedzą, że żałoba również jest darem? Dlaczego jej tak nie traktują? Żałoba sprawia, że stajesz się kimś szczególnym. Żałoba cię wybiera. A wielka żałoba połączona z bólem daje wolność. Przestajesz być odpowiedzialny. Jesteś zwolniony z obowiązków.

Frank usłyszał, że Mr. Perkins wstaje.

– Trudno powiedzieć – odparł Frank.

– Trudno? Panu jest trudno? Czy ona żyje? Nie może pan, do cholery, wydusić tego z siebie? Czy nasza córka żyje? Niech pan odpowiada, do diabła!

Frank odwrócił się do nich.

– Marion żyje.

Mrs. Perkins również wstała. Mąż musiał ją podtrzymać. Być może obejmowali się tak po raz pierwszy od wielu lat. Może nie pamiętali, kiedy ostatnio im się to zdarzyło. Może zaraz po narodzinach Marion. Trzeba było żałoby, bólu i ulgi do tego, by znów się objęli. Frank ich nie lubił.

– Marion żyje – powtórzył.

– Dzięki i chwała Bogu!

Wymówili to równocześnie. Dzięki Bogu. Mówili jednym głosem. Dzięki i chwała Bogu. Frank lubił ich jeszcze mniej. Komu dziękowali? Kogo chwalili? Sypali bezsensownymi słowami.

– Została jednak, jak państwo na pewno rozumieją, ciężko ranna. Bardzo ciężko ranna. Leży w śpiączce. W Saint Mary's Hospital.

Mrs. Perkins wyrwała się mężowi.

– Ale się obudzi, prawda? Marion się obudzi?

Pojechali do Saint Mary's Hospital. Frank myślał o Steve'ie. Czy wystarczy nadziei dla wszystkich? Czy też może Martin czuwający przy synu dniem i nocą zużył jej większość? Frank nigdy wcześniej nie rozmyślał o takich sprawach. Czy podobnie jest z wypadkami? Czy wkrótce opróżni się pula wypadków, z której można czerpać?

Nie, Bóg, czy kto tam decyduje, okazał większą szczodrość przy rozdawaniu wypadków niż nadziei.

Przyjął ich Doktor.

– Nie jesteś już potrzebny – oświadczył Frankowi.

Doktor i państwo Perkinsowie zniknęli za rogiem, a Frank musiał zostać na korytarzu. Czuł się oszukany. Najchętniej towarzyszyłby małżonkom do samego końca. A na końcu była Marion, córka, która jeszcze żyła. Ruszył w stronę windy, powoli, na wypadek gdyby Doktor zmienił zdanie i mimo wszystko chciał, żeby się do nich przyłączył. Najwyraźniej nie chciał. Frank równie dobrze mógł wracać do domu. Już go nie potrzebowali. Taka była ich wdzięczność. Nagle jednak znów usłyszał B12, *Blue Skies*, i ruszył w stronę sali Steve'a. Zanim tam dotarł, usłyszał coś innego. Ktoś go wołał po imieniu. Drzwi do jednej z sal były otwarte. Leżał w niej Bill McQuire, rzeźnik. Frank wszedł do środka. Bill uniósł z kołdry lewą rękę. Frank nie bardzo wiedział, czy to powitanie, czy też Bill chce mu po prostu pokazać swoje obrażenia. Miał obandażowane całe ramię. Reszta też nie wyglądała zbyt dobrze.

– Nie spodziewałem się twoich odwiedzin – powiedział Bill.

– Jak leci?

– Jak leci? W najlepszym razie będą musieli amputować palce, w najgorszym całą rękę. Dla mnie, do cholery, wychodzi na jedno.

– Z takiej małej ranki?

– Można umrzeć od ukąszenia komara. W ranę wdało się zakażenie.

– W każdym razie steki smakowały znakomicie.

– Przynajmniej tyle pociechy.

– Masz tę chusteczkę?

– Jaką chusteczkę?

– Tę, którą ode mnie pożyczyłeś, Bill. Wtedy, kiedy źle wymierzyłeś toporkiem.

Bill McQuire spojrzał na niego pociemniałymi oczami.

– To dlatego przyszedłeś? Po jakąś pieprzoną chusteczkę?

– Nie była moja, tylko Pastora. To on ją chce z powrotem.

– Cholera, jesteś niemożliwy, Farrelli! Jak możesz tu przychodzić i pieprzyć o chusteczce, kiedy ja tu leżę i gniję!

– Nie możesz po prostu powiedzieć, gdzie jest?

– A skąd mam, do cholery, wiedzieć? Może ją wyrzuciłem. Może wsadziłem do maszynki do mielenia. Może pies ją zżarł. Spytaj moją żonę.

– Powinieneś być mnie posłuchać, Bill.

– Posłuchać?

– Mówiłem, że mogę sprowadzić pomoc. Wtedy by cię to nie spotkało.

Bill McQuire próbował unieść się na łóżku, ale w końcu się poddał.

– Niech cię cholera, Farrelli! Spadaj stąd i zamknij drzwi!

Frank już chciał iść, nie miał tu nic do roboty.

– Właściwie przyszedłem w odwiedziny do Steve'a.

– W takim razie możesz mi przynajmniej wyświadczyć przysługę po całym tym bagnie, które od ciebie się zaczęło. Poproś, żeby przestali puszczać tę płytę. Dłużej tego, do cholery, nie wytrzymam.

– Nie pozwalasz, żeby Martin puszczał trochę muzyki synowi?

– Trochę? Ja już nie mam na to siły, do diabła! Czy on nie mógłby przynajmniej od czasu do czasu przełożyć płyty na drugą stronę?

– Wstawię się za tobą, Bill.

Frank poszedł dalej do sali Steve'a i delikatnie pchnął drzwi. Martin spał na krześle. *Blue Skies* obracała się na ostatniej zwrotce. Piosenka wydawała się tutaj bardzo nie na miejscu. W tym pokoju wszystko znieruchomiało. Wszystko się skończyło. Piosenka tęskniła za innymi miejscami, za innymi przestrzeniami. A do Steve'a ewangelia szlagieru już nie docierała. Frank

delikatnie podniósł ramię gramofonu i odwrócił się w stronę łóżka. Tu leży mój kumpel, pomyślał. Jedyne kumpel, jakiego miałem. Wzruszony, nagle poczuł wdzięczność. Po co komu wspomnienia, kiedy nie ma z kim się nimi dzielić? Zaczynają wtedy znikać, blaknąć i rozwiewają się jak dym. Martin się ocknął.

– Długo tak stoisz?
– Właśnie przyszedłem, Martin. Nie chciałem cię budzić.
– Następnym razem mnie obudź.
– W porządku. Następnym razem cię obudzę.
– Płaczesz, Frank?
– Nie, nie płaczę.
– Lepiej wygląda, prawda? – Martin wskazał na Steve’a.
– Nie. Wcale nie wygląda lepiej.
– Co powiedziałeś?
– Mówię, że wygląda gorzej, Martin.
– Chyba wiem, jak jest. To ja tu siedzę codziennie i mogę to zauważyć. Steve wygląda lepiej!

– Właśnie dlatego, że siedzisz tu codziennie, wydaje ci się, że lepiej wygląda.
– Wiem, co widzę, Frank. Steve’owi poprawiło się nawet od wczoraj. Jego spojrzenie. Nie widzisz? On wie, że tu jesteśmy.

– Widzisz to, co chcesz zobaczyć. Marzysz. Steve wygląda strasznie.
– Niech cię szlag trafi, Franku Farrelli!
– Spójrz na niego, Martin. Zrobił się dwa razy większy, niż był, oczu nie widać, a głowę ma jak olbrzymia nadmuchana bańka.
– Ja widzę wyraźnie, że dochodzi do siebie!
– Skoro uważasz, że tak błyskawicznie zdrowieje, to spytaj go, jak mu się tak leży, kiedy wszyscy się na niego gapią.

– Wynoś się, Frank!
– Albo jak mu się słucha B12 na okrągło przez całą dobę.
– Słyszałeś, co powiedziałem. Wynoś się i więcej nie wracaj!
– Wyłącz go, Martin. Wyłącz Steve’a. On ma już dość.
Martin chwycił laskę i zamachnął się nią na Franka.
– Zostaw mnie w spokoju, nie chcę cię więcej widzieć!
– Dać ci dobrą radę, Martin? Spróbuj choć raz puścić stronę B. Może będzie mu od tego lepiej.

Frank trzasnął drzwiami. Był zbyt wzburzony, żeby wsiadać do windy, więc zszedł schodami, przeklinając w duchu. Przy samochodzie spotkał Szeryfa. W zasadzie nawet mu to pasowało. Aż go paliło w środku, żeby się z kimś podzielić swoją wiedzą.

– To nie był wypadek – oświadczył.
– O co ci chodzi?
– Te dziewczyny wiedziały, kiedy przejedzie pociąg, dlatego tamtędy szły. Po torach można chodzić całą dobę, z wyjątkiem drugiej czterdzieści pięć.

– Niech to szlag.
– To było samobójstwo. Nie wypadek.
Szeryf rozejrzał się i podszedł o krok bliżej.

– Ani pary z gęby na ten temat, Farrelli. Inaczej możemy mieć całą kolejkę idiotów, którym się wydaje, że odebranie sobie życia to coś fajnego.

– A co z maszynistą?

- Co ma być?
- On by się chętnie o tym dowiedział. Że to nie jego wina, że dziewczyny...
- Nie myśl już o tym, Farrelli. Jasne? Nikt nie jest winny.
- Aha. Skoro pan tak mówi. Nikt nie jest winny.

Szeryf położył mu rękę na ramieniu.

- Wiesz co, Farrelli? Czasami wolałbym, żebyś w ogóle nie myślał.

Frank po powrocie do domu zastał cztery świeżo wyprasowane koszule. Trzy niebieskie i jedną białą.

Frank i Blenda dalej chodzili do Smith's Diner. Zwykle to on ją tam zapraszał, lecz równie często ona przebąkiwała, że znów mogliby się gdzieś razem wybrać, w każdym razie nie miała nic przeciwko temu. Frank także. W ten sposób byli zgodni i żadne nie musiało czuć się zakłopotane. Poza tym w Smith's Diner nie było innych gości oprócz nich, więc pójście gdzie indziej byłoby niemądre. No i przecież innych miejsc nie było, z wyjątkiem Railway Rest, a żadne z nich nie przepadało za tym lokalem. Zaczęli mieć wspólne zwyczaje. Frank pił piwo, Blenda natomiast wolała wino. Potem Sally podawała im kawę na rachunek firmy, przysiadła się do nich i przekazywała najświeższe nowinki, chociaż w Karmack najświeższe nowinki były z reguły stare, ale przez to wcale nie słuchało się ich z mniejszym zainteresowaniem. Rozmawiali o dobrych czasach, które wydawały się coraz odleglejsze, jakby ktoś po prostu je wymyślił, jakby tylko przyśniły się mieszkańcom miasta. Kiedy wchodzili na temat wypadków, szczególnie tych dziewczyn, które wędrowały po torach, Frank mądrze się zamykał, chociaż korciło go, by powiedzieć, co wiedział. Że to nie mógł być wypadek. Paliło go to w środku. Poza tym pamiętał, jak Blenda pierwszego wieczoru powiedziała, że nie chce męża, który przynosi pracę do domu, a domyślał się, że dotyczy to również Smith's Diner. Blenda nie obowiązywała tajemnica i swobodnie opowiadała o ludziach, którzy dzwonili do Ratusza ze skargami na wszystko między niebem a ziemią: na to, że z kranu cieknie brunatna woda, na latarnie, które się nie zapalają – przy czym na ciemne ulice narzekali szczególnie ci, którzy wieczorem nie wystawiali nosa za próg. „Niech to zrozumie ten, kto potrafi”, mawiała Blenda. Ludzie narzekali nawet na kolej. Kiedy pociąg, który już się tu nie zatrzymywał, spóźniał się o minutę albo dwie, dzwonili do Ratusza i żądali wyjaśnień. Frank wyobrażał ich sobie, tych przeklętych kłótników śledzących, czy pociąg, który już nie jeździł, jeździ zgodnie z rozkładem. Co za bagno! I myślał, że gdyby ten przeklęty pociąg, przez który ludzie w Karmack czuli się jeszcze bardziej opuszczeni, nie jechał zgodnie z rozkładem jazdy w tamtą niedawną noc, Marion byłaby przytomna, a Veronica by żyła. Spóźnienie może ocalić życie. Czy wszystko nie staje się przez to jeszcze bardziej bezsensowne?

- Położyłeś kwiaty przy torach? – spytała Blenda. – Tam gdzie te dziewczyny...

– Nie podoba mi się to.

– Co ci się nie podoba, Frank?

– Nie lubię, kiedy ludzie zdobią takie miejsca. Nie wiem. Wydaje mi się, że tak nie powinno być.

– Przecież groby na cmentarzu też zdobimy.

– To nie to samo. Dziewczyna nie została pochowana na torach. Poza tym po co wabić tam ludzi?

Blenda wyjęła papierosa, ale go nie zapalała.

– Jak one mogły być tak głupie, że szły po torach? Po ciemku! Po prostu tego nie pojmują. Przecież to były porządne dziewczyny, prawda?

– Ludzie robią mnóstwo rzeczy, których nie pojmujemy. Nawet jeśli są porządni.

– Ale nie wiedziały, że właśnie wtedy będzie przejeżdżał pociąg?

Frank się zawahał. To było bardzo trudne. Tak bardzo chciał to powiedzieć. W końcu nie

mógł się już dłużej powstrzymać:

– Może wiedziały – szepnął.

Blenda nachyliła się nad stolikiem i też zniżyła głos.

– Co wiedziały?

– Co wiedziały? Mówiłaś chyba, że nie chcesz męża, który przynosi pracę do domu?

– Jesteśmy teraz w Smith's Diner, Frank. Tutaj możesz to powiedzieć.

– Nie naciskaj, bardzo cię proszę.

Blenda zapaliła jednak papierosa i zaczęła puszczać kółka z dymu, które nabijały się na neonowe światło. Frank mieszał w filiżance z kawą. Sally stała przy ladzie i skreślała kolejne dania z karty.

– Chyba się nie kłóćcie, gołąbeczki? – spytała.

Blenda się roześmiała. Teraz to Frank nachylił się nad stołem.

– Być może one o tym wiedziały. I właśnie dlatego tamtędy szły.

Przerwało im czyjeś przyjście. To był Bob Spencer. Wyglądał okropnie. Blizny i pory w niezdrowej skórze otworzyły się, a oczy wydawały się wklejone między fałdy skóry. Przypominał parszywego kundla. Dobrze mu tak, pomyślał Frank. Niech ten dupek żałuje za każdym razem, kiedy przejrzy się w lustrze, jeżeli w ogóle ma na to odwagę. Ale co on, u diabła, tutaj robi? Nie miał własnej mordowni, w której mógł pić i sikać z innymi podobnymi sobie? Frank się zaniepokoił. Czyżby przyszedł tutaj, żeby dalej się awanturować? Jakby już nie dość nabruździł. Ale Bob Spencer ich wyminął. Usiadł w ostatnim boksie, nie zdejmując płaszcza, i zamówił kawę. Nikt się nie odzywał w czasie, gdy tam siedział. Na szczęście nie trwało to długo. Opróżnił filiżankę jednym haustem, położył na spodku kilka monet i wolnym krokiem ruszył z powrotem do drzwi. Tym razem zatrzymał się przed Frankiem. Patrzył jednak na Blendę.

– To pewnie ty załatwiłaś Farrellemu tę robotę.

– Przestań! – Blenda odwróciła głowę.

– Maczałaś w tym palce, prawda? Albo całą rękę.

– Przestań! – powtórzyła Blenda.

Bob Spencer wyszczerzył zęby w uśmiechu, a nie od takich rzeczy można stracić apetyt.

– Kiedyś znałaś się na żartach, Blendo. A tak w ogóle jak ci leci?

– Świetnie, Bob.

– Widzę. Dawno się nie widzieliśmy.

Blenda spojrzała na niego.

– Właśnie dlatego świetnie mi leci.

Bob na chwilę umilkł, stał tylko i się gapił, nie mając zamiaru wyjść. Frank nie wiedział, co jest gorsze. To, że Bob pobił Steve'a, czy też że Blendę najwyraźniej coś z nim łączyło. Sally stała w gotowości przy ladzie, na wypadek gdyby Bob stracił panowanie nad sobą, a jej mało kto miał odwagę podskoczyć. Bob wolnym ruchem odwrócił się do Franka.

– A Steve? – spytał.

Frank nie miał siły podnieść głowy. Wpatrywał się w swoje dłonie, którymi objął filiżankę.

– O co ci chodzi?

– Obudził się?

– Nie.

– Pomyślałem sobie, że go odwiedzę. To chyba okropne tak tylko leżeć samemu.

– Ojciec jest przy nim przez cały czas. Niepotrzebne mu inne wizyty. Szczególnie twoje.

Bob Spencer wzruszył ramionami i przez moment wydawał się samotny i zawstydzony. Frankowi zrobiło się go prawie żal. Jednocześnie miał sobie za złe, że użala się nad takim

dupkiem.

– Wydaje mi się, że powinieneś już sobie iść – oświadczyła Blenda.

– Tak uważasz?

– Tak. Uważam, że powinieneś iść.

– Masz nową fryzurę.

– Ja?

– Wolałem, kiedy farbowałaś włosy. Zaczynasz siwieć.

– Przestań, Bob!

– I chyba przytyłaś.

Blenda nie odrywała od niego oczu.

– Jesteś niedobry.

Bob jeszcze raz spojrział na Franka, który już przestał go żałować. Nie spodobała mu się odpowiedź Blendy, to, że Bob Spencer jest „niedobry”; zabrzmiało to poufale, wręcz intymnie, jakby rozmawiali ze sobą przez całe lata.

– A ty nareszcie masz dziewczynę – powiedział Bob.

Frank Farrelli powinien go oczywiście teraz uderzyć. Zwyczajnie wstać z krzesła, rąbnąć faceta, powalić go, wyciągnąć stąd i wrzucić do najbliższego rynsztoku. To byłoby jedyne słuszne wyjście. Jedyne, które mogłoby zapewnić Frankowi i Steve’owi, tak, również Steve’owi, coś w rodzaju rehabilitacji. Ale Frank nie miał takiej natury, był ulepiony z innej gliny. Może Martin miał rację, mówiąc, że brakowało mu kręgosłupa.

– Tak? – powiedział Frank.

Blenda nachyliła się nad stołem.

– Nie przejmuj się nim.

Nie przejmuj się nim? Broniła go? Frank poczuł się zmuszony do działania. Podniósł się, nie mając pojęcia, co się stanie w następnej chwili.

– Idź już, zanim...

– Zanim co, Farrelli?

– Nie jesteś tu mile widziany.

– Jesteś właścicielem tego miejsca, Farrelli?

– Nie, ale ja jestem – odezwała się Sally. Ujęła Boba Spencera za ramię i zdecydowanie popchnęła go w stronę drzwi. Tam wyrwał się z jej uścisku jak rozwścieczony dzieciak i wskazał na Franka.

– Wiesz co, Farrelli? Oni, cholera, wyrzucili szafę grającą! Na śmietnik! Starego wurlitzera na śmietnik!

– I co z tego? I tak nie działała, syfiasta gębo!

– Wiesz co, Farrelli? To wszystko twoja wina. To ty przynosisz ze sobą nieszczęście. Wszyscy tak mówią. Nosisz ze sobą nieszczęście. Słyszysz, ty dupku?

Sally udało się wreszcie wypchnąć Boba na mokre, ciemne ulice, zamknęła drzwi na klucz. Potem przysiadła się do Blendy i Franka.

– Przepraszam was, moi drodzy. Nie powinnam go była wpuszczać.

– Nic nie szkodzi – powiedziała Blenda.

Frank się naburmuszył. Skąd ona mogła wiedzieć, co nie szkodzi? Nie szkodzi, że Bob Spencer stał tutaj, drwiąc i ubliżając i jemu, i Steve’owi? Szkodziło. Szczerze mówiąc, cholernie szkodziło. A najbardziej to, że Bob Spencer sugerował, że coś go kiedyś łączyło z Blendą.

– Idziemy do domu – zdecydowała.

Ruszyli w milczeniu pod wygaszonymi latarniami. Wiatr niósł zapach benzyny. Frank był w ponurym nastroju. Nie mógł się powstrzymać przed zadaniem pytania:

- Znasz Boba Spencera?
- Znałam.
- Jak dobrze?
- Jak dobrze? Dlaczego pytasz?
- Po prostu. Jak dobrze?
- Frank, zapomnij o tym.
- Co mam zapomnieć?
- Że go znałam.
- To aż takie ważne, że muszę zapomnieć?
- A ty nikogo nie znałeś przed nami?
- Przed nami?
- No tak, zanim się poznaliśmy.

Nie powiedzieli nic więcej, dopóki nie dotarli do jej ulicy. Tam stanęli, wahając się. W kinie wybito kolejną szybę. Na chodniku leżał stary plakat. To przeszłość, pomyślał Frank. Przeszłość nas dopadła. Przeszłość się w nas wczepiła i nie odpuszcza. Ale tu nie chodziło o wspomnienia, takie, które mógł dzielić ze Steve'em i które wyparują, gdy tylko on odejdzie. Tu chodziło o cudzą przeszłość, o przeszłość Boba Spencera, o przeszłość Blendy; a tej nie mógł się pozbyć.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś otworzą Majestic? – spytała.
- Nie wiem.
- Fajnie byłoby iść razem do kina.
- Tak uważasz?
- A ty nie?
- Byłaś w kinie z Bobem Spencerem?
- Nie możesz przestać o nim mówić? On nic nie znaczy.
- Ale znaczył, tak?
- Nie zaczynaj tego samego, Frank.
- Czego?
- Nie zaczynaj się taki robić.

Znów zamilkli. Wiatr się odwrócił i teraz niósł chłód od rzeki.

- W porządku – powiedział Frank.
- Wejdiesz na górę?
- Muszę coś zrobić przy samochodzie na jutro.
- No to dobrze.

Frank ruszył chodnikiem. Tak, właśnie tak było. Przeszłość stanęła między nimi. Nie jego przeszłość, tylko jej. Przeszłość wszystkich innych.

- Podoba mi się twoja koszula! – zawołała Blenda.

Frank się zatrzymał. Nie gwałtownie, tylko coraz wolniej stawiając kroki, i w ciągu tego czasu podjął decyzję. Odrzucił przeszłość i jej, i własną, a także przeszłość wszystkich innych wielkich dupków. Po prostu zamknął ją i odłożył. Przeszłość i tak przychodzi za późno. Powtórzył to w duchu. Przeszłość przychodzi za późno. Nie jest potrzebna. A teraz, gdy jej temat już został poruszony, równie dobrze mogli rozmawiać o przyszłości, która była i tak dostatecznie pokręcona, więc nie musiała dodatkowo ciągnąć ze sobą tego, co było wczoraj. Podoba jej się moja koszula, pomyślał Frank. To wystarczy. Zawrócił do Blendy.

Flagi powiewały opuszczone do połowy masztu. Przy torach leżała góra kwiatów i wspomnień. Kiedy młodzież zaczęła tam przesiadywać nocami, trzymając się za ręce wokół kręgu świeczek, Szeryf uznał, że musi wydać ostrzeżenie. Sytuacja zmieniała się w coś w rodzaju

histerii. Młodzi ludzie nakręcali się nawzajem. Dopóki trwała żałoba, działała jak narkotyk, a kiedy się skończyła, kusić zaczęła śmierć. Śmierć mogła ich oczyścić. Szeryf bał się, co ci przejęci sobą, romantyczni młodzi ludzie, zaślepieni śmiercią, poezją i plotkami, mogą wymyślić. A nie mówiłem, myślał Frank. Te dziewczyny dobrze wiedziały, co robią, kiedy szły nocą po torach. Poza tym uważał, że nie wypada kłaść tam kwiatów. Nie należy przystrajać miejsca wypadku. Poszedł razem z Blendą do kościoła, który w ten piątek, pierwszy piątek listopada, był wypełniony po brzegi. Obok, na cmentarzu, słońce rzucało między nagrobki łagodne żółte światło. Ludzie, którzy nie widzieli się od dawna, ucinali sobie pogawędki. Zawierano nowe umowy. Słychać było nawet śmiech, co prawda cichy, ale jednak śmiech. W opinii niektórych było prawie jak za dawnych dni. I w samym środku żałoby, która potrafi przecież objawić się w najdziwniejszy sposób, wiele osób zaczęło wierzyć w odrodzenie Karmack. Ale Frank wyczuwał również coś innego. Nikt nie patrzył mu w oczy. Ludzie zniżali głos i odwracali się, kiedy się zbliżał. Czy dlatego, że trzymał Blendę za rękę? A może jednak Bob Spencer miał rację, twierdząc, że ludzie uważają, iż przynosi nieszczęście, dlatego nie chcieli go już znać? Ale przecież to nie Frank powodował wypadki. Ofiary świetnie dawały sobie z tym radę same, bez jego udziału. Wcale nie przynosił nieszczęścia. Przynosił tylko wiadomości. Postanowił się tym nie przejmować. Szeryf też nie przyszedł do kościoła sam, towarzyszyła mu Wendy Stout. Może to był tylko przypadek. Może po prostu przyszli jednocześnie. Ale Szeryf po chwili wahania wziął kobietę za rękę i zaraz puścił. Ach tak, pomyślał Frank. Następna przewrotna myśl o mało go nie rozśmieszyła: oto on, Frank Farrelli, nie tylko przynosi złe wiadomości, lecz również tworzy związki między ludźmi. Usiedli w drugim rzędzie, na miejscach zarezerwowanych dla Komitetu. Przed nimi siedzieli rodzice Veroniki i państwo Perkinsowie. Pochylone, napięte karki drżały od płaczu. Na podwyższeniu stała biała trumna. Środkowym przejściem płynęła rzeka kwiatów. Wszyscy tu byli. Wszyscy z wyjątkiem zmarłych, pomyślał Frank. Kiedy zabiły kościelne dzwony, Blenda wzięła go za rękę. Przyszedł Pastor i przywitał się z bliskimi dziewczyny. Uścisnął dłonie również rodzicom Marion. Potem powitał wszystkich, dziwnie powściągliwy. „Jesteśmy tu, by wspominać młodą osobę, Veronicę Mills, której przyszłość została ucięta w tak brutalny, bezsensowny sposób”. Nie używaj słowa bezsensowny, pomyślał Frank, gdy echo dzwonów zniknęło wśród płaczu. Nie mów bezsensowny, wtedy ból staje się jeszcze głębszy i nieznośny. To musi mieć sens. Wszystko musi mieć sens i cel. Inaczej świat się rozpadnie. Pastor powinien wiedzieć przynajmniej tyle. Niech mówi, że to niesprawiedliwe. Niech przeklina w kościele. Ale nigdy nie wolno wypowiadać słowa „bezsensowny”. Ze wszystkiego, czego nie znosimy, bezsens jest najgorszy. Później żałobnicy śpiewali razem. Następnie wystąpiła jedna z koleżanek Veroniki z klasy i przemówiła w imieniu młodzieży, tej, która jeszcze została w Karmack, przeklętym mieście bez pracy i marzeń. Opisała Veronicę jako godną zaufania, zawsze wesołą, pomocną, ładną i irytująco zdolną we wszystkim. To ostatnie stwierdzenie pobudziło słuchaczy do ostrożnego śmiechu, nawet rodzice musieli się uśmiechnąć. Dziewczyna zaimponowała wszystkim swoją odwagą, dojrzałością i opanowaniem. Ale mowę zakończyła dwuznacznie. Powiedziała, że nawet najjaśniejszy umysł rzuca cień. Potem odwróciła się do trumny, przeżegnała, przeszła środkiem nawy i usiadła na samym końcu, wraz z innymi zatraconymi młodymi ludźmi, a jej ostatnie słowa wciąż wisały w powietrzu. Pastor stał na ambonie zafascynowany przesłaniem dziewczyny. Najjaśniejszy umysł. Cień. Przejrzał jakieś kartki, nie podnosząc głowy. Zaczął mówić o ciężkich próbach, jakie Bóg wyznacza ludziom. Najpierw jedynie mamrotał, ale po chwili jego głos zaczął odzyskiwać formę. „Przez te próby pokazujemy naszą siłę – powiedział. – Próby to możliwość ofiarowana nam przez Boga”. Ukrył twarz w dłoniach i zakończył, powtarzając: „Bezsensowne. Bezsensowne”. Doktor sądził, że Pastor zasłabł, co pewnie byłoby lepsze, bo duchowny nagle podniósł głowę, popatrzył na

zgrupowanych przytomnym, wręcz rozjaśnionym wzrokiem, odsunął stare kartki i wypełniła go nowa potężna siła. Tak w każdym razie odebrała to większość obecnych na pogrzebie Veroniki Mills. Znow zaczął mówić o próbach. Przywoływał swojego Boga do porządku. Wołał, że mamy już dość. Nie zniesiemy więcej brzemion. Nie zdołamy ich dłużej dźwigać. Zbaw nas ode złego. Ale przede wszystkim wybaw nas od tych swoich wypadków. Powtórzył tę prośbę, która nie była już prośbą, lecz pouczeniem, żądaniem: „Zostaw nas w spokoju! Mamy dość! Odwróć się, Boże, jeśli tak się przejawia twój sposób patrzenia na nas!”. Wiele osób uznało, że Pastor posunął się za daleko, ale nikt nie pozostał obojętny. Wyczerpany duchowny zwrócił się do państwa Millsów równie dwuznacznie jak koleżanka z klasy, ale Frank, Doktor i Szeryf zrozumieli to wyraźnie: „Wybaczenie. Wybaczenie jej. Wzięła na siebie brzemień”. Teraz rzeczywiście posunął się za daleko. Mrs. Mills wstała, podeszła do trumny zagubiona jak lunatyczka. Mr. Mills tylko spuścił głowę, zacięty i odpychający. Nie spojrzął nawet na żonę. Mrs. Mills nagle straciła wszelkie siły i osunęła się na kolana. Była jak walący się dom. Mrs. Perkins podbiegła do niej, pomogła jej wstać i przejść ostatnie kroki. Dwie matki stanęły przy trumnie, jedna kompletnie zmiażdżona, druga jeszcze pełna nadziei.

Wyniesiono trumnę. Zaczął padać deszcz. Pastor szedł przodem przez mokrą trawę, za nim sunął zgarbiony rząd czarnych parasoli. Grabarze opuścili Veronicę Mills w błoto. Sądzone, że uroczystości żałobne przy grobie w tym momencie się zakończą, ale to jeszcze nie był koniec. Mr. Mills podszedł do Pastora.

– Co pan, do cholery, miał na myśli?

– Starajmy się nie przeklinać, mimo że...

– Co pan, do jasnej cholery, miał na myśli? Wybaczyć jej! Nie ma czego jej wybaczać!

O co panu, do jasnej cholery, chodziło? Jaki grzech popełniła moja córka?

– Mr. Mills, szczerze przepraszam, jeśli...

– I jakie brzemień na siebie wzięła?

– Mówiłem metaforycznie, Mr. Mills.

– Robiliśmy wszystko dla naszej córki! Wszystko! Nie miała żadnych brzemion! I gównie mnie obchodzą pańskie metafory! Moja córka nie dźwigała żadnego brzemienia. Żądam, żeby pan cofnął te słowa. One brukają jej pamięć!

– Moje ubogie słowa nie mają mocy zbrukania nikogo oprócz mnie.

Mr. Mills podsunął do twarzy Pastora zaciśniętą pięść.

– Mógłbym pana podać do sądu, ale pozwolę, żeby ukaraniem pana zajął się Bóg.

Odwrócił się i poszedł za żonę. Frank, Szeryf i Doktor obserwowali Pastora, który na deszczu niemal zgiął się wpół i nieprzytomnie obserwował grabarzy sypiących ziemię na trumnę i kwiaty. Wkrótce cały dół wypełniło błoto. Zamówiony nagrobek już czekał – kolos z białego marmuru ze zdjęciem Veroniki i ptaszkiem na szczycie. Szeryf podszedł do Pastora.

– Źle się pan czuje?

– Nie. Dlaczego miałbym się źle czuć?

– Bo źle pan wygląda. Poza tym Mr. Mills miał rację. Przesadził pan. Mój Boże!

Brzemień!

– Czułem, że słuszne będzie użycie...

– Czuł pan? Tu chodzi o rozpacz rodziców! O rozpacz całego Karmack. Przecież pan wręcz wykrzyczał, że dziewczyna targnęła się na własne życie! I że tej drugiej dziewczynie się nie udało!

Pastor zgiął kark, jakby nie wiedział, czy ma się zmobilizować, czy poddać.

– Mój jasny umysł rzuca cienie – szepnął.

– Słucham?

– Dziewczyna. Ona to powiedziała. Jasny umysł Veroniki rzuca cienie. Oni, ci młodzi, rozumieją o wiele więcej niż my. O wiele więcej.

Szeryf wbił palec wskazujący w czoło Pastora.

– Powinien pan się cieszyć, że to Bóg poda pana do sądu, a nie Mr. Mills.

Zadzwoił telefon Szeryfa. Telefonowano z Saint Mary's Hospital. Umarł ojciec Steve'a, Martin Miller. Zostawili więc Pastora na deszczu, a sami pojechali do szpitala. Po drodze nie odzywali się do siebie. Franka ogarnęło nieprzyjemne przecucie. Pokłócił się z Martinem, kiedy ostatni raz się z nim widział. Teraz było już za późno, by to naprawić. W szpitalu okazało się, że pielęgniarka znalazła Martina siedzącego bez życia w fotelu przy łóżku Steve'a tuż przed dwunastą. Śmierć nie mogła przyjść niespodziewanie, Martin bowiem zostawił list. Leżał na nocnej szafce razem z długopisem, którym go napisał. Oświadczał, że on, Martin Miller, nie życzy sobie żadnego pogrzebu, a jego prochy należy wrzucić do Snake River z miejsca, w którym jego parcela dochodzi do rzeki. Ale na tym nie skończył. Napisał, że Frank Farrelli dziedziczy po nim dom, gospodarstwo, gramofon i Steve'a. Frank się zwyczajnie wkurzył. Nie chciał żadnego spadku. To była ostatnia rzecz, której pragnął. Martin zrobił to złośliwie, wszystko zwałił na niego. Przez chwilę Frank był pewien, że Steve leży i chichocze, wymyślając dowcip, z którego zaśmiewać się będzie całe Karmack. Bo czy nie uśmiechnął się lekko wśród tych wszystkich rurek?

– Steve – powiedział Frank – słyszysz mnie?

Ale odpowiedzi nie dostał. Wziął więc gramofon i *Blue Skies* pod pachę, zostawił Steve'a, zszedł do samochodu i pojechał do domu.

W kuchni siedziały matka i Blenda. Obie wciąż w czerni. Piły kawę i gadały. Frank się zatrzymał. Przecież jej nie zapraszał. To matka ją zaprosiła. Tak więc gdy Blenda po raz pierwszy przyszła do niego do domu, jego tam nie było.

– Co ty przyniosłeś? – spytała matka.

– Gramofon.

– Widzę. Kupiłeś?

– Odziedziczyłem.

Frank odstawił gramofon na kuchenkę i usiadł. Ale nie przy stole, tylko na krześle pod oknem.

– Odziedziczyłeś? Po kim?

– Po Martinie.

– Martin nie żyje?

– Najwyraźniej, skoro odziedziczyłem jego gramofon.

– Odziedziczyłeś coś jeszcze?

– Chciałabyś.

– Nie odzywaj się tak do mnie przy Blendzie.

– To znaczy, że gdyby Blendy nie było, mógłbym się tak odzywać?

Blenda wstała i wzięła swoją torebkę, która wisiała na krześle.

– Przykro mi z powodu Martina, Frank.

– Nie musisz wychodzić.

Zawahała się przez moment i znów usiadła.

– Czekałyśmy na ciebie – powiedziała.

Na stole stały trzy filiżanki. Matka naląła mu i podała kawę. Kawa była letnia. Dochodziła piąta. Frank przed wpół do szóstej musiał nakarmić Marka.

– Odziedziczyłem też stację benzynową i dom.

Matka milczała, czekając na dalszy ciąg.

- Może się tam przeprowadzę. Zasiądę na werandzie i zostanę wieśniakiem.
- Steve jeszcze nie umarł. Uważaj na to, co mówisz.
- Jego też odziedziczyłem.

W dniu, w którym prochy Martina miały zostać rozsypane w rzece, przysza zima. Stali przy brzegu rzeki i marzli. Pastor otworzył walizeczkę z urną i podał ją Frankowi. Ten odkręcił pokrywkę. Jak się rozsypuje prochy? Prochy człowieka? Przecież nie mógł po prostu przechylić urny i sypnąć. Wszystko wtedy poleciałoby w błoto, a w najgorszym razie na jego buty. Musiał podejść jak najbliżej wody, trzymać urnę w obu rękach i dobrze wymierzyć. Żałował, że wybrał eleganckie pantofle. Trudno mu było utrzymać się na nogach. Blenda się odsunęła i zasłoniła chusteczką usta i nos. Pastor wymamrotał kilka oderwanych od siebie słów, które nikogo nie interesowały, i zrobił znak krzyża. Od pogrzebu Veroniki Mills nie był sobą. Szeryf obracał w rękach czarną futrzaną czapkę, a Doktor patrzył w niebo; sprawiał wrażenie zamyślnego i obojętnego. Frankowi o mały włos urna nie wypadła z rąk. Zmarznięte palce nie chciały go słuchać. Martin nie ułatwił im sprawy. Kogo w tej chwili było najbardziej żal? Najbardziej żal było Franka Farrellego. To nie zmarłych trzeba żałować, zmarli nic nie wiedzą. Zmarli już zdążyli wszystko zapomnieć. Frank znów zamachnął się urną.

- Stop! – zawołał Doktor.
- O co chodzi?
- Zaczekaj, aż wiatr się odwróci. Inaczej będziesz miał całego Martina na sobie.

Frank odstawił urnę. Miał dosyć tego draństwa. Czy Martin nie mógł sobie darować tego przekłętego listu? Na co to komu? Czy ci, którzy mimo wszystko przeżyją, nie mogą mieć spokoju? Wiatr nie chciał się odwrócić. Wiał z zachodu, uderzając im w twarz. W końcu to Frank musiał się odwrócić, nie wiatr.

– Chciałem tylko zaznaczyć, że w zasadzie nie wolno tego robić – powiedział Szeryf. – Żebyście wiedzieli.

Doktor się roześmiał.

- Nie wolno? A gdzie to napisali?
- W jakichś przepisach dotyczących ochrony przyrody.
- Prochy Martina Millera to nie przyroda?
- Wyobraź sobie, co by było, gdyby wszyscy tak robili.
- Ale nie wszyscy tak robią. Aresztujesz nas?
- Przymknę na to oko – odparł Szeryf.

Wiatr wreszcie nieco ucichł. Frank zamachnął się jeszcze raz i z urny wyleciały prochy Martina Millera w postaci chmury pyłu. Zmieszały się ze śniegiem i zniknęły, zanim dotknęły wody. Stali i patrzyli na nic.

– No, ja w każdym razie nie będę więcej jadła ryby w Smith's Diner – oświadczyła Blenda.

Szli po rozmięklej ziemi, chyląc głowy dla ochrony przed wiatrem, który dmuchał teraz ze wschodu. Frank i Blenda zatrzymali się koło domu Martina. Pozostali wrócili do miasta. Frank był właścicielem tego domu, ale nie mógł przyzwycząić się do tej myśli. Uważał, że tak być nie powinno. Miał klucze. Nie chciał ich. Nie chciał ani kluczy, ani domu. Wolno wszedł po krzywych schodach na werandę, Blenda deptała mu po piętach. Butelki po piwie stały dokładnie tak jak tamtego wieczoru, kiedy Steve umarł za życia. Umarł za życia. Frank postanowił odnotować to w sprawozdaniu. I dodać: „Steve dalej jest martwy za życia”. A może było odwrotnie? Może Steve żył po śmierci? Od tamtego wieczoru nikt tu nie przychodził, tylko Martin zajrzał po gramofon. Blenda zaczęła sprzątać puste butelki. To się Frankowi nie podobało. Chciał, żeby dalej tak stały. Jeśli coś ruszą, nie będzie już drogi odwrotu. To, czego

dotykasz, jest twoje. Nic jednak nie powiedział. Drzwi były otwarte. Wszedł do kuchni i postawił urnę na stole. Bardzo często przychodził do tego domu jako dziecko. Kiedy Mrs. Miller, matka Steve'a, żyła, panował tu większy porządek. Potrafiła w jednej chwili krzyknąć, a w następnej już smażyła dla nich naleśniki. Frank nie chciał o tym myśleć. Nie obchodziła go wspomnienia, złażał się w duchu. Przeszedł przez salon i skierował się do pokoju Steve'a. Na półce stały wszystkie puchary, jedyna rzecz, jaka lśniła w tej ruderze. W czasach, gdy w Karmack wciąż było się rekordy, Steve był najlepszy w siedmioboju.

Blenda położyła mu rękę na ramieniu.

– Mógłbyś tutaj zamieszkać? – spytała.

– Uważasz, że to wygląda jak miejsce, w którym ktokolwiek miałby ochotę zamieszkać?

– Gdybyśmy trochę wyremontowali, na pewno byłoby miło.

Frank podszedł do okna. Śnieg już przestał padać. Zamiast niego pojawił się deszcz; tłuste krople plaskały o ziemię. Gdybyśmy. My. Gdybyśmy trochę wyremontowali, na pewno byłoby miło. Tu i tak nigdy nie będzie miło, pomyślał. I nagle ogarnął go spokój. Skoro Martin zostawił właśnie jemu dom, gospodarstwo i stację benzynową, to najwyraźniej zrozumiał, że Steve już się nie ocknie.

– Muszę go odwiedzić – powiedział.

– I pewnie wolałbyś iść sam?

– Tak. Tak chyba będzie najlepiej.

– Na pewno?

Kiedy jechali do szpitala, Frank mimo wszystko się cieszył, że Blenda jest z nim. Potrzebował jej. Nie bardzo wiedział, do czego, wiedział tylko, że jej potrzebuje. Wycieraczki mozoliły się z ciężkim deszczem. Para wodna wewnątrz samochodu nie ułatwiała sytuacji. Kładła się na przedniej szybie niczym błona z mgły i starego płaczu. Całe bijące od nich ciepło zdawało się wypełniać kabinę, jakby byli jedynymi osobami na świecie, otulonymi parą, wlokącymi się ślimaczym tempem do miejsca, do którego wcale nie chcieli jechać. Trzeba przyjmować to, co przynosi życie, pomyślał Frank. Ale również ta zasada już nie obowiązywała. Jej czas minął. Życie już przyniosło to, co miało przynieść.

W windzie, którą jechali do Steve'a, spotkali ojca Marion, Mr. Perkinsa. Był spięty, a zarazem ospały. Frank wolałby uniknąć tego spotkania. Gdy zbliżali się do trzeciego piętra, uznał, że musi coś powiedzieć. Przecież mimo wszystko to on przyniósł wiadomość, że córka żyje, w przeciwieństwie do tej drugiej, Veroniki, która umarła. No i co właściwie jest lepsze? Wiedza czy nadzieja? Mieć okazały grób, na który można chodzić, czy córkę pozbawioną człowieczeństwa z już pogrzebaną przyszłością?

– Jak się czuje Marion?

– Matka cały czas przy niej siedzi.

– Tak samo jak Martin, ojciec Steve'a. Steve'a Millera. To dobre wsparcie. Tak, naprawdę. Dobre wsparcie.

– Naprawdę? Dlaczego?

– Dobrze wiedzieć, że...

Mr. Perkins mu przerwał.

– Ale Marion tego nie wie. Nie wie, czy siedzi przy niej moja żona, sprzątaczką czy prezydent.

– Nie można tego stwierdzić z całą pewnością.

– Nie? A wiesz, co mówi moja żona? Codziennie powtarza, że Marion poruszyła powiekę.

– To możliwe. Martin Miller też tak sądził. O Steve'ie. O swoim synu.

– Ale widzisz, nasza córka nie ma twarzy. Twarz zdrapał jej pociąg. Powieki także. To tylko marzenia.

Drzwi się otworzyły. Frank i Blenda wysiedli. Mr. Perkins stał. Drzwi znów zaczęły się zamykać, ale Frank w ostatniej chwili zdążył wsunąć między nie nogę. Mr. Perkins ciągle się nie ruszał. Frank widział jego samotność, wyraźną, oblekającą go jak garnitur.

– Jesteśmy na trzecim piętrze.

– I co z tego?

– Wydaje mi się, że pan tutaj wysiada.

Mr. Perkins nacisnął guzik, drzwi się zamknęły i winda ruszyła z powrotem na dół. Frank też miał ochotę zawrócić, ale wiedział, że bez względu na to, jak daleko wyjedzie, i tak nie uwolni się od myślenia o Steve'ie. Blenda wzięła go za rękę i razem poszli do sali Steve'a. Wpuściła ich pielęgniarka. Frank przysunął sobie krzesło bliżej łóżka i usiadł, Blenda stała z tyłu. Mógł tu leżeć ktokolwiek, ale to nie był ktokolwiek. To był Steve, kumpel, dowcipniś, to, co z niego zostało, napuchnięta ziemską powłoka i wspomnienia Franka.

– Pogrzebaliśmy dzisiaj Martina, Steve – zaczął mówić. – To znaczy niedokładnie, bo wrzuciliśmy jego prochy do rzeki. Tak jak sobie tego życzył. Sam o to prosił. Żebyśmy wrzucili prochy do rzeki. Ale nie bardzo wiem, co mam zrobić z tobą, Steve. Chciałbym, żebyś mi trochę pomógł.

Więcej słów nie znalazł. Podeszła do niego Blenda.

– Wszystko dobrze – powiedziała. – Mów dalej.

Frank nachylił się nad łóżkiem. Steve miał rany w obu kącikach ust. Na nocnej szafce leżała jakaś tubka. Frank odkręcił korek, wycisnął trochę maści i delikatnie rozsmarował ją po popękanych wargach. Nigdy wcześniej nie dotykał swojego kumpla w taki sposób. Wydawało mu się, że to będzie obrzydliwe, ale nie było. Było miłe. „Miłe” to słowo Blendy. Teraz należało również do niego. To było miłe. Pogubił się w tym wszystkim. Nagle wydało mu się, że coś dostrzeżę, jakiś ruch. Przyciągnął rękę do siebie.

– Widziałaś?

– Nie. A co?

– Steve poruszył powieką.

– Nie widziałam.

– Poruszył, przysięgam!

– Ale ja tego nie widziałam, Frank. Nie mogę kłamać, że widziałam.

– Za daleko stoisz.

Usiadła mu na kolanach.

– Poruszył powieką – powtórzył Frank. – Przysięgam!

W powrotnej drodze wpadł w rozpacz. Myślał, że się ucieszy, że poczuje ulgę, gdy zobaczył, że Steve daje znak życia, ale stało się odwrotnie. To jeszcze bardziej wszystko komplikowało. Ta beznadziejna nadzieja. Zaparkował przy Ratuszu i rozeszli się do swoich pokoi. W sprawozdaniu Frank zapisał: „Wypadki się mnożą”.

Doktor, Szeryf i Pastor byli obecni przy tym, jak Frank odłączał Steve'a Millera od respiratora. W pełni go wspierali. Podjął jedyną słuszną decyzję. Doktor był pewien, że Steve nigdy się nie obudzi. Szeryf miał taką samą pewność. Leżenie jak warzywo to ostatnia rzecz, jakiej by pragnął Steve. Rzecz niegodna mężczyzny. To przedłużanie śmierci, a nie życie. Frank podjął właściwą decyzję. Należał mu się za nią szacunek. Pastor mruknął coś o woli Bożej, Bóg tak chce, a my jesteśmy jedynie narzędziami w Jego rękach, ale nie powiedział, w jaki sposób te narzędzia działają, czy my, to znaczy ludzie, jesteśmy dobrymi czy złymi narzędziami. Nie było sensu pytać. Pastor odlatywał. Zresztą i tak to Frank Farrelli musiał odłączyć prąd. On i nikt inny.

Jego ręka. Jego dłoń. Jego palce. Czuł się samotny jak nigdy wcześniej. Nie zasłużył na to. Spojrzał na Steve'a ostatni raz. Poruszył powieką? Próbował coś powiedzieć? Błagał i prosił o życie, niebędące już życiem, tylko rozciągniętą śmiercią? Frank przeklął wszystko i wszystkich. Nagle przypomniał mu się jeden z dowcipów Steve'a. „Słyszałeś o człowieku, który miał cholerne szczęście? Przejechała go karetka”. Frank o mało się nie roześmiał. To by dopiero było! Ale akurat w tej chwili odnalazł sens w tym wszystkim. To nie Steve zasługiwał na żal, tylko on, Frank Farrelli. To on musiał wziąć na siebie to brzemie, podczas gdy Steve leżał, o niczym nie mając pojęcia, i brał zaliczkę na śmierć. To jego teraz należało podziwiać. Przyszedł mu do głowy nowy dowcip, chociaż może nie tak samo dobry: „Słyszałeś o facecie, który miał cholerne szczęście, Steve? Umarł w szpitalu”. Później Doktor mógł stwierdzić, że zgon nastąpił o godzinie ósmej piętnaście dnia 4 listopada. Przyczyna zgonu? Steve Miller umarł śmiercią naturalną. Nienaturalne było utrzymywanie go przy życiu. Zdecydowano, że zostanie skremowany, a jego prochy rozsypane nad rzeką w tym samym miejscu co jego ojca. Wydawało się to ze wszech miar słuszne. Nikt nie mógł żądać, by Frank już do końca życia pielęgnował grób kumpla. Dwa dni później szedł więc po zmrożonej ziemi, tym razem z urną Steve'a. Myślał, że poczuje ulgę, ale nie czuł nic. Obok niego szła Blenda. Za nią Szeryf i Doktor. Pastor nie mógł brać w tym udziału, męczył się nad niedzielnym kazaniem. Zatrzymali się przy brzegu. Frank uznał, że musi coś powiedzieć. Początkowo myślał, że miło byłoby wspomnieć o opuszczonej zagłównce, którą obaj z Martinem widzieli tamtego wieczoru, po którym Steve już się nie obudził. Nie znalazł jednak właściwych słów. Popiół mieszał się z płatkami śniegu i zniknął.

– Słusznie postąpiłeś – powtórzył Doktor.

– My – powiedział Frank. – My słusznie postąpiliśmy.

– Oczywiście. Zrobiliśmy...

– Nie jestem w tym sam.

Ale właśnie tak się czuł. Zamiast poczuć się wybrany i mężny, czuł się nędzny i samotny. Ktoś mógł nawet pomyśleć, że pozwolił kumpłowi umrzeć, bo nie mógł się już doczekać, kiedy przejmie dom i stację benzynową. Bardzo proszę! Bierzcie sobie to wszystko! Niczego, do cholery, nie chcę! Mógł powiedzieć Pastorowi, o czym powinno być kazanie w następną niedzielę, a mianowicie o tym, że ktoś musi brać na siebie ciężar, aby inni mogli tego uniknąć i spać spokojnie. Frank był jednym z tych, którzy brali brzemie na swoje barki. Zabrał pustą urnę do domu i postawił ją na kuchennym stole obok urny Martina. Blenda z parasolem cały czas deptała mu po piętach. Potem usiedli razem, Frank i Blenda, przy pustych urnach.

– Co my zrobimy z tym dziadostwem? – spytał Frank.

– Jeżeli nie chcesz tu mieszkać, to pewnie będziesz musiał sprzedać.

Czyżby i ona zaczynała? Poprzednim razem mówiła „my”. Wtedy to my mogliśmy wyremontować tę chałupę. Ale pewnie wtedy jeszcze nie rozumiała, że tutejsze ściany, podłoga i sufit nie są warte więcej niż przyczepa kempingowa. A gdyby chcieli zrobić remont, musieliby wydać więcej pieniędzy, niż razem mieli i kiedykolwiek będą mieć. Teraz już nie było „my”. Teraz było „ty”.

– Sprzedać? Żeby ludzie myśleli, że odłączyłem Steve'a dla pieniędzy? O nie!

– Niech sobie ludzie myślą, co chcą, Frank. To przecież nieprawda.

– W dodatku nikt nie kupi tej rudery. Nie zdziwiłbym się, gdybym nigdy nie mógł się jej pozbyć. Jasna cholera.

– Niewdzięczny jesteś, Frank.

– Nie o to mi chodziło. Chciałem powiedzieć, że mnie też nie jest łatwo.

Blenda obeszła stół i usiadła mu na kolanach.

– Wiem, Frank, ale damy radę. Razem damy radę, prawda?

Przeczesała mu włosy palcami i pocałowała go w kark. Tak siedzieli w starej kuchni rodziny Millerów, z której nie było już nikogo. Zostały tylko puchary i urny. Frank przez chwilę poczuł się pobłogosławiony i nie przypominał sobie, by kiedykolwiek był szczęśliwszy. Jeżeli tak, to chyba wtedy, gdy jego ojciec zmarł na trawniku pod rynną na April Avenue.

W następnych tygodniach wydarzyło się mniej wypadków niż zwykle i ludzie natychmiast uznali, że idą lepsze czasy, a niektórzy posunęli się nawet do twierdzenia, że dobre czasy już wróciły. Więcej nie było trzeba. Kilka dni bez poważnych wypadków i mieszkańcy Karmack już widzieli odrodzenie, ale do Karmack nie zawitało żadne odrodzenie; tylko Arthur Clintstone rzeczywiście się odrodził. Za pieniądze po matce, która zatrała się dymem, a nie była to mała kwota, założył własną firmę sprzątającą, Clintstone's True Cleaners, przy czym nie była to zwyczajna firma sprzątająca, która zajmowałaby się szorowaniem podłóg, myciem okien i wynoszeniem śmieci. Arthur Clintstone znalazł bowiem dla siebie niszę, jedyną niszę w Karmack, która się powiększała. Specjalizował się w miejscach wypadków. Usuwał cały brud, jaki zostawał tam, gdzie wydarzyło się nieszczęście: odłamki kości, części ciała, wydzieliny. Robił to, czego nikt inny nie miał siły ani ochoty robić, i robił to dobrze. Pięćset dolarów za krew. Tysiąc dolarów za odchody. Pięć tysięcy dolarów za masę mózgową. Jego żona prowadziła rachunki, a dzieci już wiedziały, kim będą, kiedy dorosną. „Tam gdzie są wypadki, jest kasa”, mawiał Arthur Clintstone i wcale go nie martwiło, że przez pewien czas wypadków może być mniej. „Prędzej czy później przyjdzie poprawa”, mawiał Arthur Clintstone, przydając pojęciu „złe czasy” nowej treści. Sprawił sobie furgonetkę, ludzie na jej widok od razu wiedzieli, że coś się stało.

– Niedługo nie będzie już żadnej różnicy – powiedział Frank.

– Między czym? – zdziwiła się Blenda.

Leżeli w jej łóżku, a Frank gotów był się założyć, że z zamkniętej sali kinowej pod podłogą słyszy muzykę i śmiechy.

– Między dobrymi a złymi czasami.

Ale chociaż liczba wypadków spadała, to w zamian stawały się one coraz bardziej kuriozalne. Mogło się wydawać, że drwią z mieszkańców, grają im na nosie. Nie wywinął się nawet Pastor. On, który błagał i prosił Boga o to, by oszczędził Karmack od kolejnych nieszczęść, sam został nimi dotknięty. To był znak, który nie mógł ujść niczyjej uwagi. Zdarzyło się to w niedzielę, gdy wracał do domu z kościoła. Z jakiegoś powodu wybrał drogę wzdłuż torów. Może nie chciał się pokazywać ludziom, przygębiony małą liczbą wiernych na nabożeństwie. Akurat w tę niedzielę na nabożeństwo przysłała zaledwie garstka, a niektórzy nawet opuścili swoje miejsca w środku kazania, nazwanego drewnianym od początku do końca przez tych, którzy wytrzymali. Mówił metaforami tak niezrozumiałymi i obcymi, że przypominały bardziej obelgi i bluźnierstwa. Kazał Bogu posmakować własnego gorzkiego lekarstwa. W każdym razie idąc wzdłuż linii kolejowej, Pastor zatrzymał się tam, gdzie wcześniej tej jesieni młodzież przynosiła kwiaty i zapalała świece. Teraz między podkładami była tylko zwiędła rabatka i zakrzepła stearyna, przypominająca brudne łyzy. Dlatego nachylił się, chcąc posprzątać po żałobie. Zasmuciły go te śmieci, kiedyś płonące dla dwóch dziewczyn, Veroniki i Marion. I dla tej martwej, i dla tej żywej. A więc tak daleko to zaszło? „Płacemy brudnymi łzami”, mruknął Pastor. Jemu też łyzy kapały z oczu. Wsunął rękę pod płaszcz, by wyjąć chusteczkę, ale jej nie znalazł. Stał tak pochylony i wyginał się, obmacując kieszenie, a kiedy wreszcie sobie przypomniał, że chusteczkę ma Frank Farrelli, było już za późno. Usłyszał dźwięk, jaki rozlega się w zamku przy przekręcaniu klucza. Nie rozumiał, co to było, dopóki nie spróbował się wyprostować. Nie mógł. To kręgosłup. Pastor stał tak wykrzywiony i znieruchomiały. Było to przykre pod wieloma względami. Wzywał pomocy, a jednocześnie

miął nadzieję, że nikt go nie zobaczy, czyli beznadziejna sprawa. W końcu nie dał już rady dłużej tak stać. Przewrócił się, byle dalej od torów, i upadł na bok jak ciężkie postrzelone zwierzę.

To Bob Spencer go znalazł, kiedy szedł swoją stałą trasą do Railway Rest osiem godzin później. Musiał niemal na niego nadebrać, zanim się zorientował, co to jest. Nie wiedział, co myśleć o tak niezwykłym znalezisku.

– Czy to Pastor? – spytał.

– Pomóż mi.

– Jest pan pijany? Czy pan też usiłuje popełnić samobójstwo?

– Jestem sparaliżowany. To kręgosłup. Pomóż mi.

Bob Spencer usiadł na torach przy Pastorze, zapalił papierosa i zapatrzył się w czarne niebo.

– Chcę, żeby mi pan najpierw wyjaśnił, dlaczego nie dostałem pracy Pośrednika, skoro dostał ją ten maminsynek Farrelli.

– Teraz to chyba nie ma już żadnego znaczenia.

– Owszem, ma.

– Uderzyłeś Steve'a. Myślisz, że możemy zatrudnić Pośrednika, który...

– To było później. Nie liczy się. Pan kłamie. Mam wezwać Arthura Clintstone'a, żeby przyjechał i pana stąd spłukał?

– Bardzo proszę...

– Bardzo proszę? Dlaczego nie dostałem tej pracy?

Pastor nagle doświadczył momentu wolności, jakiej nigdy dotychczas nie zapewniła mu stara, wrośnięta w niego wiara w Boga i jakiej prawdopodobnie nie mogła mu zapewnić w przyszłości. Był to moment wywyższony, w którym runęły wszelkie ograniczenia, chociaż wiedział, że już nigdy nie będzie mógł stanąć na ambonie. Tym lepiej. Był zwolniony z wszelkich zobowiązań. Dał wypowiedzenie Bogu i dlatego nie miał już nic więcej do stracenia. Tej nocy w Karmack Bóg stał się bezrobotny. Obowiązywało już tylko jedno przykazanie: „Masz, do jasnej cholery, nie kłamać”.

– Bo jesteś zbyt brzydki, Bobie Spencer. Wysyłanie cię do bliskich ofiar oznaczałoby wystawianie ich na kolejne nieszczęście. Taki jesteś brzydki.

Bob Spencer podniósł się powoli i wypluł niedopałek w ciemność.

– Ale teraz to ja mimo wszystko jestem Pośrednikiem, czy pan tego chce, czy nie. Co pan na to powie?

– Że możesz iść do diabła – odparł Pastor.

Bob Spencer zastanowił się nad tymi słowami i poszedł do Railway Rest, gdzie wypił swoje piwo, a o Pastorze wspomniawszy dopiero tuż przed zamknięciem. Zebranie ochotników nie stanowiło problemu. Całą gromadą, na chwiejnych nogach, poszli na tory, wzięli Pastora na ręce i ze śpiewem ponieśli go ulicami. Przy Ratuszu podjechała czerwona furgonetka Arthura Clintstone'a. Zwykle nocą objeżdżał okolicę, bo a nuż coś się wydarzyło. Najwyraźniej tak właśnie było teraz. Opuścił szybę.

– Co się dzieje, chłopaki?

Bob Spencer podszedł do samochodu.

– Pastora sparaliżowało. Leżał przy torach.

– Jakaś krew czy inne brudy?

– Nic takiego nie widziałem. Ale ktoś powinien sprzątać kwiaty po tych dziewczynkach.

– O cholera, na pewno powiędły, odkąd ostatnio tam byłem. Dobrze, że o tym pomyślałeś, Bob. Naprawdę dobrze.

Załadowali Pastora na tylne siedzenie i przewieźli na plebanię. Tam ułożyli go na

kanapie, dbając o to, żeby miał w zasięgu ręki jedzenie, picie i telefon. Potem znów wyszli do samochodu. Usiedli w środku i palili. Bobowi zaimponował sprzęt Arthura, maski przeciwgazowe, pełne kombinezony, gumowe rękawice, myjki ciśnieniowe, maseczki na usta, okulary ochronne, sprzęt do zabijania owadów, wielkie pojemniki z płynami czyszczącymi i proszkiem, stos ścierek i rolki czarnych plastikowych worków.

– Potrzebny mi dodatkowy człowiek do pomocy – powiedział Arthur.

– Wolałbym nie pracować w weekendy – odparł Bob.

– Wypadki nie robią sobie wolnego.

– Za to ja sobie robię.

– Pytam cię po raz ostatni, chcesz tę robotę czy nie? Znajdzie się wielu innych chętnych.

Opornie myślący Bob Spencer musiał się dobrze zastanowić. Nie dostał posady Pośrednika, ale ta praca może się okazać jeszcze lepsza. Kto wie, czy akurat tego nie potrzebował, może będzie mógł wziąć odwet na Franku Farrellim. Tak, pomyślał Bob Spencer i podał Arthurowi Clintstone'owi rękę.

Pastor nie pojawił się w poniedziałek rano i nie odezwał w ciągu dnia, więc Doktor i Szeryf poczuli się zmuszeni odwiedzić go w domu. Zastali go na kanapie, ciągle w płaszczu, a poza tym w bardzo złym stanie. Nie tylko kręgosłup odmówił posłuszeństwa, sam Pastor również. Zwichnął sobie duszę, jak się wyraził, i nie chciał żadnej pomocy. Zwyczajnie pragnął cierpieć. Taki widział sens tego wszystkiego. Czyste cierpienie było konieczne. Dopiero dzięki niemu można przejść. Przejść do czego? Doktor próbował wybić mu z głowy te brednie, przejść do czego? Do kolejnych cierpień? Ale Pastor obstawał przy swoim. Brał na siebie cierpienie dla dobra Karmack. Tylko w ten sposób można uwolnić od niego mieszkańców. Pastor znajdował się na innym poziomie. W końcu na razie go zostawili. Prawdę powiedziawszy, to błądzenie Pastora nie było Doktorowi i Szeryfowi tak całkiem nie na rękę. Od pogrzebu Veroniki Mills duchowny nie radził sobie z wypełnianiem obowiązków. Teraz nie musieli mu nawet załatwiać zwolnienia lekarskiego.

Potem przyszła kolej na to, by i Franka dotknęło nieszczęście. Nie bardzo wiedział, czy może to tak nazywać, to znaczy, dla niego było to wielkie nieszczęście, chociaż inni pewnie uznaliby je za bagatelkę, niefart, i właśnie dlatego odczuwał jeszcze większą przykrość. Postanowił mianowicie przenieść złotą rybkę w inne miejsce, stracił bowiem zaufanie do matki. Można ją było podejrzewać o wszystko. Ale akurat w momencie gdy odstawiał wazę na nocny stolik, potknął się o leżący tam chodnik, przewrócił, a Mark, jego starzejąca się złota rybka, wpadł pod łóżko razem z odłamkami szkła rozrzuconymi jak wachlarz w zielonej wodzie, która rozlała się na podłodze. Potem zapadła cisza. Frank z trudem się pozbierał. Kiedy wreszcie dotarł do Marka, rybka już nie żyła.

– Najwyższa pora – stwierdziła matka.

Frank ledwie się podniósł. Matka stała oparta o futrynę.

– Najwyższa pora? Najwyższa pora na co?

– Na to, żebyś się pozbył tej rybki.

Podszedł do matki, miał ochotę wcisnąć jej rybkę w twarz.

– Mark bardzo wiele dla mnie znaczył – powiedział. – Żebyś wiedziała.

– Ludzie się z ciebie śmieją, Frank.

– Śmieją się? Dlaczego?

– Dorosły mężczyzna ze złotą rybką. Mój Boże! Zastanów się, Frank.

– Nic mnie nie obchodzi, co myślą inni.

– Również Blenda?

– Blenda? Co z Blendą?

– A co z nią?
– Czy ona się ze mnie śmieje?
– Musisz różne rzeczy zostawić za sobą, Frank. Zwłaszcza teraz.
– Zwłaszcza teraz? Co to, u diabła, ma znaczyć?
– Jeśli coś ma być między tobą a Blendą, musisz patrzeć w przyszłość. Nie dostaniesz wielu nowych szans.

Frank wyszedł, usiadł na progu i zaczął się zastanawiać, co ma zrobić z Markiem.

A więc tak to wyglądało. Śmiano się z niego. Nikomu nie żal faceta, który po dwudziestu dwóch latach stracił złotą rybkę. Nikomu nie żal faceta, który wyłącza maszynę utrzymującą przy życiu kumpla, przeciwnie, ludzie patrzą spode łba, gdy się pojawia, i obgadują go za plecami, kiedy odchodzi. Tamto cudowne, niezwykle rzadkie uczucie, którego doznał, gdy siedzieli w kuchni w domu Millerów, dawno już zniknęło. Frank czuł się potraktowany niesprawiedliwie. Nie zasłużył na to, w każdym razie sam tak uważał. Zawsze czuł się niesprawiedliwie traktowany – w szkole, w okienku na stacji i kiedy stację zamknęto. A teraz, gdy już sądził, że to minęło, że wszystko nareszcie idzie po jego myśli, że życie, można powiedzieć, się prostuje, poczuł się potraktowany jeszcze bardziej niesprawiedliwie niż kiedykolwiek. Kiedy jednak umarł ojciec, ludziom było go żal. Następne miesiące okazały się najlepszym czasem w jego życiu. Zwracano na Franka uwagę. Był dostrzegany i ceniony. Ale i to się skończyło. Ludziom znudziła się jego żałoba. Właśnie o tym Frank Farrelli myślał, siedząc za domem z martwą dwudziestodwuletnią rybką.

Dzień później mijały dwa miesiące, odkąd Franka Farrellego zatrudniono jako Pośrednika, i miał się spotkać z Komitetem punktualnie o godzinie jedenastej. Ponieważ Pastor ciągle miał zwolnienie, obecni byli jedynie Doktor i Szeryf. Frank usiadł przed nimi, tak jak za pierwszym razem, z głęboko skrywaną nadzieją, w którą sam właściwie nie wierzył, a mianowicie z nadzieją na zajęcie miejsca Pastora i zostanie pełnoprawnym członkiem Komitetu, ponieważ nikt w Karmack nie przypuszczał, by Pastor kiedykolwiek jeszcze stanął na nogi.

– Jak w twojej opinii ci idzie? – spytał Szeryf.

– Nie jest mi w tej pracy źle.

– Może jest ci trochę za dobrze?

Frank natychmiast stał się czujny. Czyżby i oni chcieli się zwrócić przeciwko niemu?

– Co to ma oznaczać?

– Że być może wykazujesz trochę zbyt duży zapał na służbie.

– Z tego, co wiem, nie ma żadnych skarg.

– Ale dobrze się tu czujesz?

Czy chodziło im o Steve'a? Uważali, że uczynił to z radością? A więc tak wygląda wdzięczność. Frank zrobił tylko to, czego nie potrafił Martin, który pozostawił to jemu. Frank wziął na siebie ten ciężar, jakim jest zatrzymanie życia. I chociaż życia tego było niewiele, to jednak było. W pustym domu wciąż biło serce. Teraz atakowano go od tyłu, a na to Frank Farrelli nie zamierzał się godzić – i miał zamiar ich o tym poinformować. Wreszcie jednak pojął, do czego zmierzają, sugerując, że czuje się w pracy za dobrze. Chodziło o Blendę. Jasne, że chodziło o Blendę. Oczywiście nie wypada, by ze sobą romansowali. Niemal się osunął, czując ulgę. Nie mogli powiedzieć tego wprost? Przecież był mężczyzną i mógł to wytrzymać.

– No tak, rzeczywiście. Czuję się tu trochę za dobrze.

Szeryf i Doktor przez chwilę milczeli. Frank też nic nie mówił. Wreszcie Szeryf znów zabrał głos:

– Jak widzisz, jest nas tu tylko dwóch.

Frank rozejrzał się i roześmiał.

– Dwóch? A nie trzech?

– Chodzi mi o to, że Pastor jest na zwolnieniu.

– Odbiło mu?

– Odbiło? O czym ty mówisz, Farrelli? – spytał Doktor.

– A nie znaleźli go przy torach?

– Nikomu nie odbiło. Pastor ma kłopoty z kręgosłupem. Wpadł mu dysk. Wysunięcie jądra miażdżystego krążka międzykręgowego z podejrzeniem ucisku prawego korzenia i zachyłka bocznego. Rozumiesz to, Farrelli?

– Nie chciałem...

– No tak, oczywiście, Farrelli. Ale chcesz dalej pracować jako Pośrednik?

– Jeśli wciąż jestem potrzebny, to...

– Jak mówiłem, mamy niedobory w obsadzie. Na razie więc nie mamy wyboru. To chyba wszystko, Farrelli.

Frank wstał i ruszył do drzwi, niespokojny i zagubiony. Ile razy powtórzyli jego nazwisko, odkąd przyszedł? Co najmniej pięć. A to, że nie mieli wyboru? Czy to oznaczało, że gdyby mogli wybierać, straciłby pracę? Szeryf podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

– Powiedz mi jedno, Farrelli: która wizyta była dla ciebie najważniejsza?

– Steve Miller.

– A co z nim?

– Steve był najważniejszy. I najtrudniejszy.

– Myślisz o tym wieczorze, kiedy powiedziałeś Martinowi, że Steve leży w śpiączce?

– Nie. Kiedy musiałem odłączyć respirator.

Szeryf cofnął rękę.

– Musiałeś? Ktoś cię do tego zmuszał, Farrelli?

– No, nie w takim rozumieniu, ale...

– Nie zrobiłeś tego dla Steve'a?

Frank odwrócił się do Doktora, który drzemał z rękami założonymi na piersi. A więc to tak? Chcieli z niego zrobić kozła ofiarnego, odpowiedzialnego za wszystko, co się działo w Karmack?

– Ale jednak ja to zrobiłem – powiedział.

– I postąpiłeś słusznie, Farrelli. Ale odłączenie Steve'a to nie była praca. Zrobiłeś to w czasie wolnym. Musisz zachować trzeźwą głowę, bo inaczej trzeba będzie poszukać kogoś innego.

– Kogoś innego?

– Na przykład Boba Spencera. On też się starał o to stanowisko.

– Przecież to on uderzył Steve'a.

– Każdy może popełnić błąd.

– I jest zbyt brzydki. Nie mówiliście tak? Jest zbyt brzydki, żeby...

– Może to jednak wcale nie jest taka wada. Widok jego gęby dla wielu osób może być pociechą.

Doktor roześmiał się w swoim kącie.

– Bob Spencer pracuje teraz u Clintstone'a. W jego firmie sprzątającej. Szorują karetkę w Saint Mary's. Niedługo, na miłość boską, wszyscy będziemy żyć z wypadków.

Frank coś sobie przypomniał. Skoro nie mógł romansować z Blendą, ponieważ oboje byli zatrudnieni w Ratuszu, to chyba to samo dotyczyło Szeryfa, chociaż jego sytuacja była jednak nieco inna.

- Jak się miewa Mrs. Stout? – spytał.
- Szeryf spojrział na niego zdziwiony i zaczął obracać kapelusz w palcach.
- Mrs. Stout? A co?
- Chyba nie ma nic dziwnego w tym, że pytam.
- Nie ma?
- Straciła i męża, i syna. I była przy tym, jak załatwiono Steve’a.
- Na pewno wszystko u niej w porządku – powiedział Szeryf.
- No tak. Pan wie najlepiej.

Frank poszedł prosto do swojego pokoju, by dalej zajmować się wpisami do ksiąg. Musiał zebrać myśli, a najlepszym na to sposobem, jak z czasem stwierdził, było ich zapisywanie. Po kolei, jedna po drugiej. Nie mogły cały czas przelewać mu się w głowie. Nie dotarł jednak do sprawozdań. Blenda już siedziała w jego biurze z dwoma chickenburgerami ze Smith’s Diner. Wolałby, żeby tu nie przychodziła, ale nie mógł jej wygonić. Czy musiał wybierać między nią a pracą Pośrednika? Uważał, że ostatnio dokonywał już i tak wielu wyborów, ale jeśli dostanie wypowiedzenie, to co będzie z Blendą? Czy ona zechce mieć dalej do czynienia z bezrobotnym, podstarzałym mężczyzną, który wciąż mieszka u matki? Niezłe zapętlenie. Bez względu na to, za który koniec sznurka pociągał, i tak było źle. Ale myśl o tym, że Blenda swego czasu miała bliski kontakt z Bobem Spencerem, wszystko ułatwiała. Frank zamknął drzwi i wziął się do jedzenia.

- I jak poszło? – spytała Blenda.
- Tak sobie.
- Tak sobie?
- Tak, tak sobie.
- Ale będziesz dalej pracował, prawda?

Frank podniósł głowę i ujrzał jej zatroskane spojrzenie.

- Mark nie żyje – powiedział.
- Kto?
- Mark.
- Kto to jest Mark, Frank?
- Mark Spitz, pływak. Chyba o nim słyszałaś? Siedem złotych medali.
- Nie wiedziałam, że umarł. Kiedy?
- Na olimpiadzie w siedemdziesiątym drugim.
- Chodzi mi o to, kiedy umarł.
- Wczoraj. Zadowolona? Pozbyłem się go.
- Nie rozumiem, o czym ty mówisz, Frank.
- O mojej złotej rybce. Nazwanej po Marku Spitzu. Dostałem ją od ojca na trzynaste urodziny. Bardzo wiele dla mnie znaczyła. Wiesz?

Blenda ujęła jego wolną rękę.

- Bardzo mi przykro, Frank.
- To było cholernie przykre.
- Nie możesz sobie kupić nowej?
- Nowej? Mówisz poważnie?
- Dlaczego jesteś na mnie taki zły, Frank?
- Nie jestem zły na nikogo.
- Ale zły w każdym razie jesteś.
- To oni są źli na mnie.
- Kto?
- Komitet. Dręczyli mnie przez trzy kwadransy.

– Ale ciągle jesteś Pośrednikiem, prawda?

– Tak powiedzieli, przynajmniej na razie.

Blenda przysunęła się bliżej razem z krzesłem.

– Oni cię tylko chcieli przetestować, Frank. Sprawdzić, czy jesteś dostatecznie silny. Czy wytrzymasz. Nie wszyscy wytrzymują, Frank. Pastor na przykład, on...

– Odbiło mu. Powiedziałem im to. Pastorowi odbiło. A oni to tłumaczyli kręgosłupem.

– Ale ty jesteś dostatecznie silny, Frank, prawda?

– Staram się, jak mogę. Ale to wcale, cholera, nie jest łatwe.

Blenda położyła mu teraz rękę na udzie i ściszyła głos, jakby zamierzała wyznać mu tajemnicę.

– Ozdobimy trochę dom Martina? To znaczy twój. Żebyśmy...

– Po co?

– Żebyśmy mogli spędzić tam Boże Narodzenie. Może. To tylko taki...

– Raczej nie. Wydaje mi się to...

– Nie w porządku?

– Mniej więcej.

– Wszyscy wiedzą, jak trudne było to ze Steve'em.

Frank odsunął dłoń Blendy, a resztę burgera wyrzucił do kosza.

– Trudne? Kto tak mówi? Kto mówi, że to było trudne?

– Ja, Frank. Nie...

– Mam ci powiedzieć, jak było? To było łatwe jak cholera. O tak. – Uniósł rękę i udał, że przekręca przełącznik w powietrzu.

– Frank, tak cię proszę...

– To było trudne? Mam ci pokazać jeszcze raz?

– Zachowujesz się paskudnie, Frank!

– Paskudnie? Myślałem, że jestem zły?

– Jesteś paskudny, kiedy tak robisz.

– Wiesz, co myślę? Myślę, że powinniśmy zrobić sobie przerwę.

Nigdy wcześniej niczego podobnego nie powiedział. Po prostu dlatego, że nigdy nie miał takiej szansy. Właściwie przyjemnie było to powiedzieć. Ale jeśli wyobrażał sobie, że Blenda padnie na kolana i będzie błagać o wybaczenie czy o co tam mogła błagać, to się bezwstydnie pomylił. Spojrzała na niego wzrokiem o temperaturze minus ośmiu stopni i spytała:

– Od czego, Franku Farrelli?

Tak więc to Blenda, koniec końców, zrobiła przerwę, a nie Frank. On wprawdzie przez kilka dni chodził z podniesioną głową, próbując się przekonywać, że podjął jedyną słuszną decyzję. Przedłożył pracę ponad życie prywatne. Wziął na siebie odpowiedzialność, bez względu na to, jak bardzo było to bolesne. A było. Najpierw zaczęła marudzić matka. Co zrobił z Blendą? Dlaczego już więcej nie widują tej miłej dziewczyny? Czyżby Frank narobił bałaganu w ostatniej chwili, chociaż już prawie ją złowił? Odparł, że ma dużo pracy. Poza tym to nie czas na rozrywki. Wtedy Mrs. Farrelli postanowiła udzielić Frankowi lekcji: Rozrywki? On uważa, że miłość i to, co się z nią wiąże, to rozrywka? W jego wieku? O nie. Tyle mogła mu obiecać. To męka, ciężka praca, klęski i radość na przemian.

A potem zdarzyło się tak, że pewnego ranka Frank stał obok Szeryfa w toalecie i sikał. Męczył się z wyciśnięciem bodaj jednej kropli, natomiast strumień Szeryfa z głośnym brzękiem uderzał o ściankę pisuaru. Frank zastanawiał się, czy nie wejść do wolnej kabiny, co powinien był zrobić od razu, ale chyba nie wypadało iść tam teraz. Stał więc przy rynnicy na szeroko rozstawionych nogach, napinał się i naciskał, zrozpaczony.

– Myślałem o pewnej sprawie – oświadczył Szeryf.

Frank zgarbił się, uniósł barki, jeszcze bardziej się spiał, ale nic nie pomagało. A teraz w dodatku jeszcze Szeryf zaczął z nim konwersować.

– Chcesz posłuchać, Farrelli? Czy i tak masz już za dużo do przemyślenia?

– Nie. To znaczy, o co chodzi?

– O pisuary. Dlaczego nie da się zrobić pisuaru, do którego można by się wysikać, nie mocząc przy tym butów?

– No tak, to prawda – przyznał Frank.

– Bez względu na to, jak się celuje, człowiek i tak sika na buty.

– Może by odejść kawałek dalej?

– I zamiast tego zasikać podłogę? Na jedno wychodzi. Kiepska propozycja, Farrelli.

Frankowi nic nie przychodziło do głowy, więc milczał. Szeryf skończył, potrząsnął członkiem i zapiął rozporek. Dalej jednak stał, patrząc na Franka, co ten uznał za niestosowne i niepokojące.

– Jakieś trudności? – spytał Szeryf.

Frank się roześmiał.

– Nie, skąd! Takie poranne spowolnienie. Będzie dobrze.

– Miejmy nadzieję. Ale wiesz, co jest najgorsze w tych pisuarach?

– Zapach?

– Najgorsza jest ciasnota, zawsze masz na sobie cudze siki. To jest najgorsze. Cudze siki, Farrelli.

Frank spojrział na swoje buty. Jedna sznurówka moczyła się w lepkiej kałuży. Czy to siki Szeryfa? Zapewne.

– Powiedz, dlaczego pytałeś o Mrs. Stout? – spytał Szeryf.

– Tak jak mówiłem, zastanawiałem się tylko, w jaki sposób...

– Daj spokój, Farrelli. Wiesz dlaczego. Mrs. Stout i ja mamy romans, ale to nie powinno cię obchodzić, tak samo jak mnie nie obchodzi twój romans z Blendą, jasne?

– Tak, jasne.

Szeryf podszedł do umywalki, odkręcił kran i opłukał ręce. W tej samej chwili przez Franka wszystko przepłynęło. Czy poluzowało się w nim za sprawą bieżącej wody, czy słów Szeryfa? Nie wiedział. Zresztą wszystko jedno. Nie przejmował się też tym, że sika na buty. Musiał teraz tylko jak najszybciej złapać Blendę i powiedzieć, że zaszło nieporozumienie, można rzec, w kwestii formalnej, sądził mianowicie, że utrzymywanie bliskich stosunków z innymi pracownikami Ratusza jest wbrew regulaminowi. Ale Blenda nie odbierała, kiedy dzwonił. Nie otwierała, kiedy pukał. Nie zauważała go, gdy czekał pod nieczynnym kinem Majestic, jakby miał jakieś spóźnione spotkanie z dzieciństwa. Odwracała się plecami, kiedy podchodził do niej na stopniach Ratusza, i nie przynosiła mu już burgerów z kurczaka w czasie przerwy na lunch. Frank przestał sypiać, zaniedbał się i zrobił opryskliwy. Miał głęboki dół w sercu. Czy to również miłość? Udręka i ból? Czy miłość to również nieszczęście? Owszem, do takiego wniosku ostatecznie doszedł, spotkało go nieszczęście, wypadek różniący się tym od innych wypadków, że rozciągał się w czasie. Wypadek powolny. Frank pomyślał, że gdyby Steve żył, to mógłby iść z wiadomością do Blendy i przekazać jej, że Frank miał wypadek, na który tylko ona może zaradzić, ale Steve już nie żył, a nawet gdyby żył, wszystko i tak wyglądałoby inaczej. Martwi są marnymi Pośrednikami.

Boże Narodzenie było coraz bliżej i Frank nie mógł już dłużej wytrzymać. Postanowił zostawić Blendzie wiadomość w recepcji. Trudniej było napisać tę przeklętą karteczkę niż całe sprawozdanie. Męczył się godzinami nad właściwym ułożeniem słów i do końca nie był

zadowolony. Ale w pewnym momencie musiał ustąpić. A oto, co zdołał naskrobać: „Kochana Blendo! Mówiąc, że powinniśmy zrobić sobie przerwę, tak naprawdę wcale nie miałem tego na myśli. To było głupie nieporozumienie. Na swoją obronę mogę tylko powiedzieć, że to Komitet wyraził się niejasno i dwuznacznie w związku z tą sprawą. Dużo myślałem o tym, co mówiłaś o przystrojeniu domu Martina na Boże Narodzenie. Może moglibyśmy jednak spędzić w nim święta razem? We dwoje. To znaczy sami. Twój Frank”. Niezauważony, zostawił kopertę z listem na jej miejscu w recepcji. Uważał, że postąpił słusznie. Nie wpadło mu do głowy nic słusniejszego.

Snake River zamarzła, tworząc rąbek ciszy od wschodu. Na zachodzie niebo opadało ostrym niebieskim łukiem i tam schodziło pod ziemię. Od ostatniego wypadku minęło już sporo czasu. Czy tym razem ta sytuacja mogła się utrzymać? Ludzie z wahaniem wychodzili na białe ulice, rozglądali się dokoła. Czy to może być prawda? Czy złe czasy naprawdę minęły? Z uśmiechem podejmowali ryzyko. Nie uśmiechali się jedynie Frank Farrelli i Arthur Clintstone. Ponieważ nikt nie ginął ani ciężko się nie ranił, nie było złych wieści do przekazywania ani brudów do sprzątania. Arthur Clintstone musiał zwolnić Boba Spencera, a wtedy nie uśmiechali się już we trzech. Franka przygnębiał brak zajęć. Otaczała go pustka. A kiedy na dodatek Blendy nie wyszła mu naprzeciw, nie odpowiadała na list, który zostawił jej w recepcji, czuł, że nie warto wstawać rano.

Miało się jednak okazać, że najbardziej wyrafinowany wypadek był jeszcze przed nimi. Ściśle mówiąc, stary wypadek powrócił z podwójną siłą i sobie z nich zadrwił. Oto, co się stało, i przysięgam na Boga, że to prawda: Pewnego dnia rano dziewczyna, którą wszyscy mieli za Marion, uściśnęła rękę wciąż siedzącej przy niej matki, wiernej i już prastarej. Początkowo kobieta w ogóle nie zwróciła na to uwagi, doznała już tylu rozczarowań, że brakowało jej odwagi na to, by jeszcze wskrzesić w sobie nadzieję. Ale Marion ponownie uściśnęła jej rękę i matka, Mrs. Perkins, dostrzegła jakies drgnienie w poszarpanej, zniszczonej twarzy. Po raz pierwszy od wypadku ta twarz zaczęła przypominać człowieka, silną i śliczną dawniej dziewczynę.

– Marion? – szepnęła matka.

Dziewczyna otworzyła okaleczone oczy i spojrzała na kobietę, która trzymała ją za rękę.

– Mama?

To było jej pierwsze słowo. „Mama”. Mrs. Perkins nikogo nie wezwała do sali, nie krzyczała, nie wrzeszczała. Zamilkła. Pragnęła zachować tę chwilę tylko dla siebie, być z nią zupełnie sama. Bo to, co niemożliwe, jak twierdzili wszyscy, Doktor i jej tchórzliwy mąż, sąsiedzi, całe to górniane miasto, mimo wszystko okazało się możliwe. Jej córka powróciła z siedmiodobnej podróży przez krainę niczyją.

– Tak, kochanie. Jestem tutaj. Wszystko będzie...

– Mama – powtórzyła dziewczyna. – Gdzie mama?

– Tu, skarbie. Nie bój się.

Dziewczyna próbowała wstać, ale nie miała siły.

– Dlaczego pani tu jest? – spytała.

– Byłam tu cały czas, skarbie. Całe...

– Nie chcę, żeby pani tu była.

– Już dobrze, dobrze, jesteś bardzo zmęczona i pogubiona, Marion. Wszystko będzie...

– Marion? Gdzie jest Marion?

– To ty jesteś Marion. Jesteśmy w szpitalu. W Saint Mary's Hospital.

Dziewczyna próbowała się odsunąć, ale przytrzymały ją przewody i sondy, bez względu na to, jak mocno się szarpała.

– Nie chcę, żeby pani tu była, Mrs. Perkins.

Powolutku do wiernie czuwającej Mrs. Perkins zaczęło docierać, że to wcale nie jej córka tu leży, tylko Veronica, najlepsza przyjaciółka córki. A to oznaczało, że Marion, ich Marion, nie żyła i leżała na cmentarzu pod nie swoim nazwiskiem na nagrobku.

Mrs. Perkins wypadła na korytarz, wyjąc jak zwierzę, przenikliwie i dziko, po czym osunęła się na kolana i postradała rozum. Jak to się mogło stać? Noworodki nieraz zamieniano, zdarzało się też, że ktoś trafił do niewłaściwej trumny, ale żeby coś takiego? Pomylić żywą osobę ze zmarłą? Okazało się, że wszystko z powodu kurtki, zwyczajnej skórzanej kurtki, która tak spodobała się Marion, że pożyczyła ją od Veroniki, kiedy szły po torach, Veronica natomiast włożyła należącą do Marion bluzę z kapturem. Pozbawione twarzy dziewczyny po prostu wcześniej zamieniły się na okrycia. I to wystarczyło. Wszystko trzeba było robić od nowa, i to szybko. Plotki zaczęły krążyć, jeszcze zanim Doktor dał Mrs. Perkins zastrzyk uspokajający i umieścił ją w izolatce.

Szeryf oczywiście natychmiast zrozumiał, że to oznacza kłopoty. Nad Komitetem zawisło niebezpieczeństwo ośmieszenia. Najistotniejsze było ograniczenie szkód, dlatego należało działać szybko. Frank chętnie powiadomiłby Mr. Perkinsa o tym, co zaszło, wszak to on pojechał do Perkinsów za pierwszym razem, kiedy wszyscy sądzili, że Marion przeżyła, a jej matka zaczęła wierzyć w cuda. Powiadomienie o tym, że dziewczyna nie żyje i że była martwa przez cały ten czas, byłoby godnym zakończeniem tej raczej niegodnej i źle załatwionej sprawy. Zamiast niego jednak to Szeryf pojechał do Mr. Perkinsa, by przekazać mu, że córka się obudziła, lecz niestety, nastąpiła pomyłka, nieporozumienie, i to jednak nie ich córka Marion się obudziła, tylko Veronica. Innymi słowy, to Marion spoczywa na cmentarzu. Czy to jasne? Mr. Perkins nie chciał uwierzyć. Najpierw nie wierzył, że córka kiedykolwiek się obudzi, teraz nie chciał uwierzyć, że nie żyje. Miał do tego pełne prawo. Kto by uwierzył w coś podobnego? „Czy to wymyślił mojej żony?”, spytał. Szeryf musiał mu opowiedzieć wszystko jeszcze raz. Dziewczyny zamieniły się na ubrania, stąd ta tragiczna pomyłka. Mr. Perkins zaczął się śmiać. Siedział na kanapie z ozdobami świątecznymi na kolanach i śmiał się tak, że aż cały się trząsał, od czasu do czasu mamrocząc coś, co brzmiało jak „takie niepotrzebne, takie niepotrzebne”. Szeryf zaczekał, aż Mr. Perkins straci wszystkie siły, w końcu jego skargi ustąpiły same z siebie i zakończyły się westchnieniem, w którym mieścił się cały bezsens objawiający się w Karmack tego dnia. Szeryf chętnie przyłączyłby się i do tych skarg, i do westchnienia. To takie niepotrzebne, takie niepotrzebne. Nikt na to nie zasłużył.

Frank z kolei o tym, co zaszło, miał powiadomić państwa Millsów. Czy przynosił dobrą nowinę? Radosną wieść? Czy w ogóle były jakieś dobre wiadomości i radość w tej beznadziejnej sprawie, która bez względu na to, czy chciano to przyznać, czy nie, miała w sobie element komizmu? Wśród tragizmu prowokowała do śmiechu, trzeba to było przyznać. Życie i śmierć, śmierć i życie zamieniły się na miejsca. Zarówno to, co wysoko, jak i to, co nisko, obróciło się dokoła. Ta, która wróciła do życia, była martwa, ta, która leżała w grobie, żyła. Frankowi kręciło się od tego w głowie. Niczego już nie był pewien i to mu dokuczało. Przydałaby mu się teraz Blenda. Potrzebował jej wsparcia, ale ona miała dość własnych zajęć, wydawała się niedostępna i tajemnicza. Frank nie wiedział nawet, czy przeczytała jego list, a nie mógł o to spytać. To do Blendy należał teraz następny ruch, który jednak nie następował. Frank nie wiedział przecież, czy nie związała się znów z Bobem Spencerem, i już na samą tę myśl dostawał mdłości z rozgoryczenia.

Zaparkował przed bramą, przeszedł przez zmrożony ogród i zapukał. Długo czekał. Zapukał jeszcze raz. We wszystkich oknach były zaciągnięte zasłony. Czyżby nie zastał nikogo w domu? W Karmack zawsze ktoś był w domu. W końcu usłyszał jakieś odgłosy zza budynku. Obszedł go i zastał tam Mr. Millsa, który wśród stosu drewnianych kłoców rąbał drewno. Nie

zauważył nadejścia Franka. Frank obserwował, jak mężczyzna unosi siekiere i atakuje kloc. Przyłapał się na tym, że tęskni za zwykłym wypadkiem, takim, który nie niszczy na zawsze i nie nawiedza później nieszczęśników, lecz da się naprawić, wyleczyć, który minie, tak jak mija czas, wygładzający wszelkie nierówności. Gdyby Mr. Mills odrąbał sobie dwa palce, Frank zdołałby bez wahania powiedzieć jego żonie, co się stało. „Pani mąż na szczęście ma osiem zdrowych palców, Mrs. Mills”. A potem przyjechałby Arthur Clintstone i usunął z drewna krew i paznokcie. Natomiast obecna sytuacja była jednym wielkim bałaganem.

– Mr. Mills?

Mężczyzna nareszcie się odwrócił.

– Słucham?

– Ma pan chwilę?

– Rąbię drewno.

– I słusznie pan robi, Mr. Mills.

– Potrzebujesz drewna? Możesz sobie wziąć.

– Nie po to tu przyszedłem. Możemy wejść do środka?

Mr. Mills porąbał jeszcze kilka kłoców, w końcu rzucił siekiere i ruszył w stronę tylnego wejścia. Z każdego jego kroku przebijała obojętność. Usiedli w salonie, w którym Mrs. Mills leżała wyciągnięta na kanapie i nie chciało jej się nawet spojrzeć, kto przyszedł. Nie miała siły otworzyć drzwi, kiedy Frank zadzwonił. Kto mógł jej czynić wyrzuty? Nikt. Bo niby dlaczego miałyby komuś otwierać? W prostokątnym kominku w kącie palił się ogień. Płomienie wydawały z siebie szum, przypominający daleki odgłos samochodów na autostradzie. Mimo to w pokoju było zimno. W końcu Frank zrozumiał, że to nie jest prawdziwy ogień, lecz imitacja służąca do ozdoby. Wyglądał bardzo prawdziwie, tylko że nie grzał. Państwo Mills nie sprawiali wrażenia ani zaciekawionych, ani odpychających. Była tylko ta obojętność czepiająca się wszystkiego jak obciążnik, który powoli, lecz nieuchronnie wciągał małżonków w czeluść.

– Proszę mnie posłuchać – zaczął Frank. Urwał, bo właśnie w tym momencie uświadomił sobie, że skoro ta dziewczyna się obudziła, tak samo mogło się stać ze Steve'em. Ale Frank odebrał mu tę szansę. A całą winę za to ponosił Bob Spencer. To on wszystko zaczął. To on to wszystko zaczął, powtórzył w myślach Frank i musiał się nachylić, żeby w ogóle móc oddychać.

– Czy mogę dostać szklankę wody?

Mrs. Mills dalej leżała, patrząc na niego zamglonym wzrokiem, ale jej mąż poszedł do kuchni, odkręcił kran, spuszczał wodę przez całą wieczność, lecz w końcu wrócił z brudną szklanką, którą postawił przed Frankiem na stole, a potem osunął się w fotelu i ziewnął. Ale to nie szklanka była brudna, tylko woda. Brunatna i mętna. Zabarwiona od zardzewiałych rur, na których wymianę ani czyszczenie nikogo nie było stać. Frank jednak się jej napił. Kilka razy przełknął ślinę i poczuł pot spływający po karku. Dłonie miał tak wilgotne i śliskie, że musiał trzymać szklankę obiema rękami, aby mu nie wypadła. Zaczął od początku:

– Proszę mnie posłuchać. Sytuacja w sprawie się zmieniła.

– W jakiej sprawie? – spytał Mr. Mills.

– Państwa córki. W sprawie nastąpił zwrot.

Frank czuł, jak słowa zmieniają się w jego ustach. Jak się przekrzywiają i lepią do podniebienia.

– Na lepsze – dodał.

Mrs. Mills z wysiłkiem podniosła się z kanapy i całą głębię pociągnęła za sobą na powierzchnię.

– Co ty mówisz?

– Mówię, że...

– Na lepsze?

– Tak, mam...

– Po co tu przyszedłeś? Przypominasz nam o niej. Nie chcę, żeby mi o niej przypomiano. Nawet nie zdjąłeś butów. Spójrz na podłogę, wszędzie błoto.

Frank odwrócił się do Mr. Millsa, ale nie nawiązał z nim kontaktu wzrokowego. Mężczyzna siedział obojętny, jakby już nic go nie obchodziło. Wolał raczej rąbać drewno do elektrycznego kominka. Frank znów przeniósł wzrok na kobietę.

– Przepraszam, ale...

– Uważam, że powinieneś sobie iść i więcej nas nie dręczyć. Mamy dość...

Frank nie zdołał już dłużej panować nad sobą.

– Do jasnej cholery, dlaczego nie pozwolisz mi powiedzieć tego, co mam do powiedzenia, głupia babo? Twoja córka żyje!

Mrs. Mills nachyliła się nad stołem i uderzyła Franka w twarz. Zdążył jedynie pomyśleć, że teraz i ona postradała rozum. Wszyscy w Karmack tracili rozum. Nastąpiła chwila kłopotliwej ciszy. W końcu, najlepiej jak umiał, wyjaśnił, co się zdarzyło. To była pełna szczegółów, a mimo wszystko prosta historia, chociaż w pewnych punktach niewiarygodna. Dziewczyny zamieniły się na kurtki. Frank dodał, że to godne ubolewania, ale od razu się zorientował, że źle się wyraził. Ubolewania? Nie przyszedł tu, żeby ubolewać, tylko by zachwycić, prawda? Był Pośrednikiem, który nareszcie przyniósł dobre wiadomości. Marion Perkins leżała w ziemi pod cudzym nazwiskiem, Veronica, ich córka, czekała na nich w Saint Mary's. Pojechali tam. Bez śladu radości, ulgi czy wdzięczności. Frank nie mógł zrozumieć tych ludzi. Po drodze Mrs. Mills powiedziała, że muszą zacząć od nowa i że teraz, kiedy prawie już zdołali pogodzić się z losem, znów zjawił się ten cholernie obowiązkowy Frank Farrelli i rozdrapał stare rany. Nie, nie mógł ich zrozumieć. Pojął już, że każdy człowiek przeżywa żalobę na swój sposób, ale czy radość przejawia się w równie wielu formach?

– Veronica żyje – powtórzył.

Ktoś jednak był na tyle bezrozumny, że dał jej lusterko. Po wielu trudach zdołała je unieść. Kiedy zobaczyła siebie, zabroniła, by oglądał ją ktokolwiek inny, w tym rodzice. Szlochała: „Gdzie jest moja twarz?”. Nie okazała też żadnej radości z tego, że nie jest martwa. Miała osiemnaście lat, a jej życie się skończyło, mimo że się obudziła. Bo do takiego życia nie warto było się budzić. I tak jak tamtego wieczoru na torach, kiedy zamieniły się na kurtki, zapragnęła jeszcze raz zamienić się z Marion. Wolałaby leżeć w grobie, niż żyć z taką twarzą, która twarzą nie była i której nikt nigdy nie pokocha ani nie pocałuje.

Frank wrócił do Ratusza. Wściekłość utkwiała w nim na dobre. To była wielka wściekłość. Kierowała się we wszystkie strony. Musiał zebrać myśli. W recepcji natknął się na Blendę, chociaż najchętniej by tego uniknął. Teraz jej nie potrzebował. Nie był gotowy.

– Ależ to straszne, Frank!

– Rzeczywiście, można tak powiedzieć.

– Jak to się mogło stać?

– Mogło. Wszystko się może stać. Cholera, nie ma granic tego, co się może wydarzyć!

Blenda odczekała chwilę.

– Dostałam zresztą twoją wiadomość.

– Aha?

– Niedługo święta.

– Jestem teraz dość zajęty – powiedział, ale nie ruszał się z miejsca.

– To straszne – powtórzyła Blenda.

– Dla kogo?

- Dla kogo?
- Tak. Dla kogo to najstraszniejsze?
- Pokręciła głową.
- Przypuszczam, że dla rodziców Marion.
- A więc nie dla mnie?

Zszedł do piwnicy i został w swoim pokoju do późnej nocy. Wściekłość nie ustępowała. Rosła. Odebrał Steve'owi szansę na powrót do życia. Ktoś musiał za to zapłacić. W sprawozdaniu zapisał tylko jedno słowo: „Chaos”. Musiał to jakoś uporządkować. Prędzej czy później musiał to zrobić.

Najpierw usunięto nagrobek. Był oporny jak ząb trzonowy, ale w końcu za pomocą traktora i łańcucha wyrwano go z ust zimnej ziemi, a następnie wywieziono na wysypisko, gdzie marmur, litery i datę zmieniono w pył. Potem przysła kolej na trumnę. Zrodził się dziwaczny konflikt. Część ludzi uważała, że wystarczy położyć nowy kamień z właściwym nazwiskiem, czyli Marion Perkins; wśród nich byli Szeryf i Doktor. Chcieli, by ta sprawa jak najszybciej odeszła w niepamięć. Szeryf zresztą przy tej okazji wyraził się bardzo niezręcznie. Powiedział, że chce zamknąć wieko tej sprawy. Łatwo było użyć niewłaściwych słów, bo nic tu nie było właściwe. Słowa należało ważyć, znaczenie miał każdy najmniejszy gram. Rodzice Marion sprzeciwili się jednak takiemu rozwiązaniu. Zażądali wyjęcia trumny z ziemi, tak by ich córka mogła mieć godny pogrzeb, a nie maskaradę, do jakiej doprowadził Komitet. Przecież ona w zasadzie nie została pochowana. Leżała w grobie jako pasażer na gapę. Należało wezwać Pastora, nie bacząc na jego zwolnienie. Chodziło nie tylko o kwestie praktyczne, lecz również o teologię. Pastor wreszcie przyszedł, błydy i wychudzony, i przyznał rację rodzicom. Marion należało urządzić przyzwoity pogrzeb, z zachowaniem właściwych ceremonii. Święte słowa należało cofnąć i wygłosić na nowo. Pastor pomodlił się za wycieńczoną duszę Marion i wszystkie wycieńczone dusze Karmack. Grób otwarto nocą, żeby nie wzbudzać sensacji. Niewiele to pomogło. Sensacja już została wzbudzona. Bez względu na to, jak się starano wyciszyć skandal, plotki o dwóch zamienionych dziewczynach zdążyły się już roznieść nie tylko po Karmack, lecz również po całym kraju. Wszyscy chcieli poznać szczegóły. Do miasta płynął strumień dziennikarzy, reporterów, adwokatów, ciekawskich i wszelakiego pospólstwa. Gdyby policzyć, ilu ludzi znajdowało się w Karmack w tych dniach, na tablicy stojącej przy granicy miasta trzeba by dopisać przynajmniej setkę. Wszyscy wiedzieli, że to nie potrwa długo, ale przez pewien czas wyglądało to naprawdę na odrodzenie, do którego co prawda doszło w wyniku makabrycznego nieporozumienia. Otwarto hotel, by przyjezdni mieli gdzie nocować. Przygotowano wydanie specjalne „The Record” z najświeższymi informacjami dotyczącymi całej sprawy. W The Smith's Diner ruch był od rana do wieczora. W kinie Majestic puszczano stare filmy, żeby ludzie mogli zająć się czymś innym, a nie tylko życiem i śmiercią. Zapalono uliczne latarnie. Całe Karmack pławiło się w świetle reflektorów przez te krótkie dni przed Bożym Narodzeniem. A Komitet raz po raz musiał się tłumaczyć z popełnienia fatalnego błędu. Równie wiele razy członkowie Komitetu powtarzali: „Dziewczyny zamieniły się na kurtki, a skoro rodzice nie mogli rozpoznać własnych córek, to kto miał to zrobić?”. Nikomu nie można było czynić wyrzutów. Nikomu nie można czynić wyrzutów, myślał Frank. Nigdy nikomu nie można niczego zarzucić. Był na cmentarzu tamtej nocy, gdy wyciągano trumnę z czarnej dziury. Wzdłuż płotu i za bramą zgromadzili się ludzie, mieszkańcy i obcy. Trzaskały lampy błyskowe aparatów, zostawiając niebieskie blizny na cienkiej pokrywie śniegu. Dlaczego z nim nikt nie rozmawiał? Dlaczego nikt nie chciał przeprowadzić z nim wywiadu? Uważał, że przynajmniej na tyle zasłużył. Przecież tkwił w samym środku sprawy, z całym tym bólem, jaki się z tym wiązał. Zamiast tego podszedł do niego Bob Spencer, który uczestniczył w pracach przy grobie.

Potrzebował tej nędznej zapłaty, jaką dostał za ten wysiłek, bo u Clintstone'a nie było co robić. Inne wypadki pozwalały bowiem wciąż na siebie czekać. W Karmack po tej nieszczęsnej pomyłce nie było już miejsca na nic więcej. Twarz Boba Spencera była brzydsza niż kiedykolwiek.

- Co słysząc u Blendy? – spytał.
- No właśnie, co słysząc u Blendy?
- Pewnie nie masz teraz za dużo wolnego?
- Nie mam?
- Skoro tak się wygłupiliście.
- Wygłupiliśmy?

Frank ruszył w stronę furtki. Nie chciał mieć nic wspólnego z tym dupkiem. Duppek ruszył za nim.

- Ale mogło być o wiele gorzej, Farrelli. O wiele gorzej.
- Mogło?
- Mogliście pogrzebać tę, która żyje!

Bob Spencer roześmiał się głośno, co było zupełnie nie na miejscu.

Frank nie poszedł na pogrzeb Marion Perkins, który był dokładną kopią tego poprzedniego, tyle że nazwisko zmarłej tym razem było poprawne. A umęczony Pastor mógł z jeszcze większym zaangażowaniem powtórzyć swoje pełne rozpacz słowa: „bezsensowne”. W ciągu tej godziny, jaką zajęło pogrzebanie Marion, między czwartą a piątą w dzień poprzedzający Wigilię, w całym Karmack zapanowała głucha cisza. Frank Farrelli siedział w swoim biurze, a jego wściekłość tylko narastała. Nie mógł się jej pozbyć. W końcu poszedł do domu i zadzwonił do Arthura Clintstone'a.

- Mówi Frank.
- Jaki Frank?
- Frank Farrelli.
- No tak, jasne. Masz jeszcze jakieś dobre wiadomości, Frank?
- Pamiętasz, co powiedziałeś?
- Co powiedziałem? Nie, nie pamiętam. Tyle rzeczy mówię.
- Powiedziałeś, że jesteś mi winien przysługę.
- Może i tak, skoro tak mówisz.
- I teraz chcę cię o nią prosić.
- Co mogę dla ciebie zrobić, Farrelli?
- Pobij Boba Spencera.

Na drugim końcu zapadła cisza.

- Dlaczego?
- Bo on pobił Steve'a Millera. Zasługuje na to.
- Bob u mnie pracuje, Frank.
- Myślałem, że jest na urlopie bezpłatnym.
- Rzeczywiście. Ale jednak.
- Więc nie chcesz wyświadczyć mi przysługi?
- Chcę. Nie o to chodzi.
- No to proszę cię o przysługę.
- A nie mogę zrobić czegoś innego?
- Nie tym razem.
- Nie tym razem? Z tego, co pamiętam, obiecałem ci tylko jedną przysługę.
- Czyli pamiętasz.

- Cholera, dlaczego sam tego nie zrobisz, Farrelli?
- Zastanów się. Nie wypada.
- Nie wypada?
- Jestem członkiem Komitetu, Clintstone.
- Wystarczy, że dam mu w gębę?

Frank przez chwilę się zawahał. Czy to sprawiedliwa cena dla Boba Spencera za wszystko, czemu jest winien? To, że Arthur Clintstone da mu po gębę? To niewątpliwie niska cena. Frank najbardziej chciał, żeby Bob Spencer zaliczył cios odpowiadający temu, który sam posłał Steve'owi, a jeszcze lepiej żeby przewracając się, uderzył się w głowę, zapadł w śpiączkę, zmienił w warzywo i leżał tak, dopóki ktoś nie zatrzyma maszyny łączącej go z żalonym, nieosiągalnym życiem. Czy gdzieś w Biblii nie napisano: „Oko za oko, ząb za ząb”? W rozumieniu Franka chodziło tu o coś w rodzaju równowagi; cios trzeba odwzajemnić takim samym ciosem, aby utrzymać spokój i porządek. To jak odpowiednie rozstawienie ładunku na statku. Jeśli się tak nie stanie, Frank przechyli się na jedną burtę, przewróci i już nigdy nie trafi z powrotem na właściwy kurs. Ale Arthur Clintstone nie był szczególnie chętny do współpracy, nie chciał posunąć się dalej niż do wymierzenia policzka. Tak czy inaczej Bob Spencer się zdziwi, a to lepsze niż nic.

- Okej, możesz dać mu w gębę.
- Powiem, że ty mnie o to poprosiłeś. Żebyś wiedział.
- Powiedz, co chcesz, tylko potem do mnie zadzwoń.

Frank odłożył słuchawkę i czekał. Był sam w domu na April Avenue. Mark nie żył. Frank chodził z pokoju do pokoju. Kiedy będzie już po wszystkim, pójdzie do Blendy i uporządkuje ich relację. Minęła siódma, wtedy zaczął się martwić. Na to, żeby dać Bobowi Spencerowi po gębę, nie potrzeba chyba aż tylu godzin. Musiał jakoś zająć czas. Uświadomił sobie, że już nazajutrz Wigilia, a matka nie zawiesiła ani jednej gwiazdy. Miała co robić w hotelu, kiedy do Karmack napłynęli wszyscy ci wydrwigrosze, którzy chcieli się obłowić kosztem dziewczyn. Ale to niedługo się skończy. Frank poszedł do szopy poszukać pudła z ozdobami świątecznymi. Nie znalazł go. Wrócił do domu i zaczął przeszukiwać kuchnię. Tu też nie było żadnych ozdób. Zirytował się. Miło byłoby trochę przystroić dom przed powrotem matki. Nigdzie nie było już porządku. Wreszcie odezwał się telefon. Dzwonił Arthur Clintstone. Frank usłyszał ciężki oddech i ściszony, niewyraźny głos.

- Poszło trochę nie tak, Frank.
- Nie tak?
- Wydaje mi się, że musisz przyjechać i sam to zobaczyć.
- Gdzie jesteś?
- Stoimy pod Miller's Auto.
- Nie chcę rozmawiać z Bobem.
- To byłoby raczej trudne, Farrelli. Przyjedziesz?

Frank podjechał pod Miller's Auto. Nie miał dobrych przeczuć. Zaparkował przed furgonetką Arthura i na przednim siedzeniu dostrzegł dwie postacie: Arthura i Boba. Wysiadł z samochodu. Arthur wysiadł z furgonetki. Bob na szczęście nie ruszył się z miejsca. Zasnął czy zemdłał? Frank wskazał przednią szybę.

- Co z nim?

Arthur próbował zapalić papierosa, ale tak mu drżały ręce, że w końcu zrezygnował. Miał zadrapanie na policzku i skórę rozciętą nad lewym okiem. Wyglądał nędznie pod każdym względem.

- On nie żyje, Frank.

- Nie żyje?
 - Tak, do jasnej cholery! Bob Spencer nie żyje!
 - Nie żyje! Przecież nie chodziło o to, do diabła, żebyś go zabił!
- Arthur złapał Franka i przyciągnął go bliżej.
- Jesteśmy w to obaj tak samo wplątani. To ty kazałeś mi to zrobić!
 - Nie prosiłem cię, żebyś go zabijał!
 - Myślisz, że zrobiłem to celowo, co?
 - Nie wiem, Arthur. Jak to się stało?

Arthur wreszcie go puścił i przysiadł na stopniu furgonetki.

– Poprosiłem Boba, żeby się tu ze mną spotkał. Pewnie myślał, że chodzi o jakąś robotę. Przyszedł, wszedł do wozu i spytał, w czym rzecz.

- I co było dalej, Arthur?
- Powiedziałem, że niestety muszę mu dać po gębie. Frank Farrelli mnie o to prosił, dorzuciłem. No i dałem mu po gębie. Niezbyt mocno. Ale Bob nie mógł się z tym pogodzić i walnął mnie. To znaczy inaczej niż ja jego, bo użył zaciśniętej pięści, no nie? A ja musiałem się bronić, no nie? I nagle wciągnął powietrze z takim cholernym świstem i umarł.
- Pewien jesteś?
- Czego?
- Tego, że umarł.

Arthur Clintstone wstał. Obeszli furgonetkę od strony pasażera. Przyjrzeni się Bobowi Spencerowi. Siedział odchyłony do tyłu, siny na twarzy, z połową języka wystającą z ust. Bob Spencer nie żył. Ta kwestia była rozstrzygnięta. Frank nie czuł zbyt wielkiego żalu. Komu będzie go brakować? Prawdopodobnie nikomu. Czy Karmack, albo świat, jeśli chodzi o ścisłość, stanie się gorszym miejscem, bo Boba Spencera już nie będzie? Frank szczerze w to wątpił. Bob Spencer dostał to, na co zasłużył.

Arthur zaczął krążyć tam i z powrotem, kopał w dekle od kół i zawodził.

- Co my, do cholery, teraz zrobimy, Frank? Co my zrobimy?
- Na pewno nie możemy wpadać w panikę. I nie rycz tak głośno.

Arthur Clintstone zasłonił usta ręką i spojrzał na April Avenue, gdzie wszystkie światła wygaszono i nie było widać żywej duszy.

- Możemy go wrzucić do rzeki – szepnął.
 - Zamarzła. Poza tym jest tam już Steve. Uważasz, że tak wypada?
 - No to wymyśl coś lepszego. Nie mam czasu tak tutaj stać. Dzieci na mnie czekają!
- Niech cię diabli porwą, Farrelli! Wiedziałem, że oznaczasz kłopoty.

Frank poczuł się urażony.

- Ostatnio wcale tak nie mówiłeś. To ty oznaczasz kłopoty, Clintstone.
- Musimy się go pozbyć.
- Albo porozmawiać z Szeryfem.
- I co będzie, jak porozmawiamy z Szeryfem?
- Możesz powiedzieć, że to był wypadek.
- Ja? Ja tak mogę powiedzieć? A co z tobą?
- Przecież ja nie tknąłem Boba Spencera.
- Powiem, że to na twoje zlecenie. Wszyscy wiedzą, jak się układa między tobą a Bobem Spencerem.

Teraz przyszła kolej Franka na to, by usiąść na stopniu furgonetki. Szeryf nie był głupi. Potrafił dodać dwa do dwóch. Frank wiedział, że ich sytuacja wisi na włosku. Wybuchłby kolejny skandal. Reporterzy i wężyciele mogliby się znów pojawić. Ich życie wywrócono by na

lewą stronę, a tego niczyje życie nie znosi. Frank wstał i pięścią uderzył w boczne lustro. Pękło. Wyglądało teraz jak oprawiona w ramki pajęczyna. Arthurowi wreszcie udało się zapalić papierosa.

– Niech cię diabli porwą, Farrelli, naprawdę!

Frank spojrzął na swoje zakrwawione palce i nagle ogarnął go spokój. Nie bardzo wiedział, z czego to wynika i skąd ten spokój się wziął, ale czuł się tak, jakby wszystkie kawałeczki ułożyły się na swoich miejscach. Nie robił tego dla siebie, robił to dla Steve'a – i nie tylko dla niego, również dla Blendy. Wyświadczał im przysługę, działał w służbie zarówno żywych, jak i zmarłych. W sumie całe Karmack mogło mu dziękować. Robił to dla miasta.

– Co się teraz stanie? – szepnął Arthur. – Co się teraz stanie?

– Patrz – powiedział Frank.

Znalazł w warsztacie jeszcze jeden pusty kanister, napełnił go benzyną i schował na tyły furgonetki. Wsiedli. Bob Spencer siedział między nimi. Ze zgaszonymi światłami podjechali pod dom Martina Millera, który był teraz własnością Franka, własnością, która sprawiała mu jedynie kłopot. Na zakręcie przed rzeką Bob Spencer nagle poleciał do przodu i walnął czołem w deskę rozdzielczą. Z ust wypłynęła mu krew, kawałek języka przypominający czerwonego ślimaka upadł na udo Franka. Strząsnął go z nogi. Arthur o mało nie wjechał do rowu, ale odzyskał panowanie nad kierownicą. Niemożliwe jednak było posadzenie trupa prosto. Gdyby ktoś ich teraz zobaczył, co by pomyślał? Że Bob Spencer śpi czy że jest pijany? Prawdopodobnie to ostatnie. Ale nikt ich nie widział, w każdym razie oni nie widzieli nikogo. Grobowa ciemność po pogrzebie Marion wciąż trwała.

– Nigdy się z tego nie wyplączemy, Frank. Nigdy.

– Masz jakąś lepszą propozycję?

– Wszystko zaczęło się już układać i nagle takie gówno. Cholerne gówno. Niech cię diabli porwą, Farrelli!

– Już to mówiłeś.

Zbliżali się do gospodarstwa. W powietrzu wirował śnieg. I dobrze, przynajmniej przysypie ich ślady. Arthur zaparkował przy bramie.

– Wydaje mi się, że widziałem światło.

– Gdzie?

– W tym oknie pośrodku.

Chwilę posiedzieli, wpatrzni w dom. Wszędzie ciemno.

– Coś ci się przywidziało.

– Chyba tak.

Bob Spencer wydał z siebie obrzydliwy dźwięk. Martwy Bob Spencer siedział i się trząsł. Frank w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi. Czyżby Bob Spencer jednak nie umarł? Wreszcie zrozumiał. Kabinę wypełnił smród gorszy od amoniaku. Bob Spencer opróżnił się, chociaż był martwy. Frank otworzył drzwi i wytoczył się na zewnątrz, oddychając głęboko; chłonał zimny mrok, aż w końcu zakręciło mu się w głowie i musiał przykucnąć, żeby nie upaść. Arthur zrobił to samo. Minęła chwila, zanim znów mogli działać. Frank poszedł do szopy po taczkę i po wielu trudach udało im się wreszcie umieścić w niej Boba Spencera. Kanister z benzyną Frank postawił między jego nogami. Gorzej było przewieźć go do domu. Arthur pchał, a Frank ciągnął. Ale na śliskiej ziemi kilka razy się staczali i musieli zaczynać od początku. Tak to trwało. Śmierć trudno było ruszyć z miejsca. Wreszcie dotarli do celu. Teraz pozostawało jeszcze tylko pokonać trzy krzywe stopnie na werandę. Nagle Arthur się wyprostował.

– Wydawało mi się, że coś słyszałem, Frank.

Słuchali w ciszy. Kiedy nasłuchujesz, zawsze da się coś usłyszeć – łamiącą się gałązkę,

jakieś zwierzę, które żyje w ciemności, wiatr, a przede wszystkim czarną wodę, płynącą pod lodem z hukiem przypominającym grzmot. Właśnie to usłyszeli.

– Przesłyszałeś się – stwierdził Frank.

– Pewnie tak.

– To nic nie było, tylko rzeka.

– Tak, tylko rzeka.

Zaciągnęli Boba Spencera na werandę i posadzili go w fotelu, w którym dawniej siadywał Martin. Arthur uważał, że Frank sam sobie poradzi z resztą, i pospiesznie wrócił do furgonetki. Frank położył pustą butelkę po piwie Bobowi na kolanach, benzyną polał jego buty i podłogę wzdłuż futryny aż do schodów. Ale kiedy miał to wszystko podpalić i pozbyć się Boba Spencera, a także tej rudery, której właścicielem nigdy nie chciał zostać, nie znalazł nic, czym mógłby skrzesać ogień, a nie miał siły wchodzić do środka, by szukać zapalek czy zapalniczki. Nie miał też ochoty przeszukiwać kieszeni Boba Spencera. Dopiero teraz Frank poczuł panikę. Teraz on też słyszał i widział różne dziwne rzeczy. Potykając się, pobiegł do furgonetki, w której Arthur w pełnym stroju ochronnym z głową między siedzeniami i nogami w górze usuwał krew, gówno i inne ślady.

– Zapalniczka! – wrzasnął Frank.

– Gdzie, u diabła, jest język Boba?

– Olej to teraz!

– Nie będę jeździł z połową jego języka w samochodzie!

– Zapalniczka, Arthur!

– W kieszeni kurtki! Niech cię diabli porwą, Farrelli! Teraz kiedy wszystko zaczęło się układać!

Frank wreszcie znalazł zapalniczkę, ale kiedy miał znów pobiec do domu, aby mieć to wszystko już za sobą, zabrakło mu sił. Ruszył wolnym, ciężkim krokiem, a w tym czasie, którego potrzebował na przejście, mieściło się więcej niż całe jego życie. W jaki sposób tu dotarłem, pytał sam siebie w myślach. Nie miał pojęcia. Tak się po prostu stało. Ale nic nie staje się ot, tak. Wszystko zaczyna się od czegoś. Wszystko musi się od czegoś zacząć, żeby ruszyć. Czy to się zaczęło, kiedy dostał pracę Pośrednika? Czy od tego momentu toczyło się równo wprost w tę nierzeczywistą noc? Czy może wtedy, kiedy ojciec spadł z drabiny i nadział się na kosę, którą ktoś tam położył? A może kiedy zamknięto stację, a on stał się jedynie niepotrzebną istotą patrzącą na przejeżdżające pociągi? Wszystko jedno. Nie czuł już żadnej wściekłości. Miał wrażenie, że ktoś odkręcił kran w jego wnętrzu i teraz sam z niego wyciekał. Musiał powtórzyć to, co myślał. Musiał przemyśleć jeszcze raz to, do czego doszedł. Że robi to dla Karmack. Tak, dla świata. Dla tego świata, do którego się trafia po opuszczeniu Karmack. Wreszcie mógł usiąść na werandzie i chwilę odpocząć. Księżyc zalał blaskiem zakończenie tego przedstawienia. Teraz tylko syfiastej gęby, Boba Spencera, nie ma w domu. Frankowi wydało się, że słyszy śmiech Steve'a. Znajdował w tym jakiś sens. Zaraz jednak przestał go słyszeć i chwilę siedział, wsłuchując się w rzekę, która wciągała wspomnienie Steve'a pod lód, w grzmot milknący w zniszczonym świetle, które księżyc ciągnął za sobą, dopóki i ono nie zlało się z otaczającą ciemnością. Bob Spencer osunął się w fotelu. Mróz zapiekł na jego twarzy biały uśmiech. Połówka języka wciąż wystawała z kącika ust. Benzyna kapała ze schodów zrobionych z podkładów kolejowych i bocznych torów. Frank podsunął płomień zapalniczki do kropli, a w chwili gdy ogień buchnął ku butom Boba Spencera, Frank się odwrócił i ruszywszy w stronę samochodu, poczuł uderzenie gorąca na plecach. Śnieg zabarwił się na pomarańczowo, niebo także. Arthur Clintstone siedział już w pogotowiu za kierownicą, wciąż w białym kombinezonie zapinanym na suwak, z kapturem. Wyglądał w nim jak astronauta. Wracamy do domu

z Księżyca, pomyślał Frank i wsiadł. Obaj zerknęli jeszcze na dom, niebędący już domem, tylko czarnym ogniskiem, które wkrótce miało się zawalić i zmienić w kupę popiołu i sadzy. Odjechali. Na zakręcie w pobliżu rzeki Frank poprosił, żeby Arthur zwolnił. Chciał sprawdzić, czy biały żagiel ciągle tu jest, może wmarzył w rzekę. Nic nie było widać.

– Teraz dusza Steve’a jest wolna – oświadczył Frank.

– Cholera, nie gadaj tak. Straszysz mnie.

Arthur znów przyspieszył i nie odzywali się już, dopóki nie dotarli do Miller’s Auto. Dochodziła już jedenasta. Frank wygramolił się z samochodu i wtedy dostrzegł ten kawałek języka Boba Spencera. Leżał przy drażku zmiany biegów.

– To jest resztką Boba Spencera – powiedział.

Arthur tylko gapił się przed siebie.

– Jeśli ktoś spyta, wyśpiewam wszystko. Żebyś wiedział, Farrelli.

– To ty go zabiłeś. Ja ci tylko pomogłem pozbyć się ciała.

– To ty mi kazałeś to zrobić.

– Znów zaczynasz od początku? Poprosiłem tylko, żebyś dał mu po gębie.

– Po gębie? Mówiłeś, że mam go pobić. To ja zaproponowałem, że go spoliczkuje.

– Niech ci będzie, Clintstone.

Rozjechali się w różne strony i już nigdy ze sobą nie rozmawiali.

Frank najpierw pojechał do Blendy. Musiał jej powiedzieć, co się stało. Dom Martina spłonął. Nie, ich dom spłonął. Z całą pewnością można było dostać jakąś sumkę z ubezpieczenia, bo skoro odziedziczył dom, to musiał odziedziczyć również ubezpieczenie. Będą teraz mogli wyrwać się z tej dziury. A ona odpowie, że Frank mówi dokładnie tak jak w tych starych filmach, których dźwięki dobiegały spod jej łóżka, gdy była mała, leżała na nim, marzyła i nie mogła spać. Ale wyjechać z nim z tej dziury na pewno zechce. I to od razu, już tej nocy. Tak sobie to wyobrażał Frank, jak scenę kończącą film, i wszystko jedno, jaki był, dobry czy zły, byle tylko zakończenie trzymało się kupy, a to już było zakończenie i trzymało się kupy naprawdę świetnie.

Nikt nie otwierał. Zadzwoił jeszcze raz, z takim samym rezultatem. Zszedł na dół i stanął na chodniku na ciemnej ulicy. Po pewnym czasie zrobiło mu się zimno. Zaczął zabijać rękę, aż w końcu zadał sobie pytanie, dlaczego nie zaczeka na klatce schodowej albo w samochodzie. To go wystraszyło. Robił niepotrzebne rzeczy. Usiadł za kierownicą, którą ledwie mógł utrzymać, i pojechał do Ratusza. Tam również nie było Blendy. W końcu zawrócił na April Avenue. Matka też jeszcze nie przyszła. Rozebrał się, wepchnął brudne ubranie do pralki i długo stał pod prysznicem, jakby nie mógł się domyć. Oczyszczył ranę na dłoni i przejrzał się w lustrze. Czy tej nocy stał się kimś innym? Nie dostrzegał różnicy. Potem usiadł przy kuchennym stole w szlafroku i wypił piwo. To się nie stało, pomyślał. Bob Spencer nie umarł. Dom Martina nie spłonął. Nie mógł się jednak pozbyć z ciała ciężkiego chłodu. Dochodziła już druga, gdy matka wróciła.

– Gdzie byłeś?

– W hotelu. Nie dotarło do ciebie, że otworzyli?

– Dotarło. Dla wszystkich idiotów, którzy nagle stwierdzili, że Karmack to interesujące miejsce.

– Ci wszyscy idioci zostawiają tu pieniądze. To też do ciebie nie dotarło?

– Mogliby się trzymać z daleka, okazać trochę szacunku Marion. I Veronice. Mogliby okazać trochę szacunku nam wszystkim.

– Co jest z tobą, Frank?

– Nic. Dlaczego pytasz?

Matka odwiesiła płaszcz, ciężko opadła na krzesło i popatrzyła na Franka wzrokiem,

którego nie rozpoznawał. Czy to ona zmieniła się w ciągu tej nocy? Czy właśnie tak było, że zmieniali się wszyscy oprócz niego? W takim razie Blenda też pewnie się zmieniła, prawdopodobnie nie chciała już mieć z nim do czynienia. Franka przeraziła ta myśl.

– Ostatni i tak już wyjechał – powiedziała matka.

– Dzięki Bogu.

– Za co?

– Za to, że ostatni wyjechał.

– Dla mnie mogliby tu jeszcze przez jakiś czas zostać. – Położyła na stole całkiem grubą plik banknotów. Frank przez chwilę milczał, próbując obliczyć, ile tego może być. Niemało. Dużo jak na kilka dni pracy.

– Mam nadzieję, że nie chciałaś się im przypodobać.

– Przypodobać? O co ci chodzi?

– Dobrze wiesz.

– Nie wiem, Frank. Powiedz, co masz na myśli.

– Że nie rozpuściłaś języka, jak masz w zwyczaju.

– O czym miałabym z nimi rozmawiać?

Frank patrzył, jak matka podchodzi do szafki i chowa pieniądze do pudełka po ciastkach.

– Na przykład o mnie.

Roześmiała się i z powrotem usiadła.

– O tobie? Dlaczego miałabym o tobie rozmawiać?

– Uważasz, że to by było takie dziwne?

– Owszem, tak uważam.

Frank znów poczuł się urażony. Czy nikt nie rozumiał, przez co przechodził? Nachylił się nad stołem.

– To przecież ja musiałem przekazać wiadomość rodzicom. Za każdym razem. Więc chyba nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby ktoś chciał porozmawiać również ze mną, prawda?

– Ale nikt nie chciał, Frank.

– A powiedzieć ci dlaczego? Bo nikt o mnie nie wiedział. Nikt nie wiedział, co robię. Ty też nie wiesz.

– Czego nie wiem?

– Nie wiesz, jak to jest, kiedy się przynosi takie wiadomości. To boli. Mnie to tak samo boli.

– Chyba gorzej jest tym, którzy je dostają. I czy ciebie nie obowiązuje tajemnica? Tyle o tym krzyczałeś, kiedy dostałeś tę pracę.

Frank się poddał. Nikt i tak niczego nie rozumiał. Nie pojmował, jaki ciężar spoczął na jego barkach. Nie rozumiała tego nawet rodzona matka.

– Idź spać – powiedział.

Popatrzyła na niego.

– Gdzie byłeś?

– A jak myślisz?

– Czuć od ciebie benzynę.

Frank wstał, szybkim ruchem potarł twarz i też poczuł ten zapach.

– Byłem w warsztacie.

– Po co tam poszedłeś?

– Jest mój. Odziedziczyłem go, zapomniałaś już?

– Jesteś pewien, że nie byłeś u Martina?

Frank podszedł do okna. Stąd nie było widać gospodarstwa, ale żółta poświata jakby

przykleiła się do nieba na wschodzie. Tylko to sobie wmawiam, pomyślał. To świt. Niedługo będzie ranek.

- Co miałbym tam robić?
- A nie odziedziczyłeś też gospodarstwa?
- Owszem. I co z tego?
- Nic.

Frank odwrócił się do matki i uderzył w stół.

- Cholera, powiedz, o co ci chodzi!
- Zrobię ci kawy.

Podgrzała resztkę, która została ze śniadania, i naląła do dwóch filiżanek. Frank usiadł i pociągnął łyk. Kawa miała gorzki smak, usta jakby wypełnił mu metal. Wściekłość przygasła. Prawie całą już zużył. Był jak dziecko, zbyt zmęczone, żeby się złościć.

- Widziałaś może Blendę? – spytał.
- Chciałbyś to wiedzieć.
- Nie możesz mi zwyczajnie odpowiedzieć?
- Mogę ci zdradzić, że zajrzała tu dzisiaj.
- Tutaj?
- Tak jak powiedziałam, Frank.
- Po co przyszła?
- Tego nie mogę powiedzieć – droczyła się z nim matka.
- Nie możesz? Dlaczego nie możesz tego powiedzieć?
- Bo to tajemnica.
- Ty i Blenda macie jakieś tajemnice?
- Może tak, może nie.

Gdyby nie był aż tak zmęczony, jeszcze raz uderzyłby w stół.

- Ty i tak nigdy nie umiałaś dochować tajemnicy.
- Co ty o tym wiesz, Farrelli junior? – Nakryła dłonią rękę Franka. – Musisz być miły dla Blendy. To dobra dziewczyna.

Frank znów zareagował wzmożoną czujnością.

- Powiedziała coś jeszcze? Mówiła, że nie jestem dla niej miły?
- Co sobie zrobiłeś w rękę?
- W rękę?
- Biłeś się?

Frank spuścił wzrok, kiedy matka się odsunęła. Zobaczył, że między kostkami dłoni ścieka mu strużka krwi.

- Dobrze wiesz, że się nie biję. To Steve się bił.
- No to co zrobiłeś?
- Mówiłem, że byłem w warsztacie. Musiałem się skaleczyć, kiedy coś przesuwalem.
- Nie wiesz kiedy?
- I tak mam o czym myśleć, prawda? To tylko otarcie. Zaczynam mieć dość tego twojego cholernego marudzenia.

Matka podała mu wyjętą z torebki chusteczkę.

- Przyszła tu tylko po to, żeby pożyczyć trochę świątecznych ozdób, Frank.
 - Ozdób? Po co? Nie ma własnych?
 - Właśnie na tym polega tajemnica. Nie wpytaj mnie już więcej, nic ci nie powiem.
- Frank obwiązał dłoń chusteczką, patrzył, jak cienkie białe płótno chłonie kropelki krwi.
- Jaka to tajemnica? Nie możesz po prostu powiedzieć?

- Chce ci zrobić niespodziankę.
- Jaką? Przecież wiesz, że nie lubię niespodzianek.
- No tak, ty lubisz tylko robić niespodzianki innym. Ale ta niespodzianka ci się spodoba.
- Naprawdę? No to powiedz.
- Ona robi to, co ty chciałeś zrobić, Frank.
- Co takiego? O nic jej nie prosiłem.
- Przystraja na święta dom Martina. To znaczy wasz.

Wstała, otworzyła puszkę po ciastkach, jakby chciała się upewnić, czy banknoty wciąż tam leżą, albo może po prostu nacieszyć się niezwykłym widokiem zarobionych pieniędzy. Frankowi zaschło w ustach, nie chciał już pytać o nic więcej. Jeśli nie będzie pytał, to nic się nie wydarzy. Ale nie mógł się powstrzymać.

- Blenda tam teraz jest? W gospodarstwie?
- W każdym razie była. Ale nie mów, że ci powiedziałam, kiedy po ciebie przyjdzie.

Obiecujesz?

Pocałowała go w policzek, a Frank nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatnio to zrobiła. Może gdy był jeszcze chłopcem, a ona wciąż widziała dla niego nadzieję. Czy teraz widziała tę nadzieję dla niego i dla Blendy? Matka wzięła puszkę pod pachę i poszła się położyć. Była już prawie druga. Jedyne, co mógł zrobić, to czekać. Ile czasu potrzeba, żeby mózg zrozumiał, co się stało, żeby pojął to w pełni, przynajmniej do tego stopnia, w jakim to możliwe? Czy jest tak jak z jedzeniem – trzeba jeść wolno, żeby nasycić się we właściwy sposób, i tak samo wolno należy myśleć, żeby zrozumieć? Trzeba przyjmować to, co przynosi życie. Co już przyniosło i na co nic się nie poradzi. Mimo to ogarnął go pewien spokój. To jego spotkało nieszczęście, prawda? Bliżej siódmej usłyszał jakiś dźwięk od strony furki. To mogła być Blenda. Powiedział to na głos: „Blenda przyszła”. Ale to nie była ona. Poszedł otworzyć, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Nad zaniebanyymi zmrożonymi ogrodami i opuszczonymi domami na April Avenue wisiało brudne światło, przypominające brezent. Szeryf zdjął kapelusz. Doktor stanął tuż za nim. Musieli przyjść we dwóch, żeby przynieść tę złą wiadomość. Brakowało tylko Pastora. Obaj sprawiali wrażenie zmęczonych i nieswoich.

– Może już słyszałeś, co się stało? – spytał Szeryf.

– Nie. Co?

– Tej nocy paliło się u Martina. To znaczy u ciebie. To ty jesteś teraz właścicielem tego domu.

– Ugaszono ogień?

– Tam już nic nie może spłonąć, Frank. Oprócz... – Szeryf umilkł i spuścił wzrok. Doktor odsunął go na bok.

– Możemy wejść do środka, Frank? Zimno.

Wpuścił ich. Usiedli w kuchni. Spojrzeli po sobie, wymienili szybkie, ukradkowe spojrzenia. Szeryf położył kapelusz na stole i znów zaczął mówić:

– Ktoś tam był.

– Kto mógł tam być?

– Uważamy, że to Bob Spencer. Siedział na werandzie.

– Dlaczego miał siedzieć na werandzie Martina? Na mojej werandzie?

Frank zdumiał się, jak łatwo jest kłamać. A najlepszy sposób na kłamstwo to zadawanie pytań. Doktor wyjął papierosa, ale go nie zapalał.

– Nie możemy nic stwierdzić z całą pewnością, dopóki...

Zaciął się. Zdaniem Franka było to żalosne przedstawienie. Jąkali się, przerywali sobie, wahali się i błędzili. Zachowywali się niegodnie. Robili wszystko odwrotnie, niż go uczyli.

Uważał, że zasłużył na lepsze traktowanie.

- Jeśli Bob Spencer miał jakichś krewnych, chętnie ich zawiadomię – powiedział Frank.
- Ominie cię to.
- Ominie? Chciałbym wykonywać swoją pracę. Ja...
- Tym razem to ty otrzymasz wiadomość, Frank. Była tam jeszcze jedna osoba.
- Jeszcze jedna? Kto?
- Blenda. Blenda Johnson.

Frank nie wiedział, jak ma zareagować. Pamiętał jedną z pierwszych rzeczy, jakie powiedział mu Szeryf. Żałoba jest nieprzewidywalna. Wszystko może się zdarzyć. Sam to powtarzał i widział też na własne oczy, że każdy człowiek ma swoją żałobę. Popatrzył na nich kolejno. Twarze mieli niewyraźne i zniekształcone. Trudno ich było rozpoznać. Czy oni także zmienili się w ciągu tej nocy? Wyjrzał przez okno. Wiatr szarpał za furtkę.

- Blenda? Nie rozumiem. Była tam?
- Wiemy, że to dla ciebie przykre, Frank. Byliście przecież ze sobą bardzo blisko.

Szeryf znów umilkł. Frank podparł głowę rękami i zaczął płakać. To były prawdziwe łzy. Nikt nie mógł twierdzić, że jest inaczej. Pozwolili mu na to. Teraz przyszła kolej na niego. Teraz to nim należało się zająć. Teraz chodziło o niego. Należało współczuć Frankowi Farrellemu. Oblało go gorąco i zaczęły mu drżeć koniuszki palców. Nie trwało to długo. Wytarł łzy zakrwawioną chusteczką. Szeryf położył mu rękę na ramieniu.

- To trudne dla nas wszystkich, Frank. Straciliśmy wspaniałą kobietę.
- Co ona tam robiła?
- Chciałeś chyba spytać, co oni tam robili?
- Co robiła tam Blenda?

– Nie bardzo wiemy. Chyba chciała przystroić dom. W każdym razie tak to wyglądało, bo na podłodze leżały przewody i lampki choinkowe. Tak to się przedstawia.

- Przedstawia się? Co to znaczy?

Znów milczenie i umykające spojrzenia, które odbijały się w ceracie.

- Blenda i ten Spencer mieli romans – powiedział wreszcie Doktor. – Więc...
- Mieli?
- Kiedyś. Może chcieli znów spróbować. Albo...
- Znów spróbować?

– Nie utrudniaj nam tego bardziej, niż trzeba, Frank. Poza tym to musi pozostać między nami, dopóki nie zostanie przeprowadzona identyfikacja.

- Nie ma pewności, że to Blenda?

– Albo Bob Spencer? Nie, nic nie jest pewne. To raczej luźne nitki na latający dywan.

A nie chcielibyśmy jeszcze raz się wygłupić, prawda, Farrelli?

- Jakie luźne nitki?
- Między innymi to, w jaki sposób wybuchł pożar.
- Może zrobiło się spięcie, kiedy zawieszała lampki.
- Możliwe. Ale tam leżał też kanister. Przynajmniej tak to wyglądało.

Szeryf sięgnął po kapelusz, rozmyślił się jednak i znów odłożył go na stół.

- Muszę cię wręcz spytać, gdzie byłeś dzisiaj w nocy. I wczoraj wieczorem.

– Jestem o coś podejrzany? Przychodźcie tu i podejrzewacie mnie, kiedy moja narzeczona nie żyje?

- Byliście zaręczeni?

– Tak, jesteśmy zaręczeni. To znaczy byliśmy. I może Bobowi Spencerowi niezbyt się to podobało, rozumiecie, o czym mówię?

Frank znów się rozplakał, cały drżał. Miał ochotę położyć się na podłodze. Mógł to zrobić, wszystko mógł zrobić, bo spadło na niego wielkie nieszczęście i był wolny. Żałoba dała mu wolność. Szeryf pokręcił głową.

– Cholera, Frank, nie mam wyboru. Będę musiał spytać każdego, kto jest w stanie się poruszać, o to, co robił, czy coś widział, słyszał albo czy coś mu się śniło dziś w nocy. Spytam o to nawet twoją złotą rybkę.

Frank podniósł głowę.

– Mark też nie żyje.

Znów cisza. Jedyne wiatr cały czas wchodził i wychodził przez furtkę. Cisza była najgorsza. Trudniej kłamać, kiedy nikt nic nie mówi. Ale Frank nie kłamał. To, co czuł, było prawdą. Jego żałoba była prawdziwa.

Szeryf się nachylił.

– Co sobie zrobiłeś w rękę, Frank?

– Skaleczyłem się odłamkiem szkła. Upuściłem wazę na podłogę.

– To chyba nie najgorsza rzecz, jaka zdarzyła się dzisiejszej nocy. Powiesz nam, gdzie byłeś?

– Trochę jeździłem w kółko. Dzwoniłem do drzwi Blendy, ale jej nie zastałem. Zajrzałem do Ratusza, byłem w warsztacie, a potem siedziałem w domu.

– I wtedy waza z rybką wypadła ci z rąk?

– Nie, to już było parę dni temu. Ale na podłodze zostało jeszcze kilka odłamków.

– O której dzwoniłeś do drzwi Blendy?

– Chyba koło jedenastej. Ale jej nie zastałem. W każdym razie nie otworzyła.

– Nie wiedziałeś, że zamierzała przystrajać tamten dom na święta?

– Nie. To miała być niespodzianka.

Szeryf pochylił się bliżej.

– Nie bardzo rozumiem, Frank. Skoro to miała być niespodzianka, to skąd o niej wiedziałeś?

– Matka mi powiedziała. Znać ją, ma długi język. Nie umie się powstrzymać.

Wszyscy przez chwilę milczeli. Frankowi zrobiło się zimno. Czuł, że od drzwi wejściowych ciągnie chłodem. Zimno wdierało się przez dziurkę od klucza, przez szparę przy podłodze i obejmowało łydki. Nie mógł usiedzieć spokojnie.

– Przykro nam – powiedział Doktor. – Naprawdę. Jeśli będziesz czegoś potrzebował, to daj znać. Dobrze?

– Dziękuję. Doceniam wsparcie...

Po raz trzeci tego poranka zaczął płakać. Ale oczy miał suche i piekące. Skończyło się na szlochu. Przyjemnie było czuć, że boli. Żył. Obaj mężczyźni wstali. Frank ich odprowadził. Chętnie pojechałby razem z nimi na pogorzelsko, to było jego pogorzelsko, to on był właścicielem popiołu, zwęglonych szczątków ozdób choinkowych, przysypanego sadzą śniegu. Miał do tego prawo. Szeryf powiedział, że czekają na posiłki, na techników kryminalistycznych, bo nie mogą do tego wydarzenia podejść beztrudnie, muszą zagryźć zęby i prosić o pomoc z zewnątrz. Po tym, co się stało z dziewczynami, skierowały się na nich światła reflektorów. Powiadomią Franka, gdy będą wiedzieć coś więcej. Wsiedli do samochodu i odjechali. Kiedy wrócił do kuchni, stała tam jego matka.

– Co ty zrobiłeś, Frank?

– Podśluchiwałaś?

– Odpowiedz mi. Co ty zrobiłeś? Co zrobiłeś?

– O co ci, do cholery, chodzi?

– Nie przeklinaj, kiedy do mnie mówisz.
– Krzyczysz na mnie, chociaż przed chwilą się dowiedziałem, że Blenda nie żyje? Spaliła się. W moim własnym domu.

Frank zrobił krok w stronę matki. Ona natychmiast cofnęła się o krok. To go przeraziło. Matka się bała. Widział to. Bała się własnego syna.

– Nie jest mi w tej chwili lekko, mammo. Straciłem...

Nie mógł mówić dalej i oparł się o kuchenny stół. Lepka cerata przykleiła się do dłoni.

– Benzyna, Frank. Czuć było od ciebie benzyną.

– Ile razy mam ci powtarzać, że byłem w warsztacie Steve’a?

– A jeśli powiem, że ci nie wierzę?

– Dlaczego miałabyś mi nie wierzyć?

– Tamtym razem też ci nie uwierzyłam. Żebyś wiedział.

Frank oderwał ręce od ceraty. Przez moment jeszcze się do niej kleiły i wyglądało to trochę tak, jakby podnosił cały stół i zawiesił go w powietrzu. W końcu cerata się oderwała, opadła, a on się wyprostował i wyjrzał przez okno. Patrzył, czy idzie więcej ludzi chcących przynieść mu pociechę, złożyć kondolencje, ale nikt nie przychodził. Kto zresztą miałby to być? Ci, których znał, ci, na których mu zależało, nie żyli. Steve, Martin, Blenda, ojciec. Widział jedynie białą pustkę na April Avenue, gdzie wszystko było na sprzedaż, a nikt niczego nie kupował.

– O jakim razie mówisz?

– Kiedy umarł twój ojciec.

– Co wtedy?

– To nie był żaden wypadek.

– A co to było?

– Pchnąłeś drabinę. To nie był wypadek. Widziałam to na własne oczy. Stałam w tym miejscu, w którym ty teraz stoisz, i wszystko widziałam.

– Oskarżasz mnie o to, że zabiłem ojca? Rodzonego ojca?

– Widziałam, co widziałam.

– Może przypadkiem potrąciłem drabinę. Ale on nie umarł od upadku, tylko przez kosę, która tam leżała.

– Nie zdziwiłoby mnie, gdybyś to ty ją tam położył.

Frank odwrócił się do matki i ujął ją za ramiona.

– A ty wysłałaś Blendę do tego domu z prastarymi ozdobami choinkowymi i zepsutymi przewodami. I masz swój pożar, babo!

– Puść mnie!

Frank ją puścił, poszedł do swojego pokoju i przebrał się w czyste ubranie. Czarny garnitur był na dzisiaj odpowiedni, chociaż nie wybierał się do pracy. Kiedy wrócił do kuchni, matka stała w tym samym miejscu. Nie ruszyła nawet palcem i wyglądało na to, że nie ma takiego zamiaru.

– Dokąd idziesz? – spytała szeptem.

– Może do pracy.

– Teraz?

– Muszę czymś zająć myśli. Świat się nie zatrzymał, chociaż...

Matka się rozplakała. Frank widział, jak jej twarz się rozpada i znika. Płakała nad nim. To były szczere łzy. Poczł wdzięczność i pogłaskał ją po policzku.

– To był wypadek, mammo.

Pokiwała głową, przerażona i posłuszna.

– Spadło na mnie jeszcze jedno nieszczęście, mamó. Nikt...

Głos mu się załamał. Nachylił głowę do jej ramienia. Poczł jej dłoń na karku. Znów ogarnęła go wdzięczność. Matka go pocieszała. Potrzebował pociechy. Zasłużył na nią. Stali tak przez chwilę. W końcu matka zdecydowanie odepchnęła Franka od siebie i wskazując na niego palcem, oświadczyła:

– Nie chcę więcej mieć z tobą do czynienia, rozumiesz?

– Mamó...

– Rozumiesz? Nie chcę więcej mieć z tobą do czynienia.

Frank rzucił w nią brudną chusteczką i wyszedł. Minął samochód i ruszył piechotą w dół April Avenue. Było zimno, bezwietrznie i zaskakująco jasno. Cienka pokrywa śniegu, szron pokrywający wszystkie rzeczy i zmieniający je w obce, niepotrzebne klejnoty, sprawiały, że ten poranek lśnił i chrzęścił. Frank dotarł do torów kolejowych. Ślady po dziewczynach zniknęły. Nachylił się, dotknął ręką szyny i wyczuł jej drżenie – odległy huk od zachodu, który również zniknął, pozostawiając po sobie zdumiewającą pustą ciszę. Szedł dalej. Minął zamknięty budynek stacji. Nikogo nie spotkał i nikt nie wyszedł mu na spotkanie. Po cóż mu cała ta żałoba, skoro nikt jej nie podziwiał? Jego żałoba nie mogła egzekwować należnych jej praw. Sklep rzeźnicki Billa McQuire'a wciąż był zamknięty. Po parapecie pełzały owady. W neonie nad Smith's Diner zgasły kolejne litery, zmieniając go w wypalony krzywy alfabet. W rynsztoku leżało menu, kusząc daniem dnia, które już dawno było wczorajsze. Na drzwiach Stout's Barbershop wisiała ta sama tabliczka. Zamknięte. To krótkie gorączkowe odrodzenie sprawiło, że Karmack, udreżone miasto, upadło jeszcze niżej. Frank się rozejrzał. W chłodnym świetle wszystko się przybliżało, a jednocześnie ulice i otaczający krajobraz rozszerzały się w pustkę na pustce, w pustą otwartość, w kręgi pustki, której centrum stanowił on; znalazł się w szklanym kloszu, w którym wszystko zamarzało. Słyszał jedynie głucho i przytłumione dźwięki. Wkrótce i one ucichły, a w tej ciasnej pustce nie było miejsca nawet dla niego. Człł się oszukany. Wszyscy mnie oszukali, powiedział sobie. W tej chwili nikomu nie jest gorzej niż mnie. Zasługiwał na uwagę. Zasługiwał na nią bardziej niż ktokolwiek inny. Pragnął troski. Chciał, by się o niego troszczono. Ale nikogo nie było. Nikt go nie widział. Wszystko stało się na próżno. Godzinami przemierzał opustoszałe ulice i nikt go nie zatrzymywał. W końcu dotarł na cmentarz. Wszedł przez furtkę i po długim błądzeniu znalazł grób ojca przy płocie od wschodniej strony. Dawno tutaj nie był. Nie pamiętał, kiedy ostatnio. Musiało to być wtedy, gdy żałoba po śmierci ojca się skończyła i nikt już się nim nie przejmował. Przez wszystkie te lata o grób troszczyła się matka. Powtarzała zwykle, że chociaż nadeszły złe czasy, to zmarłym z tego powodu nie musi być źle. Frank nie chciał o niej myśleć. Na tym małym skrawku ziemi było miejsce dla większej liczby osób. Blenda mogłaby tu leżeć. Miałby wtedy nowy grób, na który mógłby chodzić. Obiecał sobie, że będzie tu w każdą niedzielę, może częściej, a na Wszystkich Świętych zapali najładniejszą świecę na całym cmentarzu. Ktoś zawołał go po imieniu. Frank się odwrócił. Pastor stał w drzwiach zakrystii i gestem przyzywał go do siebie. Frank ruszył powoli. Jak idzie człowiek pogrążony w żałobie? Przygarbił się. Szurał nogami po ziemi, ciągnąc je za sobą. Zatrzymał się przed Pastorem i wyprostował. Powoli i ciężko.

– Masz przy sobie moją chusteczkę? – spytał Pastor.

Frank tylko na niego patrzył. Na tego nędznego człowieka na zwolnieniu lekarskim, który brukał żałobę, brudził ból, plamił to, co wyjątkowe, sprawiając, że stawało się zwyczajne i martwe. Frank poczuł się zraniony i wściekły. Nagle coś sobie przypomniał. Nie miał już obowiązku dochowania tajemnicy. Ten obowiązek został zniesiony. Sam go zniósł. Mógł mówić. Nie musiało go już palić wszystko w środku i w chwili, gdy o tym pomyślał, zaczął płakać.

– Nie wie pan, co się stało? W gospodarstwie u Martina?

Pastor ujął go za rękę, tylko na moment, bo zaraz ją puścił i zadrżał, jakby od Franka bił chłód.

- Możesz ją przynieść jutro. Mam na myśli chusteczkę. Na świąteczne nabożeństwo.
- Myślałem, że jest pan na zwolnieniu.
- Jestem sługą Bożym, Farrelli.

Pastor uśmiechnął się i zamknął ciężkie drzwi. Został po nim oddech; biała chmura, która rozwiała się w błękitnym naelektryzowanym zimnie. Frank nie miał tu już nic więcej do roboty. Ta myśl, pozbawiona wątpliwości, przyniosła mu ulgę. Wrócił na April Avenue. Wyobraził sobie krótko kwitnące magnolie, wtedy gdy czasy były dobre i wszyscy mieli samochód w garażu i kurczaka w garnku. Matki nie było w domu. A może po prostu spała. Frank i tak nie chciał mieć z nią do czynienia. Przyniósł puszkę po ciastkach, wepchnął banknoty do wewnętrznej kieszeni, zostawiając kilka, żeby brak reszty nie od razu rzucił się w oczy, wyszedł do samochodu, siadł za kierownicą, po raz ostatni spojrzął na pudełkowaty płaski dom z wąską werandą, który wybudował jego ojciec, kiedy wszyscy byli młodzi, a większość jeszcze się nie urodziła. Muszę któregoś dnia naprawić tę rynnę, pomyślał Frank, podjechał do Miller's Auto, zatankował, wziął puszkę ze sprejem i ruszył dalej w stronę granicy miasta. Tam zaparkował, wysiadł z samochodu i podszedł do tablicy z napisem: „Karmack, 4897 mieszkańców”. Zamazał sprejem dwie ostatnie cyfry i zaczął odejmować wszystkich, którzy umarli. Mr. Stout, Jimmy Stout, Mrs. Ruth Clintstone, Marion Perkins, Martin Miller, Steve Miller, Bob Spencer i Blenda Johnson. Na koniec odjął też samego siebie. Teraz było 4888 mieszkańców. Potem pojechał dalej wzdłuż płynącej pod lodem Snake River. Dotarł do pierwszych rozstajów, mógł skręcić albo w lewo do Solvang, albo w prawo nad morze. Wybór był prosty. Frank nigdy nie widział morza. Miał nadzieję, że tam dotrze, zanim go dogonią. Nie żeby Frank Farrelli na to zasłużył, ale mogło się przecież zdarzyć, że raz, wyjątkowo, miałby trochę szczęścia. Dodał gazu, skręcił w prawo, a gdy zobaczył biały wynajęty samochód nadjeżdżający z lewej od strony Solvang, było już za późno. Przez ten krótki moment, zanim rozległ się huk, Frank zdążył pomyśleć, że teraz ktoś będzie musiał iść do jego matki i przekazać jej, co się stało. Najprawdopodobniej, że on nie żyje. Szkoda tylko, że sam nie będzie mógł dostarczyć jej tej wiadomości. A jeszcze gorzej, że o tym strasznym wypadku nikt nigdy nie będzie mógł opowiedzieć Blendzie.

EPILOG

(wióry i pył)

„Morze kolekcjonuje rzeki”.

Właśnie to zdanie znów wprawiło mnie w ruch. Jechałem wzdłuż Snake River – dopiero później poznałem tę nazwę – wynajętym samochodem, który czekał gotowy, gdy wypisano mnie z Sheppard P, czyli z zakładu, albo raczej *retreat*, jak woleliśmy nazywać to miejsce, położonego koło Baltimore w stanie Maryland. Było to dwie doby temu, może dawniej. Zresztą wszystko jedno. Liczby się ode mnie oderwały, przestałem już liczyć za ich pomocą. Byłem panem swojej własnej tabliczki mnożenia. Cudowne uczucie. Unosiłem się. Oczywiście, zgodnie z umową powinienem pojechać prosto do Baltimore i stamtąd wrócić samolotem do domu przez Londyn. Ale wybrałem inny kurs, dokładnie przeciwny. Nie do domu, tylko daleko. Jechałem na chybił trafił. Nie miałem pojęcia, dokąd zmierzam. Mogłem dotrzeć aż do Zachodniego Wybrzeża, zanim się zatrzymam, albo do granicy, z Kanadą, z Meksykiem, wszystko mi jedno. Wszystko jedno dokąd było rozwiązaniem więcej niż dobrym. Gdy dojeżdżałem do rozstajów, grałem w orła czy reszkę. Orzeł na lewo, reszka na prawo. Albo zwyczajnie jechałem dalej prosto. To było bez znaczenia. Miałem świat tylko dla siebie, nowy nieodkryty świat. Ułożyłem własne zasady. Nie mogę nazwać tego inaczej niż wolnością. Cóż za eleganckie i przekłete słowo! Powinienem dostrzec oznaki, zawrócić i schować się gdzieś w kącie. Tyle optymizmu nigdy nie zapowiada nic dobrego. Przypominałem alkoholika na odwyku zmierzającego do sklepu z delicjami. Zwykle powtarzałem: „Kiedyś byłem szczęśliwy, teraz mam lepszy humor”.

To było w październiku, przed wieczorem, jałowe światło, jedynie resztki nieba nasuwającego się nad okolicę tak samo jałową, umeblowaną kamieniami, kamieniami i jeszcze raz kamieniami. Lodowiec musiał się otrzeć o te rejony, wysypując z kieszeni kilka ton twardych paprochów. Ja zostawiłem za sobą mój *annus horribilis*. Najpierw straciłem ojca, potem straciłem powieść, a w końcu straciłem rozum. Te zdarzenia w zasadzie nie miały ze sobą nic wspólnego, może z wyjątkiem rozumu. Ale doszło do nich w ciągu tak krótkiego czasu, że nie mogę traktować ich inaczej niż jak czegoś w rodzaju szeregu związków przyczynowo-skutkowych albo karambolu w żółtej mgłę: śmierć, pustka i diagnoza. Ojciec miał dziewięćdziesiąt lat. W grudniu poszedł do szpitala Diakonhjemmet i tam umarł. Z jego pokoju mogliśmy co rano patrzeć na błękitne linie miasta, które zaczynały się przy szczycie Grefsenkollen, ciągnęły przez wzgórze Egebergåsen i znikwały w okolicy półwyspu Nesodlandet, gdzie nie mieliśmy już domku letniskowego – został zburzony, działkę podzielono, sad wyrabano, trzmielce przeniosły się do innych hoteli, a sadzawka dla karpia była bardziej pusta niż kiedykolwiek, jeżeli w ogóle został po niej jakiś ślad. Coś mi się przypomniało, a mianowicie to, że karp jest rybą, która potrafi najdłużej przeżyć na lądzie. Po co to komu? Czy nie lepiej zostać zabitym natychmiast, jeżeli jest się karpem siłą wyciągniętym na ląd? Chyba żaden karp nie odwiedza lądu dobrowolnie? Wiezorami, oprócz świątecznie przystrojonych ulic, przypominających rozciągnięte wzdłuż i wszerz pasy startowe, najlepiej było widać nowy biurowiec na Majorstua. Zbudowano go tam, gdzie leżał w gruzach budynek Philipsa. Niewiele czasu zresztą minęło, a ludzie zaczęli tęsknić za ową tak krytykowaną budowlą. To, co znika na zawsze, przybiera nowe formy, a my otwieramy ku temu ramiona. Piszemy o tym wiersze. Upiększamy to. Czy ten nowy budynek nie jest jeszcze gorszy? Po zapaleniu świateł tylko w niektórych oknach, tak jak w tej chwili, przypominał ruinę ze szkła, przez którą przepływa ciemność. Chciałem o tym powiedzieć ojcu, ale się nie przemogłem. Chciałem powiedzieć, że jego budynek był lepszy. Ale on już nie mógł podnieść się z łóżka, leżał i miał zwidy. Zegar na ścianie wisiał do góry nogami. To był taki zegar, jaki się widuje na stacjach kolejowych

i w poczekalniach. Po co zresztą teraz ojcu zegar? Po co wisiał przed jego nosem? Żeby przypominać mu o życiu, podczas gdy śmierć robiła swoje? Nie znoszę zresztą takich zegarów, bez sekundnika, z minutami posuwającymi się skokowo, z czarnymi nożycami wskazówek, tnącymi godziny na kawałeczki. Ojcu i tak czas się plątał. Plątał się nam wszystkim. Ojciec pytał, dlaczego przychodzę w środku nocy. Drzwi do toalety były wejściem na Dworzec Główny w Kopenhadze. Dlaczego na kołdrze leży zółw? Zabierz go stąd. Pomyślałem o magnolii, u której w kwietniu zbiegają się wszystkie pory roku, kwitnie i więdnie w ciągu tego jednego miesiąca. W ojcu zbiegły się w grudniu wszystkie pory jego życia. Staruszek znów stał się dzieckiem. Ja się stałem jego ojcem. Karmiłem go. Smarowałem wazeliną spierzchnięte wąskie usta. Tak blisko niego nigdy nie byłem. Któregoś dnia rano leżał w łóżku i przeklinał. Szczyny, gównno, sraka! – wołał głośno. Pozwoliłem mu na to. Żle się dzisiaj czujesz? – spytałem w końcu. Cóż to za pytanie? Dalej krzychał: Szczyny, gównno, sraka! Potem się do mnie uśmiechnął. Nie pamiętasz? Nie, a co, tato? Fanny i Aleksander, ty bałwanie! Kiedy Aleksander wraca do domu po pogrzebie ojca, powtarza: Szczyny, gównno, sraka. Szczyny, gównno, sraka. Czy to nie cudowne? Przysiadłem na brzegu łóżka i pomogłem mu wziąć do ręki szklanekę z sokiem i słomkę. Czasami miał wątpliwości, kim jestem. Ale scenę z filmu Bergmana pamiętał. Ty też możesz tak powiedzieć po pogrzebie. Szczyny, gównno, sraka. Śmiałyśmy się, aż przyszła pielęgniarka i przykleiła mu w zagłębieniu szyi plaster z morfiną. Przez krótką, coraz krótszą chwilę między ustąpieniem bólu a zapadnięciem w niebieską drzemkę – w każdym razie zawsze wyobrażałem sobie, że jest niebieska – chętnie rozmawialiśmy, to znaczy głównie ja mówiłem: o pogodzie, o prezentach gwiazdkowych, o powieści, którą pisałem. Miała być moją najbardziej osobistą powieścią, a jednocześnie rozgrywać się możliwie najdalej ode mnie, tak daleko, że stawałem się niewidzialny. Znienawidziłem te słowa już w momencie, gdy usłyszałem, jak padają z moich ust. Osobista! Osobista powieść! Czy nie powinienem raczej walczyć o coś zupełnie przeciwnego, o to, by nie była osobista, pisać nieosobistą powieść, tak bliską mnie, jak to tylko możliwe? Ojciec spróbował usiąść. Na próżno. Pomogłem mu z powrotem położyć się na poduszkę. Powiedział: Szkoda, że nigdy jej nie przeczytam. Potem nie dał już rady unieść chudej ręki, żeby dotknąć plastra w zagłębieniu szyi, przypominającego mu kawałeczki papieru, które naklejał, kiedy się zaciał rano przy goleniu. Mnie też zdarzało się przyklejać papier do mojego gładkiego, miękkiego podbródka. Ja też chciałem być dorosły. Chciałem się pozbyć dzieciństwa. Mieć je już za sobą. Tak – powiedział ojciec. Nie wiem, na co się godził. Nie poznawałem jego ręki leżącej na kołdrze. Stała się obca. Wkrótce nie mogłem go już pytać o nic więcej. Jego historia dobiegała końca. Miałem przejąć jego wspomnienia. Coś innego zresztą nie dawało mi spokoju, a mianowicie, co się właściwie wydarzyło tamtego lata, kiedy lądowano na Księżycu. Czy on naprawdę złamał nogę? Ojciec spojrzał na mnie w ostatnim przytomnym momencie. Oczywiście, że złamałem. Ta twoja fantazja, ty bałwanie! Szczyny, gównno, sraka! Hura! Śmiałyśmy się razem ostatni raz.

Umarł w Nowy Rok. Siedziała przy nim matka. Matka zawsze siedziała przy ojcu. Całe życie. Po skończonej ceremonii w kaplicy pojechałem taksówką do domu, chciałem dalej pisać swoją powieść. Jak już wspominałem, byłem na końcowym etapie. Włączyłem komputer. Nic się nie działo. Spróbowałem jeszcze raz. I znów nic. Spróbowałem po raz trzeci. To nie mogła być prawda. Dalej nic się nie działo. Powieść się skończyła. Widziałem jedynie czarny ekran, przypominający głęboką pustą studnię, w której nie widać było nawet mojej twarzy. Wciąż nie wierzyłem, że to prawda. To była prawda. Wszystko, co nie powinno się zdarzyć, najczęściej jest prawdą. Dzień później wezwałem specjalistę od komputerów. Tkwił zgarbiony nad maszyną trzy godziny. Potem zabrał twardy dysk. Przez tydzień zażywałem leki, które sam sobie wybrałem. Wtedy wrócił. Nie przyniósł mi nadziei, tylko twardy dysk w zapieczętowanej torebce, urnę

z moją powieścią, i pisemny raport w białej kopercie, akt zgonu: „Status fizyczny: dysk twardy odpowiedział: *not ready*. Jednostkę mimo wszystko otwarto i skontrolowano w naszym clean roomie. Stwierdzono destrukcyjne uszkodzenie wszystkich głowic w wyniku ich zderzenia z mediami magazynującymi. Danych z uszkodzonych rejonów nie da się odzyskać. Znajdujemy jedynie wióry i pył”. Zawołałem: Ale mojej powieści nie znaleźliście?! Nie, przepadła. Ma pan chyba kopię zapasową? – Nie miałem. Nigdy nie robiłem kopii zapasowych. To był mój błąd, a co gorsze: to była moja wina. Zdradziłem zbyt wiele tajemnic, dlatego powieść odwróciła się do mnie plecami, dlatego nie chciała mieć więcej ze mną do czynienia. Odrzuciła mnie. To była kara. Teraz nie miałem już nic więcej do zdradzenia. Mogłem wykrzyknąć to całemu światu. Nie mam nic więcej do opowiedzenia! Dostałem to, na co zasłużyłem. Byłem człowiekiem winnym. Próbowałem zacząć od nowa, tym razem ręcznie, namacalnie i z wysiłkiem, długopis i papier. Sto razy zapisywałem pierwsze zdanie i nie mogłem posunąć się dalej. Skreślałem i zapisywałem na przemian, znów, znów i znów – tak to trwało. Potem dla odmiany usiłowałem napisać ostatnie zdanie. To, do którego doszedłem, zanim powieść mi przerwała i zniknęła gdzieś między satelitami i gwiazdami, to, które powinienem pamiętać najlepiej, ponieważ było ostatnią rzeczą, jaką napisałem. „Słyszałeś o facecie, który miał cholerne szczęście? – spytał Steve. – Przejechała go karetka”. W ten sposób mogłem pisać do tyłu, słowo po słowie, z powrotem aż do tytułu, mogłem pisaniem wrócić do początku, ze złych wiadomości do dobrych, bo wszystkie złe wiadomości zaczynają się od czegoś dobrego, inaczej nie byłyby złe, prawda? Mogłem to wszystko naprawić. Moje działania i tak były próżne, zmarnowane, nieprzydatne. Od tyłu też nie potrafiłem pisać. Utknąłem. Nie było żadnych otwartych dróg. Żaden kierunek nie prowadził na wolność. Przysypał mnie śnieg. A z wizytą przyszedł lęk. Lęk stanął przy oknie. Lęk trzymał nóż i widelec. Lęk leżał w łóżku, kiedy szedłem spać. Lęk wiązał sznurowadła. Lęk czekał w telefonie. Lęk zaciskał krawat. Lęk był korkiem, nie butelką. Lęk był drzwiami, a nie domem. Lęk był nie tylko powieścią, która mnie nie chciała, lecz wszystkimi powieściami, których nigdy nie poznam. Wyjąłem swoją starą maszynę do pisania, Remington Portable. Stała na strychu od ostatniego razu, ale nie pamiętałem, kiedy był ostatni raz. Grzebiąc tam, wśród pajęczyn, wieszaków i butów, znalazłem też coś innego, a mianowicie torebkę pełną zdjęć zrobionych w automatach. Było ich kilkaset. Pochodziły z czasów, które nazywam „moim skreślonym okresem”, z lat tuż przed czterdziestką, kiedy nie udawało mi się nic dokończyć, kiedy pisałem tylko ręcznie, a każde zapisane słowo skreślałem i zaczynałem od nowa, od tego samego słowa, znów je skreślałem i tak to trwało, aż miałem cały rękopis, tak zwaną cegłę, w której było tylko jedno jedyne słowo, również skreślone: „ja”. „Ja” wykorzystywałem więc te puste dni, nieznośne, nieprzydatne godziny na chodzenie od automatu do automatu. Siadałem, zaciągałem kotarę, zawsze śmierzącą; te kotary przypominały mi zniszczone zasłony w akademiku, w które studenci mieszkający tam przede mną najprawdopodobniej wycierali nosy i używali ich do jeszcze obrzydliwszych rzeczy. Wrzucałem pieniądze, wpatrywałem się w ostre błyski światła, czasami wkładałem ciemne okulary, kiedy indziej trzymałem w ustach papierosa, inscenizowałem własną twarz, a później, kiedy czekałem na to, by wilgotny, niemal lepki pasek papieru wpadł do rynienki, czułem się jak złodziej, jak zwykły włamywacz, albo nie – jak fałszerz. Byłem fałszerzem fałszującym swoją twarz do tysiąca paszportów, a nie miałem dokąd jechać. Jeśli chodziło o maszynę do pisania, to nie musiałem wkręcać w nią żadnych kartek. Klawisze też były puste. Otaczały mnie znaki, a one przemawiały przeciwko mnie. Znaki odrywały się od przedmiotów. Łzy przestały już być oznaką płaczu. Dym przestał być oznaką ognia. Sny przestały być oznaką nocy. Zacząłem kupować zegarki. Nie miałem ich dość. Kupowałem zegarki na rękę, kieszonkowe, stopery, wszelkie rodzaje zegarków. Przeczesałem pchle targi i kupowałem zegarki, które stanęły przed moim urodzeniem. Wyciągnąłem stare

zegarki ojca, omegę, certinę, longinesa, skromne, odporne na zniszczenie zegarki ze skórzanymi paskami, pachnącymi ostro dzieciństwem i rodziną. Szukałem zegarków z sekundnikami. Myślałem o wierszu, który napisałem, o swoim pierwszym wierszu, *Międzyczas. Zegary na Drammensveien*. To był ten wiersz, który się teraz spełniał. Jeśli wszystko, co napisałem, miało się spełnić, to co wtedy? Byłoby nieznośnie. Doszło do tego, że poleciałem samolotem do Brukseli liniami Swissair tylko po to, by kupić zegarek, który można było dostać wyłącznie na pokładzie tego samolotu. Prosty mondaine z czerwonym sekundnikiem; napawałem się jego krążeniem wokół białej tarczy, nieprzerwanym, nieprzerwanym. Nic poza tym nie miałem w Brukseli do zrobienia, ale i tak musiałem tam spędzić noc ze względu na jakieś opóźnienia, więc wszystkie moje zegary, wszystkie sekundniki okazały się nieprzydatne i niepotrzebne. Przyszło mi wtedy do głowy, że powinienem odszukać dziewczynę o imieniu Heidi, którą poznałem pewnego lata tak dawno temu, że prawie zapomniałem i ją, i całe tamto lato. Ale pamiętałem przynajmniej, że coś jej obiecałem, a wszystkich obietnic prędzej czy później muszę dotrzymać, muszę ich dotrzymać, bo inaczej nie wytrzymam. Pracowała tutaj. W każdym razie tak napisała na kartce, którą mi przysłała. To również było wiele lat temu. Większość rzeczy wydarzyła się wiele lat temu. Czemu to miało służyć? Nie wiedziałem. To był tylko kawałeczek puzzli, który jeszcze nie znalazł swojego obrazka. Nie, to były całe puzzle, które nie odnalazły swoich kawałeczków. Chmura, która nie znalazła swojego nieba. Myślałem, że wypełniając pustki w sobie, stanę się pełniejszym człowiekiem. Okazało się, że jest odwrotnie. Im więcej wypełniałem, tym bardziej się stawałem pusty. Wszystko, co przyjmowałem, wydrążyło mnie, i wszystko, co wyrzucałem, jeszcze bardziej mi ciążyło. Kolejny raz stwierdziłem, że świat ma za dużo treści. Świat ściąga człowieka w dół. W pojedynczym człowieku nie ma miejsca na to wszystko. Tęskniłem za powierzchnią. Tęskniłem za chronologią. Tęskniłem za pudełkiem, do którego mógłbym wszystko włożyć. Ale świat jest, jak mówiłem, natrętny i nieskromny. Świat nie poddaje się tak od razu. Dlatego w Brukseli chodziłem od biura do biura, od jednego budynku do drugiego, odsyłano mnie z korytarza na korytarz, coraz głębiej w jaskinie recepcji, gdzie trupy w ciemnych okularach trzymały wartę w mroku i mówiły językiem, który tylko one potrafiły pojąć, dlatego musiały tłumaczyć na dawno zapomniane słowa i gramatykę. Jak się nazywa ta osoba? Heidi Alm? Nie, ona odeszła. Odeszła? Umarła? Nie, wszyscy, których tu nie ma, odeszli. Dostała, zdaje się, stanowisko w konsulacie norweskim w Nowym Jorku. Pojechałem do domu i przypomniało mi się coś, co kiedyś czytałem: W głównej kwaterze Unii Europejskiej zapisuje się każddziuteńkiego dnia co najmniej osiemdziesiąt tysięcy stron. Gdzieś w całym tym nieprawdopodobnym i zawiłym języku istniała moja powieść, należało tylko odnaleźć słowa i ustawić je we właściwej kolejności. Słowa istnieją! Litery istnieją! One po prostu zabłądziły. Mniej więcej wtedy straciłem rozum. Nie będę się zagłębiał w opisy tego, jak się zachowywałem, ale nie wyglądało to dobrze, to znaczy ja nie wyglądałem dobrze, bo zachowania nie da się oddzielić od człowieka, byłem swoim zachowaniem, a ono było prawdziwe. Miałem za mało tłuszczu w mózgu. Jedynym stałym pożywieniem, które przyjmowałem, był wytrawny alkohol. Doba zlewała się w jedno, była jak skrzyżowanie, na którym we mgle palą się tylko żółte światła, a pewnego dnia rano, a może wieczorem, to bez znaczenia, ułożyłem wszystkie notatki, zeszyty, wiersze, dyspozycje, piosenki i szkice w kominku, podпалиłem, a na koniec wrzuciłem do ognia torebkę ze zdjęciami paszportowymi. Potem rozsiadłem się wygodnie w ciepłe wszystkich utraconych twarzy i książek, które nigdy nie zostaną napisane. One i tak mnie nie chciały, wszystkie te napuszone książki. Właśnie teraz pokazałem swoją prawdziwą twarz: tę, która ukazuje się na dnie studni, tę, którą mogłem wypić. Ktoś interweniował. Sam nie byłem w stanie interweniować. W końcu lekarze odkryli pewną nieregularność w mojej zdolności oceny, nierówność mojej woli albo istoty. Jestem szarpnięciami i skubnięciami. Nie mam momentów

przejściowych. Wszystko u mnie dzieje się nagle. Nic nie jest trwałe. Nie potrzebuję nawet wiatru, żeby obracać się jak chorągiewka. Urodziłem się pod znakiem wstydu. Wciąż noszę rumieniec od dziurawca rosnącego w jabłoniowym sadzie dzieciństwa. Przez ową nieregularność nie nadawałem się do dobrego towarzystwa. W złym towarzystwie moja sytuacja stawiała się jeszcze gorsza, chociaż prawdopodobnie lepiej się w nim czułem. A we własnym towarzystwie byłem po prostu nie do wytrzymania. To zresztą żadna nowość. Wiedziałem o tym przez cały czas. Wszystko we mnie się starzało. Nowością było nadanie temu staremu nazwy. Przecież mówiłem, że nikt nie odnawia się bardziej niż ci, którzy się powtarzają. Kiedy byłem młodszy, nazywałem tę przypadłość dołkami. Będąc już starszy, nazywałem dołki rowami. To wzdłuż nich balansowałem przez całe życie. W końcu w nie wpadłem. Ze zdziwieniem przyjąłem, że to nie boli. Postawiono diagnozę, dość podobną do analizy komputerowca: destrukcyjne uszkodzenie głowicy. Otrzymałem właściwe imię, nazwę syndromu, na który cierpiałem, ale nie znosiłem tej nazwy, nie chciałem jej słyszeć ani tym bardziej jej wypowiadać, natychmiast więc ją przechrzciliśmy, tak jak zawsze, nie bacząc na nic, przemieniam wszystko na swój własny język, na syndrom Chaplina. Mój syndrom Chaplina.

Leczenie farmakologiczne: sto miligramów zolofu, pięćdziesiąt miligramów lamictalu. Skutki uboczne: wysypka, opuchnięcie twarzy, podwójne widzenie, ospałość, drżenie powiek, biegunka, mdłości, suchość w ustach. To nie ma znaczenia – stwierdziłem. Tak się czuję zazwyczaj. Poza tym – dodał lekarz. Poza tym istnieje niebezpieczeństwo, że straci pan chęć do pisania. To również nie ma znaczenia – powtórzyłem. To wzajemne. Powieści też straciły ochotę na mnie.

Tego dnia pojechałem do domu ze szpitala taksówką. Kierowca był w moim wieku. Miał w sobie coś znajomego. I rzeczywiście, chodziliśmy do tej samej podstawówki. Dostało mi się. W zeszły weekend chłopcy z Uranienborg zorganizowali imprezę, na której zaczęli dyskutować o mojej powieści, jak ona się nazywała, ta, która opowiadała o nich, o nas, i wszyscy się zgodzili, że autor, czyli ja, ukradł ich historię, bo w czasie gdy wychodzili wieczorami i podrywali dziewczyny z równoległej klasy, kradli znaczki samochodowe na Vestkanttorget, zrywali dzikie wino na Gabelsgate, tłukli latarnie na Drammensveien, przemykali się na wieczorki klubowe w Vestheim i robili tyle zamieszania, ile się da zrobić w ciągu jednego wieczoru, ja tylko siedziałem w domu, pisałem i przechwalałem się wszystkim tym, czego nie miałem odwagi robić. Przecież prawie w niczym nie brałem udziału, prawda? A czy tak w ogóle wiem, że nazywano mnie maminsynkiem? Wtedy nachyliłem się między siedzeniami i powiedziałem, a raczej wrzasnąłem, niemal triumfalnie: Mam syndrom Chaplina, do cholery! Wypuść mnie! Zatrzymał się urażony, ale dałem mu duży napiwek, a ostatni kawałek do domu przeszedłem piechotą, obie stopy wykręcając na boki, tak jak w dzieciństwie – podwajając wadę, mogłem ją ukryć. Byłem szczęśliwy, że mój wiek nareszcie pozwala mi zacząć chodzić o lasce. Podoba mi się zresztą, że pierwszą osobą, której powiedziałem o syndromie Chaplina, był taksówkarz. Nie musiałem tego mówić już nikomu innemu.

Matce oświadczyłem, że muszę wyjechać na pewien czas, może na dłużej. Skłamałem, że ma to związek z powieścią. Po co miałem mówić prawdę, tę nadmiernie wychwalaną prawdę, po co przysparzać matce zmartwień, większego smutku? Poza tym to wcale nie było kłamstwo – wszystko, co robiłem, miało związek z powieścią. Wszystko wymieniałem na walutę fikcji. Chciałem coś dodać, ale matka tylko dotknęła ręką mojego policzka i przerwała mi: – Nie wszystko trzeba wiedzieć, powiedziała i zaczęła inne zdanie, którego nie dokończyła, celowo urwała albo nie umiała wrócić na jego tor. Na tym poprzestaliśmy.

Tak więc przyjęto mnie do Sheppard P. Zgłosiłem się tam dobrowolnie, o ile w ogóle jest we mnie jakakolwiek dobrowolność. Poleciałem samolotem do Baltimore. Po drodze kupiłem

swój ostatni zegarek, sportowy, z cyframi i wskazówkami, datą, pulsomierzem, kalendarzem, budzikiem, kompasem i GPS-em, wytrzymujący nawet czterysta metrów pod wodą i wysokości przekraczające wysokość wszystkich gór świata łącznie. Dołączono do niego dwustronicową instrukcję w ośmiu językach. Już tego żałowałem. Wszystko, do czego istnieje instrukcja, jest nie dla mnie. Wciskałem te guziki, które dało się wcisnąć, co najmniej cztery, i nic się nie działo oprócz tego, że zapalało się i gasło światełko, a na cóż mi światło, skoro nie miałem czasu? Elektroniczne cyfry zakrępiły na czarnym cyferblacie, a wskazówki zbiły się w ostrą pionową kreskę; nie były ani nożyczkami, ani skrzydłami. Musiałem się poddać, nie mogłem się zdecydować, czy to dobry, czy zły znak, w każdym razie złym znakiem było to, że nie mogłem się zdecydować, bardzo złym. W tej sytuacji nie mogłem zastosować się do swoich zasad bezpieczeństwa. Byłem narażony na humory zbiegów okoliczności. Stało się to już na lotnisku w Baltimore. Wydarzyło się tam coś, o czym w zasadzie muszę opowiedzieć. Stało się mianowicie tak, że wraz ze mną wylądował oddział żołnierzy. Wracali ze służby. Ustawiłem się wśród nich w kolejce do kontroli paszportowej. Próbowałem odnaleźć radość na ich twarzach, u tych mężczyzn i kobiet, którzy wracali do domu żywi, a nie ubrani we flagę i czarny plastik. Nie znalazłem jej. Nie znalazłem żadnej radości. Nie znalazłem też ich twarzy. Były zakamuflowane. Piasek i słońce wrosły im w skórę i w oczy, tworząc niesamowitą maskę. Wszyscy ci chłopcy i dziewczęta byli do siebie ładnie podobni. Gdzieś podczas wojny stracili swój wiek. W hali przylotów słychać było głośne okrzyki „hura”, śmiech i śpiewy tych, którzy czekali na żołnierzy – ojców, matek, braci, sióstr, narzeczonych, przyjaciół, sąsiadów, wszystkich tych, których człowiek przywiązuje do siebie – a ja u tych szeregowych widziałem jedynie wycieńczenie, coś w rodzaju wycieńzonej żałoby. Pomyślałem wtedy: do czego mogą wykorzystać tę żałobę? Kto wypełni ich wycieńczenie sensem? Ktoś położył mi wtedy rękę na ramieniu. Odwróciłem się i spojrzałem wprost w szeroko otwarte, zranione oczy bardzo starego chłopca. Wydawało się, że nie zamykał ich od wielu miesięcy. Nazywał się Jimmy Stout. Mogłem to przeczytać na plakietce, którą miał na piersi przy mundurze; żadnych medali, tylko imię i nazwisko. Jimmy Stout. Spadł na mnie jeden gram mojej pamięci i zrobił wyrwę we wszystkim, co straciłem, a w tej wyrwie zobaczyłem jego, Jimmy’ego Stouta, żołnierza powracającego do domu. Czy nie był starym znajomym, młodym starym znajomym, żołnierzem? Czy nie był jednym z moich bliskich, chociaż nigdy wcześniej go nie widziałem, a tylko o nim słyszałem? Stał teraz tutaj, w kolejce do kontroli paszportowej na lotnisku w Baltimore. Trwało to zaledwie moment. Ale w tej wyrwie ujrzałem wszystko to, co mnie przerastało, skrawek wszystkiego, co przepadło, a z cieniem tego, co mnie przerastało, nie mogłem się równać, i sam stałem się jedynie cieniem, lekkim ukłuciem. Rozdarcie wkrótce się zamknęło, jak rana po operacji, jak kilwater. Ogarnęło mnie tak wielkie współczucie dla niego, tak przytłaczająca czułość, że mało brakowało, a bym go objął, ja, który nie mam syna i nie jestem niczym ojcem. – Afganistan? – spytałem. Od tego są pauzy. Chłopak kiwnął głową. – Pewnie cieszysz się z powrotu do domu? – Jeszcze nie jestem w domu. – Aha. – Mam jeszcze czas, żeby się zdecydować. – Na co? – Czy wrócę do domu. Przyszło mi do głowy, że może on potrafiłby ustawić mój nowy zegarek, ale kiedy mu go pokazałem, pokręcił tylko głową. Chłopak, który nazywał się Jimmy Stout, nic więcej nie powiedział. Spuścił wzrok i jakby wyłączył twarz raz na zawsze. – Chciałeś czegoś ode mnie? – spytałem. Kiwnął głową i wskazał okienko. Była moja kolej. Od dawna. Ale nikt w kolejce się nie niecierpliwił, również Jimmy Stout, z niczym się już nie spieszyło. Podszedłem i podałem swój paszport. Cel pobytu? – Odwiedziny u przyjaciół – odpowiedziałem. Dyżurny chciał zobaczyć dokumenty potwierdzające, gdzie będę mieszkał. Podałem mu formularze z Sheppard P. Długo je oglądał, od czasu do czasu na mnie zerkając. Na moment się odwrócił, cicho powiedział coś do nadajnika przymocowanego do ramienia. Wkrótce

potem pojawili się trzej funkcjonariusze i zdecydowanie mnie stamtąd zabrali, natomiast dyżurny w okienku zatrzymał paszport i formularze. Bez słowa umieszczono mnie w pustym pokoju, w którym stały jedynie trzy krzesła i nieduży stół. Siedziałem tam, dopóki nie mogłem już dłużej liczyć sekund. Dlaczego akurat mnie wybrano, a nie kogo innego? Przecież mieli do wyboru setki żołnierzy. Byłem przekonany, że przynajmniej jeden z nich prędzej czy później wybuchnie, może Jimmy Stout, chłopak, który albo zamykał oczy, albo gapił się szeroko otwartym, mętным celownikiem. Nie potrafię tego nazwać inaczej. Jego oczy zmieniły się w celownik. Nagle poczułem *jetlag* i świeżutki lęk. W ustach mi zaschło, cały przełyk zaczął palić. Laską, którą odziedziczyłem po ojcu, z całej siły uderzyłem w stół. Funkcjonariusze wreszcie wrócili, w towarzystwie mężczyzny będącego według wszystkich oznak ich zwierzchnikiem, zresztą w stosunku do mnie wszyscy byli zwierzchnikami. Usiadł, papiery i paszport położył między nami na stole. – Sheppard P? Tam się pan wybiera? Kiwnąłem głową. – Ktoś po pana przyjedzie? – Jutro rano. – Gdzie zamierza pan nocować? – W hotelu Plaza. Zarezerwowałem pokój. Zwierzchnik przez chwilę milczał, znów przerzucił papiery, znów spojrzął na mnie i wypowiedział słowa, które już dawno się we mnie wżarły, jak wytatuowane echo: – Potrafi pan o siebie zadbać? Co miałem odpowiedzieć? Mogłem powiedzieć, że raczej powinien spytać o to żołnierzy: Czy oni będą umieli się o siebie zadbać? Zawstydzony, spuściłem wzrok i powiedziałem: – Tak mi się wydaje.

Puścili mnie. Taksówką pojechałem do hotelu, przebudowanego magazynu w pobliżu portu. Tam otworzyłem minibar, zresztą największy, jaki kiedykolwiek w życiu widziałem, a widziałem ich wiele. Stałem przy oknie i piłem, aż nic nie zostało. Nie gromadziłem korków. Pomyślałem: to mój ostatni hotelowy pokój. To moje ostatnie drinki. Widziałem tamto spojrzenie. Nie Jimmy'ego Stouta, bo z nim byliśmy sobie równi, przybywaliśmy z pola walki i zmierzaliśmy na pole walki, chociaż on walczył za coś szlachetniejszego niż to, co ja miałem obezwładnić, niż armia moich złych nałogów. Był jedną z wersji mnie. Inaczej nie potrafię tego powiedzieć. Ja byłem jedną z jego wersji. Ale widziałem spojrzenie funkcjonariuszy i ich zwierzchnika. Patrzyli na mnie jak na kogoś innego, chociaż nie, nie innego, bo to mógłbym znieść, tylko na kogoś, kto nie pasuje, kto nie jest taki, jak powinien, kto nie należy do tego miejsca. Może zawsze tak na mnie patrzono, ale dopiero teraz sam dostrzegłem cudze spojrzenia. Czy potrafiłem o siebie zadbać? Już nie wiedziałem. Między falochrony wpłynął prom, w ciemności zawisły w rzędki lśniące latarnie, przesuwane się przed moimi oczami. Poczułem, że wciąga mnie wir śmiechu. Nie pamiętałem już, jaka jest pora roku. Pory roku nie zbiegały się we mnie, gromadziły jedynie znieruchomiały czas. Otworzyłem okno i ze wszystkich stron usłyszałem muzykę, instrumenty dęte i gladjazz, to był wesoły wieczór w Baltimore, wielki festiwal kraba. Z okien pokoju na ósmym piętrze patrzyłem w dół na promenadę wzdłuż basenu portowego. Z recepcji zadzwonił ktoś i spytał: – Jak długo zamierza pan zostać? – A jak długo nie mogę zostać?

Następnego dnia rano przyjechał po mnie pielęgniarz, Bill, mister Bill, wysoki czarnoskóry mężczyzna w sandałach, i zawiózł mnie do Sheppard Pratt, ogromnego osiemnastowiecznego budynku położonego w głębi pięknego parku, w cieniu ciężkich dębów. Gdybym nie wiedział, jak jest naprawdę, mógłbym pomyśleć, że zamieszkać w zamku. Wiedziałem, jak jest naprawdę. No tak, to musiała być wiosna, a może lato. Wiewiórki biegały po pniach. Przy wejściu rósł rododendron w pełnym rozkwicie. Czy on również był znakiem? Znakiem, który miał mi przypominać o tym, kim kiedyś byłem, który miał otworzyć ranę, tak jak zrobił to Jimmy Stout w momencie, kiedy stanęliśmy twarzą w twarz? Rana się nie zagoi, jeśli nie popłynie krew. Czy nie to powtarzali wszyscy przed moim wyjazdem – że mam odnaleźć siebie? Musisz odnaleźć siebie, powtarzali. Ale ja nie chciałem. Ostatnią rzeczą, jakiej chciałem,

to odnaleźć siebie. Chciałem odnaleźć kogoś innego, łatwiejszego we współżyciu, z kim mógłbym się dogadać, z kim mógłbym żyć, nie umierając. Chciałem być trzmielcem w rododendronie, a stałem się karpim na ładzie. Powiniennem się udać do skrzydła „Obsesje & Zaburzenia”. Cały byłem i jednym, i drugim. Mister Bill zażądał, abym oddał mu swój bagaż, dwie walizki, jedną dużą i jedną małą. To on miał je nieść. Mister Bill miał się mną opiekować. Był jednocześnie strażnikiem i służącym. Posłusznie szedłem za nim pustym, bezdźwięcznym korytarzem. Ściany były zielone, podłoga miękka. Dotarliśmy do czegoś w rodzaju salonu, do świetlicy. Tam przywitało mnie kierownictwo, dwaj mężczyźni, nieco młodszy ode mnie. Doktor Due i Doktor Philip, obaj w szarych garniturach, obaj do złudzenia do siebie podobni. Będę ich nazywał Doktor Feel i Doktor Good. Tutaj, w Sheppard P, w tym przyjemnym miejscu, wszyscy nosili inne imiona i nazwiska. Nikt nie nazywał się tak, jak nazywał się naprawdę. Podobało mi się to. Sam przecież nosiłem różne imiona, w zależności od tego, gdzie i z kim przebywałem – Chris, Chaplin, Christian, Blackie, Funder, Maminsynek, a wkrótce miałem otrzymać kolejne imię, mianowicie Scrabble. Ale tak oto wyglądało przyjęcie do Sheppard P: najpierw pobrali mi krew, potem mnie zważyli, a na koniec musiałem oddać próbkę moczu. Mister Bill stał w toalecie i obserwował, jak sikam. Potem mnie przeszukał i niczego nie znalazł, oprócz dwóch drżących dłoni i dziesięciu przerażonych palców. Ale w Sheppard P wolno było drzeć i nikt nie rekwirował palców, dopóki trzymało się je u siebie. Właśnie dlatego tu byliśmy, prawda? Żeby nasze dłonie się uspokoiły w bukiecie palców, nie było w tym nic specjalnie trudnego, a mimo wszystko jakież to niemożliwe. Potem dostałem swój przydział, lamictal i zoloft razy dwa, a Mister Bill nie spuszczał ze mnie oczu, dopóki nie zobaczył, że połknąłem tabletki. Zresztą nie tylko on mnie obserwował, zawsze było ich dwoje. Kobieta nazywała się Sister Sorrow. W każdym razie ja ją tak nazywałem. Zawsze potrzeba dwóch świadków, żeby stwierdzić, co jest rzeczywiste, a co jest cieniem. Cień to niskie światło rzucone przez rzeczywistość. Potem Mister Bill zaprowadził mnie do pokoju, a w tym czasie przeszukano bagaż. Robiono to na wszelki wypadek. Robiono to dla mnie. Pozwoliłem na to. Nie przeschmuglowałem niczego przez granicę do krainy Sheppard P. W oknach nie było zasłon, tylko siatka. Drzwi na klucz dawało się zamknąć jedynie z zewnątrz. Mister Bill na moment zostawił mnie samego, to znaczy, odwrócił się plecami. Usiadłem na łóżku i zapłakałem. Jeszcze nigdy człowiek we mnie nie był mniejszy. Potem Mister Bill wrócił. Nadeszła pora lunchu. Wolałem zjeść w pokoju. Tak jak wspominałem, nie znoszę jeść z innymi ludźmi. Poza tym nie byłem głodny. Oświadczyłem to wyraźnie, ale nie zdobyłem posłuchu. Posiłki były ważną częścią treningu społecznego. – Mister Bill – powiedziałem. – Nie chcę trenować społecznie. Jeśli już w ogóle mam trenować, chcę to robić sam. – Jesteśmy grupą – odparł Mister Bill. – Ty jesteś członkiem grupy. I nie mówi do mnie mister, po prostu Bill. – Dobrze, mister Bill. To znaczy Bill. I jako posłuszny człowiek, którym zawsze byłem, poszedłem za nim przerażony do ponurego pokoju dziennego, w którym inni równie ponurzy rezydenci siedzieli wokół stołu, uzbrojeni w pigułki. Sześcioro kobiet i mężczyzn w różnym wieku, ale nikt w najlepszym, tyle było pewne, godna pożalowania gromadka, a moja obecność wcale lepiej na nią nie wpłynęła, chętnie to przyznam; w żaden sposób nie podniosłem średniej, o nie, ściągnąłem całą tę gromadę na nieznane dotychczas poziomy i wody. Jeśli w ogóle miałbym odrobinę apetytu, to straciłbym ją natychmiast na sam widok tego towarzystwa z przetraconym kręgosłupem, żalosnej galerii cierpiących, przejętych sobą, nieznośnych ludzi, którzy z czasem mieli stać się moimi najbliższymi, moimi żołnierzami, wciąż nimi są, to moi najbliżsi przyjaciele, troskliwi opiekunowie, wciąż ich tak nazywam: moi troskliwi, to moja armia, która stawia się na każde zawołanie, chociaż od tamtej pory już nigdy się nie widzieliśmy i miejmy nadzieję, że nigdy się nie zobaczymy. Składam ręce, kiedy o was myślę, moi drodzy. Składam ręce, bo nic ponad to nie mogę zrobić, jedynie złożyć ręce dla was

i odmówić tę modlitwę, bez której się nie obejdziemy: przetrwać tylko ten jeden jedyny dzień, kochani, tylko jeden dzień, a dzień jutrzejszy, kochani, również będzie tylko jednym dniem. Krótkotrwałe szczęście to nasza długotrwała śmierć. Byliśmy trupą. Wyruszyliśmy na tournée po naszych własnych kulisach, po naszym własnym cyrku, nazwałem to: *The never ending fake it till you make it – Tour*. Przecież już dawno powiedziałem, że wszystko nazywam inaczej. W naszej grupie byli: Lovely Rita, której usta służyły wyłącznie do jedzenia, Gimmy Jimmy, Windshield Linda, Rehab Lucy, Housewife Gin & No Tonic oraz Tinker Taylor. – To jest Funder z Norwegii – przedstawił mnie Mister Bill. – Cześć, Funder. Znow zapadła cisza. Wszyscy na mnie patrzyli. Wszyscy na coś czekali. Spuściłem wzrok. Dokuczała mi ta przeklęta stopa, prawa. Wygięła się prawie w poprzek. Próbowałem siłą zmusić ją do powrotu na właściwe miejsce, ale ani drgnęła, przeklęta stopa, powinna zostać ucięta raz na zawsze. Gdybym teraz wstał i zaczął iść, krążyłbym w kółko i dotarł do tego samego krzesła. Mister Bill delikatnie dotknął palcem mojego ramienia. – Twoja kolej. Próbowałem podnieść głowę. – Jestem Funder z Norwegii – powiedziałem. Jestem idiotą. Dokładnie tak samo jak wy, dodałem w duchu, a przynajmniej tak mi się wydaje. Wkrótce nadano mi nowe imię, Scrabble. Każdy szanujący się cyrk potrzebuje artysty słowa. Przy nakryciu leżało zielone menu: *Lunch at The Retreat*. Dania były prawdziwe: *Fresh Fruit Cup, Fresh Baby Carrots, Vegetable Platter, Spinach Salad, Grilled Reuben Sandwich, Chunky Shrimp Salad Sandwich, Naked Idaho Potato, Fresh Cauliflower, Albacore Tuna Salad, Fresh Seasonal Fruit, Cheesecake, Cranberry Juice* i mleko. Poddałem się. Nie chciałem dokonywać wyborów. Nie potrafiłem wybrać. To nie ja drżałem. To świat nie mógł zachować spokoju. Byliśmy nędzną parą, świat i ja. Mister Bill polecił mi *Spinach Salad*. – Potrzebujesz żelaza – stwierdził, a reszta tych idiotów pokiwała głowami. Wszyscy mieliśmy usta służące wyłącznie do jedzenia.

Po posiłku znow przyszedł po mnie Doktor Feel. Zaprowadził mnie do swojego gabinetu. Usiadłem na białej skórzanej kanapie. Musiałem podpisać umowę. Kontakt fizyczny między rezydentami był zabroniony, nie wolno też było odwiedzać innych pokoi, a jeśli już to w obecności Sister Sorrow albo Mister Billa. Dla naszego dobra. Świetnie to rozumiałem. Poza tym absolutnie nie miałem ochoty ani na jedno, ani na drugie. Prawdę mówiąc, w ogóle nie potrafiłem sobie wyobrazić, by ich dotknąć, nikt nigdy tak mnie nie brzydził jak te zaniebane katastrofy, dlatego bardziej niż chętnie podpisałem się pod tym, że będę się trzymał od nich z daleka, i przypuszczam, że oni równie chętnie podpisaliby się, że będą się trzymać z daleka ode mnie. Pozostawała jeszcze kwestia dochowania tajemnicy. – Przywiozłeś ze sobą maszynę do pisania – zauważył Doktor Feel. – Wyłącznie z przyzwyczajenia. Roześmiał się, chcąc pokazać, że jest człowiekiem życzliwym. – Już dawno nie widziałem maszyny do pisania. – Ona jest tylko do ozdoby – wyjaśniłem. – Laska też? Nie bardzo rozumiałem, o co mu chodzi. – Laska? – Czy ona też jest tylko do ozdoby? – Mam niesprawną stopę. Poza tym kiedy używam laski, mogę liczyć na lepszą obsługę. – Czujesz, że masz złą obsługę? Że jesteś źle traktowany? – Przeciwnie. Zalecam panu używanie laski, im wcześniej, tym lepiej. Doktor Feel wrócił wreszcie do rzeczy, czyli do obowiązku dochowania tajemnicy. W razie ujawnienia tożsamości któregoś z rezydentów po wypisaniu należy się liczyć z roszczeniem o odszkodowanie, a w najgorszym razie z więzieniem. Takich planów również nie miałem, więc znow chętnie złożyłem podpis. Rozejrzałem się po pokoju. To mój sposób na to, żeby zniknąć. Na półce z książkami zauważyłem *Moby Dicka*. Wśród całej literatury fachowej, zdjęć rodziny i zwierząt oraz dyplomów uznania z rozmaitych uniwersytetów na całym świecie stała wściekła powieść Hermana Melville'a, nie miałem więc innego wyjścia, musiałem pomyśleć o tamtym lecie ponad czterdzieści lat temu, kiedy poznałem chłopca, który nazywał się Iver Malt i nie umiał czytać, dlatego musiałem opowiedzieć mu tę historię na swój własny wybrakowany sposób. Nagle się

postarzałem. Spytałem: Czy obowiązek dochowania tajemnicy nie może być równie piękny jak wolność słowa?

Nie, nie powiedziałem tego na głos, tylko pomyślałem, a pytanie zadałem następujące: – Czy ktoś może mi powiedzieć, o czym mam prawo milczeć?

Proszę mi pozwolić przejść do rzeczy, zanim skończę.

Oto, o czym mam prawo milczeć: Spędziłem w Sheppard P sześć miesięcy. W każdy piątek o piętnastej odwiedzał nas Bob. Wszyscy go lubili. Nielubienie Boba nie wchodziło w rachubę. A jeśli ktoś z mojego opisu zdoła rozpoznać Boba, to chętnie pójdę do więzienia. Bob był golden retrieverem w podeszłym wieku, który miał za zadanie nas uspokajać. Po zrobieniu rundy po całym zakładzie był zmęczony i rozedrgany. Nazywało się to *pet therapy*, chociaż wydaje mi się, że to raczej Bob przychodził na terapię do nas, na *human therapy* dla zmęczonych zwierząt. Rozciągał się na płasko między naszymi stopami, kiedy siedzieliśmy w kręgu i ostrożnie głaskaliśmy go obiema rękami. Pies nie dostrzegał między nami żadnych różnic, widział po prostu ludzi. Mogłem nawet podrapać go za uchem swoją laską, a on był z tego bardzo zadowolony. I jeszcze tylko jedna rzecz: jak doszło do nazwania mnie Scrabble? To bardzo proste: czas wolny. Czas wolny to jedna z najgorszych rzeczy, jakie mamy. Czas wolny to ogień czyścowy. Czas wolny to nic innego jak spisec wymierzony przeciwko nam, w każdej sekundzie tej niby wolności czyha na nas zagrożenie. W ogóle czas jest spiskiem przeciwko nam. Już się wydaje, że zdołaliśmy nabrać do niego dystansu, a on tymczasem poszedł na tylne podwórze ćwiczyć pompki, gotów do nowych ataków i prostackich napaści. Czas to kieszonkowiec, zbój czyhający przy drodze, fałszerz, wydawca nieważnych kalendarzy. Takimi torami krążyły nasze myśli. Nasze? Moje. Ale wkrótce „ja” zaczęło się zmieniać w „my”. My, czyli uczestnicy *The never ending fake it till you make it – Tour*. Kiedy mieliśmy złe chwile, a tych na szczęście było więcej, mimo wszystko jakoś dawaliśmy radę. Ale w dobrych chwilach, na przykład rano, w łagodnym świetle wśród dębów, gdy całą gromadą szliśmy na spacer, nie spodziewając się żadnego niebezpieczeństwa, zdarzało się, że ogarniały nas taki entuzjazm i zuchwalstwo, iż mogło się to naprawdę źle skończyć. Piekło wśród nas stwarzali optymiści. Na przykład Housewife Gin & No Tonic podczas jednej z takich dobrych chwil postanowiła uważać, że lądowanie na Księżycu w 1969 roku było jednym wielkim oszustwem. Jak to możliwe, żeby na Księżycu rozwinięta flaga powiewała, skoro nie było tam wiatru? A cienie? Czy ktokolwiek zwrócił na to uwagę? Przy położeniu Słońca 20 lipca 1969 roku cień astronautów padałby w zupełnie inną stronę. To zostało już udowodnione. Przez kogo? Przez tych, którzy to udowodnili! Zastanów się trochę nad tym, mówiła Housewife Gin & No Tonic. Te brednie wywołały we mnie niepokój. Nagle bowiem w moich uszach przestały brzmieć jak brednie. To było możliwe. To była tylko jedna z wielu możliwości, jaką przechwalana i przeceniana rzeczywistość miała do zaoferowania. Oznaczała, że lato 1969 roku również mogło być jedną z niezliczonych wersji tamtych letnich miesięcy, tych samych wakacji. Czy sam nie wpadłem na myśl, że Iver Malt nie istniał? Że nie miał żadnego przyrodniego brata, nigdy mnie nie poznał, a ta dziewczyna, o której nieustannie myślałem, ta pierwsza, z którą tego nie zrobiłem, była tylko snem. Niepokoił mnie ten niepokój. Przekłeta rzeczywistość oferowała zbyt wiele możliwości. Czy nie mogła poprzestać chociaż na dwóch? Jedną można by się dzielić z innymi, a drugą zachować dla siebie. Ewentualnie mogłaby istnieć jeszcze trzecia, chociaż co do tej już mam wątpliwości: to, co się pisze. – Gdzie wobec tego oni wylądowali? – spytał Gimmy Jimmy. – W jakimś studiu w Hollywood, rzecz jasna – odparła Housewife Gin & No Tonic. – Albo na Islandii. W tym momencie rozmowa przybrała nieoczekiwany obrót, bo odezwał się Tinker Taylor: – Wszyscy jesteśmy członkami klubu armatniego – oświadczył. W świetlicy w Sheppard P zapadła cisza. – Klubu armatniego? Jakiego klubu armatniego? Chcieliśmy wiedzieć, jakiego

klubu byliśmy członkami, żądaliśmy tej informacji. – Klubu armatniego, który został założony tu, w Baltimore, tuż po wojnie domowej – wyjaśnił Tinker Taylor. – Co to był za klub? – Loża wojskowa. Warunkiem przyjęcia było wynalezienie armaty albo jakiegoś ulepszenia, a w razie braku armaty – wynalezienie nowej broni strzeleckiej. Ale wynalazcy rewolwerów piętnostrzałowych albo prostych pistoletów szablowych nie cieszyli się takim samym uznaniem jak artylerzyści. Szacunek, jaki zyskiwali, był proporcjonalny do rozmiarów armaty i zasięgu strzału. I znów cisza przy stole. Nastrój był marny. – A jaki to ma związek ze sprawą? – spytała wreszcie Windshield Linda, mistrzyni olimpijska w klasie jolek. Tinker Taylor rozejrzał się, jakbyśmy byli najmniej myślącymi i oświeconymi ludźmi, do jakichkolwiek się zwracał, co w zasadzie mogło być prawdą. – To już chyba wiecie! Klub armatni z Baltimore jako pierwszy wysłał ludzi na Księżyc. Było to 12 grudnia 1881 roku. Ze wzgórz koło Stone Hill. Niestety, źle się to skończyło. – Co się źle skończyło? Tinker Taylor spuścił wzrok. – Pocisk transportujący na swoim pokładzie Nicholla, Barbicane’a i Ardana, niech Bóg ma ich w swej opiece, nigdy nie dotarł na miejsce. Po dziś dzień krążą we wszechświecie złapani przez siłę przyciągania Księżyca. Windshield Linda roześmiała się głośno. – A więc projekt był od początku do końca nieudany? – Tak bym nie powiedział, przez reflektor na Long’s Peak pojazd bywa obserwowany raz na dwadzieścia lat i jak mówią uczeni, nasz system słoneczny wzbogacił się o nową gwiazdę. – Jaki ta gówniana historia ma związek z nami? – To my krążymy wokół Księżyca – zakończył Tinker Taylor. Nie podobała nam się ta myśl, ani trochę. Myśl o tym, że mielibyśmy znajdować się w kapsule, była potworna i nie służyła nikomu. Nie przynosiła absolutnie nic dobrego. Staliśmy się nieprzyjemni i niebezpieczni, w każdym razie ja, bo mogę mówić tylko o sobie i we własnym imieniu. Nie wiem, co myślą inni. Nie wiem, co widzą. Wiem tylko, co sam widzę, i znam jedynie własne myśli. Oto, co widziałem i myślałem: Sister Sorrow i Mister Bill chcieli interweniować, a ta reakcja była jak najbardziej na miejscu. Wówczas to Lovely Rita – wciąż myślała o George’u Harrisonie, który przyszedł do jej katolickiej szkoły szukać spokoju po koncercie The Beatles w Baltimore 4 października 1964 roku – położyła ciężkie buty na stole i uprzedzając wszystkich, powiedziała: – Zapięcie na rzep! Były to pierwsze słowa, jakie usłyszałem z jej ust. Musiała się wytłumaczyć. Jaki związek zapięcie na rzep miało z tą sprawą? – Zapięcie na rzep było najlepszą rzeczą, jaka wyniknęła z podróży na Księżyc, bez względu na to, gdzie wylądowali. Astronaucci mieli buty zapinane na rzepy, żadnych sznurówek, żeby nie potknąć się na Księżycu! Zaczęliśmy bić brawo. Ale co ja właściwie chciałem powiedzieć? Na Księżycu nie ma czasu wolnego. Natomiast tutaj, na dole, czas się gromadzi, a nas uczono, jak sobie z nim radzić. Myślenie oznacza ryzyko. A myśl i czas łączą się ze sobą. Bez czasu nie ma myśli. Mieliśmy uwolnić się od myśli i od czasu, to znaczy, wymyślić sobie coś do roboty w wolnym czasie. Mieliśmy być wolni. Mieliśmy, mówiąc najprościej, nauczyć się znajdować sobie zajęcie. Dlatego graliśmy w kręgle. Dlatego budowaliśmy domki z papieru, malowaliśmy obrazki prawdziwymi akwarelami, dlatego wożono nas do gospodarstwa wiejskiego w sąsiedztwie, gdzie najpierw mogliśmy poznać małego kucyka, a później prawdziwego konia w pełnym rozmiarze, czyli że awansowaliśmy; po zdaniu egzaminu z kucyka mogliśmy podjąć wyższe studia z konia, najpierw jednak włożono nam kaski na głowy, więc wyglądaliśmy dokładnie na to, czym byliśmy – na najmarniejszą trupe, która wyprawiła się na *The never ending fake it till you make it –Tour*. Przez kontakt z naturą, doświadczanie bijącego serca konia, ciepła parującego z jego pyska czy wyczuwalnego przez sierść biednego Boba mieliśmy również bardziej zbliżyć się do samych siebie. Protestowałem z całych sił. Wspominałem już o tym? Przyjechałem do Sheppard P nie w celu odnalezienia siebie, lecz kogoś innego, zupełnie innego, z kim mógłbym żyć, próbując przetrwać każdy dzień z osobna, a nie tylko kogoś, z kim mógłbym przeżyć aż do śmierci. Moja amerykańska wieczorna modlitwa: *If it*

works, it works. Pewnego dnia rano na stole nakrytym do śniadania leżały przeznaczone dla nas nowe formularze. Przygotowała je Busy Bee, terapeutka czasu wolnego. Mieliliśmy zaznaczyć, co najchętniej będziemy robić w czasie wolnym po powrocie do domu, abyśmy mogli zacząć przygotowania już teraz. Wszystkich natychmiast ogarnął lęk. Nie chcieliśmy, żeby przypomniano nam o tym dniu, który prędzej czy później musiał nadejść. Nie chcieliśmy, by przypomniano nam o życiu, jakie mieliśmy wieść po Sheppard P. Nie chcieliśmy, by przypomniano nam o tym niebezpiecznym miejscu nazywanym domem. Nie chcieliśmy, by przypomniano nam o czasie wolnym. Byliśmy zbyt zajęci rozliczaniem się z życia już przeżytego i z ludzi stanowiących część tego życia, z naszych najbliższych, których zwyczajnie odepchnęliśmy, aby zrobić dość miejsca dla nas, naszych demonów i dla ich brzydkich nawyków. Nie braliśmy pod uwagę niczego, z wyjątkiem samych siebie. Byliśmy nieprzyzwoitymi ludźmi. Nadawaliśmy się wyłącznie do zawadzania, jeśli w ogóle byliśmy zdolni do czegokolwiek. Niektórzy z nas nie wstawali z łóżka przez cztery lata, inni tak długo stali pod prysznicem, że w końcu skóra zaczęła się z nich złuszczać jak farba, jeszcze inni siedzieli w barze aż do opróżnienia ostatniej butelki, a później nocowali w izolatkach, kaftanach bezpieczeństwa i schroniskach, wśród członków narodów, których nie ma na mapie. Ale wróćmy do tego formularza. Było tutaj więcej rzeczy do wyboru niż we wszystkich menu łącznie. Już samo to stanowiło groźbę. Pozwolę sobie wymienić niektóre czynności, jakimi można zabijać wolny czas, to znaczy odbierać czasowi wolność i w ten sposób znów brać go w posiadanie, okupować go i naginać według naszej woli: robótki na drutach, base jumping, znaczki, szachy, malarstwo na porcelanie, brydż, poker, kręgle, joga, piłka ręczna, ping-pong, badminton, polowanie, narty wodne, narty zjazdowe, podróże, ogrodnictwo, pieczenie, taniec, granie na rogu, rafting, biegi na orientację (i w dzień, i w nocy), znaczki, frisbee, golf i minigolf. W końcu znalazłem swoją namiętność i udało mi się wybrać. To było wielkie zwycięstwo, można to uznać wręcz za triumf. Dzień później znów wezwał mnie do siebie Doktor Good. On i Busy Bee chcieli ze mną rozmawiać. Busy Bee wyjęła mój formularz i położyła go na stole. – Wędkarstwo podlodowe – powiedziała. – Czy łowienie pod lodem to jedyna rzecz, którą ewentualnie chciałbyś się zająć po powrocie do domu? – W formularzu była taka ewentualność – odparłem. – Wędkarstwo podlodowe. – A co cię pociąga w łowieniu pod lodem, Chris? – Człowiek ma spokój. Jeśli przyjdzie ktoś jeszcze i też chce łowić, to najprawdopodobniej wywierci sobie dziurę możliwie jak najdalej. To mi się podoba. Takie jest prawo łowienia pod lodem. Busy Bee spojrzała na Doktora Gooda. – A nie interesuje cię przypadkiem przerębel w lodzie? – spytała. – Żeby łowić pod lodem, trzeba zrobić przerębel. Nie można usunąć całego lodu. Zresztą wtedy to nie byłoby łowienie pod lodem. – No ale ta dziura prowadząca w ciemność. Dostrzegasz chyba pewne podobieństwo? – Do czego? – Do siebie, Chris. W tobie też jest wielka ciemność, prawda? – O co panu chodzi? – Załóżmy, że znajdujesz się na dnie. Musiałem mu, do cholery, przerwać: – Ja się wcale nie znajduję na dnie! Stoję na lodzie. To ja wiercę dziurę. Niech to do was dotrze. – Mimo wszystko spróbuj to sobie wyobrazić, Chris. To ty stoisz na dnie. Znów musiałem mu przerwać: – Jeśli to ja stoję na dnie, to kto wierci dziurę? Nie mogę robić jednego i drugiego. Doktor Good też zrozumiał, że ta rozmowa przybiera raczej zły obrót. – Chodzi o to, że wybrałeś Wędkarstwo podlodowe, Chris. To nie przypadek. – A jeśli po prostu ma się ochotę na okonia? Jeśli po prostu lubi się moczenie kija bez łapania czegokolwiek, po prostu dlatego, że moczenie kija to taki styl życia? Busy Bee zwietrzyła krew. – Nie mów „się”. – Słucham? – Mów „ja”. To nie „się” stoi na lodzie. – No to o kim mam mówić? – Mów „ty”. To znaczy „ja”. – Ty i ja? Stoimy teraz na lodzie razem? Busy Bee westchnęła i popatrzyła na Doktora Gooda. – Chodzi nam o ciemność w dole, na którą chcemy rzucić światło – powiedział. – A jeśli ja chcę pozostać w ciemności? – Wtedy byś tu nie przyjechał. – Ale mnie właśnie o to chodzi. –

Wyobraź sobie siebie jako dom, Chris. Wpuścisz kogoś do środka, dopóki nie zapalisz światła? Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. Kolejny raz poczułem słusność swojego przekonania, a nie czułem jej już od dawna: powinno się posiadać specjalny certyfikat uprawniający do obrazowego mówienia, do stosowania porównań, za nadużywanie metafor powinno grozić więzienie bez zawieszenia. – Mogłeś wybrać coś, czym mógłbyś się zajmować przez cały rok – powiedziała Busy Bee. – W Norwegii można łowić pod lodem przez cały rok. To znaczy ja mogę. Mogę łowić pod lodem przez cały rok, jeśli zechcę. – Powinieneś też wybrać coś, co mógłbyś robić razem z innymi. – Można łowić pod lodem razem, jeśli tylko stoi się w odpowiedniej odległości od siebie. Już mówiłem. A propos ryb, wiedzieliście, że spośród ryb karp jest zdolny najdłużej przeżyć na lądzie? Doktor Good mi przerwał: – Najwyraźniej nie traktujesz tego poważnie – stwierdził. Zaprzeczyłem: – Przyjechałem tu dobrowolnie i zapłaciłem majątek. Traktuję to bardzo poważnie. – Mimo wszystko wydaje mi się, że próbujesz z nas zadrwić, Chris. A jeśli tak, to drwisz też z reszty grupy. Jedziemy na tym samym wózku. Czyli teraz jechaliśmy wózkiem? Metafory się gromadziły. Cały stos metafor, łowienie pod lodem, dom, wózek – czy nic nie mogło być takie, jakie jest naprawdę? Chciałem o tym powiedzieć, wyznać, że tęsknię za powierzchnią, że świat ma za dużo treści, ale nie miałem już siły na dalsze stawianie oporu. – Nie taki miał być sens. Nie chciałem z nikogo drwić. – A jaki jest sens, Chris? – Nie mam pojęcia, Doktorze Good. Właśnie to jest takie straszne. Moje spojrzenie znów padło na *Moby Dicka* – stał w innym miejscu niż poprzednio. Może Doktor Good albo Doktor Feel w międzyczasie go czytał. – Moglibyśmy raczej porozmawiać o tym. O kapitanie Ahabie. O tym, jakie to niesamowite, że główny bohater powieści, kapitan Ahab, pojawia się w niej dopiero na stronie trzysta czterdziestej dziewiątej, a mimo wszystko cały czas jest obecny, jako plotka, cień, groźba, mit i lęk. Wizyta jednak dobiegła już końca. – Właśnie tego musimy się dowiedzieć, Chris – podsumował Doktor Good. – Co ma sens. Busy Bee oddała mi formularz, a Bill odprowadził mnie z powrotem do pokoju. Bill pracował na okrągło przez całą dobę. Nocą zaglądał co godzinę, świecił na mnie latarką i po cichu się wycofywał, jeśli zobaczył, że wciąż żyję. Kiedyś był jednym z nas, rezydentów, on także wrócił z wojny, z głową do góry nogami i sercem po niewłaściwej stronie. Potem awansował na strażnika, bo nie mógł znieść życia na zewnątrz, nie miał do czego wracać, dlatego chciał zostać tutaj. Jego życiem było Sheppard P. Nikt nie wiedział, ile ma lat. Kiedy spytałem, z której wojny wrócił: z Wietnamu, z Zatoki Perskiej, Somalii, Iraku, Afganistanu, czy może z Korei, pokręcił głową i odparł: – Wszystko jedno, Chris. Wszystkie wojny są takie same. Również twoja. W każdy Memorial Day wspinał się na wierzchołek najwyższego dębu i zostawał tam aż do zachodu słońca. W dniu, kiedy naród wspominał swoich poległych żołnierzy, Bill nie wytrzymał. Lepszego człowieka niż on nigdy nie spotkałem. Po prostu wytrwaj, mawiał. Myśl o tym, że są ludzie, którzy cię kochają. Płakałem czasem wtulony w jego ramię i tak mi było żal samego siebie, że miałem wręcz ochotę posłać sobie kwiaty. Któregoś dnia obudziłem się rano przed wszystkimi z wyjątkiem Billa i zobaczyłem, że mój ostatni zegarek zaczął chodzić. Wskazówki zataczały eleganckie kółka, a cyfry szybko się zmieniały w ostre wzory; cudownie było na to patrzeć. – Dziękuję – powiedziałem. Bill pokręcił głową. – Podziękuj Rehab Lucy. To ona go uruchomiła – odparł, ale czujności, nawet wobec siebie, nie tracił. – Oczywiście nie wchodziła tutaj. Pokazałem jej ten zegarek, kiedy zasnąłeś. – Wszystko w porządku, Bill. Może zacznę trochę trenować. Bill zaprowadził mnie na salę gimnastyczną w piwnicy. Podniosłem kilka sztang. Bill najwyraźniej nie był zadowolony z mojego zaangażowania. – Jak największy ciężar nad głową – oświadczył. Taka zasada obowiązuje w podnoszeniu ciężarów. Spróbowałem zamiast tego biegni, ale prawa stopa nie chciała brać w tym udziału, opierała się. Starałem się ją wcisnąć na miejsce, jednak na próżno – sterczała niczym ciało obce, to była obrzydliwa stopa, już o tym mówiłem,

zresztą o większości rzeczy już mówiłem. Zrezygnowałem więc z biegania, zanim spadłem z taśmy i doznałem obrażeń jeszcze cięższych od tych, które już miałem. Potem poboksowałem się trochę z Billem. Był twardy i nieustępliwy, śmiał się za każdym razem, gdy trafiłem. W powrotnej drodze na oddział Bill zatrzymał się przy jakichś drzwiach. Zajrzeliśmy do ogromnej sali, położonej niemal pod ziemią, do pustej podziemnej sali, przez wąskie okienka na samej górze wpadały kawałki światła i lądowały na zakurzonej podłodze jak fosforyzujący proszek. – Kiedyś urządzano tu tańce – powiedział cicho Bill. – Kiedy? – Dawno temu, przyjacielu. Ja też tańczyłem. Przez dłuższą chwilę się nie odzywał. Staliśmy. Poczułem zapach perfum i skamieniałem. Bill położył mi rękę na ramieniu, chociaż nie wolno mu było tego robić, a przynajmniej musiał wcześniej poprosić o pozwolenie. – W weekendy przyjeżdżały tu orkiestry. To były przyjemne chwile. – Dlaczego na liście Busy Bee nie ma tańca? – A chciałbyś potańczyć? – Ależ skąd! Bill się roześmiał. – Wiesz, która z tych chwil była najprzyjemniejsza? – Nie. Ale ty wiesz, Bill. Przyciągnął rękę do siebie i kiwnął głową. – To było wtedy, kiedy przyjechała Ella Fitzgerald. Z całą swoją orkiestrą, Paul Weston Orchestra. – Ella Fitzgerald we własnej osobie? – We własnej. Nigdy tego nie zapomnę. Dodała nam skrzydeł. Tego wieczoru nawet najbardziej ociążali z nas mogli fruwać, Chris. Nagle w kąciku lewego oka Billa coś błysnęło i ła cięższa od całego minionego czasu oderwała się i zaczęła spływać, aż w końcu upadła z hukiem. Poszliśmy dalej. Potem wróciliśmy. A może było odwrotnie? Wszystko jedno. I tak był to jeden dzień z osobna. Zdarzało się, że w nocy chciałem pisać, ale nie mogłem. Siedziałem z rękami na klawiszach mojej maszyny Remington Portable, z palcami ułożonymi do niesłyszalnego akordu, i nie mogłem posunąć się dalej – byłem jedynie pustym gestem, pozycją, mechanicznym i stawiającym opór naśladownictwem kogoś, kim byłem kiedyś, człowieka piszącego. Gdy tak siedziałem, gotów byłem się założyć, że słyszę, jak Ella Fitzgerald śpiewa w sali balowej pode mną, gotów też byłem się założyć, że śpiewa *Blue Skies*, piosenkę matki, wszystko jedno, czy tę śpiewaną na werandzie, w cieniu zielonego baldachimu lata, czy w kuchni – sercu rodzinnej fabryki; tę piosenkę, która zostawiała wszystko za sobą, popychała życie dalej, unosiła i popychała, popychała i unosiła, i nigdy się nie zawieszała. Chciałem, by wciąż śpiewała te piosenki, które tak cudownie ulatywały, nie zawierały wątpliwości ani spekulacji, a jedynie postęp, rytm i piękną powierzchnię. Słyszałem, jak ciężkie kroki pacjentów na dole zmieniają się w ptasie podskoki, ciężkie, lekkie, lekkie, ciężkie, buty z ołowiu stawały się spadochronami, wolno opadającymi w odwrotną stronę, w górę, w górę. Bill poświecił na mnie. – Sen to najważniejsza broń wojownika – oświadczył. – Ale ty nie śpisz, Bill. – Ja już nie jestem wojownikiem. Ty nim jesteś. Poza tym wkrótce zapanuje pokój. Nie zapominaj o tym, przyjacielu.

Wreszcie znalazłem na formularzu Busy Bee coś, co mogłem zakreślić i czemu mogłem się oddać. Postawiłem krzyżyk przy „Scrabble”. Mówcie mi Scrabble! Informację o tym natychmiast przekazałem Busy Bee, która była ze mnie bardzo zadowolona. Czy miałbym ochotę zagrać już, tu i teraz? I to jak! Zażądałem jednak wprowadzenia nowej zasady: chciałem układać słowa w języku ojczystym, norweskim. Inna sytuacja dałaby przeciwnikowi – wszyscy pozostali byli przecież Amerykanami – oczywiste fory, które najlepiej można porównać do skoku o tyczce bez tyczki albo z tyczką czy do skoków przez przeszkody na kucyku lub na koniu. Zgodzono się. Zarówno kierownictwo, jak i rezydenci przyznali mi rację. Mówcie mi Scrabble jeszcze raz! Tego samo wieczoru zagrałem z Tinkerem Taylorem i z hukiem wygrałem. Ułożyłem kilka cudownych słów. Następnego wieczoru grałem z Rehab Lucy, która właściwie powinna nazywać się Hab Lucy, ponieważ nie miała do czego się rehabilitować. Nie trzeźwiała od drugiego roku życia, kiedy zaczęła sypiać w szufladzie w prowadzonej przez matkę aptece. Znów odniosłem zwycięstwo z dużą, łagodnie mówiąc, przewagą, chociaż, z ręką na sercu, dwa razy dałem jej

szansę na wyrównanie. Przynajmniej tyle byłem jej winien za uruchomienie mojego zegarka. W końcu zagrałem przeciwko Doktorowi Feelowi, a może Doktorowi Goodowi, wszystko jedno, nie wszystko jedno natomiast, że od tej ich przegranej wprost krajało się serce; on, wszystko jedno który, nie zdążył nawet ułożyć „wc”, a ja już rozsypałem swoje słowa wzdłuż i wszerz, zwyczajnie go miażdżąc. Nikt więcej nie chciał już ze mną grać. Dwa dni później wezwał mnie Doktor Feelgood. Znowu usiadłem na białej skórzanej kanapie, nie wiedząc, co mnie czeka. Oczywiście powinienem był wiedzieć. Ten ważniak Tinker Taylor, klub armatni we własnej osobie, wyprosił i wymarudził sobie wreszcie spacer po porcie, posługując się szlachetną wymówką kupienia pulpetów krabowych dla nas wszystkich, ale zamiast się tym zająć, w księgarni Barnes & Noble dopadł słownik norwesko-angielski i w tym wydaniu nie znalazł ani jednego z ułożonych przeze mnie słów. Ten idiota je zapisał, zapisał moje słowa ze scrabbl! Poproszono mnie o wyjaśnienia. To nie był żart. – Jestem przede wszystkim poetą – powiedziałem. – Co to znaczy „ukalarium”? – To tyle, co powolna żałoba. Albo czas trwania cierpienia po odejściu najbliższej osoby. – Tego słowa nie ma w słowniku. – W słowniku nie ma wielu słów. Może ono również oznaczać stan ducha, jaki ogarnia człowieka, kiedy zapanuje się możliwie najgłębiej w norweski las, co w Norwegii często się zdarza. – A co to znaczy „javikur”? – „Javikur” jest spokrewnione z „ukalarium”, oznacza stan ducha bliższy wściekłości niż melancholii. – Ale tego słowa też nie ma w słowniku. – Nie mogę odpowiadać za to, które słowa w nim zamieszczono. Doktor Feelgood wstał, zaczął chodzić tam i z powrotem między białymi meblami. – Nie możesz po prostu powiedzieć, że oszukiwałeś? – No dobrze. – Dobrze? Podchodzisz do tego tak lekko? – Nie mogę podchodzić do czegoś lekko, dopóki nie wiem, jak bardzo jest to ciężkie. Doktor Feelgood znowu usiadł i długo na mnie patrzył; najwyraźniej w tym kraju taki mieli zwyczaj. – Chris. Rozumiesz chyba, że to działa na grupę. Ty z nich drwisz. Czy z tobą tak już jest, że drwisz i żartujesz ze wszystkich? – Wszystko, czego się dotknę, staje się rozrywką – odparłem. Tak będzie napisane na moim grobie. Wszystko, czego się dotknął, stawało się rozrywką. – Żartujesz sobie z nich? – powtórzył pytanie Doktor Feelgood. – Nie o to mi chodziło. – A skąd inni mogą wiedzieć, że nie o to ci chodziło? – Po prostu muszą mi wierzyć. – Po prostu muszą ci wierzyć. Umiesz czytać w myślach, Chris? – Nie, tego bym nie powiedział. – Ale przyjmujesz za pewnik, że pozostali rezydenci będą czytać w twoich myślach? – Nie bardzo rozumiem. – Przyjmujesz za pewnik, że będą wierzyć, że ich nie oszukujesz? – No tak. – A co robisz, żeby w to wierzyli? – Po prostu muszą mi wierzyć. – Dlaczego mają wierzyć w twoje słowa, skoro twoje czyny kłamią? Zabrzmiało to znajomo, a ja nie chciałem słuchać niczego, co by tak brzmiało. I tak nie znalazłem odpowiedzi. To proste zdanie ze mnie drwiło. Gotów byłem w tej chwili coś zniszczyć, bo oczywiście wiedziałem, że ma rację. Jego pytania były prawdziwe. Nie umiem tego wyrazić inaczej, niż że jego pytania były prawdziwe. Moje słowa rozstały się z czynami. Przyszła kolej na mnie, żeby się podnieść, ale nie chodziłem tam i z powrotem, wystarczyło mi stanie w miejscu. – Życie i nauka! Proszę nie przychodzić do mnie z takimi pierdołami! – Z pierdołami? – Tak, z pierdołami! Życie i nauka! Przekłęty szczebel! Przekłęty spróchniały szczebel drabiny! – Co z tym szczeblem? – Co ze szczeblem? Kiedy wreszcie się wdrapiesz na górę, znajdujesz wyłącznie zniszczony dach! Doktor Feelgood się uśmiechnął. – Teraz to ty mówisz metaforami. – Przepraszam. – Przepraszasz? – Pytam tylko, czy można dobrze pisać, nawet jeśli jest się złym? Doktor Feelgood zainicjował swoje zwykłe milczenie, w końcu i on musiał się poddać. – Powiedzieliś, że nie o to ci chodziło. A o co właściwie ci chodziło? – Że wszyscy powinni się jak najbardziej starać. – Jak najbardziej starać? Oszustwo to takie wielkie staranie się? – Wy zrobilibyście dokładnie to samo. – Oprócz tego, że większość z nas, jeśli nie wszyscy, znamy amerykański. Zostalibyśmy odkryci już po dwóch pierwszych słowach. – Takie są zalety posługiwania się „małym”

językiem – powiedziałem.

Nie było drogi wyjścia. Musiałem się rozliczyć. Tego samego wieczoru podczas wrap-upu, plenarnego podsumowania dnia, na którym jedynym nieobecnym był pies przewodnik Bob, kiedy wszyscy już się wyśmiali, poprosiłem o głos. – Rezydenci – zacząłem. – Jak wiecie, nie mówię dobrze po angielsku, więc okażcie mi wyrozumiałość. Otóż w języku norweskim istnieje wyrażenie „położyć się na płask”. Natychmiast zauważyłem podejrzliwe spojrzenia. Przecież już zdążyłem pokazać się w złym świetle, nawet tu, w Sheppard P, straciłem wiarygodność, moje językowe uznanie. Ciągnąłem jednak: – I nie jest to, wierzcie mi, wyrażenie, które wymyśliłem na tę okazję. „Kłaść się na płask” oznacza, że osoby, które się skrzywdziło, okłamało, udęczyło, szykanowało, oszukało, które się pominęło albo z których stroiło się żarty, mogą po sprawie przebiec w butach z kolcami, a następnie wykorzystać go jako wycieraczkę. Przerwał mi Doktor Feel: – No dobrze, Chris. Ale my tu nikogo nie chcemy karać, więc nie musisz kłaść się na płask, jak to nazywasz. Chcemy po prostu usłyszeć twoją wersję. Chcemy się z niej czegoś nauczyć. Zanim powiedziałem coś więcej, Gimmy Jimmy, ten, który miał wypadek na motocyklu, bo wbił sobie do głowy, że przejedzie z Nowego Jorku do Los Angeles z rękami na plecach, a na dodatek w szpitalu został morfinistą i teraz za plecy chował tylko jedną rękę – świat idzie naprzód, prawda? – w każdym razie to Gimmy Jimmy zabrał głos. Dosłownie wyjął mi słowa z ust: – Wszyscy jesteśmy wycieraczkami! – oznajmił. – Najwspanialszymi wycieraczkami na świecie! Wtedy przeżyłem moment, wielki moment ogromnej ulgi, uwalniający w swej czystości. W tej delikatnej chwili uległości, w której mogłem nagiąć rzeczywistość na swoją korzyść, byłem panem myśli i czasu. Padłem na żyzną glebę, ja, nie moje słowa, i wcale nie położyłem się na płask, tylko uklęknąłem, a to pewna różnica. Klęczałem w świetlicy bez okien w Sheppard P, w tym wielkim biurze rzeczy znalezionych dla zagubionych dusz, i chciałem mówić o wstydzie, to wstyd leżał mi na sercu, mój prastary wstyd, wróg towarzyszący mi na dobre i na złe, odkąd zacząłem przytomnie myśleć, to znaczy od chwili, gdy dowiedziałem się, że umrę, bo żadna myśl nie jest samodzielna, dopóki nie towarzyszy jej świadomość śmierci, własnej przemijalności, takiej jak kwiatów w drogim wazonie, świadomości, że ten wazon człowieka przeżyje. Chciałem mówić o tym wstydzie i powiedzieć, że tutaj, tu, w klubie armatnim w Baltimore, nie czuję żadnego wstydu, jedynie odpowiedzialność, a przecież odpowiedzialność jest przeciwieństwem wstydu. Wierzycie mi? Mogę wam przekazać te słowa? Nie udało mi się jednak tego powiedzieć, bo moi przyjaciele, moi sprzymierzeńcy, my, którzy uczestniczyliśmy w *The never ending fake it till you make it* –Tour i wciąż w nim uczestniczymy, podnieśli mnie z tego miejsca, gdzie również klęczeli, nie mając żadnego boga, do którego mogliby się modlić, oprócz samych siebie i swoich przyjaciół, czyli nas, myślałem, kiedy mnie podnosili, moi przyjaciele, czyli my.

Niedługo nie będzie już niczego więcej, o czym miałbym prawo milczeć.

Tylko to: Dzień później miałem iść na wizytę do skrajnego skrzydła, do skrzydła skrajnego lęku i przestachu. Taka wizyta nazywała się ekspozycją. Wywołane miało zostać moje zdjęcie. Wszyscy tego dnia chodzili cicho, bo wiedzieli, co mnie czeka. Sami przez to przeszli. Tinker Taylor poklepał mnie po ramieniu, chociaż nie wolno nam było się dotykać. Bill w milczeniu prowadził mnie między dębami. Wiewiórki siedziały nieruchomo na gałęziach, wyglądały tak, jakby cały czas wycierały nosy. Płakały nade mną. Bill zatrzymał się, zdjął sandały i wspiał się na czubek najwyższego dębu, nie budząc żadnej wiewiórki, nie przeszkadzając niczemu między niebem a ziemią. Nawet trzmięle zostały w domu. Wreszcie zszedł z drzewa z kieszeniami pełnymi chmur i razem ze mną pokonał ostatni kawałek drogi ku temu, co jest tylko początkiem reszty mojej śmierci.

Doktor Feel tym razem siedział na czarnej kanapie. Uświadomiłem sobie, że teraz wszystkie meble są czarne. Czyżby zmienili im obicia na tę okazję? Chciałem o to spytać, ale

Doktor Feel od razu przystąpił do rzeczy. Chciał wiedzieć, kto jest najbliższą mi osobą. Powołałem się na obowiązek dochowania tajemnicy. Zażądałem możliwości milczenia o wszystkich oprócz siebie. Zbyt długo zdradzałem swoich najbliższych. Teraz odbywałem za to karę, zasłużoną i bez zawieszenia. Teraz nadeszła moja kolej. Słusznie. Teraz mnie to czekało. Moja kolej nadeszła. – Kto jest ci najbliższy? – powtórzył Doktor Feel. Mogłem odpowiedzieć, że Iver Malt, tamten chłopak, którego zdradziłem, ten, który w ciągu kilku tygodni pewnego lata prawie na samym spodzie stosu wszystkich moich lat pokazał mi, kim jestem: osobą, której nie można ufać. Wciąż był mi bliski, bez względu na to, gdzie się znajdował, na jakim morzu, wciąż był w moich myślach, w snach na jawie i we śnie albo w niewidzialnym piśmie, tym, którym napisane są moje najlepsze książki. Mógłbym wymienić Heidi albo jakąś inną dziewczynę, która pojawiła się w moim życiu, kiedy było ono jeszcze tak krótkie, że zaledwie jedna kropla, jeden rzut okiem, jedno spojrzenie mogło doprowadzić do mojego zatonięcia. Tę, którą święcie przyrzekłem sobie pocałować bez względu na koszty, ale nigdy do tego nie doszło, dlatego wciąż pochylałem się nad nią we śnie należącym do dnia i do resztek światła. Mogłem wspomnieć o ojcu, on był mi bliski, ale nie żył. Powiedziałem, że matka. Doktor Feel wyjął kartkę, długopis i kazał mi napisać następujące słowa: „Moja matka zachoruje i wkrótce umrze”. Oczywiście odmówiłem. To było niesłychane. – Czego się boisz? – Nie boję się. – Boisz się, że to się stanie, jeśli to napiszesz? – Nie wypada tego robić – powiedziałem. – Po prostu nie wypada. – Staramy się przełamać tory twoich myśli, Chris. Właśnie dlatego tu jesteś. – Jakie tory myśli? Nie mam ich tak wielu. – To, że uważasz, że wszystko ma sens. Nie mogłem powstrzymać się od śmiechu. – To absolutnie ostatnia rzecz, jaką spodziewałem się od pana usłyszeć. – Że wierzysz w sens wszystkiego. Jesteś niewolnikiem znaków, Chris. Jesteś zniewolonym człowiekiem. – A wy chcecie przełamać zaklęcie i mnie uwolnić? – Tak, można to określić i w taki sposób. – Oszczędźcie mi tego, do diabła. – Czy tak trudno napisać to jedno zdanie? – Nie wypada – powtórzyłem. – Po prostu nie wypada. – Nic się nie stanie, jeśli je napiszesz. – Nie o to chodzi. – A o co? – To niktzemne. – To tylko litery. – Tylko litery? One mają sens, Doktorze Feel, to czyn. To nie są tylko litery. Pan mi ubliża. – Bardzo kochasz matkę? – Jesteśmy sobie bardzo bliscy. – Opisz ją. – Wierna, silna, łękliwa. – Rozpoznajesz siebie w niej? – Tak. Oprócz tego, że nie jestem ani wierny, ani silny. – Jesteś tylko łękliwy? – Ani razu nie zdarzyło mi się rano obudzić i nie czuć strachu. – Czego się boisz? – Że kogoś zraniłem. Że będę odpytywany w szkole. Że nagle będę musiał stanąć przed lustrem. Że ktoś odkryje, jaki jestem. Że zostanę odrzucony. Że się ośmieszę. – Kim jest ten ktoś? – Ten ktoś to wszyscy. – Naprawdę się nimi przejmujesz? – Tak. – Masz prawie sześćdziesiąt lat, Chris. Ciągłe się boisz odpytywania w szkole? – Nigdy nie odrabiałem lekcji. Mam cholernie dużo do nadrobienia. Nigdy się wszystkiego nie nauczę. Program nauczania jest zbyt obszerny. – Nie możesz ułożyć nowego programu? Cholernie się wkurzyłem. – Niech pan skończy z tymi metaforami! – krzyknąłem. – Do cholery, niech mnie pan przestanie metaforować! Doktor Feel dał mi długopis. – Jesteś zły – powiedział. – Trzeba zawołać Billa? Pokręciłem głową, chciałem rozmawiać o czymś innym. Mogłem powiedzieć, że mój nekrolog będzie wyglądał tak: Wszystko, czego się dotknął, zmieniało się w rozrywkę. Już to mówiłem? Ale czy nie mówiłem również, że jestem człowiekiem powtórzeń? Tak będzie napisane na moim nagrobku; nie że wszystko, czego się dotknął, zmieniało się w rozrywkę, tylko w refreny. I jeszcze raz uświadamiam sobie, że bardzo mało – albo wręcz nic – z tego, co piszę, przypomina to, co przeżyłem. Jakby mój język wzdragał się, unikał i okrążał, żartował sobie ze mnie. Chciałem jednak rozmawiać o czymś innym, więc wskazałem na półkę z książkami. – *Moby Dick*? Czy on należy do literatury fachowej? – W pewnym sensie tak. Czytałeś? – Nigdy nie skończyłem. – To mnie nie dziwi – powiedział Doktor Feel. – Jak to? – Ponieważ rozpoznajesz w tym siebie i nie możesz tego znieść. –

Rozpoznaję siebie? W tym wielorybie? Doktor Feel się roześmiał. – W kapitanie Ahabie. Wiesz, jakiego słowa Melville używa najczęściej, pisząc o nim? – Drewniana noga. – Nie. Maniak. – I co z tego? – Kapitan Ahab ceni wyłącznie ludzi, których może wykorzystać do swoich celów, do załatwienia swoich spraw. A musi doprowadzić do końca wszystko, co sobie wyznaczył, bez względu na koszty w postaci śmierci, cierpienia i rozpadu. Nie ma litości nawet dla własnych dzieci. Jest maniakiem. – I co z tego? – powtórzyłem. – I co z tego? – Kapitan Ahab to najwyraźniejsze odbicie twojego stanu w literaturze. Nie wiedziałem, czy trafiłem w dobre, czy złe towarzystwo. – A co z Jezusem? Czy on również nie był uparty i żądny sławy? – Nie. Jezus dokonywał wyborów. Kapitan Ahab nie ma żadnego wyboru. Na tym polega różnica. – Naprawdę miał jakiś wybór? Mam na myśli Jezusa. Doktor Feel porzucił ten temat. Przyniósł mi kartkę, a ja, jak zawsze uległy, napisałem. Napisałem to zdanie, którego nie chcę powtarzać w tym miejscu, że moja matka zachoruje i wkrótce umrze. I nie dość na tym; zostałem również poproszony o przeczytanie tego cholernego zdania na głos, a kiedy już to zrobiłem, kiedy przeczytałem to zdanie o matce, musiałem je jeszcze zaśpiewać, zaśpiewać, że matka umrze, a nie przyszła mi do głowy żadna inna melodia niż *Blue Skies*, ta śpiewana co rano w kącie mieszkania, w którym się wychowałem, tam gdzie światło z trzech okien padało na nasze szczęście. Teraz to wszystko zdradziłem. Byłem zdrajcą.

Tej nocy nie spałem. Bill siedział przy mnie. Nie musiał zapalać latarki, bo blask księżyca wypełniał pokój żółtym pyłem, wiórami i pyłem, oczywiście przypominając mi o wszystkim, co straciłem. – Tak się boję, Bill. Napisałem, że moja matka umrze. Bill przyniósł szklanekę wody. – Matki i tak muszą umrzeć pierwsze. Gdybyś umarł przed nią, byłaby to obraza. Moim zadaniem jest powstrzymać cię przed tym. Ująłem go za rękę. Była sucha i twarda. Brakowało mu zresztą palca u prawej dłoni, wskazującego, wcześniej tego nie zauważyłem.

Jutro wyjeżdżam.

Przy opuszczaniu Sheppard P obowiązują trzy zasady. Nie płakać. Nie oglądać się. I mówić: „Miło cię było poznać, kolego. Mam nadzieję, że już nigdy cię nie zobaczę”. Zastosowałem się do tych zasad i opuściłem przyjaciół, których znałem zaledwie kilka krótkich miesięcy, a którzy znają mnie lepiej niż inni. Wciąż o was śnię. Milczę i śnię. Śnię i milczę. Udaje ci się wstać rano i podejść do okna, Rehab Lucy, ty, która uruchomiłaś mój zegarek, odzyskałaś swój czas? Śpiewasz, *Lovely Rito*, ty, która w 1964 roku poznałaś George'a Harrisona, skromnego chłopaka, szukającego w katolickiej szkole spokoju, spokoju przy tobie? Śpiewasz? Czy znów podniosłaś żagiel, *Windshield Lindo*, ty olimpijska mistrzyni?! Masz odwagę umyć włosy, *Gimmy Jimmy*? Masz odwagę pewnego dnia zerwać rzep, zerwać go z obu butów i iść boso, nie spadając z Ziemi i nie czekając na awans? A ty, *Tinker Taylor*, mnie nie oszukasz, durniu! Klub armatni, aha, na pewno! Za dużo się nazywałaś literatury, uważaj na to, a szczególnie na Juliusza Verne'a, ale nikomu o tym nie powiem, tylko nie mieszaj literatury z rzeczywistością ani odwrotnie. Milczę i śnię, przyjacielu. Ty, *Housewife Gin & No Tonic*, myślałaś, że o tobie zapomniałem? Co będziemy teraz mieszać oprócz deszczu i krwi? Odszedłem od was między wielkimi dębami. Nie odwróciłem się. Nie zapłakałem. Wiedziałem tylko, że ci ludzie skoczyliby za mną w ogień i w wodę, a ja zrobiłbym to samo dla nich. Skoczyłbym w ogień i w wodę na najmniejszy sygnał. Staliśmy w pogotowiu, gotowi do skoku, gdyby ktoś potrzebował nas bardziej, niż sami potrzebowaliśmy siebie. A przede wszystkim ty, Bill, *Mister Bill*, wciąż się mną opiekujesz i zawsze będziesz to robił, ale czy masz kogoś, kto zaopiekuje się tobą podczas tego zawieszenia broni?

Wynajęty samochód, o który prosiłem, czekał na parkingu przy bramie. Włożyłem do bagażnika swoje dwie walizki, dużą i małą, wsiałem, a schowek na rękawiczki wypełniłem po brzegi odpowiednimi obfitymi dawkami, *zoloftem & lamictalem*, to słynny duet, znany również

pod nazwą Mustang & Apteka. A potem ruszyłem, nie do Baltimore, jak było zaplanowane, ale na chybił trafił wszystkimi innymi drogami, aż dotarłem do tego jednego zdania, które przywiodło mnie z powrotem do słów, do języka, chociaż sądziłem już, że straciłem język: „Morze kolekcjonuje rzeki”.

Zatrzymałem się przy najbliższym skrzyżowaniu, sięgnąłem po dawki, dwieście miligramów i pięćdziesiąt miligramów, wyjąłem je z opakowania, już miałem je wsunąć do ust, ale w ostatniej chwili zmieniłem zdanie i odłożyłem tabletki na miejsce. Już ich nie potrzebowałem. Było to równie przerażające jak cudowne. Słowa wydzielały substancję, która mnie uspokoiła. Zszedłem na brzeg rzeki, otoczony obcymi, monotonnymi dźwiękami. Tam przykucnąłem, ułożyłem dłonie w miseczkę i zanurzyłem je w wodzie, czarnej i chłodnej, w płynącym lustrze, które popychało moje rysy i zmieniało mnie w swoim płynnym obrazie w obcego – tego, z którym mogłem żyć. Tak więc ta rzeka, Snake River, miała być pierwszym lustrem, w którym się przejrzałem od piętnastego roku życia. Nagle od dna oderwał się cień, lśniący cień, i zatarł ostatnie resztki moich ulotnych rysów. W dłonie wsunęła się ryba i została w nich, jakby chciała, abym ją podniósł. Zrobiłem to, jak gdyby była to część większego planu. Wyjąłem ją z wody. Płetwy grzbietowe miała ostre, zielone, skrzela przypominały lakier do paznokci. W chwili gdy to zrobiłem, kiedy podniosłem tę piękną błyszczącą rybę i przeniosłem ją do żywiołu śmierci, sam poczułem się podniesiony, a raczej oderwany, to lepsze słowo. Przez moment czułem się oderwany od samego siebie – wcześniej potrzebowałem do tego tabletek, pisania i alkoholu. Uniosłem rybę, a rzeka uniosła mnie. Przepłynęła przeze mnie. Znalazłem się na ostatnim szczelbu. Położyłem rybę z powrotem w wodzie i okryłem ją czarną kołdrą Snake River.

Wróciłem do samochodu. Dopiero teraz zwróciłem uwagę na tablicę stojącą przy skrzyżowaniu. „Solvang. 2467 mieszkańców”. Dlaczego nie? A więc to tutaj zmierzałem. Pojechałem w tym kierunku. Pół godziny później dotarłem na miejsce. Ulice były szerokie, puste. Okna w niskich domach ciemne. Jedyne światło, jakie w końcu zobaczyłem, biło z Solvang Grand Hotel. Zaparkowałem przy fontannie, w której na kamieniu siedziała syrena z zielonej miedzi, podobna do tej w Kopenhadze. Zaniósłem walizki do recepcji. Za kontuarem stał uśmiechnięty chudy mężczyzna. Czy ma wolny pokój? Zaczął przerzucać papiery, kilkakrotnie pokręcił głową. Rozejrzałem się, ale nie dostrzegłem żadnego gościa. – Udało się – powiedział recepcjonista. – Pokój sto dwanaście. Bardzo dobry pokój. Jak długo chce pan zostać? Już miałem na końcu języka: „A jak długo nie mogę zostać?”, ale tamten czas, kiedy tak się wyrażałem, już minął. – To zależy – odparłem. – Wszyscy tak mówią. – Na początek tydzień. – Dobrze. Mogę zobaczyć paszport w czasie, gdy będzie pan wypełniał formularz? Tylko dla porządku. Podałem mu paszport, a ten uśmiechnięty człowiek posmutniał na całej twarzy. – Jest pan Duńczykiem? – spytał czystą duńszczyzną. – W każdym razie jestem obywatelem duńskim – odparłem po norwesku ze śmiechem. Czyżbym przyjechał do Danii? Recepcjonista nachylił się nad kontuarem. – To mogła być Dania, mój panie. Gdyby duńscy imigranci osiągnęli to, co chcieli. – A czego chcieli? – Utworzyć tu duńską kolonię, ale zamiast tego powstała kopia. Nic innego niż Legoland. – Czy to dlatego przed wejściem siedzi syrena? – Mamy też Okrągłą Wieżę, Hansa Christiana Andersena, wiatraki i drożdżówki. Oddał mi paszport. Zapłaciłem za trzy noce z góry, dostałem klucz, zaniósłem walizki na piętro i otworzyłem pokój. Przypominał salon. Miał łóżko z baldachimem i tapetę w kwiatki, na poduszce leżały landrynki „Król Danii”. Wypakowałem maszynę do pisania, postawiłem ją na stoliku pod oknem i wkręciłem kartkę. Miałem mnóstwo czasu i ani chwili do stracenia. Na zewnątrz wszystko wciąż było ciemne. Ustawiłem podwójny odstęp i zacząłem pisać. Już sam dźwięk klawiszy wzbudził we mnie wdzięczność. Czasami uderzałem delikatnie, gdy miałem do czynienia z jakimś wrażliwym

słowem. Kiedy indziej wybijałem dziury w papierze i z tyłu kartki zalewało mnie silne światło. Nie pamiętałem, kiedy ostatnio czułem to, co teraz: wdzięczność.

Kiedy zaczęło świtać, ukazały się szerokie bezludne ulice Solvang. Dostrzegłem Okrągłą Wieżę, nie tak dużą jak ta w Kopenhadze – stąd wydawała się nie większa niż naparstek – a przede wszystkim zwróciłem uwagę na pomnik wielkiego baśniopisarza, stojący za fontanną z Małą Syrenką, koło sklepu piekarza, którego witryny uginały się od drożdżówek. Zapach cukru i czekolady docierał aż tutaj. Nie widziałem jednak żadnych ludzi, żadnych klientów. Miasto sprawiało wrażenie opuszczonego, takiego, jakie się widuje w głębokim śnie, kiedy jedzie się powoli i widzi latarnie, które więdną jak stare drzewa. Wiatraki miesiły niebo w tle.

Przeczytałem napisane słowa, nie skreśliłem ich, wziąłem prysznic, zmieniłem ubranie i zszedłem do sali śniadaniowej. Tam też nikogo nie było. Same puste stoły. Usiadłem przy jednym i pomyślałem: Czy samotność, ta izolacja, to cena za wdzięczność? Czy jest raczej tak, że inni są wdzięczni za to, że mnie nie ma jak najdłużej ani w czasie, ani w przestrzeni, że jestem tam, gdzie wyrządzam najmniej szkód? Byłem już na skraju popadnięcia w sentymentalizm, a tego sobie kategorycznie nie życzyłem. Stoły wciąż stały puste pod żyrandolami, ciągnęły się w głąb sali zakończoną lustrem, które kontynuowało tę nieobecność od ściany do ściany. Ktoś jednak wreszcie przyszedł i usiadł na drugim końcu. Był to młody mężczyzna, jeszcze chłopak, w mundurze. Po pewnym czasie go rozpoznałem. Wszystko we mnie działało się powoli i starannie. Zmniejszyłem prędkość. To był ten żołnierz, z którym rozmawiałem na lotnisku w Baltimore, Jimmy Stout. To on sprawił, że wróciła mi pamięć. Wstałem i podszedłem do niego. – Dziękuję za ostatnie spotkanie – powiedziałem. Najwyraźniej nie zrozumiał, o co mi chodzi. Musiałem tłumaczyć. – Spotkaliśmy się w Baltimore, nie pamiętasz? Na tamtejszym lotnisku. – No tak. I co? Wzruszyłem ramionami. Chłopak wydawał się jeszcze smutniejszy. – A ty wróciłeś do domu. Pokręcił głową. – Wyjechałem. Postanowiłem nie wracać do domu, okej? Nic więcej Jimmy Stout nie powiedział. Zaniepokoił mnie. Jego twarz nie była już zakurzona, teraz lśniła blaskiem kojarzącym mi się z chińską porcelaną. Spojrzenie nie było już mętne, tylko ostre, pozbawione wątpliwości. – Przepraszam – powiedziałem. – Za co przepraszasz? – Za to, że ci przeszkadzam. Na pewno masz o czym myśleć. Wróciłem do swojego stolika. Wciąż nie było obsługi. Pojawił się nowy gość, w średnim wieku, z przyczepionymi na mokro włosami i nienagannie ubrany. Nie zauważył mnie. Stał jednak jak wryty, kiedy dostrzegł żołnierza, który równie gwałtownie się poderwał i odwrócił do niego plecami. Mężczyzna szybkim krokiem podszedł do chłopaka, położył mu ręce na ramionach, obrócił go i wymierzył mu policzek. – Dlaczego?! – spytał, a właściwie krzyknął. – Dlaczego?! Jimmy się wyrwał i usłyszałem jego słowa: – Nie powinno cię tu być. Nie powinno cię tu być, tato. A więc to ojciec i syn, tak jak ojcowie i synowie są wszędzie. Stali w milczeniu, nie patrząc na siebie. Nie wiem, jak długo to trwało, ale było nieznośne. W końcu syn zaczął szlochać. Ojciec wymierzył mu jeszcze jeden policzek. – Czy ty w ogóle nie myślisz o matce? Nie myślisz o tym, co jej robisz? Nie znoszę takich scen. Takie wybuchy, kiedy w człowieku przelewają się gesty i uczucia, wprawiają mnie w głębokie zażenowanie. Brzydzi mnie to. Czy ludzie nie potrafią zachować czegoś dla siebie? Poszedłem do swojego pokoju i znów usiadłem przy maszynie. Mogłem jedynie pisać. Napisałem do końca powieść, którą straciłem. Nie tę samą, to niemożliwe, tylko inną. To, czym coś się zastępuje, nigdy nie jest takie samo jak to, co przepadło. Na myśl nasunął mi się budynek Philipsa, ten, w którego projektowaniu uczestniczył ojciec, budynek zburzony w ciągu kilku sekund, a wznoszony w innej formie przez miesiące i lata. Tak też było z moją powieścią. Napisałem ją na nowo, innym językiem, w innej objętości, można powiedzieć, i w końcu zupełnie nie przypominała powieści, którą straciłem. Ta praca wypełniła mnie wielkim spokojem, pokojem, raczej tak bym to określił, pokojem, do jakiego nie przypominam sobie,

abym kiedykolwiek się zbliżył. Byłem, jak już wspominałem, zwolniony z czasu i z liczb. Nie oznaczałem już dni paginacją. Oczywiście, powinienem był dostrzec znaki. Co takiego mówiłem? Tak wielka dawka optymizmu nigdy nie zapowiada nic dobrego. Kiedy między Małą Syrenką a Hansem Christianem Andersenem zapalono światełka na choince, wymeldowałem się. Zamierzałem wrócić do domu i się rozliczyć. Na skrzyżowaniu z tablicami zauważyłem samochód wyjeżdżający z dużą prędkością z drugiej strony, kiedy było już za późno. Okazałem się zbyt nieostrożny i pewny siebie. Czy nie wspominałem już o tym, że najniebezpieczniejszy bywam, kiedy jestem szczęśliwy? Nie wiem, który z nas zaczął hamować pierwszy. Wiedziałem tylko, że to się źle skończy. W tym bezcennym momencie zdążyłem pomyśleć: Muszę przeżyć, abym mógł wrócić do domu i opowiedzieć o tym wszystkim. Potem usłyszałem huk, przeraźliwy zniekształcony dźwięk, kiedy samochody się zderzyły, bok w bok, dalej pamiętam tylko, że obudziłem się w szpitalnym łóżku. Przy drzwiach siedział starszy mężczyzna i patrzył na mnie. Na kolanach trzymał wielką futrzaną czapę z długimi nausznikami i gwiazdą. Próbowałem wstać, ale mi się nie udało. – Gdzie ja jestem? – W Saint Mary's Hospital, w Karmack. – Gdzie to jest? Mężczyzna przysunął się bliżej razem z krzesłem. – Bardzo blisko miejsca, w którym doszło do zderzenia. Wyciągnął rękę. – Patrick Oak, miejscowy szeryf. Zaczęło mi się rozjaśniać w głowie. Metal, szkło, kartki, walizki, wszystko się trzęsie, a potem cisza. – Jestem ranny? – spytałem. – Drobne otarcia. Zamroczenie. Miał pan szczęście. Ale o tym niech pan porozmawia z doktorem Tylerem, kiedy przyjdzie. – Dziękuję. – Mamy jednak kilka problemów. My... Przerwałem mu: – A co z tym drugim samochodem? – Kierowca zginął. – O Boże! – To nie była pańska wina, sir. Proszę być spokojny. Jechał z nadmierną prędkością. Poza tym uciekał. – O Boże – powtórzyłem. – Nie żyje? Szeryf tylko pokręcił głową. – Może się cieszyć, że przy okazji nie zabił jeszcze kogoś, cholerny idiota! Uznałem to stwierdzenie za dziwne. Tym bardziej mnie zaniepokoiło. Znow spróbowałem się podnieść, ale wciąż nie dawałem rady. – Znał pan go? Tego, który zginął? – Tutaj wszyscy się znają, sir. Był wstrętnym człowiekiem. Proszę mi wierzyć. Mamy już dużo wcześniejszych kłopotów, żebyśmy i z panem mieli mieć kłopot. – Co to oznacza? Szeryf położył na szafce nocnej mój paszport i portfel. – Muszę pana spytać, co pan robi w tych stronach. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do wizyt. – Nic. Po prostu jeździłem na chybił trafił. Czy ja mam jakieś kłopoty? – To zależy. – Od czego? – Znalazłem cały magazyn tabletek i leków w pańskim samochodzie, który zresztą wcale nie należy do pana, tylko do firmy wynajmującej auta z Baltimore. Jest im pan winien majątek. – To na własny użytek. Mam na myśli leki. Wcale nie zamierzałem uciec tym samochodem. – Na własny użytek, sir? – Tak. – To są narkotyki dla całej armii. Gdzie recepty? – Wyrzuciłem je. – Wyrzucił pan? – Już ich nie potrzebuję. – Dlaczego nie wyrzucił pan jednocześnie tabletek? – Czy to przesłuchanie? – Chyba zdaje pan sobie sprawę z tego, że wioząc apteczkę na kołach, musi pan mieć recepty. – Czy potrzebuję adwokata? Szeryf ścisnął futrzaną czapkę w rękach i westchnął. – Aż tak źle chyba nie jest, sir. – Może pan zadzwonić do Sheppard P. – Już dzwoniłem. – Więc po co ta rozmowa? – Przyjemnie porozmawiać, kiedy od czasu do czasu zjawia się rzadki gość. Mówiłem już. Opadłem z powrotem na łóżko. – Zawołałem Doktora – powiedział Szeryf i wyszedł. Drzwi zostawił otwarte na oścież. Zapadłem w jasny sen. Potem znow zjawił się Szeryf w towarzystwie również ubranego na czarno mężczyzny, który przedstawił się jako Doktor Tyler. Spytał, czy coś mnie boli. – Głowa – odparłem. Poza tym jestem śpiący. I odrętwiały. Ponaciskał mnie lodowatymi palcami i zajrzał mi w oczy. – Ma pan szczęście. – Szczęście? – Tak, wielkie. Nie wiedział pan? Cholera, ma pan ogromne szczęście, że pan w ogóle żyje. Gorzej było tylko ze stopą, sir. – Ze stopą? Doktor Tyler odsunął na bok kołdrę i uniósł moją prawą nogę. – Musieliśmy obejść się z nią dość brutalnie, ale się udało. Teraz to zobaczyłem. Stopa już nie sterczała. Była na swoim miejscu. Doktor Tyler chciał, żebyśmy spróbował zrobić kilka kroków.

Pomógł mi wstać. Podeszedłem do okna, wyjrzałem na opuszczony przez Boga bezbarwny krajobraz, wyłączyłem czarno-biały, i wróciłem do łóżka. To było cudowne. Pierwszy raz przy chodzeniu nie nosiło mnie na bok. Mogłem iść prosto, zawrócić i znów wracać prosto. Gotów byłem uklęknąć i dziękować, dziękować na kolanach. Miałem jednak kolejnego gościa. To był Pastor. Nie potrzebowałem żadnego pastora. Ale on nie przyszedł do mnie jako pastor. Przyszedł jako Pośrednik. – Pośrednik? Pastor chrząknął, nie spieszył się. – Pańska matka jest umierająca – oznajmił w końcu. Usiadłem na łóżku. Słyszałem, co powiedział. Moja matka umierała. To była moja wina. Przecież tak napisałem. Napisałem, że moja matka umrze. Czy było to jedyne prawdziwe zdanie, jakie kiedykolwiek zdołałem napisać? Że moja matka umrze? – Skąd pan o tym wie? Pastor odwrócił się do drzwi i dopiero teraz zauważyłem kobietę w moim wieku, stała z rękami założonymi na piersi i patrzyła na mnie. Krótko obcięte włosy miały delikatne siwe pasemka. W ostrym świetle dostrzegłem nawet pajęczynę zmarszczek wokół oczu, piwnych i wpatrzonych we mnie z zaciekawieniem i smutkiem jednocześnie. I gdzieś tam w środku, za całym czasem dźwiganym przez tę kobietę, odkryłem inną twarz, dziewczynę, którą znałem przelotnie tak dawno temu, że równie dobrze mogło to być wczoraj. – Pora wracać do domu – powiedziała. To ona pewnego lata miała na imię Heidi. Nie ruszyłem się. – To prawda, że matka umiera? Podeszła do łóżka. – Tak, to prawda. Musisz się pospieszyć. – Jak mnie znalazłaś? – Porozmawiamy o tym po drodze. – Mój bagaż, maszyna do pisania. Maszynopis. – Wszystko załatwione. W łazience leży czyste ubranie. Tylko pospiesz się, ślamazaro. Pomogła mi wstać. Wyszedłem do łazienki. Heidi po mnie przyjechała. Heidi mnie znalazła. To nie mogła być prawda. Moje myśli nie były dostatecznie duże, by pomieścić to, co nie mogło być prawdą. A jednak to prawda. Podpisałem dokumenty zostawione przez Szeryfa, potem zjechaliśmy windą na dół i poszedłem za Heidi na parking, na którym wyczarowała srebrnego sedana. Moje walizki już leżały w bagażniku. Wsiadliśmy. Wręczyła mi zapieczętowaną plastikową torbę z tabletkami. Pokręciłem głową. Nie chciałem. Zasłużyłem na ból. Zasłużyłem na niepokój. Wreszcie wyjechaliśmy z tego miasta, które było tylko białą plamą na wielkiej mapie. Minęliśmy kościół, przy którym akurat odbywał się pogrzeb. Nie jedna, lecz trzy trumny stały przy osobnych grobach, gotowe do spuszczenia w twarde gruzłowaty chłód, jakim była tutejsza ziemia. Dostrzegłem Pastora, Doktora i Szeryfa. Na pogrzeb przyszło tylko kilka osób. Czy to znaki znów do mnie wróciły? Znaki i liczby? Czy w domu czekają na mnie trzy trumny? Jeśli w jednej będzie leżeć moja matka, kogo znajdę w dwóch pozostałych? Zamknąłem oczy. – Już jesteśmy w drodze – powiedziałem. Opowiadaj! Heidi zaczęła: – Pracuję w norweskim konsulacie w Nowym Jorku. Przerwałem jej: – No to daleko przyjechałaś, żeby mnie znaleźć. Roześmiała się. – Wyprosiłam to sobie. Uważałam, że jestem ci winna przysługę. Nic nie odpowiedziałem, bo nie przypominałem sobie, żebym wyświadczył jakąkolwiek przysługę Heidi. Jeśli tak, to musiało być wtedy w motorówce, kiedy zerwał się wiatr i przyszła burza, ale przypomniałem sobie, że to matka nas ocaliła, no i poza wszystkim był to tylko sen, chociaż liczył się w moich rachunkach. – Przepraszam – powiedziałem tylko, nie wiedząc, za co przepraszam. Heidi ciągnęła: – Twoja rodzina skontaktowała się z nami, kiedy nie wróciłeś do domu w umówionym czasie. Oczywiście się martwili. Podobnie jak ci z Sheppard P. Reszta była prosta. – Prosta? – Nie można się ukryć. Zostawiasz za sobą ślady. – Akurat to, że właśnie ty mnie znalazłaś, wcale nie jest proste. – Takie rzeczy się zdarzają. – Takie rzeczy nie powinny się zdarzać. To się, do cholery, nie powinno zdarzać. Nikt w to nie uwierzy! – Ale się zdarzyło – powiedziała. – Z pewną pomocą z mojej strony. I czy nie wszystko jedno, w co kto wierzy?

Poleciliśmy samolotem z Chicago do Nowego Jorku, do następnej przesiadki zostały trzy godziny. Heidi dotrzymywała mi towarzystwa, pewnie polecono jej nie spuszczać mnie z oczu. To było miłe. Dobrze się czułem w jej towarzystwie. Siedzieliśmy w barze w hali

przyłotów, ja wyjeżdżałem, ona zostawała. Heidi chciała zieloną herbatę, ja chciałem, żeby moja była równie zielona. Nalałem jej. – Wydawała się taka silna – powiedziała. – Kto? – Twoja matka. Silna. To była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałam. Przepraszam. Ja... – urwała. Nie chciałem tego. Chciałem, żeby mówiła więcej, żeby powiedziała coś więcej, bo lubiłem jej słuchać, lubiłem słuchać tego, co mówiła, bo to była prawda. – Nie musisz przeproszać – powiedziałem. – Spotkałam ją tylko raz. A jednak. Tak ją odebrałam. Jako silną. To była pierwsza rzecz, o jakiej pomyślałam. Że jest silna. – Była... Teraz z kolei ja urwałem, przerwałem sam sobie, ale kiedy zrozumiałem, że Heidi nic już nie doda, dopóki ja czegoś nie powiem, powiedziałem: – W Sheppard P nazywali mnie Scrabble. Heidi się roześmiała. – A my wygrałyśmy! Twoja matka i ja! Zamówiłem kawę. Hałas lotniska zaczynał działać mi na nerwy. Kroki. Wszystkie rodzaje kroków. Każdy but miał swój własny dźwięk. Osobny rytm. Walizki na kółkach, wózki bagażowe, zniekształcone głosy w głośnikach, podzwanianie kostek lodu w drinkach innych ludzi. To wszystko ogłuszało. Życie ogłuszało. – Pracowałaś w Brukseli? – Tak. A potem przyjechałam tutaj do konsulatu w Nowym Jorku, żeby się opiekować takimi wariatami jak ty. – Dziękuję. To się i tak nie zdarzy. Po prostu musiałem to powiedzieć. Musiałem też to powtórzyć. To się nie zdarzy. – Dokończyłeś kiedykolwiek ten swój wiersz o Księżycu? – Nie. Stańło na tytule. Napisałem aż za dużo rzeczy, z których nie wyszło nic oprócz tytułu. Całe szczęście. Heidi nagle przytuliła głowę do mojego ramienia. Powinienem poczuć się młodo, ale stało się odwrotnie. Ta bliskość przypominała mi tylko o wszystkim, co mnie ominęło. – Co właściwie robiłeś w Sheppard P? – Nie mogę powiedzieć. Obowiązuje mnie tajemnica. – Możesz zdradzić tylko to, że nazywano cię Scrabble? – Tak. I tu jest granica. Wywołano mój lot. Heidi odprowadziła mnie do bramki. Nie, nie spuściła mnie z oczu. Miała kartę wstępu, z pewnością specjalną kartę dla dyplomatów, tak by mogła wsadzić mnie do samolotu, nawet jeśli sama nie podróżowała. O tyle innych rzeczy moglibyśmy się nawzajem spytać, ale tego nie zrobiliśmy. Może tak było lepiej. W czym pomoże opowieść, skoro i tak wszystko już minęło? Mogłem powiedzieć, że nigdy jej nie zapomniałem. Czy to prawda? Czy nie było w moim życiu lat, podczas których zapominałem prawie o wszystkich? Czułem wagę roztrwonionych dni. Heidi z uśmiechem przekrzywiła głowę. – Jesteś mi winien przysługę – powiedziała. – Wszystko, czego sobie zażyczysz. – Ten drugi wiersz, o którym mówiłeś tamtego lata. Chciałabym go usłyszeć. – Dzisiaj masz szczęście – odparłem. – Tak? – To pierwszy wiersz, jaki napisałem, i jedyny, jaki znam na pamięć. Heidi podeszła bliżej. – Jak się nazywa? – *Zegary na Drammensveien*. – No to mów. – Pamiętasz wszystkich tych zegarmistrzów na Drammensveien? – Nie musisz mi niczego tłumaczyć, po prostu powiedz. Stałem więc na lotnisku J.F. Kennedy’ego w tłumie, w wąskim przejściu między ludźmi, między celem a podróżą, i wyrecytowałem ten wiersz, napisany wtedy, gdy moje życie trwało jeszcze tak krótko, że wciąż miałem wszystko do napisania:

kiedy widzę
dwa zegary które pokazują
różny czas
dopada mnie lęk

czy to ja
źle chodzę?

Heidi nachyliła się i pocałowała mnie. Ja pocałowałem ją. To ten pocałunek czekał na nas przez wszystkie lata, przez kolejne letnie miesiące. A więc napisałem jeszcze jedno zdanie, które było prawdą: że pocałuję dziewczynę o imieniu Heidi. Odsunęliśmy się od siebie, zanim było za

późno. Wciąż trzymając mnie za rękę, powiedziała: – Dbaj o siebie, Funder. Obiecujesz?

A kiedy nazwała mnie Funderem, odwróciłem się do niej tyłem i rozplakałem, bo już byłem w domu. Byłem w domu jako ktoś inny, inna postać pod tym samym prawdziwym nazwiskiem.

Zostawiłem swoją laskę. Nie potrzebowałem już dobrej obsługi.

Samolot się nie spóźnił i wylądował na Gardermoen o dziewiątej trzydzieści. Pojechałem taksówką prosto do szpitala Diakonhjemmet, gdzie matka umierała w jednoosobowej sali na trzecim piętrze, tym samym, na którym zmarł ojciec. Usiadłem przy łóżku. Twarz miała napiętą i białą. Nie, nie białą, raczej w nieistniejącym kolorze. Już była inna, nie obca, tylko inna. Przypominała ptaka. Mówi się, że to oczy odchodzą pierwsze. Spojrzenie zwraca się w tę stronę, której my, ci, co pozostają, jeszcze nie mogą zobaczyć. Wzrok opuszcza ciało. Ciało ślepnie. Matka była poza zasięgiem. Jej wzrok mnie opuścił. Opuścił nas. Słyszysz mnie, mamó? Wyjechałem, żeby na jakiś czas zniknąć. Wróciłem, żeby dokończyć. Nigdy nie powinienem był napisać tego zdania. Nie słyszała mnie. Lekarze mówili, że nie cierpi. To już była kwestia dni, może godzin. Którejś nocy stałem przy oknie i jeszcze raz patrzyłem, jak miasto znika w następujących po sobie cieniach. Nagle poczułem powiew, jakby w pokoju był przeciąg. Odwróciłem się. Drzwi na korytarz się otworzyły, ale nikogo tam nie było. Matka zmieniła pozycję na łóżku. Nachyliłem się. – Co chciałaś mi powiedzieć, kiedy wyjeżdżałem? Zwlekała chwilę z odpowiedzią, ale nie czekałem długo. Trzymałem jej drobną rękę, samą skórę i kości. – Że umiesz o siebie zadbać, Funder. I dziękuję. Za to, że mnie pilnowałaś. Przez chwilę wydawało mi się, że się uśmiecha. Dlatego twierdzę, że się uśmiechała. Że na sam koniec się uśmiechnęła. Potem odeszła. A ja przypomniałem sobie, w jaki sposób zsuwała się do wody ze skał w Nesodden. Tym razem to czas zamknął się wokół niej, kilka zmarszczek w pokoju, fala, która wolno uderzyła o ścianę; mogłem przyłożyć policzek do śmierci i to ja pocieszałem śmierć. Potem zapadła cisza, jakby nic się nie zdarzyło, jakby przed chwilą nie zdarzyło się życie.

Dni do pogrzebu spędziłem w mieszkaniu, w którym mieszkałem do dziewiętnastego roku życia. Niespokojnie krążyłem wśród rzeczy rodziców. Miałem wrażenie, że i one mnie opuściły. Już nie błyszcząły. Mieszkanie wypełniło matowe światło. Nie trzeba było sprzątać. Matka posprzątała. W kuchni nakryła do śniadania, do ostatniego śniadania. Pamiętałem z dzieciństwa sztućce, zielone podkładki, obrączki na serwetkę, filiżanki do herbaty. Nakryła bowiem nie tylko dla siebie, lecz również dla ojca. Od jego śmierci minął ponad rok. Nie wiedziałem, czy nazwać to miłością, czy samotnością, prawdopodobnie jednym i drugim, bo miłość bez samotności jest niemożliwa. W sypialni również było pościelone dla dwojga. To nie była tylko samotna miłość, to było coś większego. To była samotna wierność. A przede wszystkim: miało być porządnie. Przysiadłem na brzegu łóżka i wysunąłem wąską szufladkę nocnej szafki. Jako chłopiec zawsze się zastanawiałem, co matka tam trzyma. Co dorośli ludzie, moi rodzice, trzymają w szufladach szafek nocnych? Nigdy nie miałem odwagi tam zajrzeć. Teraz ją miałem. Byłem bezwstydnym. Śmierć jest własnością ogółu. W szufladzie leżały lusterko, grzebień, pincetka, paczuszka waty i proszki od bólu głowy. W głębi znalazłem jednak coś innego, trylogię matki – refreny, marzenia i świadectwo. Najpierw wyjąłem szary zeszyt. Przypominał staroświecki podręcznik, ale na okładce zapisano odręcznie mnóstwo nut i tytułów. To był własny śpiewnik matki. Zaczynał się od *Over the Rainbow*, a kończył na *Blue Skies*. Jej pismo było wyraźne, staranne i piękne. Wklejała też do zeszytu zdjęcia gwiazd filmowych i znanych artystów. To była jej młodość, jej stara młodość. Pod tym zeszytem leżały żółty notatnik z lata 1969 roku i spłowiała koperta. Z wahaniem otworzyłem ten notatnik, niechętnie, ale jednak go otworzyłem. Strony były czyste, aż do ostatniej, na której zapisała dokładnie tym samym pismem: „Podróżujący na Księżyc (astronauci): Neil Armstrong, Michael Collins, Edwin

Aldrin, 21/7 – 69”. Taki wiersz napisała matka, ten, który mnie nigdy nie wyszedł, a jej rzeczowe strofy były wspanialsze od wszystkiego, co sam stworzyłem. Potem wyjąłem kartkę z matowej koperty. Okazała się pismem od firmy Remington Typewriter Co. A/S mieszczącej się w Oslo. „Świadectwo. Panna C. Funder uczestniczyła w 60-godzinnym kursie maszynopisania trwającym w dniach 16.03–29.04.1939, zorganizowanym przez nasz instytut. Panna Funder osiągnęła prędkość 112 uderzeń netto na minutę”.

PRZYPISY

[1] Tomas Tranströmer, *Wiersze i proza 1954–2004*, przeł. L. Neuger, Kraków 2012.

[2] Nazwisko Funder może się kojarzyć z czasownikiem *fundere* – myśleć, zastanawiać się (przyp. tłum.).

[3] Herman Melville, *Moby Dick czyli Białe wieloryb*, przeł. Bronisław Zieliński, Warszawa 1985, tom 1, s. 23.

[4] Tamże, tom 2, s. 311.

[5] Tamże, tom 2, s. 213.

[6] Tamże, tom 1, s. 41.